

Jonathan Kellerman

Impuls

(Compulsion)

Przełożył Przemysław Bieliński

Ginie Centrello

Kat uwielbiała łamać zasady.

„Nie rozmawiaj z nieznajomymi”.

Tego wieczoru rozmawiała z mnóstwem nieznajomych. Z kilkoma też tańczyła. O ile można było nazwać tańcem to, jak te łamagi się ruszały. Straszliwa konsekwencja: przydepnięty palec – robota ofermi w czerwonej koszuli.

„Nie mieszaj alkoholu”.

To co niby zrobić z Long Island Iced Tea, który był tak naprawdę mieszanką wszystkiego w jednej szklance i dawał najlepszego kopa na świecie?

Tego wieczoru wypłała trzy. Do tego tequila, piwo malinowe i trawka, którą poczęstował ją facet w kręglarskiej koszulce retro. Nie wspominając już... trudno spamiętać. Wszystko jedno.

„Nie jedź po pijanemu”.

Jasne, świetna rada. Tylko co niby miała zrobić? Pozwolić, żeby któraś z tych oferm odwiozła ją do domu jej mustangiem?

Plan był taki: Rianna ograniczy się do dwóch drinków i będzie kierowcą, żeby Kat i Bethie mogły się zabawić. Tyle że Bethie i Rianna wyrwały dwóch farbowanych blondasów w podrabianych koszulkach od Brioniego. Bracia robili coś związanego z deskami surfingowymi w Redondo.

„Tak sobie pomyślałyśmy, że może pojedziemy na imprezę z Seanem i Mattem, chichot-chichot. Jeśli ci to nie przeszkadza, Kat”.

Co miała powiedzieć? Zostańcie ze mną, jestem skończoną ofiarą?

I tak wyszło, że była trzecia czy czwarta nad ranem, a ona wytaczała się z Light My Fire, rozglądając się za swoim samochodem.

Boże, jak tu ciemno, dlaczego na zewnątrz nie zamontowali lamp?

Przeszła trzy kroki i zaczęła szpilką o nierówność asfaltu, zachwiała się, prawie skreśliła kostkę.

Odzyskała równowagę.

Uratowana przez szybki refleks, Superdziewczyna. No i te wszystkie lekcje tańca, do których ją zmuszali. Nie żeby miała to kiedyś przyznać matce, usłyszałyby tylko kolejne kazanie „a nie mówiłam”.

Matka i jej zasady. Nic białego po Święcie Pracy. W L.A. to akurat miało sens.

Kat zrobiła kolejne dwa kroki i jedno z cienkich ramiączek śliwkowego topu zsunęło się jej z ramienia. Zostawiła je tak, pocałunek nocnego powietrza na nagiej skórze był przyjemny.

Poczuła się trochę sexy; odrzuciła włosy, potem przypomniała sobie, że je niedawno ścięła, nie było czego odrzucać.

Obraz lekko rozmył się jej przed oczami – ile long islandów wypła? Cztery?

Wzięła głęboki, oczyszczający oddech. Poczwała, że rozjaśnia się jej w głowie.

Potem znów wszystko się rozplęnęło. I rozjaśniło. Jakby ktoś otwierał i zamykał żaluzje. Może to zioło było jakieś lewe... gdzie ten mustang...? Ruszyła szybciej, znów się potknęła, refleks Superdziewczyny nie wystarczył. Musiała się czegoś złapać – boku samochodu... nie jej, jakaś badziewna mała honda... gdzie ten mustang?!

Na parkingu było tylko kilka samochodów, więc swój powinna łatwo zauważyć. Ale ta pieprzona ciemność... ci frajerzy, właściciele Light My Fire, skąpili na lampy, jakby nie dość zarabiali na upychaniu ludzi w środku... bramkarze i aksamitne sznury to jakiś żart.

Skąpi dranie. Jak wszyscy faceci.

Oprócz Royała. Kto by się spodziewał, matce wreszcie się udało. Nie do wiary, że stara coś w sobie miała.

Kat zaśmiała się na głos, wyobrażając sobie to coś w matce.

Mało prawdopodobne, Royal co dziesięć minut chodził do łazienki. Schrzaniona prostata?

Zatoczyła się przez atramentowo-czarny parking. Niebo było tak czarne, że nie widziała nawet siatki otaczającej plac ani magazynów i składów, które zapełniały tę podłą okolicę.

Na stronie internetowej było napisane, że klub znajduje się w Brentwood. Raczej pod włochatą, spoconą pachą Zachodniego L.A... dobra, jest, głupi mustang.

Pospieszyła do samochodu, stukając obcasami o wyboisty asfalt. Każde stuknięcie niosło się cichym echem, przypominającym Kat czasy, kiedy miała siedem lat, a matka zmuszała ją do lekcji stepowania.

W końcu doszła, sięgnęła do torebki po kluczyki, znalazła je, upuściła.

Usłyszała grzechot, kiedy upadły, ale było za ciemno, żeby zobaczyć, gdzie. Pochyliła się gwałtownie, zachwiała, oparła jedną ręką o ziemię, a drugą zaczęła macać.

Nic.

Przykucnęła i poczuła jakiś chemiczny zapach – benzyna; jak przy tankowaniu samochodu, nieważne, ile razy umyje się potem ręce, smród zostaje.

Cieknący zbiornik? Tego jeszcze brakowało.

Dziesięć tysięcy kilometrów na liczniku i same kłopoty. Z początku uważała, że samochód jest fajny, ale potem uznała, że to kiepski wózek i przestała płacić raty. Dzień dobry, panie komorniku. Znowu.

„Wzięliśmy na siebie pierwszą wpłatę, Katrino. Musiałaś tylko pamiętać, żeby piętnastego każdego miesiąca...”

Gdzie te cholerne kluczyki!? Obtarła sobie kłykcie o asfalt. Jeden tips odpadł z paznokcia. Zebrało się jej na płacz.

A, mam!

Wstała z trudem, pstryknęła centralny zamek, opadła na fotel kierowcy, włączyła silnik. Samochód przygasł, potem skoczył i... no to jazda, Superdziewczyno! Jechała prosto w ciemną

noc – a tak, światła.

Wolno, z przesadną ostrożnością pijanego, potoczyła się do przodu, minęła wyjazd, cofnęła, wyjechała. Skręciła na południe w Corinth Avenue, dojechała do Pico. Skręciła w zupełnie pusty bulwar. Przesadziła, zjechała na przeciwny pas. Odbiła, w końcu ustawiła głupi samochód jak trzeba.

Przy Sepulveda trafiła na czerwone.

Na skrzyżowaniu żadnych samochodów. Nigdzie gliniarzy.

Przejechała.

Zmierzała na północ i czuła się wolna, jakby całe miasto, cały świat do niej należał.

Jakby ktoś zrzucił atomówkę i tylko ona przeżyła.

Dopiero byłoby fajnie! Mogłaby ruszyć do Beverly Hills, przejechać przez milion czerwonych świateł, wmaszerować prosto do Tiffany'ego przy Rodeo i zabrać, co tylko by chciała.

Planeta bez ludzi. Zaśmiała się.

Minęła Santa Monica i Wilshire. Jechała dalej, aż Sepulveda zmieniło się w Pass. Po lewej miała trasę 405, garść tylnych świateł samochodów. Po drugiej stronie było zbocze wzgórza.

Wszystkie światła pogaszone w domach za miliony dolarów, pełnych śpiących bogaczy. Idiotów takich samych jak ci, z którymi musiała się użerać w La Femme.

Kobiet takich jak jej matka, udających, że się nie starzeją ani że nie są grube jak świnię.

Na wspomnienie pracy Kat spięła się i głęboko odetchnęła. Przy okazji głośno beknęła; roześmiała się, przyspieszyła.

W tym tempie powinna przejechać wzgórze i dotrzeć do domu całkiem szybko.

Głupia mała klita w Van Nuys, ale Kat wszystkim mówiła, że mieszka w Sherman Oaks, bo dom stał na granicy i... kogo to obchodzi?

Nagle oczy zaczęły się jej zamykać. Musiała się otrząsnąć. Mocne nadeptnięcie na pedał gazu i samochód wystrzelił do przodu.

Wiatr w żagle, dziewczyno!

Chwilę później mustang zakrzusił się, zawył, zgasł.

Udało się zjechać na prawo, zatrzymać na poboczu. Poczekała chwilę i spróbowała odpalić.

Nic, tylko jękliwe wycie.

Jeszcze dwie próby, potem pięć.

Cholera!

Trochę trwało, zanim znalazła włącznik wewnętrznego oświetlenia, a kiedy w samochodzie zrobiło się jasno, zabolą ją głowa i zobaczyła małe, żółte plamki tańczące przed oczami. Kiedy znikły, spojrzała na wskaźnik paliwa.

Cholera, cholera, cholera! Jak to się stało? Mogłaby przysiąc...

Usłyszała zrzędlawy głos matki. Zakryła uszy dłońmi i spróbowała się skupić.

Gdzie jest najbliższa stacja...? Nigdzie, nic przez całe kilometry.

Walnęła w deskę rozdzielczą tak mocno, że zaboląły ją ręce. Rozplakała się, opadła na fotel.

Uświadomiła sobie, że widać ją z zewnątrz przy włączonym oświetleniu, wyłączyła lampkę.

Co teraz?

Zadzwoić do assistance! Dlaczego o tym wcześniej nie pomyślała?

Zajęło jej długą, zdawało się, chwilę, zanim odszukała w torebce komórkę. Jeszcze dłuższą – znalezienie karty assistance.

Wystukać bezpłatny numer... niełatwa sprawa. Co z tego, że klawiatura jest podświetlona? Cyferki były malutkie, a jej się trzęsły ręce.

Kiedy odezwał się operator, przeczytała kod członkowski. Musiała powtórzyć, bo wszystko rozmazywało się jej przed oczami i pomyliła trójkę z ósemką.

Operator kazał czekać, odezwał się po chwili i powiedział, że członkostwo wygasło.

– Niemożliwe – wybełkotała Kat.

– Przykro mi, proszę pani, ale karta jest nieaktywna od półtora roku.

– Nie ma takiej możliwości...

– Przykro mi, proszę pani, ale...

– Gówno prawda, wcale ci nie...

– Proszę pani, nie ma powodu...

– Gówno prawda, że nie ma.

Rozłączyła się.

Co teraz?

Myśl, myśl, myśl... dobra, plan B: zadzwonić na komórkę do Bethie. Jeśli w czymś jej to przeszkodzi... bardzo mi przykro.

Telefon zadzwonił pięć razy, potem włączyła się poczta głosowa.

Kat się rozłączyła. Komórka wysiadła.

Dźganie przycisku „power” nic nie dało.

Przypomniało się jej niejasno, że coś zaniedbała.

Naładować telefon przed wyjściem – jak, do cholery, mogła o tym zapomnieć?

Teraz cała się trzęsła, spociła, z trudem łapała oddech.

Sprawdziła jeszcze raz, czy samochód jest zamknięty.

Może przyjedzie patrol.

A jeśli to będzie inny samochód?

„Nie rozmawiaj z nieznajomymi”.

A jaki miała wybór; spać tutaj do rana?

Prawie zasnęła, zanim pojawił się pierwszy samochód; pędził w jej stronę, przestraszyła się blasku reflektorów.

Duży range rover, dobrze.

Pomachała przez okno. Drań tylko śmignął obok.

Kilka minut później wstecznie lusterko rozjaśniły światła, coraz większe. Ten samochód się zatrzymał.

Badziewny pikap, jakieś graty na pace, pod brezentem.

Okno pasażera się otworzyło.

Młody Meksykanin. Drugi siedział za kierownicą.

Popatrzyli na nią dziwnie.

Pasażer wysiadł. Był mały i brudny.

Kat zsunęła się niżej w fotelu i kiedy. Meksykanin podszedł i powiedział coś przez szybę, udawała, że jej nie ma.

Stał tam, a ona się bała jak diabli.

Cały czas udawała, że jest niewidzialna i Meksykanin w końcu wrócił do pikapa.

Dopiero pięć minut po jego odjeździe Kat udało się wyprostować i zacząć normalnie oddychać. Zmoczyła majtki. Zsunęła je po nogach i rzuciła na tylne siedzenie.

Nagle los się do niej uśmiechnął.

Bentley!

Wal się, range roverze!

Wielki, czarny, lśniący, z agresywną maskownicą.

Zwalniał!

O cholera, a jak to Clive?

Nawet gdyby... Lepsze to niż spać tu całą...

Kiedy bentley zatrzymał się obok, otworzyła okno, próbując dojrzeć, kto siedzi w środku.

Wielki, czarny samochód chwilę postął, ruszył dalej.

Niech cię szlag, bogaty draniu!

Wyskoczyła z mustanga, gorączkowo zamachała rękami.

Bentley się zatrzymał. Cofnął.

Kat spróbowała zrobić wrażenie słodkiej i bezbronnej. Wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się i wskazała swój samochód.

Okno bentleya bezgłośnie się otworzyło.

W środku tylko kierowca.

Nie Clive, kobieta!

Dzięki, Boże!

– Proszę pani – zaczęła Kat milutkim głosem, którego używała w La Femme. – Bardzo dziękuję, że się pani zatrzymała. Zabrakło mi paliwa. Gdyby mogła mnie pani gdzieś podwieźć, żeby...

– Oczywiście, moja droga – odparła kobieta. Gardłowy głos jak u tej aktorki, którą lubiła matka... Lauren, Lauren... Hutton? Nie, Bacall. Uratowała ją Lauren Bacall!

Kat podeszła do bentleya.

Kobieta się do niej uśmiechnęła. Była starsza niż matka Kat, miała siwe włosy, ogromne

perłowe kolczyki, elegancki makijaż, tweedowy kostium, jedwabną chustę, purpurową, na oko drogą, luźno zarzuconą na ramiona. Kobieta z klasą.

Ktoś, kogo matka udawała.

– Proszę pani, naprawdę bardzo dziękuję – mamrotała Kat.

Nagle zapragnęła, żeby właśnie ta dama była jej matką.

– Wsiadaj, moja droga – odparła nieznajoma. – Znajdziemy dla ciebie paliwo.

Skubana arystokratka w skubanym bentleyu.

Kat wsiadła rozpromieniona. Coś, co zaczęło się jak gówniana noc, zapowiadało się na fajną historię.

Kiedy bentley gładko ruszył, Kat jeszcze raz podziękowała. Kobieta kiwnęła głową i włączyła radio. Klasyka – Boże, jakie głośniki, jak w sali koncertowej.

– Jeśli mogę się pani jakoś odwdzięczyć...

– Nie trzeba, moja droga.

Mocno zbudowana kobieta, grube dłonie z pierścionkami na palcach.

– Ma pani niesamowity samochód – powiedziała Kat.

Dama uśmiechnęła się i podkreśliła głośniejszą muzykę.

Kat opadła na oparcie i zamknęła oczy. Pomyślała o Riannie i Bethie, i ich koleśkach w podróbkach markowych koszul.

Super będzie opowiedzieć im tę historię.

Bentley jechał cicho drogą. Miękkie fotele, alkohol, trawka i spadek adrenaliny strąciły Kat w nagły sen; niemal straciła przytomność.

Chrapała głośno, kiedy samochód skręcił i ruszył między wzgórzami.

Do ciemnego, zimnego miejsca.

Kiedy przyszło zgłoszenie, jadłem właśnie lunch z Milem w Surf Line Cafe w Malibu.

Przyjechaliśmy tu tylko i wyłącznie dlatego, że była śliczna pogoda. Restauracja to drewniany bungalow z oknami na całą ścianę i przestronnym tarasem z desek, wysoko po zachodniej stronie PCH, niedaleko na południe od Kanan Dume Road. Kilometr od oceanu, bez widoku na wodę, nazwę miała źle dobraną. Ale jedzenie dawali fantastyczne, a nawet z tej odległości w powietrzu czuło się sól.

Była pierwsza po południu, a my siedzieliśmy na tarasie i jedliśmy grillowane zółcice, popijając piwem. Milo wrócił właśnie z tygodniowego pobytu w Honolulu, gdzie udało mu się zachować cerę białą jak mleko. Kiepskie oświetlenie wydobywa z niej wszystko, co najgorsze – guzy, dzioby, zmarszczki, policzki godne mastiffa. Dzisiaj światło było wspaniałe, ale mogło jedynie ukryć najgorsze miejsca.

Mimo tego i najbrzydszej hawajskiej koszuli, jaką w życiu widziałem, wyglądał dobrze. Zniknęły tiki i grymasy, które zdradzały jego próby ukrycia bólu w ramieniu.

Koszula – rojowisko fioletowo-brązowych słoni, błękitnych wielbłądów i małp w kolorze ochry na oliwkowozielonym sztucznym jedwabiu – mocno opinała beczkowaty tors Mila.

Wycieczka na Hawaje nastąpiła po dwudziestu dziewięciu dniach spędzonych w szpitalu: Milo dochodził do siebie po tym, jak tuzin śrucin ze strzelby utkwiał w jego lewej ręce.

Strzelec, psychopata, nie żył, oszczędzając wszystkim nieprzyjemności procesu. Milo lekceważył własne rany, nazywając je „głupim cholernym zadrapaniem”. Widziałem rentgeny. Kilka śrucin minęło serce i płuco o milimetry. Jedna utkwiała tak głęboko, że nie dało się jej usunąć bez poważnego uszkodzenia mięśnia, stąd grymasy i wzdrygnięcia.

Mimo wszystko przewidywano tylko trzy dni hospitalizacji. Drugiego dnia wdał się gronkowiec i ostatecznie Milo prawie na miesiąc trafił pod kroplówkę z antybiotykiem. Położyli go na piętze dla VIP-ów, bo mieszkał z doktorem Rickiem Silvermanem, ordynatorem oddziału ratunkowego.

Większe sale i lepsze jedzenie nie pomagały tam, gdzie to się liczyło. Milo dostał wysokiej gorączki, a w pewnym momencie nerki odmówiły posłuszeństwa. W końcu mu przeszło i zaczął narzekać na otoczenie oraz dwudziestojednoletnią aktoreczkę w narożnej sali w tym samym korytarzu. Jej oficjalna diagnoza brzmiała „wycieńczenie”. Kierownik szpitalnego detoksu prawie się do niej przeprowadził.

Dwóm paparazzim udało się dostać do pokoju gwiazdki, ale zostali bezceremonialnie wyrzuceni przez jednego z prywatnych ochroniarzy.

– Nie dostali jej, może zadowolą się tobą – powiedziałem.

– O, pewnie, „People” i „Us” nie przetrwają wojny gazet bez zbliżeń podbiegunowej tundry,

która porasta moje VIP-owskie dupsko.

Wygramolił się z łóżka, i głośno tupiąc, wymaszerował na korytarz. Popatrzył groźnie na ochroniarza kręcącego się pod jego drzwiami. Tamten sobie poszedł.

– Nachalny gnojek.

Zdecydowanie dochodził do siebie.

Po wypisaniu ze szpitala udawał, że wszystko jest w porządku. Rick, Robin, ja i wszyscy inni, którzy go znali, udawaliśmy z kolei, że nie zauważamy sztywności i braku energii. Policyjny lekarz nalegał, żeby Milo wziął trochę wolnego, a kapitan nie zamierzał się spierać.

Milo i Rick mówili o wakacjach w tropikach od kilku miesięcy, ale kiedy przyszło co do czego, po nastroju Mila można by wnioskować, że nad facetem wisi wyrok więzienia.

Przysłał mi jedną kartkę:

„Monstrualni samokańscy zapasnicy sumo tarzający się po białym piasku.

A:

Świetnie się bla bla bla ziew ziew ziew. Tak wyglądają miejscowi.

Jeszcze kilka luau i po moim kontrakcie modela.

Prymitywnie ci oddany,

M.”

Teraz dopił drugie piwo i powiedział:

– Co się tak uśmiechasz pod nosem?

– Nie wiedziałem, że się uśmiecham.

– Jestem wyszkolonym obserwatorem.

Wzruszyłem ramionami.

– Śmiesz cię ta koszula, tak?

– Koszula jest super.

– Dobrze, że nie ma tu nigdzie wykrywacza kłamstw. Co, nie podoba ci się oryginalna wyspiarska moda?

– Słonie na Oahu?

– Doktor Dosłowny. – Potarł sztuczny jedwab palcami jak kielbaski. – Gdybym znalazł jakąś z Freudem analizującym *mahimahi*, na pewno bym ci przywiózł.

– Orzeszki macadamia też były w porządku.

– Jasne, jasne. – Odgarnął czarne włosy z czoła, zamówił jeszcze jedno piwo, szybko je wypił. Jasnozielone oczy popatrzyły na autostradę w dole. Powieki na wpół przymknięte.

– Wszystko okej?

– Jutro wracam do pracy, urlop doprowadzał mnie do szału. Problem w tym, że jak już wrócę do biura, nie mam tam co robić. Żadnych nowych spraw. A co dopiero mówić o interesujących.

- Skąd wiesz?
- Wczoraj napisałem mail do kapitana.
- Spokojny okres w Zachodnim L.A. – powiedziałem.
- Cisza przed burzą albo i gorzej.
- Co może być gorsze?
- Brak burzy.

Upaął się, że zapłaci. Sięgnął po portfel, kiedy zapiszczała jego komórka. Wykorzystałem okazję i podałem kelnerowi kartę kredytową.

– Podstępny. – Odebrał, posłuchał. – Dobrze, Sean, czemu nie? Ale jeśli wydarzy się prawdziwe przestępstwo, wszystko odwołuję.

- Sean ma nieprawdziwe przestępstwo? – spytałem, kiedy wychodziliśmy.
- Ukradziony samochód w Brentwood. I odnaleziony.

Jak wielu detektywów z wydziałów zabójstw, wszystko, co nie wiąże się z czyjąś śmiercią traktuje na równi z przechodzeniem na czerwonym świetle.

- Po co do ciebie zadzwonił?
- Myśli, że to może być coś więcej, bo na jednym fotelu jest krew.
- No, brzmi poważnie.
- Nie, że wiadra krwi, Alex. Może łyżeczka.
- Czyjej?

– To właśnie wielki sekret. Bezczelny, chce mojej porady. Nikt mu nie powiedział, że do jutra jestem wolnym ptakiem.

Nie skomentowałem. Kiedy jest w takim stanie, szkoda sił na ironię.

Sean Binchy czekał na nas przed domem w kolorze wanilii, ubrany jak zwykle w ciemny garnitur, niebieską koszulę i krawat, wypolerowane do połysku marteny. Młody, chudy, rudowłosy detektyw pierwszej klasy, były basista z kapeli ska, który równocześnie odkrył Jezusa i Departament Policji Los Angeles. Terminował u Milla, ale góra go zabrała i przeniosła do włamań, potem do kradzieży samochodów. Chodziły plotki, że te wszystkie transfery miały coś wspólnego z jego „brakiem kreatywności”.

Dom za jego plecami był jedną z tych olbrzymich, miałkich posiadłości, które zaczęły dominować w luksusowych dzielnicach L.A.

Najdroższa część Brentwood, na zachód od Bundy, na północ od Sunset, gdzie ulice są wąskie, a w miejscu chodników znajdują się trawniki. Większość ulicy ocieniały rozczochrane eukaliptusy. W bezpośrednim sąsiedztwie waniliowego domu parterowe rancza stały przed budowlanym plutonem egzekucyjnym i czekały na żelazną kulę ekipy od wyburzania.

Sean wskazał szeroki kamienny podjazd, prowadzący do podwójnego garażu. Przed jedną bramą stał czarny bentley arnage sedan.

- VIP-owska bryka – zauważył Miło. – Tylko tego mi było trzeba.

- Cześć, poruczniku. Cześć, doktorze Delaware. Jak Hawaje?
- Przywiozłem ci orzeszki macadamia – odparł Milo.
- Dzięki. Świetna koszula.

Milo spojrział na Bentleya.

- Ktoś to ukradł i miał czelność zostawić krew?
- Albo coś, co wygląda bardzo podobnie do krwi.
- Czyli?

– Jestem prawie pewien, że to krew, poruczniku. Nie zamówiłem analizy, bo chciałem się dowiedzieć, co pan o tym myśli.

– Kto go znalazł?

– Właściciel. – Binchy przekartkował notes. – ... Nicholas Heubel. Porządny obywatel, nie musiał nas wzywać.

Milo podszedł do Bentleya. Promienie słońca padały na lakier tak lśniący, że wyglądał jak płynna smoła.

– Jak go znalazł?

– Pokręcił się po okolicy i zauważył go trzy przecznice stąd.

– Daleko się nie najechali.

– Jeśli uważa pan, że powinienem dać sobie spokój, w porządku. Chciałem tylko mieć pewność, że nic mi nie umknęło.

– Samochód otwarty?

– Aha.

– Daj mi rękawiczki i pokaż tę krew.

Najlepszej jakości skóra z kilku krów, jedno czy dwa drzewa na forniry.

Wszystko razem pachniało jak prywatny klub w Mayfair.

Wnętrze bentleya miało kolor złamanej bieli obszywanej czernią i nie dało się nie zauważyć plamy. Smuga o powierzchni kilku centymetrów kwadratowych po prawej stronie fotela kierowcy. Schodziła ukosem do szwu, rozrzedzając się ku dołowi. Ściekała albo ktoś ją tak rozmazał.

Oczywiście to mógł być stary keczup, ale stawiałem na hemoglobinę.

– Niezbyt imponująca – mruknął Milo.

– Może być więcej – powiedział Sean – ale na czarnej wykładzinie mało widać na pierwszy rzut oka.

– Zaglądałeś do bagażnika?

– Jasne. Wygląda, jakby nic tam nigdy nie włożono. Są dwa parasole, ciągle zwinięte i przypięte do przegrody. Właściciel mówi, że były w opcji, kosztowały osiemset dolarów i ani razu ich nie używał.

Milo naciągnął lateks na łapska, przysunął głowę do siedzenia, ale nie dotknął plamy. Przyjrzał się, powąchał, obejrzał wykładzinę, drzwi, przeszkłone zegary. Otworzył tylne drzwi.

– Pachnie jak nowy.

– Marok.

– Pięć tysięcy kilometrów na liczniku. Wygląda na to, że nie tylko parasoli właściciel nie używa.

– Ma lexusa – wyjaśnił Sean. – Mówi, że lexus mniej się rzuca w oczy i jest pewniejszy.

Milo jeszcze raz obejrzał plamę.

– Wygląda na krew, ale nie widzę tu rozbryzgu od uderzenia, ani z dużą ani małą siłą. Jakiś gnojek, pewnie dzieciak sąsiada, chciał się przejechać i skaleczył się o pękniętą faję. Samochód ukradli z garażu?

– Z podjazdu.

– Taka bryka i właściciel jej nie chowa?

– Chyba nie.

– Kluczyki w stacyjce?

– Twierdzi, że nie. Chciałem go wypytać dokładniej, ale musiał iść do domu odebrać telefon.

– Pewnie je zostawił – stwierdził Milo. – Nikt nie chce wyjść na durnia. Rąbnięcie takiego cacka oznacza niedojrzałość i impulsywność. Co pasuje do gówniarza z okolicy. Tak jak porzucenie samochodu kilka przecznic dalej. Co o tym sądzisz, Alex?

– Brzmi sensownie.

Milo odwrócił się do Seana.

– Gdyby to była poważna sprawa, przeczesałbym okolicę, zaczął od miejsca porzucenia samochodu, dowiedział się, kto ma nastolatki z problemami wychowawczymi. Ale to tylko gdybanie.

– A więc nie powinienem drażnić tematu? – spytał Sean.

– Właściciel nalega, żebyś drażnił?

– Zdenerwował się tą krwią ale mówi, że nie chce robić afery, bo nie ma żadnych szkód.

– Na twoim miejscu, Sean, doradziłbym mu, żeby kupił sobie meguiar'sa i zapomniał o sprawie.

– Co to takiego?

– Skuteczny środek do czyszczenia skór.

– Dobra, mnie pasuje – powiedział Sean.

– Miłego dnia.

Kiedy szliśmy do seville'a, z waniliowego domu wybiegł mężczyzna.

Koło czterdziestki, metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, długie kończyny, krótko przycięte ciemne włosy, siwiejące na skroniach, maleńkie okulary z owalnymi szklami. Był ubrany w szary T-shirt, niebieskie aksamitne spodnie dresowe i brązowe buty żeglarskie, bez skarpet. Okulary trzymały się na spiczastym, prostym nosie. Usta miał wąskie i wydęte, jakby ktoś ścisnął go za policzki.

– Panie poruczniku? – Minał Seana, podszedł do nas, spojrzał na słońce na koszuli Mila i na moją czarną koszulkę polo i dzinsy. Zmrużył oczy, próbując odgadnąć, który z nas jest szefem.

– Milo Sturgis.

Dłoń z długimi palcami wystrzeliła do przodu.

– Nick Heubel.

– Miło mi pana poznać.

Heubel wskazał kciukiem bentleya.

– Dziwna sprawa, co? Powiedziałem detektywowi Binchy'emu, że nie chcę z tego robić afery, ale teraz zaczynam się zastanawiać. A jeśli to zrobił ktoś z okolicy i chodzi mu o coś więcej niż tylko tanie emocje?

– Raczej drogie emocje – sprostował Milo.

Heubel się uśmiechnął.

– Kupiłem ten wóz pod wpływem impulsu. Pojeździłem nim tydzień i zdałem sobie sprawę, że to tylko samochód i że dałem się wciągnąć tej całej iluzji... W każdym razie zmiierzam do tego, że może jakiś miejscowy delikwent z poważnymi skłonnościami antyspołecznymi kręci się po okolicy i kradzież była tylko pierwszym objawem?

– Czego, panie Heubel?

– Że bierze, co chce. – Oczy Heubela za szklami były piwne i czujne.

– Boi się pan, że sprawca może wrócić i zrobić coś jeszcze? – spytał Milo.

– Nie powiedziałbym, że się boję – odparł Heubel. – Raczej... fakt, chyba rzeczywiście się boję. To taka beczelność, po prostu wsiadł i odjechał.

– Domyśla się pan, kiedy to się mogło stać?

– O dowolnej godzinie między dwudziestą trzecią, kiedy wróciłem do domu, a dzisiejszym rankiem, kiedy wyszedłem i zobaczyłem, że samochodu nie ma. Wybierałem się do Country Mart kupić coś na śniadanie. Przez chwilę myślałem, że może wstawiłem bentleya do garażu, potem uświadomiłem sobie, że nie, bo stoi tam dragi samochód, a resztę miejsca zawalają rupiecie. – Przewrócił oczami. – Zniknął. Nie mogłem w to uwierzyć.

– O której godzinie rano pan wyszedł?

– O siódmej czterdzieści pięć. I wątpię, by ktoś gwizdnął samochód po piątej rano, bo wtedy wstałem i poszedłem do gabinetu, który jest od frontu domu, więc chyba coś usłyszał. Chociaż nie mam pewności. Jedno, co można powiedzieć o tym draństwie, to że ma cichy silnik.

– Piąta rano. Wcześniej pan wstaje – zauważył Milo.

– Lubię być dobrze przygotowany na otwarcie giełdy w Nowym Jorku. Czasami, kiedy zajmuję się giełdami międzynarodowymi, wstaję jeszcze wcześniej.

– Jest pan maklerem?

– Bawię się trochę papierami wartościowymi. Dzisiaj rano nic mnie nie skusiło, więc pomyślałem, że zrobię sobie porządne śniadanie, wykonam kilka telefonów.

– Chyba dobrze panu wychodzi taka zabawa.

Heubel wzruszył ramionami i podrapał się w głowę.

– Lepsze to niż praca na etat. W każdym razie zgłosiłem kradzież, a kiedy detektyw Binchy się do mnie odezwał, już znalazłem wóz.

– Niedaleko stąd – powiedział Milo.

– Trzy przecznice na zachód, przy Villa Entrada.

– Pojechał pan tam z jakiegoś konkretnego powodu?

Heubel zrobił zdziwioną minę.

– Zna pan jakiegoś delikwenta mieszkającego na Villa Entrada, który mógłby podwędzić samochód? – uściślił Milo.

– Och – zachnął się Heubel. – Nie, w żadnym wypadku. Po prostu jeździłem w tę i z powrotem. Nie potrafię nawet powiedzieć dlaczego, bo nie miałem większych nadziei. Pewnie po to, żeby cokolwiek zrobić, wie pan? Spróbować odzyskać kontrolę nad sytuacją?

– Oczywiście.

– Gdybym miał się założyć, powiedziałbym, że samochód jest we Wschodnim L.A. albo w Watts, albo na lawecie jadącej do Tijuany. Może pan sobie wyobrazić, jaki byłem zaskoczony, kiedy go zobaczyłem. Stał zaparkowany przy krawężniku, z kluczykami w stacyjce.

– Skoro mowa o kluczykach – podjął Milo. – Jak...

– Wiem, wiem, głupota – odparł Heubel. – Główny komplet mam w szufladzie biurka, ale kto by się domyślił, że złodziej znajdzie drugi?

– Zapasowy?

– Tak, trzymam go w nadkolu na wszelki wypadek. – Heubel się zaczerwienił. – Głupio, co?

– Kto wiedział, że tam są?

– W tym sęk. Nikt. Bardzo uważam, wyjmuję je, kiedy jadę do myjni. Widać nie byłem dość ostrożny. Może ktoś przejeżdżał i zobaczył, jak je wyciągam. Proszę mi wierzyć, dostałem nauczkę.

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy – skwitował Milo.

– Otóż to. Ale ta krew jest niepokojąca, co, panie poruczniku? Zauważyłem ją, dopiero kiedy wróciłem do domu. – Zamrugął. – To krew, prawda?

– Możliwe, proszę pana, ale z drugiej strony... nie ma żadnych śladów przemocy.

– To znaczy?

– Krwi nie jest dużo, a w wypadku przemocy zazwyczaj widać coś, co nazywamy rozbryzgiem od uderzenia: sporą ilość rozlanej albo rozprysniętej krwi. Tutaj wygląda raczej na to, że ktoś się skaleczył i wytarł ranę o fotel.

– Rozumiem – powiedział Heubel. – Ale mimo wszystko, ktoś krwawił i to nie byłem ja.

– Jest pan pewien?

– Na sto procent. Pierwsze, co zrobiłem, to poszedłem do domu i obejrzałem nogi, może ugryzł mnie komar, a ja nie zauważyłem. Nie żebym mógł popłamić coś przez spodnie, miałem na sobie grube dżinsy, zimowe diesle, mocne jak diabli. – Poklepał się po udzie. – Obejrzałem nogi z przodu i z tyłu, nawet z lusterkiem. Nic.

– Dużo zachodu – powiedział Milo.

– Byłem wstrząśnięty, poruczniku. Najpierw ktoś mi kradnie auto spod drzwi, potem je znajduję, a w środku jest krew. Pewnie dopiero kiedy zrobicie badanie DNA i krew nie będzie pasowała do żadnej ofiary przestępstwa, będę mógł odetchnąć.

– Nie ma powodu do badania DNA, proszę pana.

– Nie? – zdziwił się Heubel. – Słyszałem, że dysponujecie bardzo nowoczesną technologią. Można szybko dostać wynik.

Milo zerknął na Seana.

– Szybciej, proszę pana, ale to wciąż trwa – wyjaśnił Sean. – A badanie DNA to bardzo kosztowna procedura.

– Aha – mruknął Heubel. – To dla was mało ważna sprawa.

– To nie tak, że nie rozumiemy pana sytuacji, ale...

– Wstrząs – powiedział Milo. – Poczucie krzywdy.

– Właśnie – odparł Heubel. – I nie wiadomo, czy on się tam wciąż nie kręci i czegoś nie planuje.

Milo poczęstował go „wykładem obalającym mity”. Musi to robić coraz częściej, bo w telewizji już na okrągło wygadują bzdury.

Magia technik laboratoryjnych świetnie wychodziła w serialach, ale drobiazgowo badanie

miejsca zbrodni miało znaczenie w niecałych dziesięciu procentach przestępstw; laboratorium departamentu sprawiedliwości było tak zawałone robotą, że policja podpisała kontrakt z innym laboratorium w New Jersey, a możliwości przerobowe okazały się tak nikłe, że do badań kwalifikowały się tylko zabójstwa i brutalne przestępstwa seksualne.

– Nawet w przypadku poważnego przestępstwa, panie Heubel, to może trwać kilka miesięcy.

– O rany. Jakim cudem udaje się wam rozwiązać jakąkolwiek sprawę, panie poruczniku?

Miło się uśmiechnął.

– Kręcimy się tu i tam i czasem los się do nas uśmiecha.

– Przepraszam, nie chciałem... dziesięć procent, tylko tyle?

– W najlepszym wypadku.

– Jasne, rozumiem... Chodzi o to, że kiedy się mieszka w porządnej okolicy, to się wierzy, że... to pewnie też złudzenie.

– To naprawdę bezpieczna okolica, proszę pana. Jedna z najbezpieczniejszych w naszym rejonie.

Miło zataił pewien paskudny sekret: przemoc w drogich dzielnicach jest bardzo rzadka, ale włamania i kradzieże, w tym samochodów, wcale nie. Bo, jak to ujął jeden ze złapanych włamywaczy, „tu właśnie są wszystkie cacka”.

– A więc powinienem się po prostu uspokoić i zapomnieć o całej sprawie? – spytał Nicholas Heubel.

– Coś panu powiem. Jeśli detektyw Binchy ma czas, może zadzwonić po ekipę techniczną, która pobierze próbkę i przynajmniej potwierdzi, że to krew. Technicy mogą też obejrzeć resztę samochodu. Jeśli tego pan sobie życzy.

– A czego by szukali?

– Więcej krwi, wszystkiego, co wyglądałoby podejrzanie. Pewnie trochę by to potrwało.

– A więc straciłbym samochód na kilka dni.

– Niewykluczone.

– Cóż... – westchnął Heubel. – Nigdzie nic więcej nie widziałem... – Uśmiechnął się mdło. – Obejrzałem wewnątrz z latarką. Chyba pozacierałem wszystkie ślady.

– Odkurzał pan samochód?

– Nie, ale moje odciski palców...

– Pana odciski będą na całym samochodzie, bo jest pan kierowcą. Jeśli pan nie odkurzał, a w środku została jakaś zauważalna plama albo włókno, można je znaleźć.

Heubel wsadził palec pod szkło okularów.

– Dziesięć procent, tak? Założyłbym się, że dziewięćdziesiąt. Chyba to rzeczywiście nie moja specjalność.

– Dlatego właśnie my tu jesteśmy. Chce pan, żeby detektyw Binchy wezwał ekipę techniczną?

– Musieliby zdejmować tapicerkę z drzwi?

– Nie. Użyją wacików, soli fizjologicznej, może zeskrabią coś z samego wierzchu, dorzucają różne odczynniki reagujące z wydzielinami ciała. Mogą na miejscu sprawdzić obecność ludzkich białek, a jeśli to krew, określić grupę. To by zajęło kilka minut, ale czekanie na ekipę może potrwać o wiele dłużej, nawet kilka dni, więc najlepiej, gdyby nie używał pan tego samochodu. W międzyczasie detektyw Binchy spisze pana zeznania i sporządzi szczegółowy raport do akt sprawy.

Sean stuknął butem w but.

– Mam drugi samochód – powiedział Heubel. – Muszę się trochę zastanowić.

– Pana wybór.

– Miło mieć wybór. Albo jego złudzenie.

– Szczegółowy raport? – spytałem, kiedy odjeżdżaliśmy. – Co to, kara dla Seana za marnowanie twojego czasu?

– Nie przyznaję się do takiej mściwości.

– Co potem? Zamierzasz dać mu szlaban i zabrać gamę boya?

Miło się zaśmiał.

– Chronię własny tyłek. Facet taki jak Heubel może znać burmistrza. Ostatnie, czego mi trzeba, czego trzeba Seanowi, to ploteczki na balu o tym, jak gliniarze mają wszystko gdzieś.

– Aha. Chroniłeś chłopaka.

– Taki właśnie jest wujek Miło.

– Poza tym, kto wie. Ta plama mogła być śladem czegoś poważniejszego.

Obrócił do mnie głowę.

– Dogadzanie bogaczom to jedno, Alex. Wymyślanie retrogotyckich neomansonitów krążących po ulicach Breritwood i zarzynających giełdowych maklerów to co innego.

– Właściwi mansonici krążyli po Beverly Hills i Los Feliz.

– To bezszkodowa kradzież samochodu popełniona przez kogoś, kto był na tyle miły, żeby zaparkować samochód tam, gdzie właściciel może go znaleźć.

– W porządku – powiedziałem.

– Nie mów do mnie takim tonem, młody człowieku.

Jeśli Sean wezwał ekipę techniczną, by przetrzepała Bentleya, nie powiadomił o tym Milo.

Przez tydzień nie zgłoszono żadnych morderstw w Zachodnim L.A. Przeklinając wszelkie psycho-ekonomiczno-społeczne czynniki odpowiedzialne za spokojną jesień, Milo zabrał się do pracy przy starych, nierozwiązanych sprawach. Książki morderstw, których szukał, poginęły albo wpisy były niedokładne aż do nieprzydatności i w końcu zabrnął w ślepy zaułek.

Ósmego dnia po jego powrocie do pracy zadzwoniłem zapytać, jak mu idzie. Kapitan właśnie przekazał mu dyrektywę z biura komendanta. Gwałciciel i morderca Cozman „Cuz” Jackson, czekający na egzekucję w Teksasie, usiłował wykręcić się od igły – przyznał się do popełnienia morderstw w całym kraju i obiecał wskazać groby.

Zanim władze Teksasu zgodziły się zbadać tę sprawę, chciały, żeby miejscowi gliniarze przedstawili znane fakty.

Rzekomą ofiarą Cuza Jacksona w Kalifornii był Antoine Beverly, piętnastolatek z Południowego L.A., który zniknął w Culver City szesnaście lat temu, gdzie pracował jako akwizytor prenumeraty pism. Jackson w tym czasie mieszkał niedaleko, w Venice, i pracował piętnaście kilometrów od trasy Antoine’a jako człowiek od wszystkiego w schronisku dla zwierząt w West Chester.

W śródmiejskich archiwach też nie było akt Beverly’ego. Śródmieście chciało, że Milo poszukał ich w Zachodnim L.A., a gdyby znalazł, skontaktował się jeszcze raz ze świadkami.

Jak dotąd żadnych sukcesów.

– Pora wydać fatwę na Wielkiego Szatana Biurokracji. Powiem ci, jak to było: normalnie sprawa trafiłaby do chłopaków z wydziału specjalnego, ale oni lubią prestiżowe flaki i chwałę, a tu ani jedno, ani drugie, więc długim przerzutem podali ją dalej do Zachodniego L.A. Kapitan uznał, że w obecnych okolicznościach wezmę wszystko, i przekazał ją mnie.

– Cóż – powiedziałem. – Przynajmniej to jakaś nowość.

– Co takiego?

– Współczujący kapitan.

– Muszę lecieć, Alex.

Wisząca nad nim czarna chmura nie przerzedziła się ani trochę. Może to przez ołów w ramieniu i ból.

Albo duchowa erozja po dwudziestu latach pracy jako detektyw gej.

W tym temacie wszystko się zmieniło, być może tak powoli, że nie zarejestrował tego jako postępu.

Jako żółtodziób bardzo się starał zachować w tajemnicy swoją orientację. Prawda i tak wyszła na jaw, wywołując uśmiešky, szepty, bezpośrednie wybuchy wrogości. Przestał się

ukrywać, ale i nie obnosił. Nieraz otwierał swoją szafkę i znajdował pełne nienawiści listy. Praca zespołowa, będąca podstawą działania wydziału zabójstw, ominęła go, bo kolejni partnerzy dawali posłuch podszeptom i żądali przeniesienia.

Wykorzystał to, co dobre w tej izolacji, nabrał nadgodzin i dochrapał się jednego z najlepszych współczynników zakończonych spraw w całym departamencie. Nie wiedząc, co zrobić z nadgorliwym policjantem, departament wahał się tak długo, aż prawa obywatelskie i plik listów wdzięczności od rodzin ofiar sprawiły, że nie dało się go pozbyć.

Potem stare morderstwo cofnęło go do dawnych czasów; dogrzebał się przewin komendanta policji i zawarł układ: w zamian za dyskrecję został awansowany na porucznika, pozwolono mu uniknąć papierkowych obowiązków związanych z tym stopniem i dalej pracować przy morderstwach.

Wyrzucony z sali detektywów, został upchnięty w gabinecie wielkości schowka na miotły, który przedtem rzeczywiście był schowkiem na miotły; dostał stery komputer, okazjonalną pomoc zielonych detektywów pierwszej klasy, jeśli nikt inny ich nie potrzebował, i możliwość wybierania sobie spraw.

W tłumaczeniu: nie wchodź nam w drogę, a my się odwdzięczymy tym samym.

Ktoś inny pewnie by tego nie wytrzymał. A Milo dobrze się czuł w tej sytuacji, założył drugi gabinet w pobliskiej indyjskiej restauracji i kończył kolejne sprawy z regularnością przyprawiającą o niestrawność. Cały czas folgując swojemu jedyemu hobby: narzekaniu.

Jego współczynnik skuteczności wpadł w oko nowemu komendantowi, człowiekowi z obsesją na punkcie statystyk przestępczości.

Nowego kapitana, Raymonda Granta, nie obchodziło, kto z kim sypia.

Milo dostał lepszy komputer, szerszy dostęp do wsparcia i dalszą elastyczność pracy.

Zaproszenia na wydziałowe grille nie trafiały do jego przegródki, ale nigdy nie był zbyt towarzyski, a poza tym i tak z trudem znajdował czas dla Ricka.

Jeśli życie stało się dla niego łatwiejsze, nie okazywał tego.

Bez wątplenia rodzina Antoine'a a Beverly'ego uważała sprawę syna za tak samo ważną jak w dzień zniknięcia chłopca, ale pesymizm Mila miał twarde podstawy: szesnaście lat to wystarczająco długo, by czas zatarł wszelkie ślady, a przyznawanie się do wszystkiego jak leci to częsta sztuczka w celi śmierci, która z reguły do niczego nie prowadzi.

Mimo to powinien być zadowolony, że ma coś do roboty.

A może to była moja projekcja, bo własna praca tego roku dawała mi dużo satysfakcji. Kilka spraw o opiekę nad dzieckiem zakończyło się tak, jak powinno, rodzice uczciwie starali się nie pożreć własnych młodych, a adwokaci powstrzymywali impuls niszczenia przeciwnika. Czasami moje raporty trafiały nawet do pilnych sędziów, którzy poświęcali czas, żeby je przeczytać.

Zacząłem mieć fantazje o łagodniejszym świecie, być może w reakcji na okrucieństwa i brutalność buchające z pierwszych stron gazet.

Kiedy zasugerowałem to Robin, uśmiechnęła się i pogłaskała psa.

– Może to jeden z pozytywnych skutków globalnego ocieplenia. Zwykle zrzucamy na nie wszystko, co złe – powiedziała.

Byliśmy znów razem po drugim zerwaniu w przeciągu dziesięciu lat. Mieszkaliśmy w domu nad Beverly Glen, który ona zaprojektowała i gdzie ja czułem się jak w grobowcu pod jej nieobecność. Dostała warte sześciocyfrową sumę zlecenie od internetowego magnata – kwartet ręcznie wykonanych instrumentów: gitara, mandolina, mandola i mandocello; miało jej to zająć większą część roku.

Zlecenie marzenie, o ile tylko nie przypominała sobie, że magnat nie miał słuchu i nie umiał zagrać ani jednego dźwięku.

Koi w naszym stawie splodziły tuzin małych rybek, dzięki obfitym deszczom rośliny w ogrodzie wybujały. Mieliśmy też Psa, Który Się Uśmiecha Naprawdę; roczną suczkę buldoga francuskiego Blanche, ciepłą, miękką jasną kulkę tak bystrą przyjazną i łagodną że rozważyłem przekazanie jej chromosomów do badań nad biologią bycia miłym.

Nie żeby kogoś ten temat interesował. „Pies nie pogryzł człowieka” to żaden news.

Dziewiątego dnia po powrocie Mila do pracy ktoś został pogryziony.

Doszło do tego na jednej z ulic, gdzie takie rzeczy się nie zdarzają.

O szóstej trzydzieści dwie, w cichą niedzielę w South Westwood, gdzie małe, zadbane domki stoją rzędami pod iglicą mormońskiej świątyni na Santa Monica Boulevard, siedemdziesięcioletnia emerytowana nauczycielka Ella Mancusi otworzyła drzwi swojego domku w kolorze mięty, przeszła trzy metry, żeby wziąć gazetę, i stanęła twarzą w twarz z mężczyzną i nożem.

Jedyny świadek, cierpiący na bezsenność copywriter z agencji reklamowej, Edward Moskow, pił kawę i czytał gazetę w swoim salonie, dwa domy na południe. Przypadkiem wyrztał przez okno i zobaczył – tak mu się wydawało – że jakiś mężczyzna uderza pięścią Ellę Mancusi. Ze zgrozą patrzył, jak staruszka pada w kałuży krwi.

Kiedy dobiegł do Elli, była już martwa, a morderca uciekał z miejsca zbrodni.

Śledczy z biura koronera doliczył się ośmiu ran po ostrym narzędziu, czterech z nich śmiertelnych. Sądząc po głębokości i szerokości ran, bez dokładnej analizy, zgadywał, że użyto ciężkiego, gładkiego, jednosiecznego ostrza, co pasowałoby do noża myśliwskiego.

Najbardziej niezwykły był opis sprawcy podany przez Moskowa: wysoki, mocno zbudowany, siwowłosy mężczyzna w ciemnym, luźnym ubraniu i niebieskiej kraciastej czapce.

– Czapka, jaką noszą dziadki. To był stary piernik. Kiedy szedł do samochodu, poruszał się sztywno, jak sędziwi ludzie.

Samochód stał z włączonym silnikiem przy krawężniku, drzwi kierowcy były otwarte, kiedy mężczyzna w czapce zarzynał swoją ofiarę. Gdy skończył, wytarł ostrze o nogawkę, wsiadł za kierownicę i odjechał z umiarkowaną prędkością.

Sokoli wzrok Moskowa zarejestrował też samochód.

– Nowy mercedes S600, czarny, lśniący i czysty. To ich najwyższy model czterodrzwiowego

sedana, nie licząc maybacha. Jestem tego pewien, bo mam świra na punkcie samochodów. Wart ze sto pięćdziesiąt tysięcy. Wychwyciłem tylko kawałek tablicy rejestracyjnej.

Jedna litera, trzy cyfry. Milo zarządził poszukiwania samochodu, zanim poszedł obejrzeć miejsce zbrodni. Kiedy do mnie zadzwonił, już znalazł mercedesa.

– Ukradziony z parkingu wypożyczalni Prestige w Beverly Hills, zwrócony przed otwarciem o dziewiątej. Firma nie wiedziała nawet, że zginął, dopóki nie zadzwoniłem. Według licznika, przejechano nim sześćdziesiąt dziewięć kilometrów.

– Parking był zamknięty?

– Podobno jest tam łańcuch.

– Szósta trzydziści zabójstwo, z powrotem na miejscu dwie i pół godziny później – powiedziałem.

– To się nazywa tupet.

– Wielki, czarny luksusowy wóz ukradziony i oddany – analizowałem dalej.

Zmarszczył czoło.

– Tak, ciekawe.

– Sean zrobił coś więcej w sprawie bentleya?

– Heubel zgodził się tylko na pobranie próbki plamy. Sean wziął zestaw i sam odwalił robotę techników. Ludzka krew, grupa 0+. Ale sporo nam jeszcze brakuje, żeby wiązać bentleya z tym bałaganem. I żadnych uwag o szansach tysiąc do jednego.

– Boże broń.

– Ja się zajmuję zabranianiem, kiedy On jest zajęty. Chcesz popatrzeć na scenę?

– Jasne.

– Do zobaczenia za dwadzieścia minut.

Ciało Elli Mancusi zabrano do kostnicy. Zostały cegły zalane krwią i lepki trawnik.

Trudniej coś wypatrzeć na nierównej powierzchni, a ja nie jestem ekspertem, ale przez lata napatrzyłem się dość, by domyślać się, że doszło do rozbryzgu z arterii i powolnego krwawienia.

Ciało staruszki wyłączyło się, kiedy spadło ciśnienie krwi, serce się zatrzymało, a dusza uleciała.

Milo, bardziej wyprostowany niż widziałem od dawna, rozmawiał z Seanem Binchym. Czarne pasemka włosów zwiewały mu na twarz, a on bezskutecznie je odgarniał. Żeby poruszyć krótką, nażelowaną fryzurę Seana, potrzeba by huraganu.

Przerwałem obserwację krwi i podszedłem do kolegów.

Sean był blady.

– Starsza pani. Nauczycielka.

– Mercedes już jedzie do laboratorium – poinformował Milo. – Sean porozmawia z panem Heubelem o dobrowolnym oddaniu bentleya do dokładniejszej analizy. Jeśli Heubel się nie zgodzi, mamy pecha, według najtwardszego zastępcy prokuratora okręgowego, jakiego znam.

- Może jeśli mu opowiem o tym morderstwie, zdecyduje się na współpracę – podsunął Sean.
- Robił wrażenie porządnego faceta.
- Albo wręcz przeciwnie.
- To znaczy?
- Bogaci unikają zamieszania. – Milo zaczął odchodzić.
- Ee, poruczniku, oficjalnie wciąż jestem w kradzieżach.
- Mam z kimś porozmawiać?

Sean przygryzł wargę.

- Wątpię, czy porucznik Escudo będzie zachwycony, a potrzebuję jego opinii do swojej oceny.

Milo zmrużył oczy.

- Nie rozumiem, Sean?

Młodszy policjant popatrzył na krew.

- Zrobię, co będę mógł.

Czekałem, aż Milo na niego warknie, ale on powiedział:

- Zobacz, ile wskórasz u Heubela, potem pogadamy.

Sean zasalutował i odmaszerował.

- Kiedy będzie mógł wracać po jedenastej? – spytałem.

- Kiedy poprawi swoje stopnie. – Milo odwrócił się i spojrzał na mały, zielony domek. – Jakies spontaniczne wnioski?

– Starsza ofiara, morderca też w podeszłym wieku. Pewnie osobiste porachunki. Sprawdziłbym chłopaków, byłych mężów, romantyczne związki, które nie wypaliły.

– Sprzeczka geriatrycznych kochanków? Mój świadek mówi, że to była wdowa, a odwiedzał ją tylko facet po czterdzieście. Chyba syn. Technicy są w środku. Kiedy skończą zaczną grzebać w jej rzeczach osobistych.

Z hiszpańskiego bungalowu dwa domy dalej wyszedł mężczyzna. Potarł oczy, odwrócił wzrok od krwi.

- To on – rzucił Milo. – Pogadaj z nim, a ja zobaczę, jak idzie przetrząsanie domu.

Edward Moskow – pięćdziesiąt kilka lat; duża łysina i rzadka siwa broda. Jego bluza z napisem „Swarthmore” miała postrzępione mankiety i była o jeden rozmiar za duża. Spodnie khaki wyblakły do złamanej bieli, osiągając kolor prawie taki sam jak jego bose stopy.

Przedstawiłem się, pomijając tytuł.

Moskow skinął głową.

- Okropny widok – zacząłem.

– Nigdy tego nie zapomnę. – Dotknął czoła. – Wryło mi się, o tu.

- Jeśli pamięta pan coś jeszcze...

– Stary drań. – Mówił cichym, ochryplym głosem. – Nie do wiary. Można by pomyśleć, że

ludzie w tym wieku tracą popęd.

– Często tracą.

Spojrzał na mnie, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę, że rozmawiamy.

– Nazywa się to przestępczym wypaleniem – wyjaśniłem. – Znanym też jako „za bardzo posrany, żeby kogoś stuknąć”.

Nieznaczne skinienie głową.

– Panie Moskow, ile lat dałby pan temu mężczyźnie?

– Widziałem faceta tylko przez kilka sekund. – Twarz Moskowa ściągnęła się, a broda wysunęła mocno do przodu. – Patrzyłem głównie na jego rękę. – Podniósł własną, wykonał pchnięcie w dół. – Myślałem, że bije ją ręką. Wybiegłem, żeby go powstrzymać. Kiedy dotarłem na miejsce, wracał do samochodu, a ja zobaczyłem krew pod panią Mancusi. Rozlewała się... kałuża... nigdy nic podobnego nie widziałem...

Zadrzał.

– Co do jego wieku...

– A, tak, przepraszam... Siedemdziesiąt? Sześćdziesiąt pięć? Siedemdziesiąt pięć? Naprawdę nie umiem określić. Wiem tylko, że poruszał się jak stary człowiek. Nie utykał, ale był po prostu sztywny. Jakby miał całe ciało skrepowane.

– Powoli.

Zamyślił się.

– Nie biegł, ale nie zwlekał. Tak naprawdę widziałem tylko jego plecy. Szedł do swojego samochodu. Średnim tempem. Normalnym krokiem. Jakby właśnie dostarczył paczkę. I nie oglądał się. Ja na niego wrzeszczę, a on... jakby mnie nie było. Drań nawet się nie odwrócił, tylko idzie dalej, wsiada do samochodu, odjeżdża. To mnie uderzyło. Jak spokojnie się zachowywał.

– Zwykła codzienność.

Moskow skubnął sprutą nitkę z kołnierzyka bluzy.

– A więc nie widział pan jego twarzy – upewniłem się.

– Nie. To było wariactwo. Wrzeszczę, ile sił w płucach, mam nadzieję, że ktoś wyjdzie, ale nic, pusto. – Popatrzył na swoją ulicę. – Miasto duchów. Czyste L.A.

– Co pan krzyczał?

– Kto by pamiętał... pewnie: „Stój, draniu!” – Moskow skubnął dół bluzy. – Pani Mancusi leży tam zalana krwią, a ten dupek idzie sobie spacerkiem, jakby nigdy nic. Ruszyłem za nim... jak się teraz zastanowić... Ale w takich chwilach się nie myśli. Potem zobaczyłem nóż i stanąłem jak wryty.

W jego oczach pojawiła się wilgoć.

– Jak zobaczył pan nóż?

– Wytarł go o przód spodni. Nad kolanem. Swobodnie, jakby to było coś naturalnego.

– A potem? – spytałem.

– Schował go do kieszeni, wsiadł do samochodu i odjechał. Wszystko trwało kilka sekund.

– Samochód miał włączony silnik.

– Nie pamiętam, żeby facet go uruchamiał, więc pewnie tak. Nie przypominam sobie warkotu silnika, ale ten konkretny model jest bardzo cichy.

– W którą stronę pojechał morderca?

Moskow wskazał na południe.

– Obok mojego domu.

Znałem tę okolicę ze swoich studenckich czasów na uniwerku. Włączyłem się po tych samych ulicach, szukając skrótów do smutnej kawalerki przy Overland.

– To trochę labirynt. Tyle ślepych zaułków.

Moskow zeszywniał.

– Myśli pan, że on był stąd?

– Nie, ale mógł zaplanować trasę ucieczki.

– No, ja nigdy go tu w okolicy nie widziałem. Samochodu też nie. To nie jest rejon S600.

– Mało tu mercedesów?

– Merców mnóstwo, ale nie S600.

– Zna się pan na samochodach.

– Odnowiłem kilka gruchotów. – Udało mu się lekko uśmiechnąć. – Miałem deloreana. To było dopiero coś. A więc o kim tu mówimy, to jakiś stary mafioso?

– Czemu pan tak myśli?

– Wielki czarny samochód, zabójstwo jak egzekucja, facet w podeszłym wieku. Przyszło mi do głowy, że może to jakiś spierniczały zabójca, który się nie wypalił. – Oderwał luźną nitkę, potarł ją między palcem wskazującym a kciukiem. – I jeszcze ta głupia czapka.

– Czy pani Mancusi mogłaby mieć coś wspólnego z tym starym mafioso?

– Nie pomyślałbym. Ale z drugiej strony, kto by sobie wyobraził to wszystko?

– Jak dobrze ją pan znał?

– Wcale. Cicha, wydawała się sympatyczna. Mówiliśmy sobie dzień dobry, do widzenia, nic więcej.

– Jakież życie towarzyskie?

– Tylko ten facet, o którym wspomniałem porucznikowi.

– Często tu bywał?

– Może raz w miesiącu, dlatego założyłem, że to jej syn. Może częściej, ale przecież nie obserwowałem jej domu.

– Może pan powiedzieć o tym mężczyźnie coś więcej?

– Czterdzieści kilka lat, blondyn, niechlujny. Właściwie... nigdy nie widziałem ich razem. On pukał do drzwi, ona go wpuszczała. Kiedy wychodził, nigdy go nie odprowadzała.

– Miała problemy z chodzeniem?

– Przeciwnie, krzepka i zdrowa kobiecina.

– Coś jeszcze o tym blondynie?

– Mocno zbudowany, raczej nie przywiązywał wagi do swojego wyglądu.

– Wie pan, jak się nazywał?

– Nigdy nie słyszałem, żeby się do niego zwracała. Jak mówiłem, nie widziałem ich razem.

Nie wyglądał na szczęśliwego z powodu wizyt, więc może było między nimi jakieś spięcie. A kiedy odwiedził ją ostatni raz, z miesiąc temu, został na zewnątrz, rozmawiając z panią Mancusi przez otwarte drzwi. Zakładam, że z nią, bo nikt inny tam nie mieszka. Nie słyszałem, co mówią, ale wyglądało, jakby się kłócili. A potem zrobił tak. – Moskow uderzył dłonią o biodro, zgiął nogę i się skrzywił. – To było trochę... teatralne, wie pan, o co mi chodzi? Wyglądało dość zabawnie, dorosły mężczyzna, niespecjalnie wyglądający na geja, wykonuje taki gest. Wydało mi się to dziwne. Zwłaszcza że rozmawiał z matką. O ile to była jego matka.

– Mogli się kłócić?

– Niech pan posłucha, nie próbuję nikogo wpakować w kłopoty i niczego bym tu nie przysiągł – powiedział Moskow. – Po prostu miałem takie wrażenie.

– Ze względu na mowę ciała.

– Przyjął dziwną pozycję... wyglądał trochę...

– Agresywnie?

– Raczej defensywnie – sprostował Moskow. – Jakby pani Mancusi powiedziała mu coś, czego nie chciał usłyszeć.

Robota mafii, bo miała na nazwisko Mancusi? – spytał Milo.

Siedzieliśmy w Cafe Moghul, za rogiem od posterunku. Właściciele restauracji uważają Mila za ludzkiego rottweilera i z przyjemnością układają dla niego indywidualne menu. Patrzyłem, jak przedziera się przez talerze jagnięciny curry, homara tandoori, ostrej okry, soczewicy i ryżu. Przy jego łokciu stał dzbanek mrożonej herbaty z goździkami.

Po takiej ilości krwi, jaką widziałem na podjeździe Elli Mancusi, i obrazach morderstwa, które rysowała mi wyobraźnia, mogłem sobie jedynie wypić butelkę wody.

– Moskow tego nie stwierdził, ale może ma trochę racji. Cała sprawa: to, że morderca wiedział, kiedy kobieta wyszła po gazetę, zostawił samochód na chodzie, zaplanował trasę ucieczki, na kilometr pachnie zawodowcem. Tak samo jego zachowanie: brutalnie metodyczne, bez pospiesznej ucieczki.

– Zły dziadek – powiedział Milo. – Załatwienie staruszki w biały dzień i zostawienie sobie niecałych trzech godzin na wyczyszczenie i odstawienie samochodu to zawodowstwo? Nie wspominając o powrocie do Beverly Hills na oczach wszystkich?

– Gdzie jest parking wypożyczalni?

– Na Alden Drive, przy Foothill.

– Przemysłowa strefa Beverly Hills – zauważyłem. – W niedzielę rano raczej tam cicho.

– To też pięć minut drogi od tamtejszego departamentu policji.

– Ale czarny mercedes nie zwróciłby niczyjej uwagi. Ani żaden inny samochód wjeżdżający na parking. Była w nim krew?

– Na pierwszy rzut oka nie. Zobaczymy, co znajdzie laboratorium.

– Morderca wytarł nóż o przód spodni, uważał, żeby nie nabrudzić. Dwie i pół godziny to dość czasu, żeby wyczyścić samochód przed oddaniem. Może ma bezpieczną kryjówkę, gdzieś między miejscem zbrodni a parkingiem.

– To połowa Westside – powiedział Milo. – Chyba spróbuję nagłośnić tę sprawę w mediach. Geriatryczny nożownik, ilu takich może być? – Nadział na widelec kawałek homara, pogryzł, połknął. – Facet o nerwach ze stali, napadł w biały dzień.

– Może dla niego dzień jest bezpieczniejszy, bo atak w nocy wiązałby się z włamaniem do domu. Miała system alarmowy?

– Kiepski. Na frontowych i tylnych drzwiach, bez okien.

– Dla starszego faceta wejście przez okno to raczej problem – dedukowałem. – Uznał, że tak wcześnie rano w niedzielę większość ludzi śpi. Do tego mamy ofiarę, która nie stawiałaby większego oporu i bezgłośnie broń. Załatwił ją tak szybko, że nie miała czasu krzyknąć. Gdyby Moskow nie zapomniał poprzedniego wieczoru wziąć środków nasennych, całe zdarzenie pewnie

przeszłoby niezauważone. Inni sąsiedzi mają jakieś informacje?

Milo zakrył dłońmi uszy, potem oczy i usta.

– Moskow jest czysty?

– Nieskazitelnie. – Odsunął talerz. – Wycieranie noża o spodnie. Co to miało być?

– Wyraz pogardy?

– Poprzecinane arterie, nie ma mowy, żeby nie zostawił choć trochę krwi w samochodzie.

– Posprząta to, co widać, firma wyczyści samochód pod parą i facet jest wolny.

– Pogardę kupuję – stwierdził Milo. – Dużo w tym gniewu. Pytanie brzmi: czym siedemdziesięcioletnia emerytowana nauczycielka go sprowokowała?

– Ludzie mają swoje tajemnice.

– No, jak na razie żadnych jej tajemnic nie znaleźliśmy. Dom był zadbane, czysty, bardzo babciny. – Przysunął talerz, zaczął pospiesznie jeść.

– Rozpalony gniew, ale chłodne planowanie – posumowałem. – Może nie był aż tak ostrożny ostatnim razem.

– To znaczy?

– Plama w bentleyu.

– Nie mamy żadnego trupa powiązanego z bentleyem, Alex. Na razie bym tych dwóch spraw nie łączył.

Milczałem.

– Jasne, jasne, są podobieństwa – przyznał. – Teraz daj mi jeszcze jedno zabójstwo, które to połączy do kupy, i wyjaśnij, jak taki ostrożny facet mógł zostawić plamę na widoku.

– Było ciemno, kiedy odstawiał bentleya. Nie zauważył. Albo coś go zaniepokoiło i szybko uciekł.

– Słabiutko, doktorze.

– Inna możliwość, to że zostawił ją tam celowo.

– Jeszcze jeden symbol pogardy?

– „Patrzcie, co mi uszło na sucho”. Może akcja w bentleyu to była próba przed dzisiejszym atakiem.

– Starszy wiekiem psychopata, który lubi gry. – Milo zabębnił widelcem o stół. – Albo bentley nie ma nic wspólnego z Ellą.

– Albo tak.

– Nie wierzysz w to.

– A ty wierzysz?

Westchnął.

– Archiwum sprawdza dla mnie doniesienia o brutalnych przestępstwach z czasu, kiedy bentley był zaginiony. Jak na razie nic. – Nałożył sobie soczewicy do ust. – Ktoś taki stary... – Zamyślił się. – Dziwne.

– Wiesz, jak to mówią. Siedemdziesiątka to druga pięćdziesiątka. Sięgnął po szczypec

homara.

– A góra to dół, a nisko to wysoko.

– Gdybyśmy mieli tu do czynienia z grupą przestępczą, to by mogło oznaczać zorganizowane działanie – powiedziałem. – Ktoś kradnie samochód, przekazuje go mordercy, a potem czyści i odstawia na miejsce. Morderca dotyka tylko przednich foteli i presja czasu się zmniejsza.

– Zabójcza załoga pitstopu. – Milo rozerwał szczypce wzdłuż stawu i znieruchomiał, jakby napawając się trzaskiem. – Chłopcy z ferajny nie grają większej roli od czasów Mickeya Cohena, ale po Valley i przy centrum handlowym na Canon Drive w Beverly Hills kręcą się lichwiarze.

– Canon jest też blisko parkingu.

– Jest. – Wyciągnął kawał mięsa ze szczypiec, zjadł, powtórzył to samo z drugimi. – Czyli co, nasza urocza emerytowana nauczycielka ma mroczną przeszłość kobiety gangstera?

– Albo ukryty nałóg. Na przykład hazard.

– Udało się jej nazbierać na emeryturze aż tyle długu, żeby ją pokroili? Bez sensu, Alex. Ostatnie, czego lichwiarz chce, to zabić płotkę i położyć kres nadziei, że dostanie pieniądze.

– Chyba że dał sobie spokój ze zbieraniem pieniędzy – odparłem. – Albo nie ona była hazardzistką, tylko ktoś inny, a ją wykorzystali jako przykład.

Opisałem nieprzyjemną scenę, której świadkiem był Moskow, między Ellą a mężczyzną, przypuszczalnie synem.

– Klócili się – stwierdził Milo.

– Nic nie powoduje konfliktów tak jak forsa. Może junior poprosił mamę o pieniądze, a ona odmówiła.

– Nie wyobrażam sobie, żeby nawet lichwiarz zarząną starszą panią tylko po to, żeby sterroryzować jej synka.

– Pewnie masz rację – powiedziałem. – Ale żyjemy w okrutnych czasach.

– To znaczy?

– Włącz dowolne wiadomości.

Milo zanurkował z powrotem w jedzenie.

– A może blondyn to nie jej syn, tylko poborca – odezwał się po chwili.

Wyjął z teczki niebieski plastikowy segregator i podał go mnie. W środku zobaczyłem formularz wstępnego raportu, jeszcze niewypełniony, kilka sztuk czegoś, co wyglądało na osobiste dokumenty Elli Mancusi, oraz kopertę zawierającą kolorowe zdjęcie dziewczęć na trzynaście.

Na zdjęciu drobna, siwowłosa kobieta w kwiecistej sukience z paskiem i pantoflach na wysokich obcasach stała obok niechlujnego, jasnowłosego mężczyzny po czterdziestce. Za nimi widać było miętowo-zielony tynk. Ella Mancusi miała ptasią twarz i skrzące się, ciemne oczy. Usta umalowane, paznokcie polakerowane. Uśmiechała się, ale w tym uśmiechu czegoś brakowało.

Mężczyzna stojący obok trzymał ręce wzdłuż ciała. Spięte ramiona, jakby został zmuszony

do pozowania.

- Pasuje do gościa, którego opisał Moskow – uznałem.
- Przeczytaj z tyłu. Odwróciłem fotkę.

„Anthony i ja, moje urodziny. Upiekłam tort czekoladowy”.

Napisano to elegancką kursywą. Data – grudzień, dwa lata temu.

- Oddany syn pozwala, żeby upiekła sobie własny tort – powiedziałem z ironią.

Przyjrzałem się jeszcze raz uśmiechowi Elli Mancusi i dostrzegłem, czego w nim brakuje. Matczynej dumy.

– Moim zdaniem to jednak – stwierdził Milo. – Na nielicznych zdjęciach w domu był tylko on, głównie jako dziecko, aż do liceum. Zatrzymała jego akt urodzenia i świadectwa szkolne z dwunastu lat. Średnia trzy z minusem. W hrabstwie jest jeden Anthony Mancusi i w jego papierach mamy tylko jazdę pod wpływem sześć lat temu, stargowane do wykroczenia. Jeśli ma problem z alkoholem, to chyba nie genetyczny. Jedyna gorzała w domu Elli to butelka sherry, zakorkowana, cała zakurzona. – Potarł twarz. – Nie miała wiele, Alex. Wszystkie jej ważne papiery były w trzech pudełkach po cygarach blisko łóżka. Osiemnaście lat temu przeszła na emeryturę. Uczyła wiedzy o społeczeństwie w Gimnazjum Ludwika Pasteura, napisali do niej miłe listy. Owdowiała o wiele wcześniej, kiedy Anthony był nastolatkiem. Mąż Anthony senior, kierownik w mleczarni w Santa Fe Springs, dostał zawału serca w pracy. Dom jest spłacony od jedenastu lat, Ella nie miała źle ze swoją i męża emeryturą. Typowa porządna kobieta z klasy średniej, dożywająca swoich dni w bezpiecznej dzielnicy. Dlaczego, do cholery, miałyby tak skończyć?

Spojrzałem jeszcze raz na zdjęcie.

– To urodziny jego matki, ale on chciałby być gdzie indziej. Dodać do tego relację Moskowa o gniewnej rozmowie i mamy tu jakiś problem. Czy w pudełku był testament?

Milo się zastanowił.

- Nie. Junior stuknął ją, żeby dobrać się do spadku?
- Bywało i tak.
- Jasne, ale jaka bestia pokroiłaby własną matkę jak świąteczną pieczeń?

Gestem poprosił o rachunek. Uśmiechnięta kobieta w okularach, która zawsze go obsługuje, pospiesznie podeszła i spytała, jak mu smakowało.

- Wszystko pyszne – pochwalił, wciskając jej w rękę kilka banknotów. – Reszta dla pani.
- To o wiele za dużo, panie poruczniku.
- Nie ma sprawy.
- Dam panuniżkę. Następnym razem.
- Nie trzeba.
- Trzeba.

Przed restauracją podciągnął spodnie i spojrzął na zegarek.

– Pora porozmawiać z Tonym Mancusim juniorem, naszym pijanym kierowcą.

– Brak poważniejszych oskarżeń nic nie znaczy, jeśli chodzi o problem z hazardem – powiedziałem.

– Jasne, ale po co się zadawać z żywymi lichwiarzami, skoro wystarczy włączyć komputer i użyć PayPala?

– A po co gwiazda filmowa mieszkająca w Four Seasons chodzi na trzydziestodolarowe dziwki na Sunset, kiedy ma dostęp do callgirls wyglądających lepiej niż jego ekranowe partnerki? Czasami brud i ryzyko są najbardziej pociągające.

– Gry – powiedział. – Dobra, pogadajmy z tym żartownisiem. W najgorszym wypadku będę posłańcem przynoszącym bardzo złe wieści.

Telefon Anthony'ego Jamesa Mancusiego juniora był odłączony, co sprawiło, że Milowi zaczęło bardziej zależeć, żeby faceta znaleźć.

Według dokumentów jego ośmioletniej toyoty, mieszkał na Olympic, cztery przecznice na wschód od Fairfax. Pod tym adresem stał różowy budynek w stylu neoregeneracji, z sześcioma mieszkaniami, zbudowany wokół niedużego, zielonego dziedzińca. Staromodny urok, kwitnące kwiaty, nieskazitelne chodniki. Nie licząc rozpuszczającego mózg ryku samochodów, całkiem nieźle.

Gospodarz, sześćdziesięciokilkuletni Azjata William Park, mieszkał w jednym z mieszkań na parterze. Otworzył drzwi, trzymając w ręku egzemplarz pisma „Smithsonian”.

– Tony? Wyprowadził się trzy miesiące temu.

– Jak to? – spytał Milo.

– Skończył mu się okres wynajmu i chciał poszukać czegoś tańszego.

– Problemy z pieniędzmi?

– Mieszkania są trzypokojowe – odparł William Park. – Może Tony uznał, że aż tyle mu nie potrzeba.

– Innymi słowy, problemy z pieniędzmi.

Park się uśmiechnął.

– Jak długo tu mieszkał? – drążył Milo.

– Już tu był, kiedy kupiłem budynek. To było trzy lata temu. Przedtem... nie wiem.

– Spokojny najemca?

– Przeważnie – powiedział Park. – Ma kłopoty?

– Jego matka właśnie zmarła i musimy go znaleźć.

– Zmarła... och. – Park się nam przyjrzał. – Z przyczyn... nienaturalnych?

– Hm... tak, panie Park.

– To okropne... chwileczkę, dam panom nowy adres Tony'ego. Ciągle jeszcze przychodzi do niego poczta.

– Ma pan teraz jakieś listy?

– Nie, oznaczam: „do przesłania dalej”, i listonosz je zabiera. – Park zniknął w głębi mieszkania, zostawiając widok na czyste, białe pokój.

– Najpierw spostrzegawczy pan Moskow, teraz on – stwierdził Milo. – Wymiar sprawiedliwości i obywatele współpracują ramię w ramię. Świat nie jest jednak taki podły.

Dziwne słowa po obejrzeniu Elli Mancusi leżącej w litrze własnej krwi. Mimo to miło było usłyszeć od Milo coś pozytywnego.

– Globalne ocieplenie – odparłem.

– Hę?

– Nic.

Park wrócił i podał Milowi kawałek papieru. „Skrytka pocztowa, L.A. 90027”.

Wschodnie Hollywood. Spore prawdopodobieństwo, że to zwykła skrzynka. Milo uśmiechnął się mimo rozczarowania i podziękował Parkowi.

– Zrobiłem, co mogłem. Biedny Tony.

– A więc był dobrym najemcą – podjął Milo. – Przeważnie.

– Czasami spóźniał się z czynszem, ale zawsze płacił odsetki bez marudzenia.

– Jak zarabiał na życie?

– Mówił, że pracuje w studiu filmowym jako obsługa planu. Kilka lat temu coś mu się stało z kręgosłupem i musiał przejść na rentę inwalidzką. Pomagała mu matka. Czasami właściwie od niej przychodził czynsz. Została zabita?

– Jak dobrze ją pan znał, panie Park?

– Ja? W ogóle, tylko realizowałem jej чеки.

– Czy Tony opowiadał o matce?

– Nigdy. Tony generalnie mało mówił.

– Cichy facet.

– Bardzo cichy – dodał Park.

– Jak często matka płaciła za niego czynsz?

– Hm... powiedziałbym... połowę. Może w ostatnich miesiącach częściej.

– O ile częściej?

– Z ostatnich sześciu miesięcy opłaciła chyba cztery.

– Przesyłała panu чеки pocztą?

– Nie, dawał mi je Tony.

– Na czym polegała niepełnosprawność Tony’ego?

– Pyta pan, czy był kaleką? Nie, wyglądał normalnie. Ale to nic nie znaczy. Kilka lat temu wypadł mi dysk. Bolało, ale nie obnosiłem się z tym.

– Tony cierpiał w milczeniu.

– Nie podejrzewacie go, prawda? – spytał Park. – Nigdy nie zachowywał się gwałtownie.

Parkowi nie podobała się myśl, że mógł wynajmować mieszkanie mordercy.

– To tylko rutynowe pytania – odparł Milo.

– Mam nadzieję. Naprawdę nie było z nim żadnych kłopotów.

Skrytka pocztowa znajdowała się w zaśmieconym pasażu handlowym na Vermont, tuż nad Sunset. Była to jedna z tych metalicznie cuchnących, miniaturowych krypt, pełnych mosiężnych skrytek, gdzie wynajmujący dostają klucze i całodobowy dostęp.

Wiadomość w oknie głosiła: „W razie problemów proszę pytać w pralni chemicznej Avakiana obok”.

W pralni mężczyzna rozgrzebywał stos pomiętych koszul.

– Tak? – odezwał się, nie podnosząc wzroku. Wąsy Williama Saroyana, szybkie ręce.

– Policja. Szukamy jednego z wynajmujących u pana skrytkę. Anthony Mancusi.

W końcu podniósł wzrok.

– Tony? Przynosi tu pranie. Przy tych cenach wody i proszku świadczymy usługi tanio i nie ma potrzeby kupowania własnej pralki. Co się dzieje z Tonym?

– Jego matka nie żyje, panie...

– Bedros Avakian. – Młaśnięcie językiem. – Nie żyje? Szkoda. Dlaczego przychodzi tu policja?

– To nie była śmierć z przyczyn naturalnych.

– Och... to rzeczywiście przykro.

– Możemy dostać adres Tony’ego?

– Jasne, jasne, chwila, sprawdzę.

Avakian podszedł do małego biurka i postukał w klawiaturę laptopa.

– Macie panowie coś do pisania? Przekażcie Tony’emu moje kondolencje.

Nowym domem Anthony’ego Mancusiego juniora było zapuszczone, dwupiętrowe pudło przy Rodney Drive, niedaleko pasażu handlowego. Żadnej zieleni, żadnego uroku, pytania prosimy kierować do administracji w Downey.

Drzwi frontowe były zamknięte na klucz. Na liście lokatorów widniało osiemnaście nazwisk. W mieszkaniu „A. Mancusiego” nikt się nie odzywał.

– Spory krok w dół po poprzednim mieszkaniu – zauważyłem. – To i fakt, że matka coraz częściej płaciła za niego czynsz, świadczy o kłopotach z gotówką.

Milo jeszcze raz nacisnął dzwonek, wyjął wizytówkę i wrzucił ją do skrzynki pocztowej Mancusiego.

– Jedźmy na parking wypożyczalni.

Kiedy kierowaliśmy się do samochodu, moją uwagę zwrócił ruch kawałek dalej wzdłuż ulicy. Mężczyzna w białej koszuli z krótkimi rękawami i brązowych spodniach szedł w naszą stronę, powłócząc nogami.

Mniej włosów niż dwa lata temu, jasny blond – tleniony, więcej tłuszczu w przewidywalnych miejscach. Ale to był ten sam mężczyzna, który bez entuzjazmu pozował ze swoją matką.

Milo kazał mi zaczekać i wyszedł Mancusiemu na spotkanie. Na błysk złotej odznaki głowa Tony'ego odskoczyła, jakby został spoliczkowany.

Milo coś powiedział.

Mancusi złapał się obiema rękami za twarz.

Potem otworzył usta, a jęk, który się z nich wydobył, sprawił, że ujrzałem w wyobraźni obraz zwierząt spętanych w rzeźni.

Koniec nadziei.

Tony'emu Mancusiemu trzęsły się ręce, kiedy usiłował trafić kluczem do dziurki. Gdy upuścił go po raz drugi, ja otworzyłem. Weszliśmy do obskurnego, małego pokoju. Tony oparł się o ścianę i zaczął zawodzić.

Milo patrzył na niego nieporuszony jak ogrodowy krasnal.

Niektórzy detektywi bardzo dużą wagę przywiązują do pierwszych reakcji ludzi na złe wiadomości. Najwięcej podejrzeń wzbudzają zarówno stoicy, jak i gryzący meble histerycy.

Ja powstrzymuję się od ocen, bo widywałem ofiary gwałtów wyluzowane aż do nonszalancji, niewinnych obserwatorów skrecających się z powodu poczucia winy, psychopatów odgrywających szok i żal tak przekonująco, że człowiek miał ochotę ich przytulić i nakarmić zupą.

Ale trudno było pozostać niewzruszonym szlochom, który wstrząsał przygarbionymi ramionami Mancusiego i niemal podrywał go z poprzecieranej kanapy.

Ella Mancusi sama sobie upiekła urodzinowy tort. Może jej syn właśnie sobie o tym przypominał.

Kiedy przerwał, żeby złapać tchu, Milo powiedział:

– Bardzo nam przykro z powodu pana straty.

Mancusi z trudem wstał. Zmiana koloru jego twarzy była nagła i przekonująca.

Od błądźki kogoś, kto mało wychodzi na powietrze, po zieleń przy krawędziach.

Zatoczył się dwa metry do brudnego aneksu kuchennego i z wymiotował do zlewu.

Kiedy skurcze ustały, opryskał wodą twarz, wrócił na kanapę z czerwonymi oczami i kosmykami jasnych włosów przyklejonymi do przetłuszczonego czoła. Kropla wymiocin wylądowała mu na koszuli, tuż pod wymiętym kołnierzykiem.

– Wiem, że trudno panu w tej chwili rozmawiać – podjął Milo – ale jeśli może nam pan cokolwiek powiedzieć...

– Co miałbym powiedzieć?!

– Czy ktoś mógłby chcieć skrzywdzić pana matkę?

– Kto?

– Oto właśnie...

– Była nauczycielką! – zawołał spazmatycznie Mancusi.

– Przeszła na emeryturę...

– Dali jej nagrodę! Była ostra, ale sprawiedliwa, wszyscy ją uwielbiali. – Pomachał palcem.

– Chcesz dobry stopień? Odrób lekcje! To jej motto.

Ciekawe, jak to się przekładało na syna, który żył z renty i pożyczał pieniądze na czynsz. Trójkowy uczeń.

– A więc nikt nie przychodzi panu do głowy – ciągnął Milo.

– Nie. To... szaleństwo.

Odrobina wymiocin spadła na dywan, kilka centymetrów od buta Mila.

– Koszmar. – Mancusi spuścił głowę. Sapnął.

– Wszystko w porządku, proszę pana?

– Trochę zabrakło mi powietrza. – Wyprostował się, odetchnął powoli. – Tak mam, kiedy się zdenerwuję.

– Jeśli wolno, chcemy jeszcze o coś zapytać...

– O co?

– Czy po śmierci pana ojca matka miała jakieś związki uczuciowe?

– Uczuciowe? Lubiła książki. Oglądała kilka seriali. To były jej romanse. – Odrzucił włosy, przekrzywił głowę, odgarnął tleniony kosmyk ze spoconego czoła.

Kobieca symfonia gestów przypominająca ruchy, o których mówił Ed Moskow.

– Jacyś bliscy przyjaciele albo przyjaciółki?

Mancusi pokręcił głową, zauważył wymiociny na podłodze i uniósł brwi. Dywan był poplamiony tłuszczem, pełen okruchów i kotów z kurzu. Beż przyciemniony do koloru zębów palacza.

– Żadnego życia towarzyskiego? – drażył Milo.

– Żadnego. Kiedy przeszła na emeryturę, lubiła być sama. Gówniana praca w szkole. Znosiła to przez trzydzieści lat.

– A więc stała się skrytą osobą.

– Zawsze taka była. Teraz mogła być sobą. – Mancusi stłumił szloch. – Och, mamoo...

– Bardzo trudno sobie poradzić ze śmiercią bliskiej osoby – powiedział Milo.

Cisza.

– Czy pana matka miała jakieś hobby?

– Co?

Milo powtórzył pytanie.

– Czemu?

– Próbuję ją poznać.

– Hobby... – Mancusi się zamyślił. – Lubiła układanki, krzyżówki, sudoku. Sudoku najbardziej, kochała liczby. Była matematyczką, ale kazali jej uczyć wiedzy o społeczeństwie.

– A inne gry?

– O co panu chodzi? Nie została... to się nie stało przez jej hobby. To był... był... wariat.

– A więc żadne hobby ani zainteresowania nie mogły wpędzić jej w dług?

Mancusi skierował wodniste, piwne oczy na twarz Mila.

– O czym pan w ogóle mówi?

– Musimy zadawać takie pytania. Czy pana mama kupowała losy na loterię, grała w pokera przez Internet?

- Nie miała nawet komputera. Ja też nie mam.
 - Nie wciągnął jej Internet?
 - Po co pan o to pyta? Powiedział pan, że jej nie okradli.
 - Przepraszam, musimy być dokładni – wyjaśnił Milo.
 - Moja matka nie uprawiała hazardu.
 - Czy miała regularne nawyki?
 - To znaczy?
 - Swoje zwyczaje, na przykład wychodziła codziennie o tej samej porze po gazetę.
- Mancusi siedział nieruchomo ze szklistymi oczami.

– Proszę pana?

– Wcześniej wstawiała. – Złapał się za brzuch. – Ooch... znowu. Kolejny bieg do zlewu. Tym razem Tony zacharczał sucho, zakaszłał się, zadyszał. Otworzył lodówkę w zabudowie, wyjął niewielką butelkę przezroczystego płynu, otworzył ją i przystawił do ust. Wrócił, nie odstawiając napoju.

Dietetyczny tonik.

Złapał się za brzuch, mocno ścisnął, pociągnął fałdę tłuszczu.

– Jestem za gruby. Pijałem dzin z tonikiem, teraz sam tonik bez cukru. – Pociągnął łyk z butelki, nie udało mu się stłumić beknięcia. – Mama od ślubu nie przytyła ani kilograma.

– Pilnowała diety? – spytał Milo.

Mancusi się uśmiechnął.

– Nigdy nie musiała, mogła jeść makarony, cukier, wszystko. Ja mam to po tacie. Zmarł na atak serca. Muszę na siebie uważać.

– Cholesterol.

Mancusi pokręcił głową.

– Mama... męczyli ją?

– Oni?

– Ktokolwiek to zrobił. Było bardzo źle? Cierpiała? Niech mi pan powie, że nie.

– Wszystko skończyło się szybko – odparł Milo.

– O Boże. – Znów łyk.

Milo podał mu chusteczkę z minipaczki, którą zawsze zabiera, kiedy ma kogoś powiadomić o śmierci bliskiej osoby.

– Pytam o życie towarzyskie, ponieważ mamy naocznego świadka, który twierdzi, że napastnik był mniej więcej w wieku pani Mancusi.

Tony rozprostował palce. Chusteczka upadła.

– Co?

Milo powtórzył opis mordercy podany przez Edwarda Moskowa. Oczywiście wspomniał też o niebieskiej, kraciastej czapce.

– To kretynstwo – sapnął Mancusi.

– Z nikim się panu nie kojarzy?

Mancusi znów odrzucił włosy.

– Jasne, że nie. Tata miał kilka takich czapek. Po tym, jak wyłysiał i nie chciał, żeby słońce świeciło mu na głowę. To kompletne szaleństwo.

– A czarny mercedes S600? – spytał Milo. – Coś to panu mówi?

– Nie znam się na samochodach.

– To wielki, czterodrzwiowy sedan. Model z najwyższej półki.

– Była nauczycielką, na litość boską!

– Nie chciałbym pana urazić następnym pytaniem, ale czy pańska matka знаła kogoś powiązanego, choćby luźno, z przestępczością zorganizowaną?

Mancusi się zaśmiał. Kopnął drobinę wymiocin.

– Bo jesteśmy Włochami?

– I to musimy sprawdzić...

– Coś panu powiem, poruczniku: mama nie była Włoszką, tylko Niemką z pochodzenia, jej nazwisko panieńskie brzmiało Hochswelder. To tata był Włochem, dorastał w Nowym Jorku. Twierdził, że we wczesnej młodości znał różnych typów z mafii. Opowiadał te swoje historie...

– Jakie historie?

– O trupach wyrzucanych z samochodów, gościach zastrzelonych na fotelach u fryzjera. Ale nie ma mowy, nie, to bez sensu, to były tylko opowieści. Mama ich nie znosiła, mówiła, że są „prostackie”. – Wrócił do kuchni, odstawił butelkę z tonikiem na blat. – Hazard, gangsterzy... to niedorzeczne.

– Na pewno tak to wygląda, ale...

– Nie ma powodu, żeby zginęła, rozumie pan? Żadnego pieprzonego powodu. To głupie, szalone, nie powinno się zdarzyć... mógłby pan wstać?

– Słucham?

– Wstać – powtórzył Mancusi. – Proszę.

Kiedy Milo wstał, Tony szarpnął składane łóżko. Nagle sapnął gwałtownie, złapał się za krzyż i wyprostował.

– Dysk.

Dalej Milo rozkładał łóżko, odsłaniając cienki jak naleśnik materac i szarą pościel, kiedyś białą.

Mancusi zaczął powoli opuszczać się na łóżko. Pot spływał mu po policzkach.

Milo sięgnął, żeby mu pomóc.

– Nie, nie, nie trzeba.

Patrzyliśmy, jak stopniowo się kładzie. W końcu zwinął się, kolana przyciągnął do piersi. Wciąż ciężko oddychał.

– Nie mogę wam nic więcej powiedzieć, nic nie wiem.

Milo spytał o innych członków rodziny.

Gwałtowne pokręcenie głową Mancusiego zakołysało cienkim materacem.

– Mama poroniła po mnie i to wszystko.

– A ciotki, wujowie...

– Nikt bliski.

Milo czekał.

– Nikt – powtórzył Mancusi.

– Nikt nie może panu pomóc?

– W czym?

– W tej sytuacji.

– Dżin z tonikiem kiedyś bardzo pomagał. Może do tego wrócę. Myśli pan, że to dobry pomysł? – Chrapliwy śmiech.

Milo nie odpowiedział.

– A może pieprzyć to wszystko – ciągnął Mancusi. – Powiniennem jeść i pić, co chcę. Przestać przed kimkolwiek udawać. – Łzy popłynęły mu po policzkach.

– Niby przed kim?

Przekręcił się na plecy.

– Moglibyście mi panowie podać aleve... jest w szafce przy kuchence. Znalazłem buteleczkę, wytrząsałem pigułkę, nalałem wody z kranu do szklanki.

– Muszę wziąć dwie – powiedział Mancusi. Porwał mi obie tabletki z dłoni, machnął ręką, że nie chce wody. – Połykam na sucho. – Zademonstrował. – Mój wielki talent... chcę odpocząć.

Odwrócił się do nas plecami.

– Bardzo współczuję panu straty – odezwał się Milo. – Jeśli coś panu przyjdzie do głowy, proszę zadzwonić.

Brak odpowiedzi. Doszliśmy do drzwi.

– Mama nigdy nie znosiła tych czapek! – zawołał Mancusi.

– Myślisz, że to było przedstawienie? – spytał Milo, kiedy wyszliśmy z budynku.

– Moskow mówił, że Tony ma teatralne gesty, ale kto wie?

– Jak to teatralne?

– Klepanie się po biodrze, odrzucanie włosów.

Milo zmarszczył brew.

– Podobnie zachowywał się teraz. Ale rzygał bardzo autentycznie.

– Ludzie wymiotują z różnych powodów – stwierdziłem. – Także z poczucia winy.

– Symboliczne katharsis? Czy jak wy to tam nazywacie.

– Ja to nazywam rzyganiem. To jednak, bez żadnych bliskich krewnych. Bardzo chciałbym się dowiedzieć, czy był testament.

– Zgoda – powiedział. – Pytanie, jak go znaleźć.

– Może przez dalszych krewnych.

– Tony minimalizuje te relacje, bo nie chce, żebym z nimi rozmawiał?

– Wartości rodzinne... od tego wszystko się zaczyna – odparłem.

Przejechał trzy przecznice, otworzył bagażnik nieoznakowanego radiowozu, naciągnął rękawiczki i przegrzebał pudełko z osobistymi rzeczami, które zabrał z sypialni Elli Mancusi.

Ani śladu krewnych innych niż Tony, ale tryumfalnie machnął ręką na widok wizytówki adwokata w pliku związanym recepturką.

„Jean Barone,
Wilshire Boulevard,
Santa Monica”.

Inne wizytówki należały do hydraulików, elektryków, zakładów napraw klimatyzacji i ogrzewania, sklepu spożywczego z dostawą.

Ludzie, którzy wchodzili i wychodzili z domu, być może poznawali codzienne zwyczaje Elli Mancusi. Gdyby wkrótce nie pojawiły się żadne inne tropy, wszyscy musieliby zostać sprawdzeni.

Milo zadzwonił do Jean Barone. Kiedy adwokatką otrząsnęła się z szoku, powiedziała, że tak, spisała testament pani Mancusi. Wołała nie omawiać spraw swoich klientów przez telefon.

– Może tak mi się tylko zdaje – powiedział Milo, kiedy jechaliśmy do Santa Monica – ale wydawała się chętna do pomocy.

Jean Barone spotkała się z nami w zagraconym, pustym lobby swojego budynku, piętrowej budowli na zachód od Yale. Pomieszczenie wymagało odnowienia. Barone wyglądała, jakby dopiero co poprawiła sobie makijaż.

Była brunetką w średnim wieku, z falującymi włosami, ciasno upakowaną w niebieski, podrabiany kostium Chanel. Kiedy obejrzała odznakę Mila, zawiozła nas windą do swojego dwupokojowego biura. Na prostych, białych drzwiach widniało tylko jej nazwisko. Poniżej tytułu zawodowego dodatkowe uprawnienia: notariusz i certyfikowany doradca podatkowy.

Barone usiadła za ciemnym biurkiem z imitacji drewna.

– To straszne, co się stało z panią Mancusi. Domyślacie się już, kto to zrobił?

– Jeszcze nie. Może nam pani coś o niej powiedzieć?

– Raczej nie. Sporządziłam dla niej tylko testament, pięć lat temu.

– Od kogo do pani trafiła?

– Z żółtych stron. Dopiero co skończyłam studia, nie miałam jeszcze rekomendacji. Była jedną z moich nielicznych klientów w ciągu pół roku. Łatwa praca, prawie gotowiec.

Otworzyła szufladę i wyjęła pojedynczą kartkę.

– To kopia dla panów. Zmarłych nie dotyczy zasada poufności.

– W domu pani Mancusi nie było oryginału.

– Nie chciała – wyjaśniła Barone. – Powiedziała, że mam zatrzymać u siebie.

– Jak to?

Barone wzruszyła ramionami.

– Może wolała, żeby nikt go nie znalazł.

Milo przejrzał testament.

– To wszystko?

– Biorąc pod uwagę sytuację pani Mancusi, prosta sprawa. Z nieruchomości miała dom, do tego emerytura, trochę gotówki w banku. Żadnych hipotek, obciążeń.

– Tylko jeden spadkobierca.

– Jej syn – Barone przytaknęła. – Mówiłam jej, że są sposoby, żeby zmniejszyła mu obciążenie podatkiem od nieruchomości. Na przykład mogła objąć dom wspólnym funduszem powierniczym z klauzulą dożywotniego prawa korzystania. Nie była zainteresowana.

– Czemu?

– Nie mówiła, a ja nie naciskałam. Była bardziej zainteresowana moją godzinową stawką wyraźnie nie chciała wydać ani centa więcej, niż trzeba.

Milo podał mi testament. W przypadku, gdyby Anthony Mancusi junior zmarł przed swoją matką wszystko zostało zapisane Armii Zbawienia.

– Wspominała w ogóle coś o swoim synu? – spytał Milo.

– Jest podejrzanym?

– Sprawdzamy wszystkich, którzy byli blisko.

– Za dużo ich pewnie nie ma.

– Czemu pani tak myśli?

– Była uprzejma, ale trochę... Miałam wrażenie, że nie jest zbyt towarzyska. Nie interesowały jej pogawędki, przeszła wprost do sedna. A może tylko chciała jak najmniej zapłacić. Zna pan to pokolenie. Niechętnie rozstaje się z każdym dolarem.

– W przeciwieństwie do dzisiejszego – odparł Milo.

– Moja dwójka dzieci ma świetne prace, ale oboje zadłużyli się na kartach kredytowych.

– Może syn pani Mancusi był nieodpowiedzialny i dlatego nie chciała dać mu domu.

– Nie dawałaby go, tylko... – Barone się uśmiechnęła. – Zasadniczo to jedno i to samo, więc może ma pan rację. Ale jeśli nie ufała synowi, nie powiedziała mi tego. Jeszcze raz muszę podkreślić, że była bardzo powściągliwa. Choć uprzejma. Jak dama. Dziwna rzecz, wiedzieć, że nie żyje. Napad?

– Nie wygląda na to.

– Myślicie panowie, że syn chciał przyspieszyć bieg spraw?

– Na razie nie wyciągamy żadnych wniosków.

– Oczywiście. – Barone zatrzepotała rękami.

Milo wstał.

– Dziękujemy za kopię. I za darmowy czas.

– Jasne – powiedziała, dotykając jego dłoni. – To najbardziej interesująca wizyta, jaką miałam przez cały tydzień.

Zjechaliśmy windą na parter.

– Pewnie twój mundur tak na nią podziałał – powiedziałem. – O przepraszam, nie nosisz munduru.

– Nie, to moja woda kolońska – odparł. – Eau de smo.

Kiedy ruszyliśmy na parking wypożyczalni Prestige w Beverly Hills, była czwarta po południu. W drodze Milo zadzwonił do laboratorium. W mercedesie znaleziono kilka włosów oraz różne włókna wełny, bawełny i lnu, ale żadnej krwi ani płynów ustrojowych. Samochód został niedawno odkurzony przez kogoś, kto bardzo uważał, żeby nie zostawić odcisków palców. Laboratorium zamierzało następnego dnia zdjąć panele z drzwi, ale technik uprzedził, żeby nie spodziewać się za wiele.

– Motto mojego życia – skomentował Milo i przyspieszył. – Majątek Elli to głównie jej dom. Jak sądzisz, ile jest wart?

– W tej części Westwood? Milion trzysta, co najmniej.

– Tak właśnie myślałem. Miły prezent od losu dla takiej ofery jak Tony.

– Ella nie była zainteresowana zmniejszeniem mu podatku – przypomniałem – i stała z boku, kiedy stracił mieszkanie na Olympic i trafił do nory.

– Mama uważa go za pierdołę, a on to wie.

– Nic tak nie podsyca wściekłości, jak nienawiść do samego siebie – powiedziałem. – A to była zdrowa, młodzieńcza siedemdziesięcioletka, która nie wybierała się prędko na tamten świat. Co oznaczało dłuższe ubóstwo dla Tony'ego.

Radio samochodu przekazało wiadomość, by skontaktować się z posterunkiem.

– Sturgis, jadę do... kto? Dobra, przekażcie im... jutro. Po południu. Zadzwonię do nich rano i ustalę godzinę... obchodźcie się z nimi bardzo delikatnie.

Klik.

– Rodzice Antoine'a Beverly'ego złożyli wizytę na posterunku. W śródmieściu powiedzieli im, że ja się zajmuję tą sprawą; państwo Beverly chcą się ze mną spotkać. Miałbyś ochotę wpaść? Może się okazać, że sytuacja będzie wymagała psychologicznej wrażliwości.

– Jasne, daj tylko znać ze dwie godziny wcześniej.

– Dzięki... o, stary, popatrz tylko na te chromy.

„Usługi Motoryzacyjne Prestige” – spekany betonowy plac, przykryty brezentowym zadaszaniem. Sztyl drobnym drukiem, dwa tuziny samochodów stłoczonych zderzak w zderzak, biuro przypominające szopę.

„Tymi chromami” była masa porsche, ferrari, lamborghini, mamuci rollsroyce phantom, dwa bentleye GT coupe – mniejsi kuzyni statecznego sedana Nicholasa Heubela. Z przodu trzy

mercedesy S600.

Dwa srebrne, jeden czarny. Obok czarnego puste miejsce.

Stalowe słupki wyznaczały oba skraje podjazdu. Między nimi zwisał luźny łańcuch. W metalowym uchu przechodzącym przez słupek po prawej wisiała kłódka. Błyszcząca, ale tandetna.

W śmiechu Mila nie było wesołości.

– Fury za kilka milionów, a oni używają badziewia z marketu. Mógłbym to otworzyć pod wpływem dowolnej substancji zmieniającej świadomość.

W biurze drobny mężczyzna około trzydziestki siedział przy składanym stoliku karcianym i słuchał reggaetonu. Identyfikator na niebieskiej koszuli: „Gil”. Tatuaze zdobiące szyję i ramiona zdradzały, że facet ma wysoki próg odczuwania bólu. Czarne włosy idealnie zaczesane, kosmyk zarostu pod dolną wargą przystrzyżony do rozmiaru klocka scrabble. Na ścianie wisiał kalendarz firmy produkującej narzędzia i rozkładówki z „Playboya”, na których widok poczułem się jak dziesięcioolatek.

Milo błysnął odznaką. Mężczyzna wyłączył radio.

– Tak, uprzedzali, że przyjdziecie.

– Pracuje pan z dala od utartych szlaków, panie...

– Gilbert Chacon.

– Jak klienci was znajdują, panie Chacon?

– Nie wynajmujemy indywidualnym klientom. Parking wypożyczalni znajduje się na La Cienega. Ten tutaj jest ultraluksusowy. Dostajemy zlecenia z hoteli, wszystko podstawiamy na miejsce.

– Gość chce luksusowy samochód, wy podstawiacie wóz.

– Aha. – Chacon kiwnął głową. – Ale nie gadamy z gośćmi, tylko z hotelami, wszystko idzie na rachunek hotelu.

– A więc ruch niewielki.

– Nikt tu nie przychodzi.

– Ktoś jednak przyszedł wczoraj w nocy.

Chacon ściągnął usta.

– Pierwszy raz.

– Jakie macie zabezpieczenia?

– Łańcuch i kłódkę – odparł Chacon.

– To wszystko?

Wzruszył ramionami.

– Policja jest ile... minutę drogi stąd? W Beverly Hills pełno gliniarzy.

– Nocny stróż?

– Nie.

– System alarmowy?

– Nie.

– I tyle wypasionych bryk? – spytał Milo.

Chacon sięgnął za siebie. Jego palce musnęły drewnianą ścianę. Chyba lubił jej dotyk, bo zaczął gładzić drewno.

– Samochody mają alarmy.

– Mercedes, którego skradziono, też?

– Fabrycznie zamontowany – powiedział Chacon. – Jak we wszystkich.

– Był włączony?

Dłoń Chacona oderwała się od ściany i spoczęła na stole. Jego wzrok powędrował w górę, na niski sufit z płyt kartonowo-gipsowych.

– Powinien być.

Milo się uśmiechnął.

– W idealnym świecie?

– Jestem nadzorcą dziennym – wyjaśnił Gilbert Chacon. – Przychodzę o dziewiątej, wychodzę o czwartej trzydzieści. Wszystko, co się dzieje w nocy, to sprawa głównego parkingu.

– Na La Cienega.

– Aha.

– Kto ma klucz do kłódki?

– Ja. – Chacon sięgnął do kieszeni i wyciągnął łańcuch z kluczem.

– I?

– Główny parking. Może ktoś jeszcze, nie wiem. Zacząłem tu pracować dopiero dwa miesiące temu.

– A więc kopie klucza mogą krążyć?

– To by było głupie – stwierdził Chacon.

– Kłódka wygląda na nową – zauważyłem.

– I co z tego

– Ktoś zdołał ją otworzyć – powiedział Milo. – Rąbnął merca, nabił nim sześćdziesiąt dziewięć kilometrów, wyczyścił go, odstawił tu przed dziewiątą i zapiął z powrotem łańcuch... o ile był zapięty, kiedy pan się zjawił.

– Był.

– O której?

– Już mówiłem, zaczynam o dziewiątej. – Wzrok Chacona znów powędrował w górę.

– Może trochę się pan spóźnił?

– To by było głupie.

– A więc stawił się pan o czasie.

– Aha.

– I nic niezwykłego nie zwróciło pana uwagi.

– Nie, nic.

- Kto jest odpowiedzialny za zamykanie kłódki o czwartej trzydzieści?
- Ja. – Chacon oblizał wargi. – I ją zamknąłem.
- A jeśli jakiś samochód wraca po czwartej trzydzieści?
- Otwierają parking i wstawiają auto.
- Często tak bywa?
- Czasami.
- A wczoraj w nocy?

Chacon wstał i otworzył szafkę z papierami obok automatu z wodą. Miss Stycznia uśmiechała się ze ściany, kiedy grzebał w teczkach.

– Wczoraj nie było żadnych zwrotów. W tej chwili mamy tylko jeden samochód na mieście. Czarny phantom wypożyczony przez L’Ermitage na Burton. Arabski szejek i jego kierowca jeżdżą nim od trzech tygodni.

- Kiepski ruch w interesie?
- Raz lepiej, raz gorzej. – Wzrok Chacona znów uciekł, tym razem w bok.
- Ktoś przyszedł tu ostatnio, interesował się samochodami? – ciągnął Milo.
- Nie.
- Wie pan, czemu zadajemy te pytania?
- Nie.
- Samochód był wykorzystany do popełnienia morderstwa.

Chacon zamrugał dwa razy.

- Żartuje pan. Kogo zamordowali?
- Miłą starszą panią.
- Kiepsko.

– Bardzo kiepsko – powiedział Milo. – Mogła zostać zabita przez mniej miłego starszego pana.

Opisał mordercę w niebieskiej czapce.

- Nic z tego. – Chacon pokręcił głową.
- Uważa pan, że to niemożliwe, żeby starszy człowiek zrobił coś takiego?
- Nie, chodzi mi o to, że nikogo takiego nie widziałem.
- A może ktoś kręcił się przy parkingu, oglądał samochody?

Znów przeczenie.

– Tu jest bardzo cicho. Czasami tylko główny parking przysyła mechanika, kiedy któryś samochód się psuje.

Milo wyłączył muzykę. Cisza sprawiła, że Chacon kilka razy zamrugał.

- Nikt się tu nie kręcił... A może po prostu przechodził? Ktokolwiek, choćby bezdomny?
- Na pewno nie.
- Na pewno?
- Gdybym kogoś zauważył, powiedziałbym wam.

Chacon sięgnął do włącznika radia. Rozmyślił się.

– Bo jest pan skory do współpracy – powiedział Milo.

– Aha.

Wróciliśmy do samochodu. Milo przepuścił nazwisko Chacona przez system i dostał adres w Boyle Heights, żadnych listów gończych ani nakazów. Trzy aresztowania dziesięć lat temu.

Dwa napady związane z działalnością gangów i włamanie, stargowane do drobnej kradzieży, wszystko w Rampart.

– Dawny gangster – powiedziałem.

– Takim powierzają drogie fury.

– Przeniósł się do nowej dzielnicy, znalazł porządną pracę.

– Nawrócony?

– Zdarza się.

– Ale ty uważasz, że nie – wywnioskował Milo.

– O co ci chodzi?

– Zastanawiasz się, czy zapomniał zamknąć kłódkę, znalazł rano spuszczone łańcuch, kupił nową.

– Czytasz w myślach – mruknąłem cicho. – Poza tym miał rozbiegane oczy.

– Cholera, jak kulki w automacie bilardowym. Może jest jeszcze gorzej: ktoś mu zapłacił, żeby zostawił zdjęty łańcuch.

– Albo morderca otworzył kłódkę wytrychem – snułem dalsze przypuszczenia. – Tanie badziewie z marketu.

Milo spojrział na szopę.

– Facet z przeszłością Chacona nie ma motywacji, żeby cokolwiek wyjawić. Kiedy będę bliżej naszego typu, wrócę z argumentami, zaproponuję Chaconowi zejście ze współudziału na coś mniejszego.

„Kiedy”, nie „jeśli”.

Miło było widzieć, że pozytywnie myśli o przyszłości.

Spotkanie z rodzicami Antoine'a Beverly'ego zostało umówione na dwunastą następnego dnia.

Gdy dotarłem do gabinetu Mila, znalazłem kartkę na drzwiach. „A: p. 6”.

Największa sala, na końcu korytarza. Na klamce wisiała tabliczka „Przesłuchanie w toku. Nie przeszkadzać”.

Zapukałem raz i wszedłem.

Naprzeciwko Mila przy stole siedziała czarnoskóra para w średnim wieku. Przed kobietą leżało małe zdjęcie chłopca; zmierzyła mnie wzrokiem i wróciła do fotografii.

Siedzący obok niej mężczyzna miał na sobie brązowy garnitur, białą koszulę i złoty krawat ze srebrną spinką. W klapę marynarki wpiął małą amerykańską flagę. Siwy, z dużymi zakolami. Wymuszony uśmiech pod białymi wąsami.

Kobieta była ubrana w ciemnobrązowy, prawie czarny kostium. Wysoko upięte włosy miała o jeden ton ciemniejsze niż ubranie. Niechętnie oderwała wzrok od zdjęcia i położyła dłoń płasko na stole.

– Proszę państwa – odezwał się Milo. – To nasz psycholog, doktor Delaware. Doktorze, to państwo Gordon i Sharna Beverly.

Gordon Beverly uniósł się z krzesła i usiadł z powrotem.

– Miło mi pana poznać, doktorze – powiedziała jego żona.

Usiadłem obok Mila.

– Państwo Beverly przynieśli mi zdjęcie Anthony'ego – oznajmił.

Przyjrzałem się fotografii, być może dłużej niż musiałem. Uśmiechnięty, bystry chłopak z przerwą między jedykami. Krótkie włosy, niebieska koszula, kraciasty krawat.

– Doktorze, tłumaczyłem właśnie, że bierze pan udział w sprawie z powodu jej złożoności.

– Przydałby się psychiatra – stwierdziła Sharna Beverly. – Bo jeśli to nie był ten wariat z Teksasu, to na pewno jakiś inny. Wiedziałam od początku, powtarzałam tylu detektywom... – Palec ze srebrnym paznokciem dotknął krawędzi zdjęcia. – Minęło mnóstwo czasu. Nikt nic nie zrobił.

– Starali się – wtrącił jej mąż. – Ale nie było żadnych tropów. Spojrzenie Sharny Beverly mówiło jasno, co ona o tym sądzi. Odwróciła się do mnie.

– Przyjechałam opowiedzieć panom, jaki był Antoine, żebyście zrozumieli, że nie uciekł.

– Nikt tego nie podejrzewa, proszę pani – oznajmił Milo.

– Szesnaście lat temu podejrzewali. Ciągle mi mówili: uciekł, uciekł. Antoine lubił psocić, ale generalnie był grzecznym chłopcem. Nasi pozostali synowie poszli na studia i on też miał taki plan. Wzorował się zwłaszcza na najstarszym bracie. Brent skończył inżynierię dźwięku i pracuje

przy filmach. Gordon junior jest księgowym w Wodzie i Energii.

– Antoine chciał być lekarzem – dodał Gordon Beverly.

– Pewnie słyszał to pan milion razy. – Pani Beverly westchnęła. – Ale najgorsza jest niewiedza. Doktorze, niech pan będzie ze mną szczery. Jakie jest prawdopodobieństwo, że ten potwór z Teksasu mówi prawdę? To maniak.

– Chciałbym móc udzielić pani konkretnej odpowiedzi, pani Beverly – odparłem. – Ale nie ma sposobu, by to wiedzieć. Jego historię na pewno warto sprawdzić. Każdy aspekt warto.

– Proszę – powiedziała. – Każdy aspekt. To właśnie mówiłam detektywom szesnaście lat temu. I co usłyszałam? Że nie mogą już nic więcej zrobić.

Zerknąłem na zdjęcie. Chłopiec unieruchomiony w czasie.

– Nie mieli nawet dość przyzwoitości, żeby odpowiadać na nasze telefony – ciągnęła Sharna Beverly.

– Na początku odbierali – sprostował Gordon. – Potem przestali.

– Bardzo szybko przestali – prychnęła Sharna.

– Naprawdę mi przykro – odezwał się Milo.

– Nie ma potrzeby, poruczniku. Zróbmy coś teraz.

– Wracając do tego, o czym rozmawialiśmy, proszę pani, jak dokładnie Antoine dostał tę pracę z pismami?

– Subskrypcjami pism – uściślił Gordon Beverly. – Porządna, biała dzielnica, powinno być tam bezpiecznie.

– On nie pyta „gdzie”, tylko „jak” – skarciła go żona. – Antoine dowiedział się o tym w szkole. Ktoś powiesił ulotkę na tablicy ogłoszeń tuż przed wakacjami. Antoine uwielbiał pracować.

– Był ambitny – dodał mąż. – Chciał zostać chirurgiem. Lubił wszystko, co naukowe.

– Na ulotce zachwalali pracę: łatwe pieniądze, pisma niemal same miały się sprzedawać, po prostu wskakiwać ludziom w ręce – powiedziała Sharna Beverly. – Mówiłam Antoine’owi, że to głupie, ale nie dawał się przekonać. Zapisał numer telefonu i poszedł na spotkanie w sobotę. Zabrał ze sobą dwóch kolegów, wszyscy trzej się zgłosili. Wysłali ich do Culver City, które w tamtych czasach było wyłącznie białe. Pracowali pięć dni z rzędu. Antoine sprzedał najwięcej subskrypcji. Następnego poniedziałku nie wrócił do domu.

– Czy Antoine albo pozostali chłopcy mieli jakieś nieprzyjemne doświadczenia w pracy? – spytałem.

– Syn żalił się, że kilka osób go zwyzywało i zatrzasnęło mu drzwi przed nosem – powiedziała Sharna.

– Czarnuch, przybłęda. I inne w tym rodzaju – dodał Gordon.

– Dlaczego posłali chłopców do białej dzielnicy, tego nigdy nie zrozumiem. – Sharna pokręciła głową. – Ludzie w Crenshaw też czytają pisma.

– Tam miało być bezpieczniej – wyjaśnił mąż.

– Ale nie było – warknęła.

Dotknął jej łokcia. Odsunęła się. Poglaskała zdjęcie.

– Rzucili te dzieci między obcych ludzi.

– Czy detektywi szesnaście lat temu rozpytywali w okolicy, w której pracował Antoine? – spytał Milo.

– Twierdzili, że rozmawiali ze wszystkimi – odparła Sharna. – Jeśli nie, to czy się przyznają?

– Skrzyżowała ręce na piersi.

– Jak nazywała się firma, która zatrudniła Antoine’a?

– Młodzi w Działaniu – wyrecytowała Sharna. – Zwinęli się po zniknięciu Antoine’a.

Przynajmniej w Los Angeles.

– Z powodu zniknięcia Antoine’a?

– Po prostu potem szkoły nie pozwalały im się reklamować. Poszłam do biblioteki, sprawdziłam w komputerze, nie znalazłam żadnej wzmianki o tej firmie. Wczoraj, kiedy dowiedziałam się, że mamy tu przyjechać. Pamiętam tylko pana Zinta. Dzwonił, żeby powiedzieć, jak bardzo mu przykro. Według mnie martwił się, że go pozwiemy. Nie wiedział o niczym, co by mogło nam pomóc.

– Antoine pracował z dwoma kolegami – przypomniałem.

– Willem i Bradleyem – odparła. – Wilson Good i Bradley Maisonette. Przyjaciele od przedszkola. Pomagali nieść trumnę i płakali jak dzieci. Mówili, że Antoine sprzedawał najwięcej. – Niechętny uśmiech. – Antoine potrafił namówić cię na wszystko.

Milo zapisał nazwiska.

Sharna Beverly podniosła zdjęcie i przycisnęła je do piersi. Jej palce zakryły górę twarzy chłopca. Od jego wiecznego uśmiechu piekły mnie oczy.

– Czy Brad albo Will mówili o czymś niezwykłym przez te pięć dni? – dociekałem dalej.

– Nie, pytałam. Furgonetka wyrzucała ich po jednym w Culver City. Antoine wysiadł pierwszy i miał być zabrany ostatni. Kiedy przyszła pora, nie było go. Czekali przez godzinę, potem pojeździli po okolicy, porozglądali się. W końcu pan Zint zawiózł Bradleya i Willa z powrotem do szkoły, skąd ich zawsze zabierał. Zadzwoił na policję. Bradley i Will byli wstrząśnięci, zwłaszcza Bradley. Przeżył już uliczną strzelaninę.

– Nie w naszej dzielnicy – wyjaśnił Gordon. – Odwiedzał kuzyna w Compton.

– Gdybym to ja miała zdecydować – podjęła Sharna – pojechałabym prosto do Teksasu, potraktowała tego potwora rozgrzanym pogrzebaczem, podłączyła go do wykrywacza kłamstw, który razi prądem, używają takich na alkaidowcach w Guantanamo. Od razu wszystko byłoby jasne.

Popatrzyła gniewnie na męża. Dotknął znaczka z flagą.

– Ma pan jakiegokolwiek przecucia odnośnie do tego, co twierdzi ten potwór? – zwróciła się do Mila.

– Chciałbym, pani Beverly – odparł. – Smutna prawda jest taka, że lajdakom kłamstwo

przychodzi równie łatwo, jak oddychanie, i zrobią wszystko, byle wykręcić się od śmierci.

– A więc jaki jest plan?

– Proszę wybaczyć, ale ja naprawdę zaczynam od początku. Skoro Bradley Maisonette i Will Good przyjaźnili się z Antoine'em i byli ostatnimi osobami, które go widziały, zacznijmy od nich. Wiecie państwo, gdzie mogę ich znaleźć?

– Nie ma tego w aktach?

– Akta, proszę pani, są... niekompletne.

– Hm. Cóż, Will jest trenerem futbolowym w katolickiej szkole, nie wiem dokładnie...

– W St. Xavier – odpowiedział Gordon Beverly.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Pisali o tym w „Sentinelu”, Shar. Kilka lat temu pracował jako trener w Riverside, przeprowadził się tam. Dzwoniłem do niego, pytałem, czy przypomniał sobie coś jeszcze w sprawie Antoine'a. Ale nie, nic nowego.

– No, patrzcie państwo – prychnęła. – O czym jeszcze mi nie powiedziałaś?

– Po co mówić, kiedy nie ma o czym.

– Bradley Maisonette nie wyrósł na porządnego człowieka – westchnęła Sharna Beverly. – Z tego co słyszałam, większość życia spędził w więzieniu. Nigdy nie doświadczył dobrego rodzinnego życia.

– Nasza rodzina trzyma się razem – wtrącił się Gordon. – Antoine przyszedł do domu taki szczęśliwy, że zarobi pieniądze. Ja też się cieszyłem.

– Pisma sprzedają się same, ludzie uwielbiają pisma – zacytowała Sharna. – Powiedziałam mu: „Antoine, to zbyt piękne, żeby było prawdziwe”. Stwierdziłam, że muszę się spotkać z tymi ludźmi, upewnić się, że go nie wykorzystują. Antoine dostał histerii, zaczął skakać, błagać i prosić. „Zaufaj mi, mam. Nie rób mi wstydu, mam, inni rodzice nie wtykają w nic nosa”. A ja na to: „Skoro wszyscy są głupi, ja też mam być?” Antoine dalej błagał, uśmiechnął się, jak to on potrafi. – Ukośne spojrzenie na zdjęcie. Ściągnęła wargi. – Powiedziałam Antoine'owi: „To właśnie dzisiaj kłopot, nikt się niczym nie interesuje”. Ale męczył mnie, mówił, że jeśli przyjdę, to Will, Brad i wszyscy inni będą mu dokuczać całe lato. Potem pokazał mi świadectwo, połowa piątek, połowa czwórek, wzorowe zachowanie. Twierdził, że to dowód, że jest mądry, że można mu zaufać. – Oklapła. – No i uległam. Największy błąd, jaki w życiu zrobiłam, i płacę za niego od szesnastu lat.

– Kochanie – odezwał się Gordon. – Powtarzam ci, nie ma powodu...

Jej oczy zapłonęły.

– Powtarzasz mi i powtarzasz.

Wstała, wyszła, ostrożnie i cicho zamknęła drzwi. Okazała tym więcej wściekłości, niż gdyby nimi trzasnęła.

– Przepraszam – powiedział Gordon Beverly.

– Nie ma za co, proszę pana – odparł Milo.

- To dobra żona i matka. Nie zasłużyła na to, co ją spotkało.
 - Co oboje państwa spotkało.
- Twarz Gordona Beverly'ego zadygotała.
- Może matce jest ciężiej.

– Niezła jazda – powiedział Milo, kiedy znaleźliśmy się sami w jego gabinecie. – Mam teraz wbite w serce haczyki na ryby i przyzwoitych ludzi, którzy za nie szarpią. Pora sprawdzić tę Młodzież w Działaniu na mało prawdopodobny wypadek, gdyby wciąż działali, a pani B. to przeoczyła.

Nie przeoczyła. Zabrał się do szukania przyjaciół Antoine'a.

Wpisanie nazwiska Wilsona Gooda zaowocowało kilkoma wzmiankami o meczach szkolnej ligi futbolowej w podstawówce St. Xavier w Południowym L.A. Oprócz trenowania Good był kierownikiem działu wychowania fizycznego.

Bradley Maisonette miał bogatą kryminalną przeszłość. Ponad tuzin wyroków za narkotyki plus kradzieże, z których finansował swój nałóg.

Ostatniego zwolnienia warunkowego udzielono mu jedenaście miesięcy temu. Mieszkał w kawalerce w śródmieściu dofinansowywanej przez miasto. Milo zadzwonił do kuratora Bradleya, włączyła się poczta, zostawił wiadomość.

Wyjął panatelę z kieszeni koszuli, zdarł folijkę i zmoczył czubek, ale nie zapalił.

- Powiniennem zrobić coś jeszcze, według ciebie?
- Dlaczego Teksas nie przyśle tu po prostu Jacksona i nie każe mu wskazać grobów?
- Bo jest spore ryzyko, że drań ucieknie. Próbował już cztery razy, a przy okazji ranił strażnika. Nie ma mowy, żeby wypuścili go z rąk, dopóki jakiś miejscowy departament nie wskaże bardzo poważnego powodu. Jak dotąd trzy twierdzenia Jacksona okazały się lewe: nie wiedział, że te sprawy zostały już zakończone. Świr pewnie szuka w Internecie horrorów, pod które zamierza się podczepić. Niestety nie można go na razie skreślić, bo stawka jest za duża. Gdybym znalazł cholerne akta Antoine'a, może do czegoś by mnie doprowadziły.

– Gdzie są detektywi, którzy pierwsi się tym zajmowali?

– Jeden nie żyje, drugi mieszka w Idaho. Przynajmniej tam idzie jego emerytura. Ale nie odpowiedział na moje telefony. Tymczasem mamy tu Elłę Mancusi, która ledwie co wystygła. Dlaczego dręczy mnie przecucie, że rozczaruję Beverlych?

Wsunął zaczątki książki morderstwa Antoine'a do szuflady. Zmienił zdanie i położył je obok komputera.

– Zacząłem obserwować Tony'ego Mancusiego, dostałem trzech świeżych mundurowych, którym się wydaje, że lubią służbę po cywilnemu. Wciąż nie ma żadnych doniesień o brutalnych przestępstwach z nocy, kiedy zwinęto bentleya. A pan Heubel umył i posprzątał samochód zaraz po tym, jak Sean pobrał próbki, więc szansa, że znajdziemy coś nowego, spadła do zera. To właśnie włożę na dno szuflady.

– Udało ci się zainteresować Ellą media?

– Znasz „Timesa”, może tak, może nie. Wydział prasowy mówi, że powinno coś być w wiadomościach o szóstej dziś po południu.

Zadzwoił telefon. Milo odebrał, posłuchał, zapisał coś, rozłączył się.

– Wiadomość od jednego z kuzynów Elli. Chce ze mną porozmawiać. Jest blisko, pracuje w sklepie z lampami na rogu Olympic i Barrington. Może bogowie się uśmiechnęli.

Olśniewające Kryształy i Oświetlenie – sto metrów kwadratowych rażącego blasku.

Aaron Hochswelder przywitał nas przy drzwiach i oznajmił, że jest właścicielem. Pracowników posłał na przerwę na kawę. Zaprowadził nas w głąb sali ekspozycyjnej. Żar z dziesiątków żyrandoli palił mnie w kark. Oślepiające światło kojarzyło się ze śmiercią kliniczną.

Hochswelder miał po sześćdziesiątce, ale wciąż był ciemnowłosy, wysoki i szczupły. Końska twarz, lisie oczy. Miał na sobie zieloną koszulę z krótkimi rękawami, spodnie khaki z zakładkami i pantofle wypolerowane do połysku.

– Dziękuję, że tak szybko panowie przyjechali – powiedział. – Może to dziwne, ale uznałem, że powinienem z wami porozmawiać. Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co się stało z Ellą.

– Była pana kuzynką – odezwał się Milo.

– Tak. Jej ojciec był starszym bratem mojego. Czasami się mną opiekowała. – Jego uwagę zwróciła zgaszona żarówka w weneckim żyrandolu. Sięgnął w górę, przekręcił ją, zamigotała. – Domyślcie się, kto to zrobił?

– Jeszcze nie. Wszystko, co pan powie, może okazać się pomocne.

Aaron Hochswelder przygryzł policzek.

– Naprawdę nie wiem, czy powinienem o tym mówić, ale... poznaliście jej syna, Tony'ego?

– Tak.

– I co sądzą?

– O czym?

– O jego... osobowości.

– Wydaje się, że opuściło go szczęście.

– Zakładając, że kiedykolwiek je miał.

– Ciężkie życie? – spytał Milo.

– Z własnej winy. – Hochswelder napiął mięśnie kościstych przedramion. – Nie chciałbym się mieszać, ale...

– Coś na temat Tony'ego pana niepokoi?

– Ciężko mówić źle o rodzinie, ale... chyba powinniście mu się lepiej przyjrzeć.

– Jako mordercy?

– To bolesna myśl. Nie twierdzę, że naprawdę coś takiego zrobił...

– Ale... – dodał Milo.

– Może zna kogoś niezrównoważonego? Nie mówię, że zna. To tylko... naprawdę mi trudno,

czuję się podle. – Hochswelder wciągnął powietrze nosem, wypuścił ustami. – Chcę po prostu powiedzieć, że tylko Tony przychodzi mi do głowy. Z rodziny.

– Tony stwierdził, że nie ma rodziny.

– Bo z nikim nie chce utrzymywać kontaktów.

– To znaczy z kim?

– Ze mną, moją żoną i dziećmi, z moim bratem Lenem i jego żoną, i dziećmi. Mój brat jest dentystą, mieszka w Palos Verdes. Żadne z dzieci nie jest z Tonym blisko. I, szczerze mówiąc, bardzo dobrze.

– Zły wpływ?

Hochswelder strzelił kłykciami.

– Nie chciałbym, żebyście panowie pomyśleli, że kieruje mną chęć zemsty na Tonym. Po prostu... zadzwonił do mnie dzisiaj rano i powiedział o swojej matce. Tak się dowiedziałem. To był pierwszy raz od lat, kiedy się do mnie odezwał. Powiedział, że nie ma siły dzwonić do kogokolwiek innego, że ja mam to zrobić. Wykręcał się od odpowiedzialności. Sugerował też, żebym się zajął pogrzebem. Finansowo i nie tylko.

– W jakim był nastroju, kiedy dzwonił?

– Nie płakał ani nie łkał. Raczej... nieobecny.

– Jak to?

– Nieprzytomny.

– Czy Tony brał kiedyś narkotyki?

– Tak, we wczesnej młodości – odparł Hochswelder. – Według moich dzieci. Myślę też, to znaczy rodzina myśli, że może być gejem, więc mamy tu różne problemy.

– Dlaczego rodzina tak uważa?

– Nigdy nie słyszeliśmy, żeby spotykał się z dziewczynami, nie ożenił się. A czasami... nie jest babą, ale potrafi być... nie wiem, jak to ująć... zupełnie niespodziewanie robi coś babskiego, rozumie pan? Dziwna maniera? Potrafi nagle odrzucić włosy, zatrzepotać rzęsami. A potem „bęć” i znów jest normalny.

– Kiedy widział go pan po raz ostatni?

– Chyba w Święto Dziękczynienia cztery lata temu. Mój brat urządził rodzinny zjazd i Tony przyjechał z Ellą. Wyglądał, jakby nie prał regularnie ubrań. Przybrał sporo na wadze. Może przekąsił coś wcześniej, bo przy stole za dużo nie zjadł. Wstał przed deserem, poszedł do łazienki, wrócił i oznajmił, że wezwał taksówkę i poczeka na zewnątrz. Elli było wstyd. Wszyscy udawaliśmy, że nic się nie stało, po prostu jedliśmy dalej.

– Wyszedł wcześniej z jakiegoś powodu?

– Właśnie o to chodzi, nie było żadnej sprzeczki, nic. Bum, po prostu się wynióśł. Jakby był na coś zły, ale przysięgam, nie stało się nic, co by go mogło zdenerwować.

– Tony jest gwałtowny? – spytał Milo.

Hochswelder podrapał się w skroń...

– Raczej nie. Przeciwnie, zawsze cichy. Nikt go nie rozumie.

– Zniewieścianość...

– Między innymi. I to nagłe wyjście. Dziwak. Zawsze był skryty. Jak jego ojciec, ale Tony senior chodził przynajmniej na rodzinne spotkania i udawał towarzyskiego. Chociaż, szczerze mówiąc, najczęściej siedział na dworze i palił, strasznie dużo, od tego dostał ataku serca. Pracował w mleczarni, dostarczali mleko do studiów filmowych i Tony załatwił juniorowi pracę. Chyba w Paramount. Cóż, posada stróża, nosił różne rzeczy, ale filmowcy dobrze płacą, cisną ich związki. Chłopak nieźle by się ustawił finansowo, ale stwierdził, że coś mu się stało z kręgosłupem. Rzucił pracę i od tamtej pory nic nie robi.

– Stwierdził?

– Na pewno coś go boli. Wszystkich boli.

– Porozmawiajmy o jego braniu narkotyków.

– Wiem tyle, ile mi powiedziały dzieci.

– Pana dzieci?

– Tak i mojego brata Lena. Nie żeby Tony był głównym tematem dyskusji, po prostu wyszło przy okazji. W naszej rodzinie rozmawia się o wszystkim.

– Co Tony brał, według swoich kuzynów?

– Nie było mowy o konkretach. Tylko tyle, że Tony bez przerwy chodził naćpany, dlatego wyleciał ze szkoły. Bardzo ciężkie przeżycie dla Elli. Stawiała na wykształcenie.

– Mówiła kiedyś, że jest rozczarowana?

– Nie dzieliła się swoimi uczuciami. Ale wszyscy mieliśmy wrażenie, że Tony bardzo ją zawiódł. Poza tym chyba uprawia hazard. Właściwie... na pewno. Mój Arnold widział go w indiańskim kasynie niedaleko Palm Springs. Arnold wyjechał na wakacje z rodziną, z Ritą, żoną, grali na automatach, dla zabawy, nie są hazardzistami. Kiedy poszli zostawić dzieci w bawialni w kasynie, Arnold zobaczył Tony'ego przy stoliku do Black-jacka. Chciał się przywitać, chociaż nie był z Tonym blisko; ot tak, z uprzejmości. Ale akurat wtedy Tony stracił wszystkie pieniądze i odszedł od stolika, przeklinając. Arnold uznał, że to nie najlepsza pora na towarzyskie pogawędki.

– Tony grywał w coś jeszcze?

– Nie wiem, ale podobno przy stole siedział zgarbiony, chował karty, widać było, że nie amator.

– Narkotyki, hazard... – zaczął wyliczać Milo.

– I gej – dodał Hochswelder. – Ale ja nie oskarżam, przekazuję tylko informacje. Nie chciałbym, żeby panowie pomyśleli, że mam coś przeciwko Tony'emu. Żał mi chłopaka. Szczerze mówiąc, życie z Tonym seniorem nie mogło być łatwe. Ten dopiero miał temperament, włoska krew. Ale to, co się stało z Ellą... pomyślałem po prostu, że powinienem z wami porozmawiać.

– Tak konkretnie, panie Hochswelder, załóżmy, że Tony ma jakiś związek z morderstwem

Elli. Co mogłoby go do tego skłonić? – spytał Milo.

– O nie, poruczniku, tak daleko nie mógłbym się posunąć.

– Czysto teoretycznie – podkreślił Milo. – Tak między nami, w tej chwili, nieoficjalnie.

Hochswelder przygryzł górną wargę.

– Znając Elle, prawdopodobnie zostawiła wszystko Tony’emu. Był jej jedynym dzieckiem.

Chociaż, moim zdaniem, dawać pieniądze komuś, kto nie pracuje, to jak spuścić je w sedesie.

– A więc chęć zemsty odpada?

– Kto wie? – powiedział Hochswelder. – To sprawa między nim a Bogiem.

– Jak opisałby pan stosunki Tony’ego z matką?

– Ella nie rozmawiała o swoim życiu osobistym.

– Widział pan kiedyś między nimi wrogość?

– Nie. Nie licząc tego razu w Święto Dziękczynienia.

– Ella się na niego wściekła?

– Oboje wyglądali na spiętych, kiedy przyjechali. Ella miała na twarzy przyklejony uśmiech, jakby udawała, że się cieszy.

– A Tony?

– Nieobecny, w swoim własnym świecie.

– Domyśla się pan, co ich mogło zdenerwować?

– Ani trochę.

– Zmieńmy na chwilę temat – zaproponował Milo. – Kim byli przyjaciele Elli?

– Nie wiem, czy w ogóle miała przyjaciół – odparł Hochswelder. – Ona i Tony senior byli dość skryci. Co roku zapraszaliśmy ją na Boże Narodzenie. Prosiłmy, żeby przywiozła ze sobą Tony’ego juniora. Co roku przyjeżdżała z pięknym koszem owoców. On nigdy. Szczerze mówiąc, zastanawialiśmy się, czy w ogóle mu o tym mówiła.

– Czemu miałyby nie mówić?

– Wiedziała, że jest aspołeczny. A po tej scenie w Święto Dziękczynienia cztery lata temu... pewnie się wstydziła.

– Wyszedł przed deserem.

Hochswelder poprawił żarówkę.

– Niech mi pan wierzy, poruczniku, na nasze desery warto poczekać. Moja żona sama piecze, tak samo żona brata. Tamtego roku mieliśmy sześć rodzajów ciast, do tego pudding i kompot. A Tony tak patrzył na nakrycie, które dziewczyny rozłożyły, jakby ktoś częstował go śmieciami.

Wyszliśmy ze sklepu z oświetleniem na chłodne, wieczorne powietrze.

– Piekło Dantego – stwierdził Milo. – Uroczy facet, co?

– Nie, żeby chciał obgadywać Tony’ego.

Wróciliśmy do samochodu, Milo ruszył.

– Solidarny klan, ale nie zawsze. Jakież wnioski?

– Opis Mancusich jest interesujący. Aspołeczny ojciec z gwałtownym usposobieniem, odizolowana rodzina. Molestujący świetnie pilnują swoich stad, więc Tony mógł mieć ciężkie dzieciństwo.

– Uważasz, że nienawidził matki aż tak, żeby kazać ją pokroić?

– Molestowane dzieci potrafią nienawidzić rodzica, który ich nie obronił. Moskow twierdził, że po wizycie Ella nigdy nie odprowadzała syna, więc pewnie coś między nimi zgrzytało.

– Nie był wart fatygi, ale poranna gazeta... jak najbardziej.

– I wtedy oberwała – powiedziałem. – Ciekawe.

– Nie za daleko się posuwasz?

– Może nie. Symbolika często prowadzi do najróżniejszych ciemnych zakamarków.

– To, że Tony siedzi na wulkanie pierwotnego gniewu i chronicznego bólu, nie wpływa pozytywnie na jego samopoczucie.

– Dopóki Ella pomagała mu finansowo – ciągnąłem wywód – panował nad swoimi uczuciami. Zakręciła kurek, on potraktował to jako kolejne porzucenie. Przychodzi się z nią zobaczyć, prosi, ona mówi „nie”. Tony zaczyna się klócić. Matka się wścieka. Jeśli rzeczywiście straciła kontrolę nad emocjami i zagroziła, że zmieni testament, zostawi wszystko Armii Zbawienia, to mogło przechylić szalę.

– Powiedziała Barone, że nie chce mieć oryginału testamentu w domu. Może żeby chronić go przed Tonym.

– Milion trzysta za dom – przypomniałem. – To bardziej niż kuszące. Jeśli Tony ma problem z hazardem, może znać ludzi, którzy przyjęliby zlecenie.

Milo przez chwilę prowadził w milczeniu.

– To scenariusz logiczny jak każdy inny, ale Hochswelder nazwał Tony’ego impulsywnym hazardzistą na podstawie opowieści z drugiej ręki o pojedynczym wydarzeniu. Do tego nie lubi Tony’ego, więc wszystko, co mówi, jest podejrzane. – Przecnicę później: – Niechlujny tłusty facet, nie dekorator wnętrz, kwiaciarz ani choreograf, miałby być gejem? Wykluczone.

Zaśmiałem się.

– Uważasz, że jego orientacja ma znaczenie?

– A ty nie?

– To znaczy?

– Kolejna rzecz nie do zaakceptowania przez matkę – powiedział. – Rodzice bywają pod tym względem wybredni.

Po powrocie na posterunek Milo skontaktował się z funkcjonariuszem obserwującym Tony’ego Mancusiego. Obiekt opuścił swoje mieszkanie raz, by kupić burrito i napój gazowany w budce przy Sunset niedaleko Hillhurst. Niewielka odległość, ale Mancusi pojechał samochodem, który wykorzystał jako jadalnię, pożywiając się na parkingu.

– Funkcjonariusz Ruiz zauważył też, że obiekt wyrzucił śmieci przez okno samochodu na ziemię, zamiast skorzystać z kosza na śmieci trzy metry dalej. Funkcjonariusz Ruiz zaczął wypisywać obiektowi mandat. Kiedy wskazałem funkcjonariuszowi Ruizowi, że śmiecenie na prywatnej posesji jest niegrzeczne, ale nie karalne, był wyraźnie rozczarowany.

– Stara się – stwierdziłem.

– Dwadzieścia jeden lat, sześć miesięcy po akademii. Dwaj pozostali są tak samo zieloni. Czuję się, jakbym prowadził przedszkole, ale przynajmniej mają motywację.

– Mancusi pojechał gdzieś po obiedzie?

– Prosto do domu i nadal tam jest. Bardzo bym chciał mieć podstawy do wglądu w jego billingi.

Przejrzał kartki z wiadomościami na biurku, pierwsze cztery wyrzucił, piątą przeczytał.

– Cudom nie ma końca – powiedział. – Sean zrobił się kreatywny.

Binchy, choć wciąż oficjalnie w kradzieżach samochodów, przeczesał raporty z incydentów, które wydarzyły się w czasie kradzieży bentleya. Nie znalazł zabójstw, gwałtów i napadów, tak samo jak Milo. Ale młody detektyw posunął się dalej i trafił na zgłoszenie zaginięcia młodej osoby.

Milo zadzwonił do niego, chrząknął z aprobatą wysłuchał wszystkich szczegółów.

– Katrina Shonsky, dwadzieścia osiem lat, typ kaukaski, blond włosy, piwne oczy, metr sześćdziesiąt dwa, pięćdziesiąt kilo. Tamtej nocy wyszła na imprezę z przyjaciółkami, do domu pojechała sama i słuch o niej zaginął. Matka zgłosiła zaginięcie trzy dni później. Tyle czasu trwało, zanim wpisali to do komputera.

– Brawo – powiedziałem. – Prowadzisz dobre przedszkole, papo Sturgis.

Państwo Hedgesowie mieszkali w przestronnym apartamencie na trzynastym piętrze luksusowego budynku przy Wilshire Corridor. Szklane ściany oferowały widok na południe, odcinający ocean i ukazujący Inglewood, Baldwin Hills, trasy przelotowe. Wysokość i bezgwiezdna noc zmieniły kilometry identycznych domów w świetlny show.

Royal i Monica Hedges siedzieli na niskiej czarnej kanapie Roche-Bobois, paląc papierosy. Podłogi apartamentu były z czarnego granitu, ściany z białego, brokatowego, połyskującego

gipsu, obrazy wielkie i plamiste, z przewagą szarości.

Monica Hedges miała między pięćdziesiąt a sześćdziesiąt lat. Drobna blondynka, tak chuda, że prawie zasuszone, piwne oczy otoczone głębokimi zmarszczkami, twarz naciągnięta bardziej niż nakazywałby rozsądek i wspaniałe nogi, odsłaniane przez krótką czarną sukienkę.

Royal Hedges wyglądał co najmniej na siedemdziesiątkę, miał rudobrazowy tupecik, tak dobry, że prawie mylący, i szpicbródkę ufarbowaną na podobny kolor. Był ubrany w czerwoną jedwabną koszulę, białe spodnie, różowe zamszowe mokasyny. Zasłonił czwarte ziewnięcie dłońmi z plamami wątrobowymi i strzepnął papierosa do chromowanej popielniczki.

– Katrina to moje jedyne dziecko – powiedziała Monica. – Z drugiego małżeństwa. Jej ojca dawno nie ma.

– Co się stało? – spytał Milo.

– Nie żyje. – Ton głosu świadczył, że to żadna strata.

– Nie panikuję, poruczniku – powiedziała Monica – ale zaczynam się trochę denerwować. Katrina robiła już głupie rzeczy, ale martwię się o nią, matki już takie są. Chociaż spodziewam się, że za chwilę tu wejdzie ze swoją typową, głupią wymówką.

– Zaraz wracam. – Royal poklepał żonę po kolanie i wyszedł.

– Mężczyźni i ich hydraulika – westchnęła Monica Hedges. – Będzie tak wychodził i wracał bez przerwy. Jesteśmy małżeństwem od dwóch lat i tak naprawdę nie zna Katriny.

– Czy jest jakiś przyjaciel albo krewny, do którego Katrina mogła pojechać z wizytą? – dopytywał Milo.

– Chodzi panu o rodzinę jej ojca? Nigdy. Norm Shonsky nie brał udziału w życiu Kat, jego klan też. – Lekceważące machnięcie ręką. Żadnego zaciekawienia, dlaczego ktoś ze stopniem Miła przychodzi w sprawie zaginionej osoby. Przy swoich dochodach przywykła do luksusowej obsługi. – Poza tym Katrina nie jeździ z wizytami. Zwykle wybiera się gdzieś pod wpływem impulsu.

– Dokąd jeździ?

Kolejne machnięcie.

– Wszędzie. Do Meksyku, Europy. Raz dotarła nawet na Tahiti. To właśnie nazywam głupotą. Znajdzie tani lot w Internecie, nie robi żadnych planów, tylko leci w radosnym oglupieniu.

– Sama.

Cisza.

– Pani Hedges?

– Przypuszczam, że są jacyś mężczyźni – odparła. – Jeśli nie podróżuje z nimi, na pewno znajduje sobie towarzyszy po drodze. Ostentacyjnie mi o tym opowiada, kiedy wraca.

– To znaczy o czym?

– O swoim zachowaniu, którego nie pochwalam. Robi to tylko i wyłącznie po to, żeby mnie zdenerwować. Wyjątki stanowią tylko takie sytuacje, kiedy nie weźmie ze sobą dość pieniędzy.

Wtedy dzwoni do mnie zdesperowana. Opowiada o widokach, muzeach, zacisznych starych kościołach. – Zaciągnęła się łąpczywie papierosem. – Kocham córkę, poruczniku, ale potrafi być trudna.

– Kiedy widziała ją pani po raz ostatni?

Wahanie.

– Plus minus miesiąc temu. Nie pokłóciliśmy się, nic takiego. Ale Katrina wmówiła sobie, że musi być niezależna. Innymi słowy, nie kontaktować się z matką, dopóki nie zmuszają do tego finanse. Nie wiedziałabym, że zniknęła, gdyby jej przyjaciółka nie zadzwoniła spytać, czy Katrina jest u mnie.

– Która przyjaciółka?

– Beth Holloway. Nigdy nie spotkałam tej dziewczyny. Była z Katrina w klubie, rozdzieliły się, od tamtej pory Katrina nie dawała już znać o sobie.

Milo odczytał adres w Van Nuys z prawa jazdy Katriny Shonsky.

– Zgadza się, proszę pani?

– Tak.

– Mieszka sama?

– Owszem. W jakiejś ponurej norze.

– Czy obecnie są w jej życiu jacyś mężczyźni?

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Głos Moniki Hedges przycichł przy końcu zdania, jakby powątpiewała we własne słowa. – Katrina strzegła swojej prywatności.

– Od jak dawna mieszka pod tym adresem?

– Piętnaście miesięcy. – Monica zdusiła papierosa, popatrzyła na rozwiewającą się wstęgę dymu.

– Co do strzeżenia...

– Nie wtajemniczała mnie w swoje życie osobiste.

– Proszę się nie obrazić, ale czy uważa pani, że mogła coś ukrywać?

– Oczywiście, poruczniku. Jeśliby spotykała się z kimś dobrze sytuowanym, nie wątpię, że obnosiłaby się z tym tylko po to, żeby mi udowodnić, że się mylę.

– W czym?

– To śliczna dziewczyna. Ciągle jej powtarzam, że powinna się wznieść wyżej, obracać w innych kręgach. Royal i ja jesteśmy członkami Riviera Country Club. Co chwila urządzają spotkania towarzyskie. Kiedy dzwonię do Katriny, żeby ją tam zaprosić, śmieje się, a potem wpada w paskudny nastrój.

– Woli robić wszystko po swojemu.

Wzrok Moniki powędrował do drzwi wejściowych.

– Po prostu wiem, że skończą się jej pieniądze i wmaszeruje tu dosłownie za moment.

– Ma pani jej aktualne zdjęcie, które moglibyśmy zatrzymać?

Monica sięgnęła po następnego papierosa, przeszła przez salon, skręciła za róg. Usłyszeliśmy

stłumione głosy. Ton sugerujący napięcie.

Wróciła sama, niosąc niezapalonego papierosa w jednym ręku, w drugim błyszczące zdjęcie.

– To sprzed czterech lat, ale Katrina bardzo się nie zmieniła. – Dotknęła własnego policzka.
– Dobre geny. Zdjęcie zrobiono na weselu kuzynki. Katrina była druhną. Po długich narzekaniach na sukienkę.

Ładna dziewczyna z twarzą w kształcie serca, ubrana w szeroką w ramionach, satynową suknię koloru martwego beżu. Niedopasowane, bufiaste rękawy podjeżdżały za wysoko na gładkich ramionach. Jasne włosy upięte w górze i poskręcane w loki przypominały mosiężne pęta kielbasy. Usta ułożyła w uśmiech, ale reszta jej twarzy wyrażała pogardę.

– A więc – odezwał się Milo – sądzi pani, że Katrina jest na kolejnej wycieczce, ale zgłosiła pani zaginięcie córki na wszelki wypadek.

– Wiem, że nie pojechała daleko, bo nie zabrała paszportu.

– Była pani w jej mieszkaniu?

– Udało mi się przekabacić gospodarza i przeczesalam wszystko. Od razu posprzątałam. – Wymownie przewróciła oczami. – Paszport znalazłam w szufladzie komody. Jeśli zabrała ubrania, to niewiele, poruczniku. Ale Katrina jest zdolna wyskoczyć gdzieś z samą torebką i kartą kredytową.

– Jest pani współwłaścicielką karty?

– Nie. Z tym już koniec, Katrina przekroczyła mój limit kredytu. Dostała więcej z tysiącem dolarów miesięcznie i ma płacić własne rachunki. I na ogół płaci. – Skrzyżowała palce.

– Bez paszportu, bez ubrań... – zastanawiał się głośno Milo. – Chyba nie wybrała się na dalekie wakacje.

– W niektórych miejscach wystarczy mieć bikini i kieliszek do wina. Możliwe też, że kupiła ubrania za zniżkę pracowniczą.

– Pracuje w branży odzieżowej?

– Sprzedaje ubrania w butikiu La Femme w Brentwood. Droga tandeta, jeśli chce pan znać moje zdanie. Proponowałam, że załatwię jej posadę w Harari albo w którymś ze sklepów przy Rodeo, przez Royala. Zajmował się kiedyś produkcją tekstyliów. Miał wielką firmę, która wykonywała zlecenia dla sporych firm odzieżowych.

Obróciła w palcach papierosa, sięgnęła po białą onyksową zapalniczkę. Milo był szybszy.

– Praca Katriny – powiedziała między pociągnięciami – nie ma przyszłości. Zresztą jak wszystkie poprzednie. Moim zdaniem, w głębi ducha córka uważa, że nie zasługuje na nic innego, bo nie ma wykształcenia.

Wyleciała z liceum, w końcu zdała maturę eksternistycznie, wytrzymała semestr w Santa Monica Community College. Plan był taki, że skończy dwa lata i przeniesie się na Uniwersytet Stanu Kalifornia. Ale została wyrzucona i zaczęła sprzedawać buty u Freda Segala. Wylali ją za niewłaściwy stosunek do pracy. Powiedziałam, żeby nie kombinowała i wróciła na SMC, musiała tylko wytrzymać półtora roku. Nic z tego.

– Wygląda na to, że Katrina jest trochę zbuntowana – zauważyłem.

– Trochę? – Chrapliwy śmiech. – Panowie, bardzo kocham córkę, ale jestem przekonana, że wierzy, iż kiwanie mnie to klucz do jej tożsamości. Zawsze była trudnym dzieckiem. Miała kolki; słodka buźka, ale darła się całą dobę na okrągło. Kiedy to się wreszcie skończyło, zaczęła wcześniej chodzić, wszystko ją ciekawiło. Zawsze nienawidziła szkoły. Mimo że jest inteligentna. Umie śpiewać, ale nie chce zapisać się do chóru. Ma świetną figurę, mogłaby zostać cheerleaderką. – Westchnęła. – Może w końcu dojrzeje.

– Wróćmy do tamtej nocy – powiedział Milo. – Katrina poszła do klubu z dwiema przyjaciółkami. Beth Holloway i...?

– Rianną.

– Do którego klubu poszły?

– Jakiejś spelunki w Zachodnim L.A., raczej stodoły niż porządnego klubu.

– Była pani tam?

– Pojechałam wczoraj i rozmawiałam z jakimiś potwornymi ludźmi, bramkarzami. Paskudna przemysłowa okolica przy Pico, jedna z bocznych uliczek. Spotkałam się też z menedżerem. Nikt mi nie pomógł. Powiedzieli, że był tłum, nie pamiętają Katriny ani żadnej innej konkretnej osoby. Na terenie obiektu nie ma kamer. Czy to nie głupota, poruczniku?

– Ja bym to urządził inaczej – przyznał Milo. – Jak się nazywa klub?

– Light My Fire.

– Jak piosenka.

– Słucham?

– Ma pani numery telefonów do Beth i Rianny?

– Nie, ale mogę panom powiedzieć, gdzie je obie znaleźć. Beth mówiła, że sprzedaje biżuterię w sklepie niedaleko La Femme, a Rianna pracuje w stoisku z kosmetykami w Barneysie.

– Jak się nazywa ten jubiler?

– San Vicente przy Barrington. Martwiłabym się, gdyby chodziło o kogoś innego niż Katrinę. Nawet o nią trochę się już niepokoję. Co pan dla mnie zrobi, poruczniku?

– Ile najdłużej jej nie było? – spytał Milo.

– Dziesięć dni. Hawaje. Odwiedziła wszystkie wyspy, ani razu nie zadzwoniła, wróciła z najmocniejszą opalenizną, jaką widziałam. Wyglądała jak Meksykanka. Innym razem spędziła dziewięć dni w Cozumel, na jakiejś promocji.

– A więc obecne zniknięcie pasuje do schematu.

– To znaczy, że nic pan nie zrobi?

– Nie, przyjrzę się sprawie. Czy Beth Holloway mówiła, jak to się stało, że Katrina oddzieliła się od przyjaciółek?

– Powiedziała, kiedy zapytałam ją drugi raz. Plan był taki, że Rianna miała prowadzić, ale pojechały samochodem Katriny. Rianna i Beth dały się poderwać dwóm mężczyznom i spytały

Katrinę, czy mogą się rozdzielić. Twierdzą, że Kat nie miała nic przeciwko. Wtedy widziały ją po raz ostatni.

– Wątpi pani, że córka zgodziła się na tę zmianę planów?

– Ona źle znosi rozczarowania, poruczniku. Jej nauczyciele nazywali to niską odpornością na niepowodzenia. Martwi mnie, że mogła próbować się na nich odegrać. Sama poznała jakiegoś mężczyznę, a potem uciekła, Bóg wie dokąd.

– Bez paszportu.

– Jeśli człowiek szuka zabawy, może ją znaleźć wszędzie. – Monica Hedges rozluźniła się na chwilę, jakby coś wspominając.

– Jeśli Rianna miała prowadzić, to znaczy, że Katrina tego wieczoru piła – analizował głośno Milo.

– Uwielbia Long Island Iced Tea. To taki byle jaki koktajl, zlewki, które rozmiękczają mózg. Ciągle jej powtarzam, trzymaj się klasycznych drinków. Martini albo manhattan, nigdy z lodem. W ten sposób wiesz, ile wypijaś. Ale co tam? Dla niej wszystko z likierem owocowym i prądem to martini.

– Czy zdarzało się jej przesadzić z alkoholem?

Monica Hedges zmieniła pozycję.

– Czasami.

– Martwi się pani, że mogła wracać do domu pod wpływem?

– A jeśli, Boże uchowaj, miała wypadek? Ale dzwoniłam do patrolu autostrady i powiedzieli, że nic się tej nocy nie zdarzyło.

– Zwykle jeździ trasą numer 405?

– Nie wiem – odparła. – Najprostsza droga do Valley, prawda? – Zmarszczyła czoło. – Mieszkała kiedyś niedaleko uniwerku razem z inną dziewczyną, hinduską studentką, która bez przerwy siedziała z nosem w książkach. A to nie w stylu Katriny, długo nie wytrzymała. Narzekała, że wszyscy dokoła to studenci i przez to czuje się staro. Podejrzewam, że wstydziła się własnego braku wykształcenia. Wierzyłam, że to ją zmotywuje, ale nie. Chciała mieć własne mieszkanie. Stwierdziła, że czynsze po tej stronie wzgórza są za wysokie. Obiecałam, że pomogę. Nie skorzystała z propozycji, spakowała się i wyniosła do Van Nuys. Chociaż upiera się, że to Sherman Oaks. Czy to logiczne, poruczniku? Odrzucić szczerą ofertę pomocy?

– Dzieci – westchnął Milo.

Monica Hedges zaciągnęła się wściekle.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Co konkretnie zamierza pan dla mnie zrobić?

– A co by pani chciała?

To ją zaskoczyło. Popiół spadł na granitową podłogę.

– Żebyście wysłedzili, gdzie jest moja córka. Użyjcie swojego komputera, sprawdźcie bilety lotnicze, pokwitowania z karty kredytowej, billingi telefonu. Roześlijcie portrety pamięciowe.

– Proszę pani, bez dowodów przestępstwa to by było naruszenie jej prywatności.

- Och, niech pan da spokój – oburzyła się Monica Hedges.
- Przykro mi, ale tak już jest. Gdyby była nieletnia, wszystko wyglądałoby inaczej.
- Mentalnie jest na poziomie czternastolatka.

Milo się uśmiechnął.

- Czyli nic nie można zdziałać?

– Zrobimy tyle, na ile nam pozwala prawo. Porozmawiamy z jej przyjaciółmi, złożymy wizytę w klubie...

- Już to wszystko zrobiłam.

– Czasami warto spróbować ponownie, proszę pani. Poszukamy też jej samochodu. Czy ciągle jeździ żółtym mustangiem zarejestrowanym na jej nazwisko?

– Tak, ale już niedługo. Właśnie dostałam zawiadomienie, że nie zapłaciła ostatnich dwóch rat. Podżyrowałam kredyt. Umówiliśmy się, że ja dam zaliczkę, a ona będzie spłacać raty.

– Proszę mi podać dane kredytodawcy, a ja się zorientuję, czy samochód został skonfiskowany.

- Już sprawdziłam. Nie, nie został.

- Wygląda na to, że sporo pani zrobiła.

– Jeśli chcesz, żeby coś było zrobione dobrze, zrób to sam. A więc nie zamierzacie podjąć żadnych innych działań? Nie brzmi to zbyt obiecująco.

– Zaczniemy od początku i zobaczymy, dokąd dotrzemy, pani Hedges. Proszę do mnie zadzwonić, jeśli coś pani przyjdzie do głowy.

– Och, zadzwonię, może pan być pewien. – Wstała, podeszła szybkim krokiem do drzwi, przytrzymała je otwarte.

– Zadam pani jeszcze jedno pytanie – powiedział Milo. – Może panią zaniepokoić, ale to pytanie rutynowe, w razie gdybyśmy trafili na raport o wypadku drogowym.

Monica Hedges wyprostowała się i mocno zaciągnęła papierosem.

- Tak?

- Czy zna pani grupę krwi Katriny?

- To... upiorne.

- Zwykła procedura, proszę pani.

– Też macie procedury – prychnęła Monica Hedges. – Na pewno nie chciałabym takiej pracy.

Milo się uśmiechnął.

- Większość osób nie chce.

- I ja jestem jedną z nich... Grupę ma taką samą jak ja: 0Rh+. Najbardziej popularną.

Zaciągnęła się i odprowadziła nas wzrokiem do windy. Kiedy wsiadaliśmy, usłyszałem jej głos:

- Jesteś wreszcie, kochanie. Wszystko w porządku?

Drzwi się zatrzasnęły.

Milo poprosił parkingowego apartamentowca, żeby trzymał nieoznakowany radiowóz pod ręką. Kiedy wyszliśmy przed budynek, samochodu nie było, a parkingowy stukał w swoje blackberry.

Głośnie odchrząknięcie sprawiło, że mężczyzna podniósł wzrok.

– Gdzie crown victoria?

– Musiałem przestawić, za duży tłok. Żadnych samochodów w zasięgu wzroku.

– Mógłbyś przyprowadzić? – powiedział Milo. Dodał „proszę”, od którego parkingowy aż się wzdrygnął.

Facet oddalił się w stronę podziemnego parkingu.

– Kariny Shonsky nie ma już od ponad tygodnia – powiedział Milo. – Najdroższa mamusia uważa, że to fochy.

– Albo mocno wszystko wypiera.

– Mówi, że się denerwuje, ale ja słyszę tylko gniew.

– Gniew może maskować strach – stwierdziłem.

Spojrzał na swojego timeksa.

– Gdzie on, do cholery, go postawił, w Chula Vista? Najpierw Tony, jego matka i Hochswelder, teraz ta zgrana drużyna. Zostały jeszcze jakieś szczęśliwe rodziny?

– W naszych zawodach raczej ich nie spotkamy.

– I co sądzisz o naszej zaginionej dziewczynie? W sumie wiele razy znikła pod wpływem impulsu.

– ORh+, taka sama grupa krwi jak w bentleyu – przypomniałem.

– Nie słyszałeś mamuśki? Najpopularniejsza grupa. Jakby to był jakiś konkurs. Dziewczyna dorastała z kimś takim, rozumiem potrzebę ucieczki.

– Atmosfera ciągłej rywalizacji mogła też sprawić, że Katrina stała się podatna.

– Na co?

– Na ostentacyjne bogactwo. Mama nosi się bogato, ale Katrina ma kiepsko płatną pracę. Jeśli wyszła z klubu zawiana i z poczuciem porzucenia przez koleżanki, samochód za dwieście tysięcy zatrzymujący się obok musiał się wydawać darem niebios. Miałyby o czym opowiadać mamusi.

– Jeśli ktoś ją zabrał, to nie w Light My Fire. Byłem tam w zeszłym roku, tropiłem ślad w sprawie morderstwa narkotkowego. Główna klientela to akrylowe koszule, kilogramy żelu na włosach i umiejętności taneczne gorsze niż moje. Gdyby ktoś tam podjechał bentleyem Heubela, bramkarze i cała reszta by zauważyli, a kiedy tylko facet wyszedłby na parkiet, oblażłoby go z pięćdziesiąt kobiet.

Zadzwoił do klubu, poprosił z menedżerem, spojrział jeszcze raz na zegarek, skrzywił się. Po drugiej stronie ktoś podniósł słuchawkę. Nastąpiła krótka rozmowa.

– Facet się zaśmiał. „Co pan myśli, że to posiadłość »Playboya«?” Powiedział też, że tamtej nocy w klubie nie wydarzyło się nic niezwykłego; mówił to już „wścibskiej matce”.

– Jeśli Katrina była zła, że przyjaciółki ją porzuciły, mogła uderzyć do innego klubu, spróbować odbić sobie wieczór. A może pojechała do domu pijana i miała problem z samochodem. Przed chwilą słyszeliśmy, że jest impulsywna. I przestała płacić raty za mustanga. Jedno i drugie zwiększa prawdopodobieństwo, że kiepsko o niego dbała. Równie dobrze mogło jej zabraknąć paliwa, gdzieś utknęła.

– Pijana dziewczyna, sama w nocy, pan Worek Forsy przejeżdża obok i mówi „wskakuj”. Albo poleciała na Hawaje.

– Strzegła swojej prywatności przed matką – powiedziałem – ale jej przyjaciółka była wystarczająco mocno zmartwiona, żeby do tej matki zadzwonić.

– Gdyby wóz się popsuł na 405, nawet późno w nocy ktoś by zauważył.

– Była po kilku drinkach, więc może wybrała mniej ruchliwą trasę.

– Albo zupełnie się pogubiła i pojechała na południe, Alex. Wtedy trafiłaby w naprawdę paskudne okolice.

– Czemu nie zacząć od najprostszego założenia? Kiedy jadę na północ i chcę uniknąć autostrady, wybieram Sepulveda Pass. Późno w nocy, kiedy minie się już Sunset, jest tam prawie pusto, szybko się jedzie. Ale to oznacza także, że jeśli samochód się zepsuje, to na odludziu.

Z wyjazdu z podziemnego parkingu rozległ się warkot silnika. Parkingowy wyjechał błękitnym jaguarem sedanem, wysiadł i stanął przy drzwiach kierowcy.

Milo do niego podszedł.

– Skoro nalegasz.

– He?

– Zamienię się, jak dorzucisz przedłużoną gwarancję. Parkingowy rozdziawił usta. Milo przysunął się do faceta tak, że zaledwie centymetry dzieliły ich twarze.

– Gdzie crown victoria, przyjacielu?

– Dostałem telefon od mieszkańca.

Milo wyjął komórkę.

– Mam do ciebie też zadzwonić? Podaj numer, kolego. A potem pokaż mi dowód do oficjalnego policyjnego dochodzenia.

Parkingowy nie odpowiedział. Milo błysnął odznaką.

– Przeprowadzaj, ale już.

– Państwo Lazarus zaraz wychodzą i...

– Ja im pomogę. Leć.

Parkingowy zaryzykował kontakt wzrokowy. To, co zobaczył, sprawiło, że czmychnął.

Milo zerknął na jaguara.

– Tani wózek, phi. Myślisz, że pan Złodziej Bentleyów śledził Katrinę?

– Albo szukał ofiary, a ona trafiła w jego gust.

– Seksualny psychopata – podsumował Milo. – Jak to się ma do Elli Mancusi?

– Dreszcz emocji polowania – odparłem.

– Może i tak. Normalnie skreśliłbym Katrinę jako niewartą mojego czasu. Ale kiedy ktoś kradnie dwa duże czarne wozy, a w cholernym bentleyu jest krew... – Pokręcił głową.

Jacyś starsi państwo wyszli z budynku, zobaczyli Mila obok jaguara. Zatrzymali się.

Milo się wyszczerzył.

– Dobry wieczór, państwo Lazarus. – Zamaszystym gestem otworzył najpierw jedno, potem drugie drzwi. – Życzę miłego dnia.

Para nerwowo podeszła do samochodu. Wsiedli, odjechali z piskiem opon.

Chwilę później parkingowy z rykiem silnika wyjechał nieoznakowanym radiowozem i z piskiem opon zahamował. Milo wcisnął mu w dłoń piątkę.

– Nie trzeba – wymamrotał parkingowy.

– I nie zasłużyłeś. Miłego życia.

Pojechaliśmy Sepulveda Pass na północ aż do południowej granicy Valley, tuż przed Ventura Boulevard, potem jeszcze kilka kilometrów. Na północ od Wilshire ciągnął się płaski teren cmentarza weteranów, dalej małe firmy i mieszkania. Za nimi – łagodne wzgórza zwieńczone światłami. Ruch był nieduży. Ani śladu samochodu Katriny Shonsky.

– Trudno – powiedział Milo, kiedy wracaliśmy do miasta. – Gdybym lubił proste życie, zostałbym farmerem.

– Zawsze można jeszcze sprawdzić trasę na południe – podsunąłem.

– Dwieście pięćdziesiąt kilometrów do Meksyku. Popatrzyłem na podnóża gór na wschodzie.

– Sporo tu bocznych uliczek.

– Rozkoszniaček – warknął Milo, skręcając w prawo i zagłębiając się w ciemne, kręte ulice.

Godzinę później:

– Wyślę tu jutro patrol, spróbuję złapać przyjaciółki Katriny. Równie dobrze mogą nam opowiedzieć coś zupełnie innego. Na przykład, że jest z menelem, który nie spodobałby się mamie. I nie wspominaj więcej o ORh+. Nie mam nastroju na popularność.

Światło wylewało się z okien pracowni Robin na podwórku. Minąłem staw, przystanąłem, żeby zajrzeć do małych koi. Antyczne żelazne lampy ogrodowe pozwalały dobrze widzieć całą faunę i florę. Ryby miały już po osiem, dziesięć centymetrów. Podskakiwały wesoło w nurcie wytwarzanym przez wodospad.

Na początku zobaczyłem je jako świeżo wyklute narybek. Tuzin maleńkich strzępków rybiej tkanki, nieustraszenie pływających między półmetrowymi dorosłymi osobnikami. Koi zjadają własną ikrę, ale kiedy młode się wyklują, nigdy nie zrobią im krzywdy. W przeciwieństwie do

innych ryb nie dręczą chorych ani zdychających współplemieńców. Może dlatego potrafią przeżyć ponad wiek.

Poszedłem dalej do pracowni, zastukałem w okno. Robin spojrzęła znad warsztatu i się uśmiechnęła. Przyłożyła biały prostokąt alpejskiego świerku do ucha i postukała w niego. Szukała dźwięków, które powiedziałyby jej, że drewno może się nadawać na płytę wierzchnią. Sądząc po rozmiarach deski – do mandoliny.

Wyraz jej twarzy, kiedy odkładała świerkowy materiał na bok, mówił, że nic z tego. Gdy wszedłem, miała już w ręku drugi kawałek. Blanche leżała na jej kolanach, błoga jak zawsze.

– Cześć! – zawołała Robin.

Blanche wydała z siebie dyszące, buldoże powitanie.

Kiedy Robin mnie pocałowała, suczka odwróciła głowę w bok, i szturchnęła mnie nosem w rękę.

– Blondynka i ruda – powiedziałem.

– Ale z ciebie szczęściarz.

Zerknąłem na odrzucony świerk.

– Nie ma muzyki?

– Nie, choć mój klient i tak by nie zauważył różnicy. – Popatrzyła na pudełko z nakleją FedEksu w kącie. – Dowiedziałeś się czegoś o tej biednej staruszce?

– Robocza hipoteza jest taka, że miał z tym coś wspólnego jej syn, ale nie zdobyliśmy nawet najmniejszego dowodu.

– Żeby syn zrobił coś takiego matce. – Pokręciła z niedowierzaniem głową.

Znów spojrzęła na pudełko w kącie.

– Nowe narzędzia? – spytałem.

– Kolekcja DVD. Od pana *Dotcoma*. Dziesięć filmów z Audrey Hepburn i liścik, że mu ją przypominam.

Hepburn miała metr siedemdziesiąt i budowę wieszaka na ubrania. Robin: metr sześćdziesiąt w dobry dzień i wszędzie ładnie zaokrąglona.

– Obie jesteście śliczne.

Rozprostowała palce jak zwykle, kiedy jest zdenerwowana.

– Zachowywał się niestosownie?

– Właściwie nie.

– To znaczy?

– Kiedy go spotkałam na wystawie lutniczej, był trochę drażliwy, ale... to nic niezwykłego.

– Cóż, Audrey Hepburn nakręciła kilka niezłych filmów.

– Przesadzam, co?

– Może snuje jakieś fantazje. Tak się dzieje bez przerwy.

– Czyli?

– Mężczyźni ciągle się za tobą oglądają. Masz czynnik X, feromony. Zresztą, jak zwał, tak

zwał.

– O, jasne.

– Nie zauważasz tego, bo nie flirtujesz.

– Bo jestem zakręcona?

– Czasami to też.

– Alex! – Karcący wzrok. – Nie byłam nigdy nawet blisko żadnej sugestii, że chodzi o cokolwiek innego niż biznes.

– Ty nie...

– Świetnie. – Zmrużyła oczy z udawaną złością.

– Hej, co może się wydarzyć najgorszego? On wykona ruch, a ty go łagodnie odsuniesz. Możesz mu wysłać e-mailem przyjazny, ale oficjalny list z podziękowaniami za filmy i napisać, że z przyjemnością je ze mną obejrzysz.

Pogłaskała Blanche.

– Masz rację, jestem głupia. Jak to mówili w szkole: zrozumiiała. – Dotknęła kółka kolczyka. Odrzuciła włosy. U niej ten ruch wyglądał o wiele lepiej niż u Tony'ego Mancusiego.

Skubnąłem górny guzik jej bluzki.

– Czynniki X, co? – Uniosła brwi. – Czy to znaczy, że ty jesteś panem Y?

Wybraliśmy dwa filmy i obejrzelśmy je w łóżku. *Rzymskie wakacje* wcale się nie zestarzały po ponad pół wieku. *Śniadanie u Tiffany'ego* tak, i kiedy w końcu pojawiły się napisy, oboje na wpół spaliśmy.

Wyłączając światło, zetknęliśmy się opuszkami palców. Wymamrotałem coś, prawie na pewno czule.

– Audrey Hepburn była piękna – powiedziała Robin. – Ale ja jestem zupełnie inna.

I zasnęła.

O dziesiątej następnego ranka odebrałem Mila z posterunku i pojechaliśmy do Barney'sa w Beverly Hills.

Na parterze chude dziewczyny sprzedawały kosmetyki. Blondynka specjalizująca się w lakierach do paznokci wskazała nam Rianę Ijanović.

Wysoka, szczupła brunetka, jedno stoisko dalej.

Uśmiechnęła się do nas przez chmurę zapachów. Na ladzie przed nią stał wachlarz próbników. Kupujący i sprzedawczynie trajkotali. Wszyscy polowali na kolejne odkrycie w poprawianiu samego siebie. Milo się przedstawił, a Rianna odpowiedziała pustym, przestraszonym spojrzeniem zagubionego niemowlaka.

Miała około trzydziestki, była blada i barczysta, z twardymi, ciemnymi oczami, bujnym biustem i twarzą uratowaną przed pięknnością przez przekrzywiony nos i zbyt ostry podbródek.

– Policja? Nie rozumiem.

- Przyszliśmy w sprawie Katriny Shonsky – wyjaśnił Milo.
- Och, och. – Słaby akcent, ledwie słyszalny przez gwar chóru srok.
- Możemy porozmawiać w cichszym miejscu?

Rianna Ijanović klepnęła w ramię inną konsultantkę.

- Zastąp mnie, dobrze?

Wyszliśmy ze sklepu od strony Wilshire, skręciliśmy w Camden Drive, minęliśmy wjazd na parking.

- Ijanović – powiedział Milo. – Czeszka?
- Chorwatka. Jestem tu legalnie.
- Nawet gdyby pani nie była, nie miałyby to znaczenia. Chodzi nam o Katrinę, nic więcej.
- Znam ją tylko przez inną dziewczynę.
- Beth Holloway.
- Tak.
- Byliśmy u Beth, ale dzisiaj nie pracuje, a nie mamy jej numeru domowego.
- W domu by jej pan nie zastał – odparła Rianna Ijanović.
- A gdzie jest?
- W Torrance. Poznała mężczyznę. – Wystawiła język.
- Nie podoba się to pani – odgadł Milo.
- W sumie, jej sprawa.
- Poznała go wtedy, kiedy we trzy poszłyście do klubu?
- Tak.
- Słyszałem, że pani też kogoś spotkała – zagadnął Milo.

Rianna Ijanović zmrużyła czarne oczy.

- Skąd pan wie?

– Od matki Katriny. Beth jej powiedziała.

– Gaduła. – Ułożyła dłoń w kształt kaczego dzioba, klapnęła kilka razy kciukiem o palec wskazujący.

– Jeśli Katrina ukrywa coś przed matką, nic to nas nie obchodzi. Poznanie prawdy na początku oszczędziłoby nam dużo zachodu – wyjaśnił Milo.

- Nie wiem o żadnych sekretach.

– Dlaczego pani uważa, że Beth za dużo mówi?

– Jestem skrytą osobą – powiedziała Rianna. – Beth zachowuje się bardzo po amerykańsku, bez urazy. Wszystkim się dzieli.

– Jest jakiś powód, dla którego Beth nie powinna być otwarta wobec matki Katriny?

– Może... – Popatrzyła gdzieś w dal.

– Jaki?

– Katrina nienawidzi swojej matki.

– Ona sama tak powiedziała?

- Wiele razy.
- Rianno, domyśla się pani, gdzie może być Katrina?
- Ee, przykro mi, nie.
- A po raz ostatni widziała ją pani...
- Tamtej nocy.
- W Light My Fire.
- Tak.
- Niech nam pani opowie o tej nocy.
- Pojechałyśmy do klubu, ja prowadziłam. Beth poznała Seana. Brat Seana to Matt. Beth chciała być z Seanem, więc ja musiałam być z Mattem.
- Musiała pani?
- To przyjaciółka.
- Skąd są Sean i Matt?
- Z Torrance. Mówią, że mają firmę z deskami surfingowymi. A nie mają nic. Sean robi deski w fabryce. Matt chce być aktorem. – Wskazała kciukiem sklep. – Wszyscy tu chcą być gwiazdami albo modelkami.
- Pani też?
- Nie, nie, nie. Ja zamierzam zwyczajnie pracować.
- Co pani robiła w Chorwacji?
- Studiowałam architekturę.
- A więc pani i Beth wyszłyście razem z Seanem i Mattem. I pojechałyście...
- Do Torrance. – Znów pokazała język. – Zadzwoiłam po taksówkę do domu; kosztowała dużo pieniędzy.
- Która to była godzina?
- Czwarta rano.
- A Beth?
- Została – powiedziała Rianna. – Teraz ciągle tam przesiaduje.
- Z Seanem.
- Tak.
- Prawdziwa miłość – skomentował Milo.
- Amerykańska miłość.
- Co sądziła Katrina o tej zmianie planów?
- Nie krzyczała.
- Ale nie była zadowolona.
- Ja też nie byłam. Ale ona bardziej.
- Jak wyraziła swoje niezadowolenie?
- Słucham?
- Co powiedziała?

- Nic. Odwróciła się i poszła.
- Dokąd?
- W młyn.
- Na parkiet.
- Tak.
- Widziała pani, czy z kimś tańczyła?
- Nie widziałam.
- Czy w którymś momencie wieczora koncentrowała się na jednym facecie?
- Nie zauważyłam.
- Nikt, przez całą noc?
- Trudno powiedzieć. Byłam zajęta.
- Mattem.
- Mattem tu i tu, i tu, i tu. – Wykrzywiła się i klepnęła w kark, ramię, pierś, pośladek.
- Namolny facet – stwierdził Milo.
- Owszem. Pan Koleżka Surfer.
- O której pani i Beth powiedziałyście Katrinie, że jedziecie z Seanem i Mattem?
- Szczerze? Nie wiem.
- Proszę strzelać.
- Może pierwsza trzydziści, druga. Oni chcieli się stamtąd wyrwać.
- Beth i Sean.
- Amerykańska miłość – prychnęła.
- Co może nam pani powiedzieć o Katrinie, jaką jest osobą?
- Mówimy na nią Kat. Po dużej katastrofie, nigdy Katrina.
- Nie chce być kojarzona z huraganem.
- Tyle zniszczeń... – powiedziała Rianna Ijanović. – To jak... złe imię dzikiego zwierzęcia.
- Katrina nie jest dzika...
- Jak zwierzę? Nie.
- A w inny sposób?
- To znaczy?
- Lubi balować?
- Bardzo.
- Co jeszcze lubi?
- Ubrania.
- Wygląda na to, że znalazła idealną pracę.
- Słucham?
- Butik Le Femme.
- Za drogo. – Rianna pokręciła nosem. – Nawet ze zniżką dla pracowników. Śmiała się z grubych kobiet w dużych rozmiarach.

- Nie lubi klientek.
- Stare, grube, bogate – zanuciła. – Pewnie przypominają jej matkę.
- Spotkała pani matkę Kariny?
- Nigdy.
- Jest chuda.
- Okej.
- Jakże Katrina ma podejście do pieniędzy?

Zdziwienie w czarnych oczach.

- Czy są dla niej bardzo ważne? – uściślił Milo.
- Dla pana nie?

– Chodzi mi o to, czy są wyjątkowo ważne. Bardziej niż dla innych. Na przykład, czy zaimponowałby jej bogaty facet?

Na twarzy Rianny wolno wykwitł uśmiech.

- Miały jej imponować oferny?
- Spotykała się kiedyś z kimś bogatym?
- Odkąd ją znałam, nie spotykała się z nikim.
- Ile to było?
- Dwa, trzy miesiące.
- Skąd ten brak życia towarzyskiego?
- Mówi, że nigdy nie trafia na właściwych facetów.
- A samochody?
- Nie rozumiem.
- Interesowała się samochodami?
- Czy ja wiem? Nie. Na początku lubiła swojego mustanga. Pierwszą wpłatę zrobił ojczym.
- Miała coś do powiedzenia na jego temat?

Dziewczyna energicznie pokręciła głową.

- Bogaty.
- Dlaczego przestała lubić mustanga?

Wzruszenie ramion.

- Może się jej znudził.
- Katrina szybko się nudzi?
- Fruwa z kwiatka na kwiatek. Jak motyl. Dużo nadpobudliwych osób w Ameryce, nie?

Klientki opowiadają o dzieciach, które skaczą jak kangury. Wszyscy chodzą do psychiatrów.

- Kat ma psychiatrę?
- Nie wiem... Jej matka wynajęła pana, żeby znaleźć Kat?
- Pracujemy dla miasta, Rianno.
- Miasto chce znaleźć Kat?
- Jeśli coś się jej stało.

- Nie sędzę.
- Czemu nie?
- Jest nadpobudliwa. – Czarne tęczówki przemknęły z boku na bok, w górę i w dół. –

Skacze.

- Niespokojna – stwierdził Miło.
- Nieszczęśliwa – powiedziała Rianna Ijanović. – Czasami, kiedy pije, mówi o wyjeździe.
- Dużo pije?
- Za kołnierz nie wylewa.
- Dokąd chciałaby wyjechać?
- Nigdy nie mówi, po prostu gdzieś. Nieszczęśliwa dziewczyna. Nie lubię być z nią bez

przerwy. Ona... czasami można złapać nieszczęście jak katar. To przyjaciółka Beth, ja tylko się przy nich kręcę.

- Da nam pani numer telefonu Beth?

Rianna podyktowała cyfry.

- Mogę wracać do pracy? Potrzebuję tej posady.

- Oczywiście – powiedział Miło. – Dziękuję za poświęcony nam czas. To moja wizytówka.

Jeśli Kat się do pani odezwie, proszę dać mi znać.

- Tak. Ale się nie odezwie.
- Dlaczego?
- Jeśli do kogoś zadzwoni, to do Beth.

Odprowadziliśmy ją do frontowego wejścia do sklepu.

– Czy Kat wspominała o kimś, kto miał bardzo drogie samochody, na przykład ferrari, Rolls-royce'a... bentleya – spytał Miło, zanim doszliśmy do drzwi.

– Mówiła o bentleyu, ale facet nie był bogaty. Chyba się z nim spotykała. Wielka oferma, brudne ręce.

- Mechanik.
- Nazywa go usmarowaną małpą. – Rianna Ijanović się zaśmiała.
- Co w tym śmiesznego? – spytał Miło.
- Usmarowaną mała małpka. Brzmi śmiesznie.
- Jak się nazywa usmarowaną małpka?
- Może... Clyde? Nie wiem na pewno.
- Clyde jaki?
- Clyde usmarowaną małpka.

Zaśmiała się głośniej, pchnęła drzwi i pospieszyła z powrotem do świata masek.

Wyjechałem z parkingu Barneysa, a Miło zaczął dzwonić.

- Clyde, chłopak od bentleya. Znalezienie go nie powinno wymagać cudów detektywistyki.

Zaczął od głównego dealera na Westside. O'Malley Premium Motors znajdowało się na

wschodnim skraju Beverly Hills, ale serwis był przy Pico, w Santa Monica.

Kilka minut od Light My Fire.

Milo zadzwonił, poprosił Clyde'a.

– Tak, to on – powiedział. – Zostałem go? Dzięki. Nie, nie trzeba. Klik.

– Nie Clyde, Clive. Pewnie lubi frytki, ciemne piwo i rzutki. I majstruje właśnie przy drogich angielskich maszynach.

O'Malley Premium Motors – serwis znajdował się tuż przy ceglanym garażu. Kilka nijakich samochodów na parkingu dla pracowników chłono słońce i zanieczyszczenia. Po lewej, na zadaszonym placu „Tylko dla klientów!” pyszniły się symbole pozycji społecznej.

- Stań obok tego niebieskiego rollsa – poprosił Milo.
- Nie muszę najpierw zapytać o zgodę?
- Klepnął w winylową deskę rozdzielczą seville'a.
- Ile przejechało to dzieło sztuki?
- Sto tysięcy na drugim silniku.
- Wytrzymałość zawsze jest lepsza niż bajer, synu.

Poczekalnia była ciasnym skrawkiem wolnej przestrzeni przed pustym ekspresem do kawy. Żadnych krzesel, nic do czytania, nikt nie czekał. Za szklaną przegrodą czarnoskóra kobieta w okularach do czytania przesuwiała kolumny liczb na ekranie komputera.

Milo zastukał w szkło. Szyba się odsunęła.

- W czym mogę pomóc?

Przedstawił się i poprosił Clive'a.

- Clive'a Hatfielda? Czemu?
- Chcielibyśmy z nim po prostu porozmawiać.

Wcisnęła przycisk interkomu.

- Recepcja do Clive'a: Clive do recepcji.

– Mało dziś klientów – zagadnął Milo.

- Nazywamy ich gośćmi – odparła. – Rzadko tu przychodzą.

– Odbieracie i odstawiacie?

– Ci ludzie tego oczekują. Kiedyś robiliśmy to za darmo. Teraz liczymy sto dolarów w jedną stronę i nikt nie narzeka.

- Era obniżonych oczekiwań.

– Słucham?

– Koszty paliwa, co?

– Tak twierdzi szefostwo.

– Kto odbiera i odstawia auta?

– Te same osoby, które je sprzedają.

– Nie mechanicy?

– Z ich pensją? Nie sędzę.

– Praca wymagająca umiejętności.

- Tak mówią.
 - Od jak dawna Clive tu pracuje?
- Przysunęła się bliżej do szkła.
- Podejrzewacie go o coś?
 - Ani trochę.
 - Rutynowe pytania – mruknęła. – Jak w telewizji.
 - Właśnie.
- Wróciła do komputera.

Zaczekaliście pięć minut, potem Milo poprosił, żeby jeszcze raz wezwała Hatfielda.

- Pewnie akurat nie słyszał – wyjaśniła.
 - Możemy tam pójść i go poszukać.
 - Nie, nie trzeba. – Powtórzyła wezwanie.
- Zanim ucichło echo komunikatu, za nami otworzyły się drzwi.
- Słyszałem za pierwszym razem, Esther – odezwał się piskliwy głos. Akcent z Alabamy.
 - Jest wasz. – Esther kiwnęła głową.

Clive Hatfield wytarł czarne ręce w szmatę niewiele czystsza niż jego skóra. Trzydzieści kilka lat, wysoki, z krzywymi nogami, w szarym, prążkowanym kombinezonie. Miał długie, cienkie ciemne włosy z rozjaśnionymi końcówkami, krzaczaste baki i maleńki, złamany nos. Dokładnie przyglądał się nam zmrużonymi oczami, ścierając smar. Brud w końcu trochę ustąpił i zobaczyłem bladą obrączkę skóry na lewym serdecznym palcu.

- Tak?
- Panowie z policji, do ciebie – powiedziała Esther.
- Z policji... co... to żart?
- Porozmawiajmy na zewnątrz – zaproponował Milo.

Hatfield się zawahał, potem mszył za nami.

Minęliśmy jasnoczerwonego continentala GT, na którego Hatfield popatrzył z niesmakiem.

- Trochę krzykliwy – ocenił Milo.

Wzruszenie ramion.

- To ich pieniądze. Dokąd mnie zabieracie?
- Tutaj. – Milo zatrzymał się przy seville'u.

Twarz Hatfielda ściągnęła się, kiedy oglądał mój samochód.

– Czymś takim jeżdżą gliniarze? To jakiś kamuflaż? – Przeciągnął palcem po masce samochodu, zostawił szary ślad. – GM użyło do nich podwozia chevy 2, podrasowało je i dało poczwórną cenę.

- Słyszałem, że bentley continental to audi z wystrojem wnętrza – powiedział Milo.

Hatfield wepchnął szmatę do tylnej kieszeni.

- Siedzi pan w samochodach? Czym pan jeździ po pracy?

- Porsche 928.
- Nie najgorzej. Ale ja bym brał carrerę.
- Clive, przyjechaliśmy w sprawie Katriny Shonsky.

Hatfield odgarnął włosy z oczu. Przy okazji otarł ręką swój krótki nos, zostawił tłustą plamkę na czubku.

- Co z nią?
- Kiedy ostatni raz widział pan tę dziewczynę?
- Co, ma kłopoty?
- Jeśli mógłby pan odpowiedzieć na pytanie.

– Ostatni raz... czyli wpakowała się w kłopoty, jasne. – Hatfield wyjął z bocznej kieszeni paczkę salemów, wydmuchnął dym w stronę kratki czarnego aston martina. – Ostatni raz był wtedy, kiedy zrobiła dramat i wykopała moją dupę ze swojego kwadratu... Powiedziałbym... trzy miesiące temu.

- Kłótnia kochanków?
- Nie było żadnej miłości. – Hatfield się uśmiechnął. – Tylko... wie pan co.
- Związek fizyczny.

– Tylko fizyczny, bez związku – sprostował Hatfield. – Poderwałem ją w barze, kilka razy się spotkaliśmy. Dziewczyna umie udawać. To znaczy w łóżku. Wariuje, jakby miała eksplodować. W końcu się domyśliłem i powiedziałem, żeby nie ściemniała. Wtedy mnie wykopała.

- Który to bar?
- Który bar... – Hatfield podrapał się w głowę.
- To raczej nie jest trudne pytanie, Clive.

– Byliśmy razem w kilku, nie pamiętam tak z marszu. Mieszkam w Północnym Hollywood, ona w Van Nuys, ale chciała pić w Sherman Oaks, Studio City. Mówiła, że to elegancko... pierwszy raz... nie, to nie był byle jaki bar, restauracja, francuska... Chez Maurice. Jadłem stek, ona siedziała przy kontuarze, a kiedy szedłem do łazienki, zobaczyłem jej tyłek na stołku i... zagadałem. Ładna dziewczyna, światło odbijało się w jej włosach, wyglądały jak ze złota. Drobna, ale świetne ciało. Zaczęliśmy zupełnie swobodnie rozmawiać, ona się wyluzowała i o, tak skończyliśmy w jej mieszkaniu. Kilka dni później zadzwoniłem do Kat, zaczęliśmy się spotykać. Ale nic poważnego.

- Jak długo się pan z nią spotykał?
- Hm... dwa i pół, trzy miesiące. Potem zrobiło się, no wie pan.
- Jak?

– Nieciekawie – powiedział Hatfield. – Dziewczyny lubią odstawiać wielkie dramaty. No to co takiego zrobiła, że wpakowała się w kłopoty?

- Dlaczego miałyby coś zrobić?
- Ona nie ma zasad.

– Jakich?

– Za dużo pije. Cholerne Long Island Ice Tea, smakuje jak mrożone szczyny. Czasami za dużo pali, wiecie czego. Czasami za dużo wciąga nosem. Mnie wystarczy piwo, może dwa. Nawet nie tykam jakiegoś gówna.

– Dramat i dragi – podsumował Milo.

– Zdziwiłbyś się pan, ile jest takich lasek. – Hatfield zaciągnął się, czekając na komentarz, który nie padł. – Mnie kręca inne rzeczy. Ścigałem się trochę w Pass Christian. Trzeba dbać o refleks.

– Gdzie jest Pass Christian?

– W Missisipi.

– NASCAR?

– Trochę Pro Street, trochę Dixie Sportsmen. Umiem prowadzić przez sen.

– Katrina przesadza... a więc może refleks ma nie najlepszy – wywnioskował Milo.

– Dla niej liczy się tylko zabawa. Pracuję na dodatkowej zmianie, żeby zarobić na alimenty, a ona życzy sobie homarów. Uważała mnie za prostaka z prowincji, właściwie nigdy nam się nie układało. Jest gównianym kierowcą. Raz dałem jej poprowadzić moją corvette, prawie zatarła skrzynię. Potem nie pozwalałem jej nawet się zbliżyć. Wkurzyła się. Co, wpakowała się w kogoś tym swoim mustangiem?

– Odwiedziła tu pana kiedyś?

Hatfield wyjął szmatę i przelożył z ręki do ręki.

– Może.

– Może?

– Tak, odwiedziła.

– Ile razy.

– Ze dwa? Tak, dwa, za drugim razem miałem przez nią kłopoty. Wmaszerowała na warsztat, jakby była u siebie, pytała o mnie. Nikt tam nie wchodzi oprócz nas, specjalistów.

– Jak na salę operacyjną – zauważył Milo.

– Co?

– Jesteście jak lekarze, szefostwo chce mieć wszystko pod kontrolą.

– Właśnie, jestem jak lekarz. – Hatfield podniósł czarne ręce. – Niektórzy z chłopaków są raczej jak rzeźnicy. – Krzywy uśmiech. – Gdyby klienci wiedzieli, co się tam dzieje...

– A więc Katrina wpadła dwa razy?

– Otóż to: wpadła, to dobre określenie. Nigdy jej nie zapraszałem. Za drugim razem przyniosła mi drugie śniadanie. Jakieś wegańskie gówno, kluski, nieważne. Powiedziałem jej, żeby sobie odpuściła.

– Związek już wtedy się wypalał.

– Nie było żadnego związku. Za dużo dramatów.

– Ale przez dwa, trzy miesiące pan to znosił – wtrąciłem.

– To przez... no wie pan. Żaden związek nie wchodził w grę, bo byłem żonaty. – Pomasował opaskę bladej skóry.

– Czy pana rozwód miał coś wspólnego z Kat? – spytałem.

Hatfield się roześmiał.

– Ni cholery. Miał dużo wspólnego z tym, że się pobraliśmy w wieku siedemnastu lat, dorobiliśmy się czwórki dzieci w cztery lata i rzygaliśmy już na swój widok. Zabrała je wszystkie i wróciła do Columbus.

– Wie o Kat?

– To nie jej sprawa. – Wyszczrzył się i pomasował palec. – Kat nie była jedyna.

– Jest z pana pies na baby – powiedział Milo.

– Ciężko pracuję, regularnie płacę alimenty. Jeśli chcę się trochę rozerwać, nikt mi nie będzie zabraniał.

– Poznał pan jakichś przyjaciół Katriny?

– Nie, a ona nie poznała moich. To było tylko...

– Wie pan co.

– Właśnie. – Hatfield rzucił papierosa na asfalt, powoli go rozdeptał. – Nie powiecie mi, co zrobiła?

– Zagineła.

– Zagineła? Co z tego? Bez przerwy gdzieś znikają.

– Co ma pan na myśli?

– Dzwoniłem do niej, żeby gdzieś razem wyskoczyć, ale głucha cisza. Kilka dni potem Kat oddzwaniała i nawijała, jak to była w Meksyku, na Hawajach, gdziekolwiek. Chwaliła się, że poznała bogatego gościa, który za nią płacił, jadła homara, kraby, filet mignon i nie płaciła za to ani centa. Kiedy słyszałem tę nawijkę, od razu wiedziałem, że będą kłopoty.

– Jak to?

– Zaczynała mieć oczekiwania. Naprawdę myślicie, że coś się stało Kat?

– Nie ma jej od ponad tygodnia.

– Wielkie rzeczy. Ona po prostu bierze i znika.

– Zdarza się panu czasami jeździć tymi samochodami? – spytałem.

– Ee... tak, bez przerwy, sprawdzam auta.

– Krótkie przejażdżki dookoła kwartału?

– Zależnie od problemu. Jeśli klient twierdzi, że hamulce piszczą po dziesięciu minutach jazdy, trzeba pojeździć dziesięć minut. A co, chce się pan przejechać?

– Czy Kat chciała się przejechać?

Hatfield podrapał się po głowie.

– Czemu miałyby chcieć?

– Luksusowy samochód pasuje do homara i fileta mignon – wtrąciłem lekko.

Nie odpowiedział.

- Nagabywała pana? – dociekałem.
- Czemu pan pyta?
- Powiedziała przyjaciółce, że woził ją pan bentleyem.

Gładkie kłamstwo; czasami sam się zaskakuję. Milo odwrócił głowę, żeby Hatfield nie zobaczył lekkiego uśmiechu. Mechanik przymrużył oczy.

- Tak powiedziała?
- Owszem.
- A kto twierdzi, że to prawda?
- Jak dziewczyna zacznie marudzić, potrafi być męcząca – powiedziałem.

Milczenie.

- Clive? – odezwał się Milo.
- Czemu miałbym się do tego przyznać? – obruszył się Hatfield.
- Clive, nie obchodzą nas pana szefowie. Próbujemy tylko wyczuć, jakim typem dziewczyny jest Kat – wyjaśnił Milo.

– Nachalna laska. Tak, mendziła mi, ocierała się tym swoim ciałkiem, opowiadała, co zrobi, jeśli ją przewiozę. „Ślicznie proszę” – podniósł głos do skamlącego altu. – Jednego i tak musiałem sprawdzić, więc zabrałem ją ze sobą.

- Jaki to był samochód? – spytał Milo.
- Rolls phantom.
- Nie arnage?
- Umiem je odróżnić, kolego.
- To było za pierwszym razem, kiedy wpadła, czy za drugim?
- Za pierwszym – odparł Hatfield. – Dlatego właśnie wróciła drugi raz.
- Myślała, że znów się pan zgodzi.

– Myślała, że teraz cały warsztat do niej należy. Wchodzi na halę i pyta, gdzie Clive. Wpadła prosto na kierownika.

- Za pierwszym razem czekała od frontu?
- Wezwała mnie. Jak wy. Byłem zajęty, trochę trwało, zanim wyszedłem. Wkurzyła się. Jak tylko zostaliśmy sami, zaczęła marudzić.

- Przewiózł ją pan kiedyś bentleyem? – spytałem.
- Nie, tylko rollsem.
- Czyim?
- Tego nam nie mówią.
- Podobało się jej?
- Pewnie – prychnął Hatfield. – Kręci ją forsa. Chciała podłapać nadzianego gościa i pokazać go matce. Bo nienawidzi swojej matki. To jej słowa, nie moje. Głupie.

- Co takiego?
- Myślenie, że ktoś jest fajny, bo ma niezłą brykę. Powiem panom, jak to jest: nadziane

dupki wydają mnóstwo kasy, żeby się popisać, a potem boją się wyprowadzić furę z garażu. Machają komuś forszą przed nosem, ale o, srają po gaciach, że jakiś narwaniec ją zauważy i wszystko zabierze.

Milo się roześmiał.

– Żeby pan wiedział, że to śmieszne. – Hatfield zapalił kolejnego papierosa. – Jak znajdziecie Kat, przekazcie jej, że może do mnie zadzwonić, jak chce. Będę nawet udawał, że ona nie udaje. Byłem żonaty przez większość życia, więc znam się na babskich gierkach.

Chciał wracać, ale Milo go zatrzymał, zadał kilka luźnych, ogólnych pytań. Hatfield zrobił się trochę bardziej przyjacielski, opowiedział świński dowcip o kobiecie, szopie i rurze wydechowej. Ale nie miał nic więcej do dodania na temat Kat Shonsky. Kiedy Milo zapytał o noc, kiedy dziewczyna zniknęła, facet odparł:

– Normalnie ni cholery bym nie pamiętał, gdzie się wtedy podziewałem. Ale na szczęście dla mnie, tym razem akurat wiem. Byłem w Columbus. Moja starsza córka miała urodziny.

– Kiedy pan przyjechał i wyjechał?

– Nie wierzycie mi?

– Rutynowe pytanie – wyjaśnił Milo. – Proszę nam pomóc to ustalić i schodzimy panu z głowy.

– Dobra, dobra... kiedy przyjechałem... hm... we czwartek przed tym, jak poszła w tango. Byłem w Columbus cztery dni i pojechałem do Biloxi odwiedzić matkę. Jest w domu starców; kiedy się widzimy, zabieram ją do kasyna, ustawiam wózek przed automatem i czekam, aż matka przegra wszystkie ćwierćdolarówki. Dwa dni potem wróciłem tutaj. Doradziłbym, żebyście sprawdzili moją kartę obecności, ale nie chcę mieć kłopotów z szefostwem, więc nie naróbcie mi koło dupy, co? Jestem z wami szczerzy.

– Niech będzie. Zatrzymał pan przypadkiem bilety lotnicze?

– A po co?

– Poproszę o nazwisko i numer telefonu byłej żony.

– Pan mówi poważnie?

– Śmiertelnie poważnie, Clive.

– O rany.

– Oddaje pan auta na trzech kołach?

Hatfield przygładził włosy, obdarzył nas szczerbatym uśmiechem.

– Jasne, spytajcie, nie ma powodu kłamać. Potem możecie jej szepnąć słówko, że jestem cholernie przystojny.

– Zrobi się, Clive.

– Niech się męczy – wycodził Hatfield. – Powiedzcie też, że widzieliście mnie z jakąś aktorką.

– Nazwisko i numer, Clive.

– Brittany Louise Hatfield. Niech pan trzyma telefon daleko od ucha, dziewczyna potrafi być

głośna.

Milo spisał informacje i odprowadził Hatfielda wzrokiem. Wróciliśmy do recepcji i pokazaliśmy Esther zdjęcie Kat Shonsky. Przyglądała się przez chwilę.

– Nie przysięgłabym, ale to może być ta, która do niego przychodzi. – Przysunęła zdjęcie bliżej. – Niezła. Lepsza niż niektóre inne.

– Clive cieszy się powodzeniem?

– Nie uwierzyłby pan – mruknęła. – Przynoszą mu obiad. Facet musi mieć coś w sobie, ale ja tego nie widzę.

– Nie wygląda na księcia – przyznałem.

– Czystych rąk też nie ma.

– W takiej pracy. – Właśnie. Dlatego ja umawiam się z nauczycielem.

– Clive próbował się kiedyś z panią umówić? – spytał Milo.

– Pan chyba żartuje. – Oddała zdjęcie. – Myślicie, że coś jej zrobił?

– Uważa pani, że byłby zdolny?

– Dla mnie to prostak o nieprzyjemnej osobowości, ale nigdy nie stracił panowania nad sobą ani nie okazał agresji. Ale chyba każdy jest zdolny do wszystkiego. A więc go podejrzewacie...

– Ależ skąd! Najlepiej, gdyby ta rozmowa została między nami.

Esther zdjęła okulary.

– Nie zamierzałam rozpuszczać plotek.

– Oczywiście, że nie. A więc, Clive...

– Jest w porządku – powiedziała. – Jak wszyscy tutaj. Mam bardzo dużo pracy.

Szklane okienko się zatrzasnęło.

Kiedy wyjeżdżałem tyłem z parkingu, bentley zablokował mi drogę. Jeszcze jeden czarny. Czerwone wnętrze. Potoczyłem się do przodu. Bentley ani drgnął. Milo wystawił głowę.

– Pan zrobi miejsce.

Okno kierowcy się opuściło i wychylił się mężczyzna w niebieskiej koszuli.

– Nie umiecie czytać?! – krzyknął. – Tylko dla klientów!

– Ach, ciężkie jest życie samca alfa. – Milo wysiadł i odbył trzydziestosekundową pogawędkę z arogantem. Kiedy wrócił do seville’a, oszołomiony kierowca zrobił mi mnóstwo miejsca.

Skreśliłem w Pico.

– Co sądzisz o Clivie? – spytał po chwili Milo.

– Chłopak ma szorstki urok.

– Dość szorstki, żeby mógł coś zrobić Katrinie Shonsky?

– Nie lubi kobiet – oceniłem. – A ta konkretna kobieta go rzuciła.

– Żona i dzieci wyjechały, był samotny, może się napalił i przypomniał sobie, że jeżdżenie bajeranckimi furami nieźle działało na Kat, więc czemu by nie spróbować raz jeszcze.

– Twierdzi, że nie zna klientów, ale wystarczyłoby, żeby przeczytał zlecenie; od razu by poznał adres Heubela. A jeśli rzeczywiście robił coś przy jego samochodzie, pewnie wiedział o zapasowym kluczyku w nadkolu.

– Cholera – zaklął Milo. – Mógł mieć nawet klucz uniwersalny.

– Z drugiej strony, nie jest podobny do zabójcy Elli Mancusi. I dochodzi sprawa jego alibi.

Milo wystukał numer Brittany Hatfield w Missisipi.

– Cześć, jest twoja mama? Przyjaciel z Kalifornii. Tak, Kali... Pani Hatfield? Mówi porucznik Sturgis z Departamentu Policji Los Angeles. Nie, przykro mi, nie o to chodzi... Rozumiem. Zrobię, co będę mógł, ale najpierw, czy może mi pani powiedzieć... – Długo słuchał, pod koniec trzymał telefon odsunięty od ucha. – Rzeczywiście, kobieta nadaje w systemie surround. Ale ma powód do krzyków. Nasz książę wystawia czeki bez pokrycia. Trzy kolejne miesiące zaległych alimentów. Złożyła wniosek o zajęcie mu pensji. Myślała, że dzwonię w tej sprawie. Niestety potwierdza, że był w Missisipi wtedy, kiedy powiedział. Mieszkał z nią i z dziećmi, a potem pojechał do Biloxi zobaczyć się z „tą swoją pieprzoną mamusią”. – Rozprostował nogi. – Z powrotem donikąd z prędkością nadświetlną.

Jego biurko zaściełały kartki z informacjami. Biuro prasowe dzwoniło z potwierdzeniem, że w wieczornym wydaniu puszcza materiał o morderstwie Elli Mancusi. Milo musiał być dostępny, gdyby potrzebował komentarza. Sean Binchy dzwonił dwa razy, nie zostawił wiadomości.

Gordon Beverly chciał wiedzieć, czy ustalono coś nowego.

– Szesnaście lat, a ta sprawa dalej jest dla nich świeża – powiedziałem. – Ale Tony, który dopiero co stracił matkę, nie zadzwonił.

– Zabawne, co?

Policjant obserwujący Mancusiego potwierdził wyraźną regularność: obiekt cały dzień przebywał w mieszkaniu, późno udawał się na krótką przejażdżkę do tej samej budki z jedzeniem, posilał się burrito w samochodzie, śmiecił, wracał do domu.

Sean wykazał się inicjatywą i przeczesał kwartał Villa Entrada, gdzie porzucono bentleya. Żaden sąsiad nic nie widział ani nie słyszał, nikt nie wiedział o okolicznych młodocianych przestępcach, skorych do kradzieży aut.

Ani śladu mustanga Kat Shonsky.

Milo pomachał kartką z wiadomością od Gordona Beverly'ego.

– Zaczynam się czuć jak pracownik poradni małżeńskiej. Przynajmniej matka Kat nie przeszła jeszcze przez fazę wypierania.

– Mogłaby, gdybyś poprosił ją o próbkę krwi.

– Porównanie DNA mitochondrialnego z krwią z bentleya? Zobaczymy, co z pierwszą próbką. Zalogował się na stronę laboratorium w New Jersey.

– Cały czas na końcu kolejki, a bez potwierdzonego przestępstwa jeszcze długo tam zostanie. Dobra, pora rozczarować Beverlych.

– Wciąż nie rozumiem, czemu Teksas nie przyciśnie Jacksona o konkrety, zamiast marnować ci czas.

– Bo tu nie chodzi o logikę ani etykę, Alex. To polityka.

Zarzucił wielką stopę na biurko. Papiery rozleciały się i pospadały na podłogę. Nie próbował ich pozbierać. Rozwinął cygaretkę i mocno zgryzł w zębach. Pękło drewno. Przyjrzał się strzaskanej końcówce, wyrzucił całość do śmieci. Otworzył szufladę, wyjął cienki, niebieski folder.

– Spróbujmy jeszcze raz z kolegami Antoine'a.

Kolejny telefon do kuratora Bradleya Maisonette'a, znów poczta głosowa, ta sama wiadomość. Liceum St. Xavier poinformowało go, że pan Good jest na zwolnieniu lekarskim. Zamiast próbować wyłudzić jego dane od recepcjonistki, sprawdził go w rejestrach komunikacyjnych.

– Dwuletni, szary ford explorer, adres na North Broadmoor Terrace. – Przekartkował plan miasta. – To na wzgórzach, niedaleko Bowl. Pora odwiedzić chorego.

Zadzwonił telefon na biurku. Milo usłyszał w słuchawce coś, co sprawiło, że zapiął marynarkę i poprawił węzeł krawata. Sprawdził sznurowadła, poruszył ramionami, lekko się skrzywił, wstał.

– Nagłe spotkanie w śródmieściu? – spytałem.

Wytrzeszczył oczy.

- Błyskawicznie się ogarnąłeś.
- Pan jasnowidz. Tak, tak, szef chce pogadać, mam być w jego biurze szybciej, niż to fizycznie wykonalne.
- Jaki jest temat?
- Bieżące sprawy – odparł. – Jego Łaskawość pewnie dostał telefony od mediów w sprawie Mancusi, Beverly’ego albo obu. Nie chce, żeby odnieśli wrażenie, że jest niedoinformowany.
- Miłej zabawy – rzuciłem.
- Beczka śmiechu... Mógłbyś sam porozmawiać z Wilsonem Goodem?
- Owszem, o ile to nie narusza przepisów.
- W tak delikatnej sprawie jak Antoine’a? – Uniósł brwi. – Psychologiczna wrażliwość jest tu z całą pewnością pożądana. Poza tym szef cię lubi, więc się zgodzi.
- Kiedy to wyszło?
- Ostatnim razem, kiedy mnie wezwał. Chyba przeczytał artykuł, który opublikowałeś zeszłej wiosny. Zgadza się, że profilowanie jest najczęściej gównie warte.
- Komendant czyta pisma psychologiczne?
- Jest z wykształcenia psychologiem. Zasugerował, żeby zatrudnić cię na etat. Wyjaśniłem mu, że departament nie jest finansowo konkurencyjny.
- Zacytował widelki płacowe.
- Bardzo dziękuję, proszę pana – powiedziałem.
- Zawsze dbam o twoje interesy. Pozdrów trenera Gooda. Może ci podpowie, jak dobrze podawać.
- Grałem w baseball w liceum.
- Na jakiej pozycji?
- Przydatny rezerwowy. – Wzruszyłem ramionami. – Wszędzie, gdzie mnie postawili.

Dom Wilsona Gooda był jednym z pięciu parterowców stojących wzdłuż ślepej uliczki. Pośrednicy nazywają taką zabudowę „architekturą z połowy wieku”, jakby lata pięćdziesiąte były trędowate.

Niedaleko znajdował się amfiteatr. W ciepłe letnie noce pewnie dochodzi stamtąd muzyka. Resztę widoku stanowiły drzewa, krzaki i zubożone w ozon niebo.

Dom Gooda miał brzoskwiniowy tynk tam, gdzie nie był obity drewnianym sidingiem. Szary explorer i zielony vw passat stały na żwirowym placyku za szeroką, odsuwaną bramą z siatki.

Nacisnąłem guzik na domofonie, wysłuchałem, jak dzwonek wygrywa pierwsze dźwięki *Kanonu* Pachelbela. Drozd zeskoczył z gałęzi kuflika na żywopłot z wiciokrzewu. W oddali kruki bawiły się w politykę. I wieczny szum samochodów; autostrada była prawdziwą filharmonią L.A.

Przed wyjściem znalazłem zdjęcie Wilsona Gooda w sieci. Impreza na cześć zwycięstwa po meczu. Przystojny mężczyzna z grubym karkiem i smutnymi oczami, dziwnie niepasującymi do nastroju świętowania.

Może nie będzie zły, że ściągam go z łóżka.

Zadzwoniłem jeszcze raz, rozważałem trzecie podejście, kiedy ulicą Broadmoor nadeszła kobieta, ciągnięta przez coś maleńkiego i brązowego. Zwierzę skakało, szarpało i napinało cienką smycz. Kobieta podbiegała, żeby nadążyć.

Zgadywałem, że to chihuahua. Myliłem się; to był najmniejszy jamnik, jakiego w życiu widziałem, pracy przed siebie ze spuszczoneym łbem jak zdeterminowany kabanos.

Kobieta miała ciemne włosy i piegi, była ubrana w zielony top takiego samego koloru jak passat, obcisłe czarne spodnie i czarne buty. Trzydzieści kilka lat, metr sześćdziesiąt pięć, długie nogi i szerokie biodra.

Pies szarpał się na długiej smyczy. Natychmiast zapalał namiętnością do mojego lewego buta.

– Przystań, Indy – powiedziała kobieta bez większego przekonania; pies wykręcił swojej pani nadgarstek. Musiała się zaprzeć, żeby jej nie pociągnął.

– Indy... jak te wyścigi? – spytałem.

– Silniczek nigdy mu się nie wyłącza. – Zgarnęła psa na rękę, przycisnęła szamoczący się kłębek. Kiedy Indy w końcu się uspokoił, kobieta popatrzyła na dom Wilsona Gooda. Oczy zielone jak mech. Łagodny kolor, surowe spojrzenie. – Mogę panu w czymś pomóc?

Wyjąłem identyfikator konsultanta psychologicznego. Dawno nieważny i dość byle jaki, ale mało kto zwraca uwagę na szczegóły. Piegowata kobieta stała za daleko, żeby coś przeczytać, chociaż Indy wyraźnie bardzo chciał spróbować.

– Szukam pana Gooda.

– Jestem Andrea. Jego żona. – Jakby nie była pewna. – Pan w jakiej sprawie?

– Piętnaście lat temu pani mąż miał przyjaciela Antoine'a Beverly'ego i...

– Oczywiście. Antoine. – Indy zaczął popiskiwać i powarkiwac, na nowo podjął walkę z uściskiem swojej pani. Andrea Good poddała się i postawiła go na ziemi. – Will i Antoine przyjaźnili się od przedszkola. Will bardzo mocno przeżył to, co się stało z Antoine'em. Ale nie wie nic, co by mogło pomóc policji.

– Jest pani pewna.

– Oczywiście. Czy policja w końcu się czegoś dowiedziała?

– Sprawa właśnie została wznowiona. Proszę spytać męża, czy poświęciłby mi kilka minut.

– Policja wysyła psychologów do starych spraw?

– W niektórych przypadkach. Gdyby...

– Jestem pewna, że Will z chęcią by panu pomógł, ale to nie jest dobra pora. Ma grypę, a niedługo kilka ważnych meczów. Proszę zostawić swój numer.

– Detektyw prowadzący tę sprawę już dzwonił...

– Tak? Będę musiała sprawdzić sekretarkę. Will jest trochę nieprzytomny. Wysoka gorączka, to zupełnie do niego niepodobne, ale różne paskudztwa krążą po szkole.

Charczenie z dołu zwróciło naszą uwagę.

Indy wspinał się na tylne łapy, przednimi przebierał w powietrzu, wytrzeszczał oczy.

Na wpół zawieszony, protestował przeciwko obroży. Andrea Good niechętnie ściągnęła smycz.

– O nie! – krzyknęła i puściła. Indy opadł na ziemię, zdyszany. Przyklękła. – Przepraszam, kochanie.

Jamnik zaskomlał jeszcze raz i polizał ją po twarzy. Bezwarunkowa wierność i miłość; może któregoś dnia Watykan zacznie kanonizować psy.

– W takim razie bylibyśmy wdzięczni za telefon od pani męża – powiedziałem. – Mam nadzieję, że szybko wyzdrowieje.

– Och, wyzdrowieje. To twardy facet.

Informacja o morderstwie Elli Mancusi nie trafiła do wiadomości o szóstej, ale znalazła się na końcu wydania o jedenastej, z nieodłącznym nadętym barytonem narratora i zbliżeniami zakrwawionego ostrza noża z archiwum.

Numer bezpłatnej infolinii tylko mignął, ale to wystarczyło. Kiedy zadzwoniłem do Miła do pracy następnego ranka, usłyszałem świeżo nagraną wiadomość.

– „Tu porucznik Sturgis. Jeśli dzwonicie państwo w sprawie zabójstwa pani Mancusi, proszę zostawić nazwisko i numer telefonu. Proszę mówić wolno i wyraźnie. Dziękuję”.

Zadzwoniłem do Wilsona Gooda w nadziei, że rozmowa z żoną odpoczynek i obywatelski obowiązek rozluźniły mu język. Nikt nie odbierał.

Blanche była gotowa na spacer; podskakiwała wesoło, kiedy szliśmy ulicą. Wiewiórki i ptaki wprawiały ją w radosną euforię. Drzewa bawiły. Samochody okazały się wprost komiczne.

Żylasta joggerka przystanęła, żeby ją pogłaskać.

– To najśladzszy piesek, jakiego widziałam.

Blanche przyznała kobiecie rację.

O pierwszej wybraliśmy się z Robin do Sherman Oaks i zjedliśmy spaghetti u Antonia. Po obiedzie spytałem, czy ma chwilę czasu i pojechaliśmy pod adres Katriny Shonsky w Van Nuys.

Błokowisko w łysym, pozbawionym drzew kwartale. Powietrze cuchnęło kurzem z budowy, choć żadnych robót nie było widać. Uroku tyle, ile w wysypce.

– Rozumiem, czemu chciały od tego uciec – stwierdziła Robin. – Chociaż mieszkanie w trzydziestu pokojach na dziesięciu hektarach wcale nie pomaga, kiedy człowiek jest samotny.

– Myślisz o kimś konkretnym?

Kiwnęła głową.

– Przyjeżdża tu w interesach za tydzień. Między spotkaniami zamierza wpaść, żeby „skontrolować swoje zamówienie”. To nic wielkiego, ale gdybyś mógł wtedy być, nie miałabym nic przeciwko.

– Zachowywał się niestosownie?

– Nie, ale kiedy ze mną rozmawia, wydaje się taki spragniony. Jakby chciał być blisko... rozumiesz?

– Prawdziwy powód kryjący się za zleceniem.

– Może to głupie – powiedziała.

– Zarozumiała dziewczyna.

Uśmiechnęła się.

– A więc będziesz?

Wróciła do pracowni, a ja myślałem przez chwilę o Elli Mancusi i Kat Shonsky. Nie dostrzegałem między nimi żadnego związku oprócz wielkich, czarnych kradzionych samochodów.

Pobawiłem się internetowymi wyszukiwarkami: „zabójstwa i luksusowe samochody”. Kiedy nic nie znalazłem, podstawilem „morderstwo”. Wciąż zero.

Zacząłem łączyć „morderstwo” z konkretnymi markami aut, przeleciałem jaguara, rolls-royce’a, ferrari i bmw, bezskutecznie.

„Lamborghini” i „cadillac” wywołały dwa linki: strzelanina w L.A. i w Nowym Jorku. Dwaj gangsta-raperzy zostali zastrzeleni, kiedy skończyli w nocy sesję nagraniową, jeden jechał sam w murcielago, drugi ze swoją świtą odbajerzonym escalade. Oficjalnie obie sprawy były nierozwiązane. Ale wszyscy w świecie hip-hopu wiedzieli, kto to zrobił.

Hasła „bentley” i „aston martin” – brak wyników. „Mercedes” – nic o Elli Mancusi. Przypuszczalnie dlatego, że nie trąbiły o tym media. Zacząłem wątpić w sens takich poszukiwań. „Benz” wywołał zdjęcia Hitlera w obu swoich wielkich 770K i bełkot bloggера z Kataru, który wierzył, że Führer był niezrozumianym „fajnym gościem, który wszyscy myślą, że morderca”.

Wpisałem „lincoln”, nie spodziewając się zbyt wiele.

Tyle w temacie moich mocy przewidywania.

Podwójne zabójstwo, dziewięć lat temu, w Ojo Negro, biednej rolniczej wiosce na północ i w głąb lądu od Santa Barbara. Sprawa była przedstawiona na DarkVisions.net, stronie internetowej jakiegoś półanalfabety, który lubował się w opisywaniu makabrycznych, nierozwiązanych morderstw i publikował prymitywne komiksy oraz ziarniste zdjęcia podebrane z książek.

Fakty zebrane przez „jedyne go altora i webmastera, DV Zappera” były skąpe i okrutne: Leonora Bright, właścicielka salonu piękności w Ojo Negro, oraz Vicki Tranh, jej manikiurzystka, zostały zamordowane po zamknięciu zakładu. Ciała znaleziono następnego ranka „licznie podgane” i „byw morze roszłonkowane”.

Czarny lincoln town car był zaparkowany niedaleko salonu tuż przed zmierzchem. Wcześniej tego dnia widziano wysokiego mężczyznę w długim do ziemi prochowcu i olbrzymim kapeluszu. Wysiadał z samochodu, przechodził koło salonu, odjeżdżał.

Samochód został później zidentyfikowany jako wypożyczony, skradziony z hotelowego parkingu w Santa Barbara.

Kowboje nie byli w Ojo Negro żadną nowością; kilku pobliskich hodowców bydła zmagало się z wielkim agrobiznesem. Ale rozkołysany krok nieznanomego i strój przypominający kostium przyciągały spojrzenia.

„Niesamowity Jeździec”, nazwała go strona. „A w czasach Dzikiego Zahodu bestia z Detroit mogła być prawdopodobnie czarnym jak węgiel rumakiem”.

Następnego dnia kurier z hurtowni dostarczający lakier do paznokci i „inne przedmioty kosmetyczne dokonał pszyprawiającego o wymioty odkrycia”.

„Zastanawiam się”, rozważał DV Zapper, „czy Leona była menżatką i może Vicki też i jak tak to dlaczego ich menżowie nie szukali ich przez ten cały czas?”

Wpisałem do wyszukiwarki nazwiska ofiar.

Tylko jeden artykuł, wydrukowany w „Santa Barbara Express” tydzień po morderstwie. Dwa nowe fakty: samochód został ukradziony w „Wharf Inn”. I: „Szeryf Wendell Salmey rozmawia obecnie z detektywami z Santa Barbara”.

Wpisanie „Salmey” do Google’a nie dało nic oprócz sugestii komputera, że chodziło mi o „Wendell Salmon”. Wstukałem to na wszelki wypadek i trafiłem na stronę książeczki dla dzieci wydanej przez Związek Łowiectwa i Rybołówstwa Stanu Waszyngton.

Wydrukowałem tekst z gazety, wróciłem na DarkVisions, kliknąłem na ikonę „kontakt” – zakrwawiony nóż – zapytałem, czy w sprawie pojawiło się coś nowego.

W kilka sekund miałem odpowiedź.

„hej alex tu jason blasco czyli DV ZAPPER czyli gosciuuuu, nie gównu jest gliniarze nie chcą mowie może to jakies upszedzenia albo cos tranh była z wietnamu wiesz??? jak sie cos dowiesz mozesz do mnie napisać”

Wpisanie do Google’a „Jason Blasco” skierowało mnie na stronę MySpace, również pełną błędów.

Rozmawiałem z chudym, ciemnowłosym czternastolatkiem, który sam siebie określał „geniuszem czarodziejem makabry”, mieszkającym w Minneapolis i lubiącym AC/DC „chociaz sa starsi nisz antyk i maja do dupy bębny”.

Spytałem go, skąd się dowiedział o sprawie Ojo Negro.

„ON: było w piśmie jakies o detektywach czy cos mam tego stertę

JA: ebay???

ON: nie używam tego guwna za wolne

JA: sorry nie mam listy kumpli

ON: żartuje

JA: sorry

ON: kicha stary

JA: a to pismo...

ON: lubisz takie gównu???

JA: jeśli artykuły sa dobre

ON: fajnie jak znajdują gościa i jest eksekucja

JA: aha tak lepiej

ON: mam tony tego śmiecia mozesz kupie jak lubisz ekstrasmierc szokująca smierc

JA: ile

ON: piec baksow sztuka

JA: zastanowię się

ON: bierzesz albo nie

JA: biore

ON: przyślij gotówkę stary nie mam jeszcze konta”

Poprosiłem o adres. Miał już załatwioną skrytkę pocztową.

Ach, przedsiębiorcza młodzież.

„ON: skąd jesteś alex tzn geograficznie

JA: La.

ON: fajowo manson nocny łowca orginal i ramirez rzeznik ze skid row może nawet zodiak był tam a nie tylko w san francisco

JA: aha jak tam w minnesocie

ON: do dupy przyślij kasę jak chcesz fedex podaj numer

JA: zwykła poczta wystarczy

ON: jak ktoś lubi ślimaki musze lecieć”

Milo zadzwonił o dziewiętnastej.

– Dużo donosów? – spytałem.

– Wyobraź sobie Noego wyglądającego przez okno arki. Całe morze. Jeden anonimowy dzwoniący twierdzi, że Tony Mancusi to „zбочeniec”. Reszta to wróżki i wariaci. W połowie stosu wpadł Gordon Beverly. Miły facet, sam próbował pogadać z kolegami Antoine’a, nic z tego. Z Goodem poszło lepiej?

Opisałem spotkanie z Andream i Indym.

– Zdenerwowała się i prawie udusiła psa – powiedział.

– Ciekawe.

– Też tak pomyślałem.

– A więc teraz musimy uważniej przyjrzeć się powszechnie szanowanemu panu Goodowi. – Zaśmiał się. – Można by pomyśleć, że ludzie zmadrzeją. Otwórz drzwi, uśmiechnij się, uprzejmie skłamał, wszyscy pójdziemy swoją drogą.

– Tak myślą przestępcy zauważyłem. – Zwykłych ludzi łatwo przestraszyć.

– Zwykłych ludzi, którzy mają coś do ukrycia. Dobra, wezmę na celownik pana Gooda, jak zrobię jakieś postępy z Mancusim.

– Chcesz, żebyśmy wieczorem pojechali do Gooda jeszcze raz?

– Nie, zbliża się wielki mecz, gość nigdzie się nie wybiera. Niech się trochę poddusi. Nawet gdybym chciał go pomolestować, noc mam już zaklepaną. Jednego z moich żółtodziobów odwołali z obserwacji. Za godzinę to ja będę się gapił na Tony’ego Mancusiego.

– Pora na mocną kawę.

– Mocną i gorzką. Jak *moi*. Pogadamy jutro, Alex.

– Jeszcze jedno.

– Uśmiechnę się czy zadrzę?

– Może i jedno, i drugie. – Opowiedziałem mu o morderstwach w Ojo Negro i stronie internetowej DarkVisions.

– Czternastoletni maniak krwi i flaków – mruknął.

– Może wskazał nam poważny trop. Kradziony czarny luksusowy wóz, podprowadzony z parkingu wypożyczalni, podejrzany w stroju kowboja. I to wszystko, co ktokolwiek może o nim powiedzieć. Przykurzenie włosów białym proszkiem, założenie krzykliwej kraciastej czapki i szuranie nogami dałoby identyczny efekt. Tak samo jazda rzucającym się w oczy samochodem, skoro już o tym mowa.

– Przebrania – powiedział. – Sztuka zmyłki. Ojo Negro, tak? Nigdy nie słyszałem. Dziewięć lat temu... to się nazywa działanie na dłuższą metę.

– Mogło być coś pomiędzy. Nie trafiłem na żadne inne związki morderstw z czarnymi samochodami, ale o Elli też nic nie było, więc sieć jest daleka od doskonałości.

– Jasne. Sam nie wiem, jak to wpływa na mój nastrój... Dobra, po kolei, muszę załadować muła, podjechać do całodobowego, zaopatrzyć się w zarcie i kofeinę. Masz chęć na sielankową podróż? Ze zwrotem za czas i paliwo, jak obiecała Istota Najwyższa?

– Bóg chce mi płacić?

– Komendant – sprostował Milo. – Na jedno wychodzi.

– Jak poszło spotkanie?

– Stalowe spojrzenie, stanowczy uścisk dłoni, wypytał mnie o postępy. Udawał, że nie jest wkurzony, kiedy usłyszał, że nie ma żadnych. Ale ta jego irlandzka buźka zrobiła się cała czerwona. Potem, ni z tego, ni z owego zapytał, czy doradzasz w którejś z tych spraw. Powiedziałem, że we wszystkich, o ile dysponujesz wolnym czasem. Spytał, co to znaczy. Mówię, że biorąc pod uwagę, ile płaci departament, masz inne zajęcia. Zrobił się bardzo czerwony. Wygłosił tyradę o tym, jak to departament utkwiał gdzieś między mezozoikiem a jurą, że pora się zmodernizować, potrzebujemy porządnego psychologicznego doradztwa, a nie telewizyjnych gwiazdorów obmawiających policjantów. Próbowałem napomknąć o aspekcie finansowym, ale kiedy szef się nakręca, nie wolno mu przerywać. Ogólnie więc spotkanie na koniec zeszło na twój temat.

– Lepiej włożę głowę w lód, zanim za bardzo mi spuchnie.

– Do tego wystarczy ci pensja, jaką zaproponował. Trzydzieści procent dodatku na paliwo, ale stawka godzinowa wciąż jest nędzna. Ja powinienem założyć rachunek, ty skrupulatnie wszystko wyliczać. Ani jedno, ani drugie nie zostanie zrobione, ponieważ mamy mnóstwo roboty. Ale co, dałbyś radę ruszyć w drogę?

– Hm...

– Dzięki. I nie zapomnij coś zjeść. Dodatkowe trzydzieści procent zbliża cię do cen z sześćdziesiątego piątego.

– Pączki i słone paluszki.

– Otóż to – rzucił. – Pożywienie dla mózgu.

Dolina Santa Ynez wije się między dwoma pasmami gór, nasiąkając słońcem i błogostanem. Region, obdarzony umiarkowanymi temperaturami i winem porastającym zbocza wzgórz, był mylony z Edenem. Gdzie nie rosną winogrona, dojrzewają jabłka. Wzgórza są niezbyt strome, łagodna oceaniczna bryza uprzyjemnia poranki. Turyści przyjeżdżają tu wabieni winem, jedzeniem, antykami, końmi i fantazjami o tym, co można by zrobić, gdyby tylko...

Większość miast tego regionu – Solvang, Buellton, Ballard, Los Olivos – rozkwitają w ciepłe tej popularności.

A obok jest Ojo Negro, nazwane tak od poszarpanego, czarnego oka opuszczonego kamieniołomu.

Stojące na niegościnnym trójkacie piachu pozbawionego warstw wodonośnych, kawałek na południe od miejsca, w którym autostrada 101 skręca na Los Alamos, Ojo Negro było kiedyś przystankiem na trasie. Prosperity miała swoje minusy: piesi rozjeżdżani przez półciężarówki, przestępczość powiązana z ogromną liczbą przejezdnych. Ale ludzie zarabiali na życie. Kiedy autostradę przesunięto kilka kilometrów na północ, Ojo Negro umarło.

Wraz z nim dokonał żywota Wendell Salmey, szeryf, który badał sprawę morderstwa Bright-Tranh dziewięć lat temu. Milo dowiedział się o tym, sprawdzając bazę danych organów ścigania. Umówił mnie też na jedenastą z George'em Cardenasem, nowym szeryfem.

„Nie spodziewaj się zbyt wiele, Alex. Facet robi w tym fachu od półtora roku. Jeśli uda ci się powęszyć, świetnie. Może znajdziesz jakąś samotną duszę złąknioną rozmowy”.

Ojo Negro nie występowało w żadnym z moich atlasów drogowych, więc skorzystałem z serwisu internetowego. Opis trasy ostrzegał o nieoznakowanym zjeździe z autostrady siedem kilometrów za Baca Station Road.

O dziesiątej znów zadzwonił Milo. Siedział w samochodzie, od trzech godzin obserwował, jak nic się nie dzieje w mieszkaniu Tony'ego Mancusiego.

– Złąkniony rozmowy? – spytałem.

– Właśnie dopadłem detektywa z biura szeryfa Santa Barbara, który pracował przy Bright-Tranh z Salmeyem. Powiedział mi, że to była tajemnica nie do rozwikłania od samego początku. Ale facet jest na emeryturze i się nudzi, więc zrobi ci przysługę i się z tobą spotka. Donald Bragen, mieszka w Buellton. Był sierżantem, sprawia wrażenie, że ciągle kręci go ten tytuł. Po południu leci do Seattle na wodnopłatowiec na Alaskę, na ryby. Jeśli dotrzesz do Santa Barbara na dziewiątą, zje z tobą śniadanie w Moby Dicku na Stearn's Wharf.

– Przyniosę swój harpun.

– Ciao. Wracam do red bulla i burrito.

– Ty i Tony dzielicie upodobanie do tej samej kuchni?

– Mhm, i brudnych sztućców – powiedział.

- Empatia?
- Wyrobite podniebienia.

Wyruszyłem następnego ranka o siódmej, przetrwałem korek dojazdowy od Encino do Thousand Oaks, trochę beztrudno potraktowałem ograniczenia prędkości za Camarillo i o ósmej czterdzieści zbliżałem się już do Santa Barbara. Kilka kilometrów przed zjazdem na Cabrillo zadzwonił Milo i oznajmił, że Donald Bragen złapał wcześniejszy lot i odwołał śniadanie.

- Nie miał ochoty rozmawiać o swoich dawnych niepowodzeniach? – spytałem.
- Albo łośo postanowił zjawić się wcześniej, nadęty łobuz.
- Ryba?
- Skacze w górę nurtu, jakby to komuś imponowało.

Byłem teraz pięćdziesiąt kilometrów przed granicami miasta, za miejscem, w którym 101 zakręca w głąb łądu i znika wszelki ślad błękitnych wód. Nieoznakowany zjazd na Baca Station Road nie wyróżniał się niczym szczególnym. Nawet posokowiec mógłby go przeoczyć.

Tłukąc się zaniedbaną drogą, minąłem zagajnik topoli kanadyjskich kończący się nagle i niespodziewanie jak hollywoodzkie małżeństwo. Po obu stronach rozciągały się morza wysokich do pasa traw koloru słomy, przetykanych z rzadka szarym, poskręcany m pniem drzewa. Na północy pasmo Santa Ynez pokazywało trochę ciała, ale zachowywało dystans jak niezdecydowana gwiazdka.

Stary kamieniołom pojawił się przede mną; zwolniłem, żeby się przyjrzeć. Druciana siatka obwieszona wypaczonymi arkuszami falistej płyty z tworzywa zasłaniała większość widoku, ale przez szpary między nimi dostrzegłem ziejącą dziurę. Znaki ostrzegawcze z czaszkami i piszczelami tworzyły nieprzyjazną atmosferę. Kątem oka zauważyłem jakiś ruch.

Wychudzony kojot wbiegł w trawę, rozchylając źdźbła, a potem zniknął.

Minęło jeszcze kilka kęp topoli i sporo pustkowiec, zanim trawy ustąpiły miejsca niestrzeżonemu złomowisku i zapaskudzonemu przez ptaki sztyldowi oznajmijającemu, że Ojo Negro leży na „70, 4 m n. p. m. , pop 927 os.”

Kilometr dalej zobaczyłem na poboczu chudą, czarnowłosą kobietę, niosącą duży metalowy pojemnik. Dźwigała go obiema rękami. Szła tyłem do mnie, czyli nieprawidłowo.

Odwróciła się, słysząc warkot silnika, ale wciąż zmierzała do starego, brązowego dzipa zaparkowanego dziesięć metrów dalej.

Zatrzymałem się i opuściłem szybę pasażera. Kobieta odwróciła się gwałtownie, trzymając przed sobą klatkę – ciężką pułapkę na zwierzęta ze sprężynową zapadką. Na dolnej kratce widniały brązowe plamy.

- Czegoś panu potrzeba?

Tuż po dwudziestce, Latynoska, ubrana w białą koszulę western, dzinsy, kowbojki. Gęste, lśniące włosy zaczesana w tył od szerokiego, gładkiego czoła. Miała złotobrązowe oczy, mocny

nos, wąskie usta. Wyjątkowo ładna kobieta; same ostre kąty, jak drapieżny ptak.

– Szukam szeryfa Cardenas.

Pułapka opuściła się trochę niżej.

– Prosto. Jest w mieście.

– A miasto jest daleko?

– Zaraz za pierwszym zakrętem.

– Dzięki.

– To pan jest tym doktorem z L.A.?

– Alex Delaware.

– Czeka na pana – powiedziała.

– Pracuje pani dla niego?

Uśmiechnęła się.

– Jestem jego siostrą, Ricki.

Wyciągnąłem rękę.

– Lepiej nie, bo dotykałam tego.

– Co pani złapała?

– Jeszcze jednego kojota. Jedna ze starszych pań, którymi opiekuje się George, ma z nimi problem, rozgrzebują jej śmieci, ale nie chce kupić szczelnie zamykanych pojemników. Ma osiemdziesiąt dziewięć lat, więc kiedy słyszy hałasy albo znajduje odchody, dzwoni do George'a. To zadanie dla tych od kontroli populacji, ale niech ich pan spróbuje tu ściągnąć.

– Jest pani wolontariuszką?

– Przyjechałam na tydzień w odwiedziny, nie mam nic innego do roboty. – Podniosła klatkę.

– To był mały kojot, szczeniak, bardzo przerażony, żałośnie piszczał.

– Przed chwilą widziałem większego koło kamieniołomu.

– Wszędzie ich pełno.

– Mamy je nawet w LA. – powiedziałem. – Sprytne małe łobuzy.

– Nie aż tak sprytne, żeby nie wejść do pułapki pełnej karmy dla kotów. George ma tu wszystko. Żbiki, szopy, grzechotniki. Trafiały się też doniesienia o pumach, ale żadnej jeszcze nie widział. W każdym razie muszę umyć klatkę. George jest u siebie w biurze. Może pan jechać za mną.

Zapakowała klatkę na dżipa i ruszyła. Zakręt był niecały kilometr dalej. Za nim zaczynała się główna arteria miasteczka – Ojo Negro Avenue, wyglądająca jak rybi szkielet przez prostopadłe miejsca do parkowania.

Cztery samochody na dwóch tuzinach miejsc. Trzy pikapy i biały bronco z wiśniowym dachem.

Ricki pokazała na lewo i pojechała dalej. Droga biegła lekko w górę, w stronę piaszczystego wzgórza i kilku przywiedłych sykomor. Zaparkowałem obok bronco.

Chodniki były splekane i pozapadane, ze szpar korzystały chwasty. Ciemne witryny, niektóre

zabite deskami.

Niewiele interesów tu działało: biały klocek z gazobetonu z wymalowanym, przesadnie dokładnym napisem „Szeryf Ojo Negro”, otynkowany na papuzią zieleń bar Limelite, sklep spożywczo-przemysłowy pełniący dodatkowo funkcję agencji ubezpieczeniowej i poczty, salon piękności i fryzjer z wyblakłymi zdjęciami fryzur w oknie oraz sklep z karmą dla zwierząt z bannerem „Wspieraj naszych żołnierzy”.

W tym tygodniu sklep oferował przede wszystkim: owies, siano i żywe króliki rozplodowe z „Belgii, Europa”.

W biurze szeryfa za klawiaturą peceta siedział młody, całkowicie łysy mężczyzna w mundurze khaki. Za nim znajdowała się pojedyncza cebra, czysta jak jego głowa. Na ścianach wisiały listy gończe, regulaminy i ostrzeżenia. Pustaki nie były dobrym podłożem dla taśmy klejącej – niektóre papiery poodrywały się i pozwijały.

– Doktor Delaware? George Cardenas.

– Dzień dobry, szeryfie.

Serdecznie uściśnął mi dłoń i uśmiechnął się bez uprzedzeń. Miał cerę gładką jak jego siostra, oczy tak samo złotobrazowe. Ale jego twarz była okrągła i miękka, bez tej sokolej czujności. Niemowłęca; brak włosów niewiele go postarzyło.

– Kawy?

– Czarnej, dzięki.

Cardenas nalał nam obu do styropianowych kubków, do swojego nasypał śmietanki w proszku i wskazał mi krzesło.

– Jest pan trochę wcześniej.

– Odwołano mi poprzednie spotkanie.

– Detektyw Bragen zmienił zdanie, co?

– Zna go pan?

– Rozmawiałem z nim dziś z samego rana. Domyśliłem się, że może coś takiego zrobić.

– Czemu?

– Rozmowa o tej sprawie trochę go irytowała. Nazywał ją ”beznadzieją od samego początku”, jakby nie chciał rozgrzebywać tematu.

Obok komputera leżał nieduży plik papierów. Cardenas podał mi kartkę z wierzchu.

Podsumowanie morderstw Bright-Tranh przez szeryfa Wendella Salmeya.

Dowiedziałem się o kilku faktach, o których nie wspominał DV Zapper: salon Leonory Bright nazywał się Stylowa Dama. Bright w chwili śmierci miała trzydzieści trzy lata. Vicki Tranh, niedawno przybyła z Anaheim, zaledwie dziewiętnaście. W salonie wszystko było nietknięte. Obu kobietom zostawiono osobistą biżuterię, w kasie leżał całodniowy utarg, co wykluczało rabunek.

Ortografia Salmeya była lepsza niż Jasona, ale niewiele.

– I to wszystko – odezwał się po chwili George Cardenas. Strzepnął nieistniejący pyłek ze

spodni. – Kiedy brałem tę pracę, dokumenty szeryfa Salmeya leżały w pudełkach w magazynie w Los Alamos. Zacząłem je przeglądać, żeby wczuć się w atmosferę miasteczka. Zajmował się głównie drobiazгами: kradzieżą jabłek z drzew, zaginionym psem, raz na jakiś czas domową awanturą. Wolał dyplomację niż rozwiązania siłowe.

– Był łagodny dla miejscowych?

Cardenas kciukiem wskazał celę.

– Ludzie mówili mi, że używał jej tylko wtedy, kiedy jakiś przejezdny musiał się przespać i wytrzeźwieć. Żona szeryfa zmarła jedenaście lat temu, a jego syn rok później zginął w wypadku samochodowym na autostradzie 101 niedaleko Buellton. Po tym szeryf zwiądl.

– Dziesięć lat temu, to tuż przed morderstwami – obliczyłem szybko. – Uważa pan, że szeryf nie był w najlepszej formie.

Cardenas opadł na oparcie krzesła i założył nogę na nogę.

– Nie chcę źle mówić o zmarłym, wszyscy uważają, że szeryf był świetnym facetem. Ale Ojo Negro, od kiedy autostrada się stąd odsunęła, to tak naprawdę obraz olejny. Mnie to nie przeszkadza, ale bezruch nie każdemu odpowiada.

– Lubi pan spokój.

– Czasami robię się trochę nerwowy i dzwonię do siostry, proszę, żeby wpadła na jakiś czas. Jesteśmy bliźniętami, ona pracuje jako pielęgniarka w Szpitalu Wiejskim w Santa Barbara, ma sporo urlopu. Ale najczęściej tkwię po uszy w pracy, więc spokój mi się przydaje.

– Pracuje pan nad sprawami?

Spojrzał na komputer.

– To zabrzmiało głupio, ale piszę. A przynajmniej próbuję.

– Fikcja?

Odwrócił twarz, odpowiedział plakatowi ostrzegającemu przed pożarami.

– Zacząłem od krótkich opowiadań, ale gdzieś przeczytałem, że nie ma na nie popytu, więc zdecydowałem wziąć się do powieści. Jeszcze nie zacząłem, wciąż usiłuję znaleźć tak zwany własny punkt widzenia.

– Powieść policyjną?

– To zależy, co się okaże, kiedy już ułożę sobie historię w głowie – odparł. – Skończyłem dwa fakultety na Uniwersytecie Stanu Nowy Meksyk, anglistykę i kryminalistykę. Nie umiałem zdecydować, co lubię bardziej, więc postanowiłem zdobyć trochę doświadczenia policyjnego, może będę miał coś do powiedzenia w książce. Przepracowałem dwa lata w policji stanowej, potem pojawiła się propozycja objęcia posady w Ojo Negro. Nie mieli szeryfa od pięciu lat, dostali dwuletni grant stanowy, żeby sobie ściągnąć stróża prawa porządku publicznego. Moja siostra i jej dzieci mieszkają niedaleko, ona jest rozwiedziona, a jej były zniknął. Pomyślałem, że mógłbym posłużyć za dobry przykład. – Wzruszył ramionami. – Wyglądało to na dobrą okazję.

– Rozmawiałem kiedyś z dwoma detektywami z policji Santa Fe, Steve'em Katzem i Darrellem.

– Znam ich z widzenia, ale nigdy z nimi nie pracowałem. Siedziałem głównie w Albuquerque, w wydziale walki z gangami. Zetknąłem się z kilkoma zabójstwami, zobaczyłem, jak działają zawodowcy, przekonałem się, że to nie moja bajka. Niestety w tym przypadku nie będę mógł panu wiele pomóc. Ta jedna kartka to wszystko, co znalazłem.

– Czy mógłbym porozmawiać z kimś, kto był tu dziewięć lat temu?

– Właściwie wszyscy mieszkańcy Ojo Negro pamiętają tamte dni. Większość to emeryci, którzy nie chcą opuszczać rodzinnych stron albo nie stać ich na wyjazd. W spożywczym gotują świeżą zupę, kiedy jest zapotrzebowanie, a wielkie święto to dzień, kiedy przychodzą emerytury.

– Poleciliby pan kogoś na początek?

Rozprostował nogi.

– Porucznik Sturgis naprawdę uważa, że to może mieć związek ze sprawą w L.A.?

– Trudno powiedzieć. Głównym punktem wspólnym jest kradziony czarny samochód.

– Mercedes i Bentley, tak, wspominał. Kradzież Lincoln podpada pod jurysdykcję Santa Barbara. Sprawdziłem akta, są w tamtejszych archiwach. Znalazłem tylko podstawowy raport odzyskania pojazdu. Zanim skojarzono Lincoln z napadem, samochód został wysprzątny i wypożyczony, przejechał ze sto pięćdziesiąt kilometrów. Nie było podstaw do oględzin, więc na tym się skończyło. Co do ludzi, którzy mogą pamiętać... Popytałem trochę. Jasne, każdy, komu pamięć nie szwankuje, kojarzy tę sprawę. To było pierwsze zabójstwo od czterdziestu lat. Ale nikt nie przypomina sobie żadnych ważnych szczegółów: włóczega, wysoki biały facet, długi płaszcz, kowbojski kapelusz. I nie mogę znaleźć nikogo, kto by go rzeczywiście widział.

– Tajemniczy nieznajomy.

– Nie mamy zbyt wielu gości i wątpię, by dziewięć lat temu było inaczej; autostradę przenieśli jeszcze wcześniej. Właściwie nic nie łączy tego człowieka ze zbrodnią oprócz tego, że kręcił się tu i nikt go nie znał.

– Płaszcz i kapelusz mogły być przebraniem – powiedziałem.

– Pewnie tak.

– Jest prawdopodobieństwo, że to ktoś stąd?

– Nie ma mowy, doktorze. To bardzo małe miasteczko.

Napił się kawy.

– Przykro mi, ale cała ta sprawa wydaje mi się raczej martwa. Może dorobię do niej zakończenie i wstawię do swojej książki.

– Lepsze to niż rzeczywistość – skwitowałem.

Postukał w klawiaturę.

– Pańskie zajęcie wydaje się interesujące. Może by mi pan czasem podrzucił jakiś pomysł.

– Jasne. Zauważyłem salon piękności po tej stronie ulicy. Czy to dawny lokal Leonory Bright?

– Nie, Komfortowa Koafiura zastąpiła coś innego, chyba restaurację. Salon prowadzi rodzina Ramirezów. Estella i Ramon, bez dzieci. Przyjechali tu z Ventura trzy lata po tym, jak została

zamordowana Leonora. Tyle czasu trwało, zanim miasteczko zdołało kogoś tu ściągnąć, mimo ogłoszeń w gazetach w innych miejscowościach. Przedtem ludzie musieli strzyc się w Los Alamos. Miejszem zbrodni był ostatni budynek, który się mija, wyjeżdżając z miasta. Chce pan rzucić okiem? Chętnie rozprostuję nogi.

Opuściliśmy biuro i przeszliśmy na drugą stronę ulicy. Spytałem szeryfa o samorząd Ojo Negro.

– Nie ma burmistrza ani rady miejskiej – odparł. – Polegamy na władzach hrabstwa. Jesteśmy jakby przybranym dzieckiem Los Alamos i każdego innego, kto nas przygarnie.

– Ilu jest mieszkańców?

– Według szyldu tysiąc, ale w rzeczywistości sporo mniej. Góra dwieście osób. Jeśli tak dalej pójdzie, niedługo nie zostanie nikt... Dobra, to tutaj.

Zatrzymał się przed jedną z witryn zabitych deskami. Oryginalny różowy tynk przezierał spod odłóżającej, kakaowo-brązowej farby, rażący jak choroba skóry.

– Do kogo to należy?

– Teraz do hrabstwa. Nigdy nie wystawili budynku na aukcję, chyba nikt go nie chce.

Cardenas przekręcił gałkę i drzwi stanęły otworem.

– Nigdy nie jest zamknięte? – spytałem.

– Pewnie, że jest – odparł. – Ale to kiepski zamek. Otworzyłem go rano pilnikiem do paznokci. Proszę, niech pan wchodzi.

Ze Stylowej Damy zostało puste pomieszczenie wyłożone boazerią z imitacji sekwoi, ciemne przez dyktę, którą zabito witrynę, i przez brudne ceratowe zasłony na wysokim oknie z tyłu.

Cardenas został przed wejściem; podparł drzwi, żeby się nie zamknęły.

– Inaczej się zatrzasną i zamkną pana jak w jaskini. Podziękowałem i wszedłem się rozejrzeć. Tylne drzwi pod wysokim oknem były puste w środku i kruche. Moje kroki brzmiały miękko i głucho. Betonowe podłogi świetnie tłumią dźwięk. Pomyślałem o dwóch zarzynanych kobietach, których krzyków nikt nie słyszał.

W kiepskich filmach detektywi dowiadują się mnóstwa rzeczy, odwiedzając dawno opustoszałe miejsca zbrodni. To była ciemna, pusta nora i nie zdradzała nic.

– Dokąd prowadzą tylne drzwi?

– Wychodzą na zaułek. Niech pan spojrzy.

Za zakładem biegł wąski pasek kamienistego żwiru, równoległy do Ojo Negro Avenue, szeroki ledwie na jeden samochód. Ślepy zaułek na południu, wylot na północy.

Wszedłem z powrotem do środka i wróciłem do Cardenasasa.

– Założenie było takie, że Leonora już skończyła pracę, sprzątała.

– Brzmi logicznie – odparł.

– Skoro miasto jest takie spokojne, nie miałyby powodu zamykać na klucz przed wyjściem.

– Ludzie wciąż nie zamykają drzwi na klucz, doktorze. W zeszłym roku, zaraz po tym, jak tu

trafiłem, żbik wmaszerował prosto do domu pani Wembley, dostał się do jej lodówki i wyżarł sałatkę z tuńczykiem. Ona ma osiemdziesiąt dziewięć lat, już się nie zmieni.

– To ta pani od kojotów?

– Skąd pan wie?

– Po drodze spotkałem pana siostrę. Właśnie wypuściła kojota złapanego na posesji staruszki.

– Gdzie Ricki wypuściła tego drania?

– Kilka kilometrów przed miastem.

– To znaczy, że szkodnik zaraz tu wróci. – Cardenas wzruszył ramionami. – Ja bym go zastrzelił. Ricki jest aktywistką, walczy o prawa zwierząt. Tak, to pani Wembley. Różne stwory ją lubią, bo zawsze ma dużo pootwieranego jedzenia.

– To jedna z osób, z którymi pan rano rozmawiał?

– Nie, drzemała na ganku, kiedy przyjechałem po pułapkę, a ona śpi mocno. Możemy do niej pojechać, jeśli pan chce. Ta pani ma swoje zdanie prawie na każdy temat.

– Mój typ.

– Moja eks taka była – wyznał. – Najpierw człowiek myśli, że to wyzwanie. A potem ma już dość bycia wyzywany.

Zaśmiałem się.

– Ricki i ja rozwiedliśmy się w odstępie trzech miesięcy – ciągnął. – Nasi rodzice rozeszli się, kiedy mieliśmy dziewięć lat, a teraz nasz młodszy brat zaczyna się wycofywać ze związku. Widać małżeństwa są nie dla nas... Jeśli to wszystko, będę już zamykał, doktorze.

Wsiadliśmy do jego bronco; wykręcił i pojechał w tym samym kierunku, w którym wcześniej podążyła jego siostra. Minęliśmy centrum miasteczka i dotarliśmy do rozrzuconych domków, głównie z prefabrykatów albo przyczep ustawionych na pustakach.

Nikogo w zasięgu wzroku, ale Cardenas jechał ostrożnie, rozglądał się wszędzie, jak to robią gliniarze.

– I co? – zagadnął. – Jakież wnioski z miejsca zbrodni?

– Tylko taki, że bardzo łatwo było to zrobić, zwłaszcza po zmroku.

– Jak to?

– Morderca mógł uciec tylnymi drzwiami. Powstała jakaś teoria, kto był głównym celem?

– To znaczy: Bright czy Tranh? Nic mi o tym nie wiadomo. Zakładałem, że chodziło o Bright, bo nieznajomy był białym, nie Azjata, a większość wariatów zabija przedstawicieli własnej rasy. Ale może to ograniczone myślenie.

– Wie pan, dlaczego Vicki tu przyjechała?

Uśmiechnął się.

– Chodzi panu o to, jak wśród wszystkich zapomnianych przez Boga miejsc znalazła Ojo Negro? Trudno powiedzieć. Od czasu do czasu pojawiają się tu imigranci, głównie

hiszpańskojęzyczni. Z tymi wszystkimi ranczami i winnicami dookoła to idealna okolica dla kogoś, kto chce ciężko pracować, ale woli nie rzucać się nikomu w oczy.

– Czyli komu?

– Na przykład urzędnikom z biura imigracyjnego. Tacy Ramirezowie na przykład. Kiedy tu przyjechali, ledwie mówili po angielsku, ale czy ktoś zaglądał w ich wizy z Salwadoru czy skądś tam? Dobrze strzygą, wszyscy się cieszą, że Ramirezowie tu są. – Przejechał dłonią po gładkim brązowym ciemieniu. – Chociaż mnie trudno ocenić ich usługi.

Płynnie wjechał na gruntowy podjazd, skierował samochód do podwójnej bramy cofniętej daleko od drogi, oddzielonej od niej półhektarem chwastów.

– To dom pani Wembley... a oto i ona, zwarta i gotowa.

Przyczepę ocieniało aluminiowe zadaszanie. Kiedy przytoczyliśmy się bliżej, okrągła różowa postać na fotelu podniosła wzrok. Z odległości trzech metrów w twarzy jak truskawkowy budyń otworzyły się usta, a ręka zamachała do nas pismem.

- Daj trochę gazu, George. Jesteś przedstawicielem prawa, nikt ci nie wlepi mandatu.
- Nie chciałem zryć pani ziemi, pani Wembley – powiedział Cardenas.
- Ryj na zdrowie – odparła. – Może coś urośnie.

Zaparkowaliśmy, wyszliśmy z suchych zarośli. Pani Wembley pozostała w fotelu. Różowa bluza z napisem „Las Vegas: Zabawa Zabawa Zabawa!!!” pasowała kolorem do cery kobiety. Szare spodnie dresowe z trudem mieściły uda staruszki. Stopy wisiały kilka centymetrów nad deskami ganku. Reszta ciała wylewała się bokami z fotela.

Kiedy Cardenas zaczął nas sobie przedstawiać, przerwała mu, błyskając w uśmiechu sztucznymi zębami.

– Jestem Mavis, pani Wembley to była moja teściowa, a jej nie chcemy wspominać inaczej niż niemiło.

Pulchne palce chwyciły moją dłoń i mocno ścisnęły.

– Przystojniak z pana – zaćwierkała.

– Dziękuję.

– George też jest fajny. Dlatego staram się, żeby odwiedzały mnie zwierzaki, żebym mogła oglądać swojego rycerza w zbroi khaki. Tym razem przysłałeś siostrę, George. Mam nieświeży oddech?

– Ricki akurat mogła się zająć...

– Żartuję, Galahadzie. Jesteś taki poważny. Ale przyznaj, ten kojot to było coś, nie? Wielkie zębiska. Gdzie go wypuściła?

– Wystarczająco daleko.

– Chyba ma do mnie pretensje, że ciągle do ciebie dzwonię. – Wyglądziła kręcone siwe włosy, ścisnęła bulwiasty nos. Policzki lśniły, gładkie jak u dziecka. Tłuszcz świetnie wygładza zmarszczki.

– Oczywiście, że nie – powiedział Cardenas.

– Ależ tak – stwierdziła Mavis Wembley i pogłaskała poręcz tronu.

Fotel miał naciągnięty pokrowiec w niebieskie i białe kaczuszki. Wszystko inne na ganku było z aluminiowych rurek i plastikowych pasków.

– Nowe obicie? – spytał Cardenas.

Mavis Wembley pacnęła pismem o kolano.

– Podoba ci się?

– Bardzo ładne.

– Uwielbiam katalogi „Portery Barn”. Otwierają przed tobą cały świat. Pasują zwłaszcza do klimatu metropolii takiej jak ta.

Znów plaśnięcie pismem. „New Yorkerem”.

– Nie wiedziałem, że pani prenumeruje – wtrącił Cardenas.

– Bo nie prenumeruję – odparła. – Przysłali mi swoją ofertę specjalną. Cztery miesiące za darmo, potem można zrezygnować. Myślałam, żeby to zrobić, ale teraz sama nie wiem. Mają skłonności do dłużyzn. Unikaj gadaniny w swojej książce, George. Trzeba opowiadać, a nie perorować. Ale niektóre kawałki mają ciekawe. Tutaj jest historia nowojorskiego Żyda, który szyje futra dla murzyńskich raperów. Wszyscy krzyczą o okrucieństwie wobec zwierząt, ale Żyd szyje gronostajowe bluzy. To facet z kręgosłupem.

– Niech pani dalej wystawia jedzenie, to pošlemy mu kilka skór – zadrwił Cardenas – Ładne futerko z kojota dla raperów. – Zarechotała. – Urocze. Kim jest twój przyjaciel przystojniak? Drugi policjant czy drugi pisarz?

– Psycholog, pani Mavis.

Popatrzyła na mnie.

– Znałam kilka osób, którym by się taki przydał. Na przykład teściowe. Co pana tu sprowadza?

– Badam sprawę morderstwa Leonory Bright i Vicki...

– Tranh. No, dobrze pan trafił, bo wiem, kto to zrobił.

Cardenas podciągnął spodnie. Jego pistolet zakołysał się w kaburze.

– Naprawdę.

– Naprawdę, George. I powiedziałam to Wendellowi Salmeyowi na samym początku. Ale nawet nie kiwnął palcem. – Zwróciła się do mnie: – Chroniczna depresja. I bardziej leniwy niż bezrobotny na zasiłku. Zawsze ponury, chodził ze spuszczonej oczami, jakby wszystko, co warto odkryć, było na ziemi. – Powachlowała się pismem. – Po tym, jak jego synalek spił się i rozwalił na autostradzie, zrobiło się jeszcze gorzej. Bezczyinnie wysiadywał całymi dniami. Zanim wyszłam za męża, trochę uczyłam. Wendell był jednym z moich uczniów. Leń patentowany. Wziął posadę szeryfa tylko dlatego, bo uznał, że nie będzie nic do roboty, bez urazy, George. – Znów pokaz sztucznych zębów. – Jediną zaletą dziewięćdziesiątki jest to, że można mówić, co się chce, i uchodzi to człowiekowi na sucho.

– Nie wiedziałem, że miała pani urodziny, Mavis.

– Wielki dzień jest w przyszłym miesiącu, szesnastego, na wypadek gdybyś chciał mi przysłać kwiaty, George. Wendell Salmey umarł młodo. Krwawiący wrzód żołądka w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat. Przy okazji, co psycholog ma wspólnego z Leonorą i tą Azjatką?

– Ich morderstwo może być powiązane z bieżącą sprawą w L.A.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Czasami współpracuję z policją jako konsultant.

– Czyta pan w myślach, jak ci w telewizji?

– Raczej nie...

– Żartuję, wiem, czym się zajmuje psycholog. Rany, całe wasze pokolenie jest tak cholernie poważne. A więc co, zabił kogoś jeszcze, tak?

– Kto?

– Brat Leonory. Przyrodni brat. To on ją zadźgał i tę manikiurzystkę. George, bądź tak miły i przynieś mi plasterek sera, dobrze? Dwa plasterki, mam paczkę wyłożoną na blat, razem z takim fajniutkim przyrządem do cięcia z Sharper Image.

Cardenas poszedł do kuchni.

Ja przysunąłem sobie krzesło.

Mavis Wembley skubała ser i popijała napój z puszki. Oddała pustą Cardenasowi, wytarła usta i z satysfakcją rozejrzała się po swojej zachwaszczonej działce.

– Wiem, że to zrobił jej brat. Leonora zwierzyła mi się kilka tygodni wcześniej, że się go śmiertelnie boi. Mieli inne matki, ale tego samego ojca i to on miał pieniądze. Zmarł kilka miesięcy przed tym, jak mi wyznała, że się boi.

– Martwiła się, że będzie konflikt spadkowy? – spytałem.

– Nie martwiła, bała się. Takiego użyła słowa.

– Jak się nazywał brat? – spytał Cardenas.

– Nie wiem, nigdy nie powiedziała, zawsze mówiła „mój przyrodni brat”. Z naciskiem na „przyrodni”. Jasno dawała do zrozumienia, że nie ma między nimi żadnej bliskości.

– Jak pojawił się ten temat? – spytałem.

– Farbowała mi włosy i co chwila coś upuszczała. Zdziwiłam się, zawsze była bardzo zręczna. Nazywałam ją „czarodziejskie ręce”. Czasami robiła masaż karku i głowy gratis, to było lepsze niż... w każdym razie wszyscy ją chwalili. Przedtem mieliśmy Sarę Burkhardt, tutejsza dziewczyna, na granicy upośledzenia. Fryzjerstwa nauczyła się sama z książek. Beztalencie, ale znosiliśmy ją, bo nie mieliśmy wyboru. Dzięki Bogu wyszła za kierowcę ciężarówki i wyprowadziła się, a do nas przyjechała Leonora. Fachu uczyła się we Frisco od topowego stylisty geja.

– Magiczne ręce... – powtórzyłem. – Ale nie tamtego dnia.

– Spytałam, co się stało. Powiedziała, że nic. Ja na to: „Daj spokój, mów, nikogo tu nie ma”. Bo nie było. W salonie tylko ja i Leonora. Świetna fryzjerka, ale co z tego, miejscowe kobiety uważały, że same sobie poradzą. Gdyby je pan zobaczył, śmiechu warte.

Poprosiła Cardenasa o jeszcze jeden napój.

– Zaczekamy na George’a – powiedziała, kiedy wszedł do domu. – Żeby nie musiała się powtarzać.

– Jasne. Bardzo dziękuję.

– A więc uważa pan, że to dobry trop? Ten brat?

– Najlepszy, jaki mamy do tej pory.

Cardenas wrócił i otworzył puszkę.

– Dziękuję, George. Wracamy do Leonory i tamtego dnia. Widziałam, że bardzo chciała porozmawiać, więc nalegałam, aż ustąpiła. Powiedziała, że jej ojciec zostawił pokaźny majątek, matka już nie żyła, a macocha była chora. A więc spadek miał być podzielony między nią i przyrodniego brata. I dobrze, pomyślała. Pieniądzy starczy dla wszystkich. Ale wiedziała, że on nie zadowolony się tylko połową. „Co, samolubny typ?“, zawołałam oburzona. Wtedy się załamała i rozplakała. Powiedziała: „Och, Mavis, on tylko wydaje się taki miły, ciągle wyświadcza wszystkim przysługi, karmi bezdomnych, uśmiecha się do dzieci i daje im cukierki, ale to pozory. W głębi ducha chodzi mu tylko o niego samego; wiem, że będę miała z nim poważne kłopoty przez ten spadek, i tego się boję”. – Napiła się z puszek. Napój pociekł jej po brodzie, szybko go wytarła. – Spytałam, jakie kłopoty. A ona: „Nie wyobrażasz sobie, do czego on jest zdolny”. Doradziłam, żeby poszła na policję. Twierdziła, że by ją wyśmiali, bo nie miała żadnych dowodów, tylko przecucia. Powiedziałam: „Porozmawiaj przynajmniej z prawnikiem. Im się płaci z góry, nie będzie się śmiał”. Ale ona jakby mnie nie słyszała. Tylko powtarzała w kółko, jakich przyrodni brat narobi jej kłopotów, nikt nie wie, jaki on naprawdę jest. W końcu spytałam: „No co takiego może ci zrobić?” Odparła: „Nie chcesz wiedzieć, Mavis”. Na to ja: „Jakbym nie chciała, tobym nie pytała”. – Oddała Cardenasowi drugą puszkę. – Już dość. Możesz wylać, George, albo dopić sam. – Weselość błysnęła w jej oczach. – Nie martw się, nie mam robaków.

– Tym razem nigdzie nie idę – oświadczył Cardenas. – Ta historia jest za dobra.

– To nie historia, George. To autentyczna relacja.

– Tym lepiej.

– A to jeszcze nie wszystko. Powiedziała, że nauczył się otwierać zamki wytrychem. Podobno chciał się gdzieś włamać. Do tego męczył i zabijał zwierzęta. Najpierw owady, potem większe stworzenia. Robił takie paskudztwa od małego. Leonora kochała zwierzęta. Miała dwa małe pieski. Zrobiłaby dla nich wszystko. Kiedy została zabita, one zniknęły. Co pan na to?

– Trzymała je w salonie? – spytałem.

– Czasami je przyprowadzała, czasami zostawiała w domu. Ale chodzi o to, że nikt ich potem nie widział. Mówiłam o tym Wendellowi, ale co tam... leniwy typ. Kobieta zostaje zarżnięta, a jej psy znikają nie zaciekawiliby cię to, George?

– Oczywiście.

– Wendell nie miał ani krzty ciekawości. Depresja tak działa, prawda, doktorze?

Kiwnąłem głową.

– Wiem, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła, może nawet dla psów – ciągnęła. – Wendella to jednak w ogóle nie obchodziło, i tego detektywa z Santa Barbara, co go tu przysłali, też nie.

– Donalda Bragena – odpowiedziałem.

– Właśnie – przytaknęła. – Wielki macho, jak Broderick Crawford w *Patrolu autostrady*.

Puszczali ten film, zanim się obaj urodziliście. „Tak jest, proszę pani; dziękuję, proszę pani”, wszystko zapisywał w małym notesie. Ale Broderick słuchał. Bragen był durniem, nie miał czasu dla nikogo. Niech mi pan powie: główny podejrzany z motywem finansowym i dwa zaginione psy. Co by pan pomyślał?

– No właśnie, co?

Mavis Wembley położyła mi dłoń na kolanie.

– Podoba mi się pana styl.

Cardenas i ja siedzieliśmy u pani Mavis jeszcze pół godziny i to głównie ja mówiłem, próbując wydostać dodatkowe szczegóły na temat przerażającego przyrodniego brata Leonory Bright.

Nie dowiedziałem się wiele: był starszy albo młodszy od Leonory i prawdopodobnie z San Francisco, „bo stamtąd wywodziła się Leonora i nigdy nie mówiła, że on nie”.

W końcu podziękowałem i wstałem.

– Miło było pana poznać. – Złapała Cardenasę za rękaw. – George, wczoraj wieczorem słyszałam szopy skrobiące przy śmieciach. Wystawmy też na nie pułapki.

– Niezły z niej numer, co? – spytał Cardenas, wyjeżdżając tyłem z podjazdu. – Tasowanie kart uważa za aerobik, ale nigdy nie choruje. Twierdzi, że jej matka dożyła stu czterech lat.

– Dobre geny – stwierdziłem.

– Racja. Myśli pan, że tym bratem warto się zainteresować?

– Nic więcej nie mamy.

– To, co powiedziała o Wendellu, zgadza się z opiniami innych osób. Nie chciałem drażnić tematu przez szacunek dla zmarłego.

– Nie było powodu. Nie on tu jest ważny.

– Dokąd pan teraz jedzie?

– Z powrotem do L.A., chyba że ma pan jakąś propozycję.

– Przykro mi, nie. Powinienem coś zrobić?

– Byłoby świetnie, gdyby w wolnej chwili sprawdził pan adresy Leonory w San Francisco.

– Jasne – powiedział. – Pomyślałem też, że warto by znaleźć materiały związane ze śmiercią jej ojca, sprawdzić, czy pojawia się tam gdzieś imię brata.

– Słusznie. Najlepiej zacząć od nekrologów. Czy Bright to było jej panięskie nazwisko?

– Chyba tak. – Wyprostował się i dodał gazu. – Co za odmiana!

– Jak to?

– Pracuję.

Zatrzymałem się w Santa Barbara na późny lunch na Steam's Wharf, miejscu odwołanego spotkania z Donaldem Bragenem.

Strumień turystów był skromny, ale pełen energii – uśmiechnięci, opychający się ludzie, którzy wierzą w nieśmiertelność. Kaczki i mewy podążały śladem jedzenia, zadowolając się resztkami. W porcie na wodzie unosiły się wielkie szare pelikany; bez pośpiechu wypatrywały pod powierzchnią ofiar. Ich mniejsi, brązowi kuzyni krążyli w górze, nurkowali i czasem wlatywali z wijącym się łupem.

Dużo jest sposobów polowania.

Skończyłem jeść i poszedłem wzdłuż nabrzeża. Minałem lokal, gdzie miał się ze mną spotkać Bragen. Może poświęcił tropowi Mavis Wembley więcej uwagi, niż przypuszczała, ale nic nie wskórał. A może miała rację – po prostu ją zignorował. Tak czy inaczej, wolał porządkować niż wspominać.

Oparłem się o poręcz i wdychając słone powietrze, zadzwoniłem do Mila na komórkę.

Odebrał Rick.

– Cześć, Alex. Telefon mu się rozładował, więc wziął mój. Prosił, żeby ci przekazać, że będzie zajęty do dziesiątej albo nawet dłużej.

– Wiesz, gdzie jest?

– Powiedział tylko, że jedzie do pracy. Mam wolny dzień, więc udało się nam wybrać razem na obiad. Kiedy tylko zamówiliśmy, dostał telefon i wyszedł. Coś o znalezionym samochodzie. Zrobił się marudny.

– Tak bywa, kiedy człowiekowi ucieka posiłek.

– Zabrał danie na wynos.

Komórki Ricka nikt nie odbierał. Milo czasem wyłącza telefon, kiedy się koncentruje. Wróciłem na autostradę, spróbowałem jeszcze raz kilka kilometrów później.

Tym razem się udało.

– Znalazłem przekłętą mustanga Kat Shonsky! – ryknął Milo, aż zadygotały mi kostki w uchu.

– Mimo to nie jesteś zadowolony.

– Wiesz, gdzie on, do cholery, był cały czas? Na policyjnym parkingu. Zgłoszony jako porzucony pojazd o piątej rano tej samej nocy, kiedy zniknęła. Stał w połowie długości Pass, tak jak przypuszczałeś.

– Kto go zgłosił? – spytałem.

– Nie zapisano – warknął. – Potraktowali to jako rutynowe zgłoszenie, posłali kierowcę w

holowniku. Ten geniusz przyjeżdża, w wozie nie ma dokumentów ani ubezpieczenia, brakuje też tablic. A on i tak go bierze na hol i zostawia na parkingu. – Sapnął ze złością. – To ja sprawdzam biuletyny, marnuję czas na telefony, a to cholerstwo stoi pod nosem, kilka przecnic od posterunku, zbiera ptasie gówno i opłaty postojowe. Gdybym nie zawracał dupy wszystkim parkingom, z którymi współpracuje departament, auto skończyłoby na policyjnej aukcji. Właśnie spędziłem godzinę na przedzieraniu się przez papiery, żeby wysłać wóz do laboratorium. Najpierw go obejrzałem. Żadnych widocznych plam krwi ani śladów przestępstwa. I kolejna zgadywanka dla ciebie, profesorze: bak suchy jak pieprz, to się nazywa nieodpowiednie miejsce, nieodpowiedni czas.

– Albo ktoś wypompał paliwo na parkingu klubu i jechał za nią aż stanęła.

– Ha! Dlatego właśnie się kolegujemy! – zawołał Milo.

– Że mam podejrzliwy umysł?

– Umiesz myśleć jak ktoś naprawdę zły. Zobaczmy, co znajdą chłopcy z laboratorium, ale nie spodziewam się wiele. Nie wiadomo, kto jeszcze grzebał w środku. Wracam właśnie tam, gdzie znaleziono samochód. Potem będę znów jeździł po wzgórzach, zawężając trasę do bezpośredniej okolicy. Jeśli uda mi się ściągnąć psy, jutro urządzimy niuchaton. A co w Toonerville?

Opowiedziałem mu o historii Mavis Wembley.

– Straszny brat – mruknął.

– Włamywacz umiałby otworzyć łańcuch na parkingu, wyjechać mercedesem. Dorzuc do tego morderstwo Mancusi i mamy dwie zbrodnie z wykorzystaniem noża i kradzionych czarnych samochodów. Przy tym możliwy motyw spadkowy...

– Niestety, Tony to domator prowadzący nas donikąd, a donosy się skończyły. Nie byłbym zaskoczony, gdyby to Pan Lampa Hochswelder albo inny kochający krewniak uprzejmie informował, że Tony jest „zboczonym” gejem, na wypadek, gdybyśmy nie załapali tego za pierwszym razem. Skoro mustang się znalazł, skoncentruję się na sprawie Shonsky jako możliwym kolejnym zabójstwie, a to da mi podstawy do uzyskania nakazu przeszukania jej mieszkania. Sędzia Feldman jest na balu charytatywnym. Powiedział, że jeśli podjadę do niego do domu o dziesiątej, podpisze papiery. Miejmy nadzieję, że matka Kat za bardzo tam nie posprzątała. Skoro o wilku mowa, postaram się wziąć od niej próbkę śliny, bo jeśli komendant mówił poważnie, badanie mitochondrialne dostanie zielone światło. Ale nawet jeśli wynik będzie pasował do tamtej plamy, dowiemy się tylko tyle, ile wiemy już teraz.

– Kat nie żyje.

– No, nie sprzedałbym jej ubezpieczenia na życie. Boże, ale jestem zajęty.

Nie była to dobra pora, by przypominać Milowi jego lamente z zeszłego tygodnia.

– Jeśli komendant mówił poważnie, może dostaniesz pomoc do obserwacji Tony’ego.

– Ciężko mi sobie wyobrazić, żeby Tony miał coś wspólnego z Shonsky.

– Związek nie musi być bezpośredni – zauważyłem. – Jeśli Tony zlecił zabicie swojej matki,

ktoś mógł wynająć tego samego mordercę, żeby załatwił Kat. I kobiety w Ojo Negro.

– Wędrowni zawodowcy z upodobaniem do kradzionych wozów? – zakpił Milo. – Jaki mógłby być motyw finansowy, żeby załatwić Kat? Wiesz, nie była dziedziczką fortuny.

– Z tego co słyszałem, potrafiła być niemiła. Może chodziło o osobiste porachunki.

– Pogoniła niewłaściwego faceta, a on uknuł skomplikowany spisek, żeby ją załatwić?

– Albo pogoniła samego mordercę – powiedziałem. – Clive poderwał ją w barze. Może nie on jeden.

– Nawet bardzo źli faceci mają uczucia.

– Każdy ma uczucia. Wszystko zależy, co się z nimi robi.

Wypadki ciężarówek i codzienna głupota Kalifornijskiego Wydziału Komunikacji przedłużyły podróż powrotną do L.A. Kiedy zajechałem do domu, było już ciemno. Napiliśmy się chivasa nad stawem, wziąłem Blanche na kolana i rzuciłem karmy rybom. Blanche chciała popatrzeć, jak jedzą, więc usiedliśmy przy kamiennej krawędzi. Narybek był już dość duży, żeby łykać granulki, nękał podskakujące krążki, aż znikwały. Dorosłe folgowały sobie do woli.

Robin wyszła do nas z pracowni, zjadła pałeczkami resztki z wczorajszej kolacji i odpuściła sobie wino, bo zamierzała jeszcze trochę popracować.

Była cichsza niż zwykle.

– Pan *Dot-com* znów dzwonił? – spytałem.

Pokręciła głową.

– Na gryfie mandoliny jest gdzieś wilk. Nie zasnę, jeśli go nie usunę.

– Moja druga połowa.

Pocałowałem ją, odprowadziłem do pracowni, zaniósłem śpiącą już Blanche z powrotem do domu.

W mojej skrzynce było mnóstwo śmieci i jedna wiadomość, która mnie zainteresowała, przysłana kilka minut wcześniej.

„dr delaware: znalazłem nazwisko brata leonory bright w nekrologu ich ojca. na razie to wszystko, było za pozno zeby dostać sie do geodezji s. f. i sprawdzić, czy ma tam dom, zobacze, co mi sie uda załatwić jutro.

george cardenas”

Odesłałem podziękowanie i zapisałem na dysku załącznik e-maila.

Dział nekrologów „San Francisco Chronicle”. Chodziło o kogoś ważnego, skoro zasłużył na wpis z komentarzem.

Zmarły doktor Whittaker Bright pochodził z Nowego Jorku. Kształcił się na Carnell i Columbii, był profesorem inżynierii w UC Berkeley. Specjalizował się w transformatorach; posiadał patent przestarzałego już urządzenia przełączającego, które przynosiło mu zyski przez

ponad dziesięć lat. Śmierć nastąpiła po długotrwałej chorobie. Owdowiały i ponownie ożeniony „Whit” Bright zostawił drugą żonę, Bonnie, córkę Leonorę w Ojo Negro i syna Ansellę w San Francisco. Zamiast kwiatów prosimy wysyłać darowizny na rzecz Amerykańskiego Towarzystwa Serc.

Moją uwagę zwróciła data śmierci. Osiem dni przez rzezią w Ojo Negro. Historia Mavis Wembley wyglądała coraz ciekawiej.

Kiedy szykowałem się właśnie, żeby wpisać do wyszukiwarek „Ansell Bright”, zadzwonił telefon.

– Doktorze, mówi Amber z pana poczty głosowej. Dzwonił pan Bragen z Alaski. Nie chciał czekać, prosił o kontakt. Ale nie nalegał.

Numer Bragenę miał prefiks 805. Facet łowił ryby na północy, ale korzystał z komórki z kierunkowym Ventura-Santa Barbara.

– Tak? – odezwał się szorstki głos.

– Sierżant Bragen? Alex Delaware.

– Psycholog – powiedział, jakby bawił go ten tytuł. – Trafił mi się wcześniejszy lot. Pogoda szybko się tu zmienia, połączenia są niepewne. Za dużo dni siedziałem na lotnisku, czekając, aż miną burze.

– Słusznie.

– Chce pan się dowiedzieć o Bright i Tranh? Wielka beznadzieja od samego początku i jeśli były tam jakieś ślady, ten palant, którego zatrudniali jako szeryfa, wszystko spaprał. Mieliśmy jednego podejrzanego, ale trop nie wypalił.

– Kto to taki?

– Były mąż Bright. Żelazne alibi i przeszedł badanie wykrywaczem kłamstw.

– Dlaczego go podejrzewaliście?

– Bo się rozstali. Ale niech pan sobie odpuści, to nie on.

– Mógłbym dostać jego nazwisko, tak dla porządku?

– Jose jakiś tam. Meksykanin, pewnie nielegalny imigrant, w tamtych czasach nie pytaliśmy o wizy. Pracował w sklepie z karmą rozładowywał siano i inny towar. Twierdził, że był świetnym kucharzem chyba w... Guadalajarze, ale oni wszyscy tak mówią.

– Imigranci.

– Jeśli tak dobrze im się powodziło, po co tu przyjechali? On i Bright byli małżeństwem pół roku; po rozwodzie facet się przeprowadził do Oxnard, dostał pracę w kuchni w jakimś hotelu. Tam właśnie widziało go dwadzieścia osób w czasie, gdy popełniono morderstwo. Mieliśmy też naocznych świadków wcześniej i później. W jego bloku, potem w barze wieczorem, gdzie tańczył ze swoją nową dziewczyną więc na bank to nie on. Mimo to poprosiłem go, żeby się zgodził na wariograf. Przeszedł jak burza. Twierdził, że rozstał się z Leonorą po przyjacielsku. Na dowód pokazał mi bożonarodzeniową kartkę od byłej żony. Poza tym wydawał się naprawdę załamany jej śmiercią. Równie dobrze wcale nie Bright musiała być celem, ale Tranh. Nie,

żebym znalazł kogokolwiek, kto by o niej mówił. Pojechałem odwiedzić jej rodzinę, wielki klan w Anaheim. Wszyscy płakali, zawadzili i zapalali świece Buddzie. Jak się ich słuchało, to można by pomyśleć, że Vicki była zakonnica. Nie miała żadnych wrogów.

– A pan w to wątpił?

– Nie – odparł krótko. – Ale z natury jestem nieufny. Był pan tam dzisiaj?

– Pewnie.

– Cały czas taka dziura?

– Może nawet gorzej.

– A wydawałoby się, że ktoś będzie coś wiedział. To przecież wioska zabita dechami. Ale wszyscy tylko powtarzali, jakie one były sympatyczne. – Chrapliwy śmiech. – Sympatyczni ludzie to przekleństwo życia detektywa.

– Poznałem tam panią Mavis Wembley...

– Och – westchnął Bragen. – Stary grubas. Wszędzie wtykała nos, nie mogłem jej zmusić, żeby się zamknęła. Ale ona też nie miała nic do powiedzenia.

– Nie kupuje pan jej historii o bracie Leonory?

– Aha, jasne. Jeśli chce pan tak pracować, powodzenia, kolego. Nie mogę uwierzyć, że ona jeszcze żyje. Spasione krówestwo. Jak ten Obcy w *Gwiezdnym Wojnach*, Jabba jakiś tam. Miała zwyczaj mnie wzywać. „Detektywie Bragen, czy mogę pana wezwać na małą rozmowę?” Pracowałem nad sprawą, więc jeździłem do niej, a ona siadała w fotelu i próbowała wyciskać ze mnie informacje. Ale jak mówiłem, trzeba sprawdzać wszystko, więc rozmawiałem z bratem Leonory. On też miał alibi, pracował, jakieś gejowskie zajęcia. Jeszcze bardziej się rozkleił niż Jose... Castro, tak się nazywał. Jose Castro, jak Fidel.

– Tyle w temacie Ansella – stwierdziłem.

– Ansella?

– Tak się nazywa, według nekrologu ojca.

– Facet, z którym ja rozmawiałem, przedstawił się jako Dale. I tak też nazywała go matka, a ona raczej powinna wiedzieć. To od niej dostałem jego numer telefonu. Umarła kilka miesięcy po zabójstwie Leonory. Rak, a ojciec miał chyba problemy z sercem. Pechowa rodzina. Dale opiekował się matką był u niej, kiedy zadzwoniłem.

– Może Dale to pseudonim – zasugerowałem.

– Wszystko jedno. Mięczak. Gadało się z nim jak z babą. Waga piórkowa. Takie chuchro nie dałoby rady obezwładnić dwóch zdrowych kobiet... Chce pan wyrzygać obiad, niech pan zdobędzie zdjęcia z autopsji.

Rozmawiał z nim przez telefon. Nigdy nie widział Ansella „Dale’a” Brighta osobiście, nie miał pojęcia o jego wzroście i sile.

– Rozumiem, o co panu chodzi – powiedziałem.

– Wszystko zapisałem w aktach, doktorze.

– A gdzie są akta?

– Pewnie w magazynie. Przenieśli wszystko kilka lat temu, sporo rzeczy pospadało z ciężarówki. Mnie to nie obchodzi. I pana też nie powinno. To beznadziejna sprawa.

Mavis Wembley nie wspominała o Jose Castro. Znalazłem jej numer telefonu w swoich notatkach.

Dochodziła dwudziesta druga. Stawiałem, że Mavis jest nocnym markiem.

Odebrała po pierwszym dzwonku.

– Pan przystojniak! Rozwiązał pan zagadkę?

– Cały czas nic. Ale dowiedziałem się, że Leonora była mężatką...

– Żoną Jose. Rozmawiał pan z Bragenem, co? Ten dureń namierzył Jose, zanim jeszcze go zobaczył... bo wie pan co?

– Co?

– Jose pochodził z Meksyku. Dużo się mówiło, że to było meksykańskie morderstwo... plotkowano o narkotykach, gangach.

– Dlaczego?

– W tamtych czasach byliśmy rasistowskim miasteczkiem. Teraz większość tutejszych to Meksykane, więc wszyscy trzymają gębę na kłódkę oprócz niektórych starych kowbojów, kiedy przyjadą do miasta i wypiją kilka drinków za dużo. Mój drugi mąż był pół-Meksykaninem i powinien pan widzieć, jak na mnie patrzyli. Jose... miły, młody człowiek.

– Młodszy od Leonory.

– Miał dwadzieścia kilka lat. Przystojny chłopak.

– Nigdy nie uważała pani, że to on jest winien?

– To był najsympatyczniejszy młodzieniec, jakiego poznałam, doktorze. Kiedy się rozstali, Leonora mówiła, że ciągle się przyjaźnią, po prostu nie wyszło im w małżeństwie. Chce pan znać moje zdanie? Pobrali się tylko dlatego, żeby Jose dostał status imigranta.

– Leonora zrobiłaby coś takiego dla przyjaciela?

– Taka właśnie była. A Jose w końcu dostał papiery. Dziewczyna strasznie się cieszyła. Niedługo potem się rozwiedli, Jose wyjechał gdzieś na południe, a jej to chyba nie przeszkadzało. Poza tym, dlaczego Jose miałby ją krzywdzić? Żadne z nich nie śmierdziało groszem. W przeciwieństwie do rodziny Leonory. Ci spalili na forsie. Mówię panu, to bratu trzeba się przyjrzeć. Bragen pewnie powiedział, że jestem wścibską wariatką, ale możemy się zmierzyć na IQ, kiedy tylko chce.

Zaśmiałem się.

– Pan myśli, że ja żartuję?

W południe następnego dnia spotkałem się z Milem na wzgórzach nad Sepulveda Pass.

Pusta działka, z półtora kilometra nad miejscem, gdzie znaleziono samochód Kat Shonsky. Dwaj policjanci przeszukiwali krzaki między smukłymi, nowoczesnymi domami, prowadząc na smyczach czekoladowego labradora i border collie.

Bystrookie psy, świetnie wytresowane. Oba wyczulone na zapach martwego ciała.

– Odpowiadając na twoje niezadane pytanie – powiedział Milo – to jedna z nielicznych nieogrodzonych działek w tej okolicy. – Co nic nie znaczy, Kat może być w Alhambrze. Ale wcześniej rano daliśmy stadu psów tropiących powąchać jej ubranie i przegoniliśmy je po całej okolicy. Przez pierwszą godzinę nic, a potem jeden z nich przybiegł tu i trochę się ożywił.

– Trochę?

– Po chwili zainteresował się czymś innym. Co się zdarza częściej, niż myślisz. Ale lepiej zachować ostrożność. Dlatego teraz są tu psiaki szkolone do szukania zwłok.

– Do kogo należy ta działka?

– Wspólnie do dwóch sąsiadujących domów. Dwie siostry wyszły za prawników, planują tu zbudować basen. Obecnie podróżują po Ameryce Południowej od dwóch tygodni.

– Proszę, masz swoją szczęśliwą rodzinę – powiedziałem.

– Nie będzie taka szczęśliwa, jeśli Lassie i Rin Tin Tin znajdą mięso z robakami.

Skórę miał obwisłą, a ubranie wymiętoszone – jakby siłował się z jakimś napastnikiem.

– Zarwałeś nockę? – spytałem.

– Wpadłem prawie w śpiączkę przy obserwacji Tony’ego, o siódmej rano pojechałem do mieszkania Kat. Wychuchane, wydmuchane...

– Cudowna ręka matki.

– I tak wezwałem ekipę. Żadnych śladów przemocy ani szamotaniny, ale jedno, czego mama nie znalazła, to torebki zioła na dnie pudełka z tamponami. Żadnych kwitów z kart kredytowych, co by pasowało do twierdzeń, że Monica odcięła córce gotówkę. Zero rachunków telefonicznych i formularzy podatkowych. Po prostu nie trzymała w mieszkaniu swoich papierów i tyle. Ani jednej książki, tylko stare egzemplarze „Us” i „Elle”. Zachowała sobie kilka pamiątek z podróży. Tanie badziewie z Hawajów, Tahiti, Cozumel. I fotki. Ona w bikini, sztuczne uśmiechy, żadnych zaprzyjaźnionych mężczyzn. Jakby poprosiła kogoś, żeby zrobił jej zdjęcie, i chciała w ten sposób udowodnić, że jest szczęśliwa.

– Wygląda na to, że była samotna.

Milo ziewnął.

– W każdym razie zabrałem jej bluzkę.

Spojrzelśmy na psy. Labrador okrążał działkę z zawziętością sprintera trenującego przed

ważnym biegiem. Staął. Znow ruszył. Border collie stracił zainteresowanie terenem i treser odprowadził go do samochodu.

– Pieskie życie – mruknął Milo. – Jeśli coś się wkrótce nie wydarzy, pojedę do butiku, gdzie pracowała Kat. Ktoś musi coś wiedzieć o jej życiu osobistym.

– Myślałem o morderstwach z Ojo Negro – powiedziałem. – Leonora Bright została zabita zaledwie osiem dni po śmierci ojca. Jej macocha była śmiertelnie chora, więc bliźniaki odziedziczyłyby majątek raczej prędzej niż później. Standardowy testament podzieliłby spadek fifty-fifty między nich oboje, w przypadku śmierci jednego drugie dostałoby wszystko. Leonora miała trzydzieści kilka lat, więc jest spore prawdopodobieństwo, że sama nigdy nie spisała testamentu.

– Straszny brat pozbył się siostry, żeby mieć pewność, że dziewczyna nie pójdzie do prawnika.

– To już jest motyw. I wcale nie taki różny od tego, który wymyśliliśmy dla Tony’ego Mancusiego: zabić mamę, zanim zmieni testament.

– Istnieje jakiś płatny zabójca wyspecjalizowany w prostowaniu zawilosci spadkowych, a Ansell i Tony przypadkiem obaj go znaleźli?

– Wiem, to brzmi mało prawdopodobnie – przyznałem. – Pomyśl jednak o kradzionych czarnych samochodach i przebraniach.

– Teatralny wędrowny płatny zabójca... Nie można tego odrzucić, ale zanim zajmę się zamierzchną przeszłością, muszę się skupić na tym, co tu i teraz. Jeśli znajdziemy jakieś powiązanie między Tonym i Ansellem, mogę zacząć ciężko dyszeć.

– Donald Bragen uważał, że Ansell jest niezdolny do przemocy, bo przez telefon wydawał się zniewieściał.

– A Tony wampuje. Dobra, teatralnie gejowski wyspecjalizowany płatny zabójca. Bragen zainteresował się Ansellem, poza jego głosem?

– Nie wiedział nawet, jak Ansell naprawdę ma na imię, bo facet przedstawił się jako Dale. I powiedział, że ma alibi na czas morderstwa. Pracował. Bragenowi to wystarczyło.

– O Boże.

– Szeryf Cardenas przyjrzy się bratu Leonory. Wczoraj wieczorem poszukałem Ansella w Internecie, zero trafień. Pod „Dale Bright” znalazłem czternastolatkę grającą w hokeja na trawie w gimnazjum na Florydzie, sześćdziesięcioletnią agentkę ubezpieczeniową w Ohio i pastora oraz farmera z Nebraski, który napisał książkę o życiu i umarł w 1876 roku.

– Stawiałbym na dziewczynkę... Dobra, upewnijmy się, że wszystko tu załatwiliśmy...

Przerwał w pół zdania.

Labrador usiadł.

Nie wstał.

Najpierw pokazała się głowa.

Kat Shonsky została zakopana metr pod ziemią, bez ubrania, z lekko rozchyłonymi nogami.

Skórę miała szarzieloną w marmurkowe plamy. Platynowe blond włosy zmieniły się w gniazdo robaków. Tam, gdzie nie królował rozkład, widać było wyraźnie czarne kreski.

Prawdopodobnie ślady po nożu. Przestałem liczyć po dwudziestu trzech.

W grobie leżał purpurowy jedwabny szal, rozłożony ukośnie na brzuchu i górnej części ud dziewczyny. Po jego zdjęciu ukazało się prawo jazdy Katriny Shonsky. Wetknięte między jej wargi sromowe.

– Wiadomość dla was – oznajmiła Diana Ponce, śledcza z biura koronera klęcząca nad zwłokami.

– „Patrzenie, co zrobiłem” – powiedział Milo.

– „I niech cały świat o tym wie”.

Ponce wrzuciła prawo jazdy do torebki i poprosiła o większą kopertę na szal. Kiedy czekała, obejrzała kark Katriny Shonsky. Żadnych widocznych otarć, ale z szyi niewiele zostało i ostatnie słowo miało należeć do koronera.

Odłożyła szal z powrotem na zwłoki, delikatnie podniosła szczątki głowy jedną dłonią, a drugą wsunęła pod spód.

– Z tyłu jest pęknięta kość, Milo. Chcesz pomacać?

Milo uklęknął obok Diany, a ona poprowadziła jego dłoń w rękawiczce.

– Rzeczywiście. Jak pęknięta skorupka jajka.

– Ktoś jej niezłe przyłożył – stwierdziła Ponce. – Może chciał ogłuszyć dziewczynę, zanim ją pocałował? – Spojrzała na bliźniacze domy. – Tak blisko prywatnych posesji... zależało mu na ciszy.

– Powinnaś być detektywem, Diano – skomentował Milo.

Wyszczrzyła się w uśmiechu.

– Według tego, co mówią w telewizji, już jestem.

Przyniesiono kopertę. Ponce ostrożnie odłożyła głowę, rozwinęła szal. Prześwitywał; unosił go lekki powiew.

– Metka Louisa Vuittona.

– Myślałem, że oni robią walizki – zdziwił się Milo.

– Wszystko robią, poruczniku. – Ponce podziwiała jedwab.

Wiatr zawiął mocniej i kilka drobinek piasku spadło z szala na ciało. Ponce oddała tkaninę i podniosła ziarenka pęsetą.

– Kosztował fortunę, ale zostawiono go tutaj – rzucił Milo. Idealny wstęp do jednego z tych dowcipów, które policjanci i technicy opowiadają czasem, żeby zdystansować się od potworności. Tym razem nikt się nie odezwał.

Pracownicy krypty zawinęli zwłoki w folię i zabrali do kostnicy. Kilka chwil później pojechała Diana Ponce i do roboty wzięli się śledczy kryminalni.

– Pora pojechać do Moniki Hedges – powiedział Milo. – Możemy się tam spotkać, jeśli chcesz.

– Jasne.

Ruszyłem za nim do Wilshire, skręciłem w lewo. Przy Warner zjechał na bok, machnął, żebym się też zatrzymał.

– Misja odwołana. U Hedgesów nikt nie odbiera, a to nie jest dobra pora, żeby zostawiać wiadomość. Zajrzyjmy tam, gdzie Kat pracowała. Modny z ciebie facet.

– Raczej nie bardzo.

– Szkoda – mruknął Milo. – Miałem nadzieję, że będziesz tłumaczył.

Butik La Femme znajdował się przy San Vincente, na zachód od Barrington, wciśnięty między kawiarnię specjalizującą się w kawach indonezyjskich a salon fryzjerski pełen pięknych głów.

Sklep był wysoki, wąski i biały, obwieszony secesyjnymi plakatami reklamującymi absynt, z podłogą wyłożoną starym marmurem w kolorze wina. Nieliczne meble były ciężkie i wiktoriańskie, ubrania na wystawie zwiewne i obcisłe na niedożywionych manekinach.

Żadnych kupujących w zasięgu wzroku. Milo i ja przeszliśmy wąskim przejściem między wieszakami. Niektóre sukienki i bluzki miały doczepione kartki z napisem „Obniżka”, dzięki czemu ich ceny spadały do trzycyfrowych.

Z głośników Edith Piaf, na metkach „Made in France”.

Projektanci, o których nigdy nie słyszałem, ale to nic nie znaczyło.

– Nie przyglądałem się zbyt uważnie rzeczom w mieszkaniu Kat – powiedział Milo – ale nie były takie. Nie miała też żadnych szali... Hej, co słychać? – zwrócił się do brunetki z zapadniętymi policzkami w czarnym koronkowym topie.

Siedziała za ladą popijając wodę Evian i czytając „InStyle”. Za nią stał wysoki regał z gadżetami do kąpieli, świecami w kształcie owoców, pastami i żelami, które nie przeszłyby kontroli bezpieczeństwa na lotnisku.

Wstała i wyszła zza lady, z głową lekko odchylną biodrami wysuniętymi jak modelka na wybiegu. Trzydzieści lat, plus minus, ciemne oczy mocno podkreślone cieniem. Makijaż gruby jak polewa na cięście starał się maskować cerę niewiele lepszą niż Mila. Czarny top był wsunięty w obcisłe kremowe dzinsy w łaty.

– Cześć, panowie. Ktoś tu kupuje prezent w ramach przeprosin czy raczej chodzi o czyjeś urodziny?

Milo odchylił kłapę, pokazując odznakę.

– Policja. Kilka kilometrów stąd znaleziono przed chwilą zwłoki Katriny Shonsky. Została zamordowana.

Zapadnięte policzki się wydeły. Powieki zadrżały.

– O boże-o-boże... Kat!

Ugięły się pod nią kolana. Złapałem ją pod rękę, zaprowadziłem do fioletowo-brązowego aksamitnego tapczanu. Milo podał dziewczynie wodę.

Przelknęła. Zaczęła się krztusić. Wróciłem za ladę i wziąłem papierową torbę z

nadrukowanym logo sklepu. Kiedy wróciłem, młoda sprzedawczyni oddychała już normalnie i rozmawiała z Milem.

Nazywała się Amy Koutsakas, ale mówiła na siebie Amelie. Pracowała z Kat Shonsky nieco ponad rok. Z początku nie mogła się nachwalić zamordowanej. Przeczekaliśmy, aż minie szok, i już niedługo zwierzyła się, że nie była z Kat blisko.

– Nie to, żebym ją obmawiała. Broń Boże.

– Po prostu nie przypadłyście sobie do gustu – zgadywał Milo.

– Nigdy się nie pokłóciliśmy, ale szczerze mówiąc, poruczniku, miałyśmy inne podejście...

– Do czego?

– Do tej pracy. Kat potrafiła być nietaktowna.

– Wobec pani czy klientów?

– Jedno i drugie – odparła Amelie. – Nie twierdzę, że celowo była wredna, po prostu... Sama nie wiem, co gadam. Przepraszam. Nie mogę w to uwierzyć...

– Kat miała niewyparzony język – powiedziałem.

– Była... czasem chodziło o to, czego nie mówiła. Do klientów.

– Nie umiała się im podlizywać?

Amy wyprostowała plecy.

– Panowie, w tym interesie najważniejszy jest takt. Większość naszej klienteli to osoby dojrzałe. Kogo innego stać na te ceny? Mówimy tu o dawnych rozmiarach S, teraz XL. Kiedy człowiek się starzeje, ciało się zmienia. Wiem, bo moja mama była tancerką i ją to spotkało. – Poglądziła swój płaski brzuch.

– Kat tego nie rozumiała – podsunął Milo.

– Przychodzi do nas sporo pań szukających specjalnych kreacji. Chcą wyglądać bajecznie i są gotowe za to zapłacić. Czasami to trudne, ale trzeba pracować z klientkami. Bez ostentacji ocenia się plusy i minusy danej kobiety, pokazuje rzeczy, które minimalizują jej problemy. Jeśli coś przymierzy i wygląda okropnie, mówi się miłe słowo i delikatnie sugeruje inny ciuch.

– Psychologia stosowana – skomentował Milo.

– Skończyłam psychologię i wierzcie mi, bardzo się przydaje.

– Kat nie miała takiego podejścia domyśliłem się.

– Uważała, że jej praca polega na noszeniu ubrań do przebieralni i oglądaniu własnych paznokci, kiedy klientka coś przymierza. Nigdy nie powiedziała nic z własnej woli. Nigdy. Nawet kiedy klientka wyraźnie tego potrzebowała, wręcz prosiła o potwierdzenie, że dobrze wygląda. Próbowałam wytłumaczyć Kat, że jesteśmy kimś więcej niż tylko sprzedawczyniami. Jej odpowiedź brzmiała: „Są dorosłe, same umieją decydować”. Ale to nie fair. Ludzie potrzebują wsparcia, prawda? Nawet jeśli coś wyglądało dobrze, Kat stała jak słup soli. Nie pomagała i przez to klienci sporo rzeczy zwracali. Zwroty potraça się z prowizji.

– Dzielicie się prowizją? – spytał Milo.

– Tak było, ale powiedziałam właścicielom, że nie ma mowy, żebym dzieliła się z kimś

takim jak Kat. Cenią mnie, więc się zgodzili i zaczęłam zarabiać trzy razy tyle, ile ona.

– Prowizja stanowi dużą część waszych zarobków?

– Siedemdziesiąt procent.

– A więc Kat nie zbijała kokosów.

– Ale jak na to narzekała! Bez sensu. Wystarczyłoby, gdyby była miła. – Amy przygryzła wargę. – Przykro mi, ale taka jest prawda. W końcu Kat przestała przychodzić i nie odbierała telefonów. Właściciele uznali, że rzuciła pracę. Po trzech dniach ją zwolnili.

– Kim są właściciele? – drażył Milo.

– Państwo Leibowitz – odparła. – Dorobili się pieniędzy na kwaciarstwie i przeszli na emeryturę. Ten sklep wyrósł z hobby Laury, pani Leibowitz. Co roku latali do Paryża, a ona przywoziła świetne rzeczy, za którymi szalały jej przyjaciółki.

– Mówimy o właścicielach nieobecnych?

– Najczęściej. Ja pełnię funkcję kierowniczkę, a Kat jest... była asystentką. – Czas przeszły nią wstrząsnął. – Wiecie już, kto...? – Głos uwiązł jej w gardle.

– Jeszcze nie – powiedział Milo. – Dlatego tu przyszliśmy.

– Nie wyobrażam sobie, kto mógłby zrobić coś takiego.

– Kat miała kiedyś poważną scysję z klientem? Albo kimś innym?

– Nie, nie, nasza klientela jest wyrobiona. To miłe kobiety.

– A mężczyźni w życiu Kat?

– Nigdy żadnego nie poznałam, ale z tego co mówiła, zaliczyła całą masę nieudaczników i odżegnywała się od facetów.

– Ktoś konkretny?

– Ee, nie doszliśmy nigdy do imion. Rzucała tylko uwagi. Bez przerwy.

– Na temat mężczyzn?

– Mężczyzn, pracy, ogólnie życia. Swojej matki... Dużo mówiła o matce. Podobno ona wywierała na nią dużą presję, a Kat tego nienawidziła. Chyba miała nieszczęśliwe dzieciństwo. Ogólnie robiła na mnie wrażenie nieszczęśliwej osoby. Pewnie dlatego piła.

– W pracy?

Cisza.

– Amelie?

– Czasami przychodziła ze zbyt miętowym oddechem. Dwa razy zapomniała o miętówkach i wyczułam alkohol. Zaczęłam trzymać dla niej płyn do płukania ust.

– Ostro balowała?

– Pewnie tak – powiedziała. – Wie pan, kto może odpowiedzieć na te pytania lepiej niż ja? Jej przyjaciółka Beth. Pracuje u jubilera na tej samej ulicy. To ona poinformowała Kat o wolnej posadzie.

– Dzięki za podpowiedź – rzucił Milo, zbierając się do wyjścia.

– Zrobię, co mogę, żeby pomóc. – Odprowadziła nas do drzwi, poprawiając po drodze

ubrania. – To pewnie nic takiego – dodała, zanim Milo położył rękę na klamce. – Ale chyba powinnam wam jeszcze o czymś powiedzieć. O kliencie.

Zatrzymaliśmy się.

– To właściwie nie była kłótnia, ale... jestem pewna, że to nic takiego.

– Wszystko może się nam przydać, Amelie.

– Dobrze... Z miesiąc temu, może pięć, sześć tygodni, miałam rano wolne, przyszedłam po lunchu i zastałam Kat w świetnym humorze. Cała rozbawiona, rozchichotana... zupełnie nie ona. Spytałam, o co chodzi, a ona, że wydarzyło się coś komicznego. Klient, mężczyzna, był przed chwilą w sklepie i zaczął przebierać ciuchy z obniżki. Kat założyła, że szukał prezentu. Zignorowała go, jak zawsze. Gość dalej oglądał rzeczy, skupiał się na większych rozmiarach. Po jakimś czasie Kat się zaniepokoiła i w końcu spytała, czy w czymś mu pomóc.

– Co ją zaniepokoiło?

– To, że była z nim sama, że długo wybierał. Nie jesteśmy wielkim marketem, ile można przeglądać towar? Poza tym większość mężczyzn nie ma cierpliwości, wchodzi i wychodzi albo proszą nas o pomoc. W każdym razie ten powiedział, że nie trzeba, a Kat wróciła za ladę. Ale coś ją tknęło i zerknęła jeszcze raz. Nie widziała go, ale słyszała, że facet jest za wieszakiem, więc poszła i zajrzała. Gość przykładał sukienkę do ciała. Gładził ją, jakby mierzył na siebie. Kat powiedziała, że nie mogła się powstrzymać, parsknęła śmiechem, a on ją usłyszał i szybko odwiesił sukienkę. Ale zamiast przeprosić, Kat stała i się gapiała. A on nie wybiegł, tylko odwrócił się i popatrzył na Kat. Zachowywał się... ostentacyjnie. Jakby musiał pokazać, że się nie wstydzi. Kat powiedziała, że to ją wkurzyło. Spojrzała wyzywająco na faceta. Można to chyba nazwać konfliktem.

– Z asertywnym popaprańcem – dodał Milo.

– Kat uznała całą sytuację za komiczną. Ja byłam przerażona. Każdy ma swoje sekrety, po co kogoś ośmieszać?

– Co dalej?

– Gość w końcu się odwrócił i szybko wyszedł. Kat powiedziała, że jeszcze się zaśmiała. Żeby ją słyszał, kiedy uciekał. To pewnie nic takiego, ale pytał pan o problemy.

– Czy Kat opisała tego człowieka?

Obwiedzione na czarno oczy zrobiły się okrągłe.

– Myślicie, że to mógł być on? O nie, a jak wróci?

– Jestem pewien, że ten incydent nie ma żadnego związku z morderstwem, Amelie. Musimy po prostu zebrać tyle faktów, ile zdołamy.

– Od czegoś takiego naprawdę ześwirowałabym ze strachu – wymamrotała. – Na myśl, że byłabym tu z...

– Nic się pani nie stanie, Amelie. Czy Kat go opisała?

– Nie, nie. Tylko opowiedziała mi tę historię i się śmiała. Chichotała przez resztę dnia.

Sklep jubilera o nazwie Cachet był widoczny na końcu kwartału.

– Jako wspaniały i słynny detektyw zgadywałbym, że tam pracuje Beth Holloway. Ale najpierw trzeba sobie podnieść poziom cukru we krwi – stwierdził Milo.

Poszedłem za nim do kawiarni. Było tam prawie pusto, ale chwilę trwało, zanim zwróciliśmy na siebie uwagę chłopaka ze słuchawkami iPoda na uszach, chowającego się za ekspresem.

Milo kupił dwie wielkie jak frisbee drożdżówki z budyniem, nalał darmowej wody do małego papierowego kubka, zaniósł łup do stolika w rogu. Jedna drożdżówka zniknęła w mgnieniu oka. Milo otarł brodę.

– Minęło trochę czasu, odkąd miałem sprawę z podtekstem.

Wiele lat temu służył pod kapitanem, który przydzielał go do każdego zabójstwa z „niekonwencjonalnym podtekstem”, jakie trafiło się wydziałowi. Chodziło o różne układy, oprócz damsko-męskich, im bardziej wyuzdane, tym lepiej.

Ciało Kat Shonsky nosiło ślady zabójstwa na tle seksualnym – cios w głowę zadany z zaskoczenia, przesadna liczba cięć nożem, seksualne ułożenie ciała, miejsce pozostawienia prawa jazdy. Ale nic nie sugerowało, że w grę wchodziło coś więcej niż relacje między mężczyzną a kobietą.

– Nie jestem pewien, czy widzę tu jakieś podteksty, Wielkoludzie.

Uśmiechnął się.

– Co w tym śmiesznego?

– To, dokąd to wszystko prowadzi.

Witryny sklepu jubilera wypełniał blask światła i kuszącej biżuterii. Młody, brodaty mężczyzna w ciemnym garniturze przyjrzał się nam uważnie, zanim brzęczykiem otworzył drzwi. Kiedy weszliśmy, obie ręce trzymał pod ladą.

Milo się przedstawił i spytał o Beth Holloway – mężczyzna wyraźnie się rozluźnił.

– To jest Beth. – Popatrzył na drobną blondynkę pokazującą szarą, aksamitną tacę pierścionków zgarbionemu, siwemu klientowi koło osiemdziesiątki.

Beth Holloway miała duże jasne oczy, nieskazitelną cerę, gładkie, brązowe ramiona. Na delikatnych nadgarstkach wisiała minikolekcja bransoletek z koralików. Dziewczyna miała na sobie obcisłą, krótką szarobrązową sukienkę, często się schylała, błyskając piegowatym dekoltem. Uwaga klienta przeskakiwała od powabnej nagiej skóry do zabawek na tacy.

– Śliczne, panie Wein – powiedziała Beth. – Prawda?

Starzec westchnął.

– To takie trudne.

Beth dotknęła jego nadgarstka.

- Pan zawsze dokonuje świetnego wyboru, panie Wein.
- Skoro tak pani mówi... – Podniósł platynowy pierścionek z szafirem. – Jak pani myśli?
- Idealny, na pewno bardzo się spodoba.

Wein podniósł pierścionek do światła i obrócił go kilka razy.

- Podać lupę?
- I tak nie wiem, na co patrzę.

Beth się zaśmiała.

– Niech mi pan wierzy, panie Wein, to naprawdę doskonale kamienie. I to maleńkie bagiety, a nie odłamki.

Jeszcze kilka obrotów.

- Dobrze, może być.
- Świetnie! Dopasujemy i będzie gotowy dla pani Wein za dwa dni. Dostarczyć panu do domu?

– Nie, tym razem zamierzam dać go żonie przy kolacji.

Beth klasnęła w dłonie.

- Ależ romantycznie! To szczęśliwa kobieta, panie Wein.
- Zależy, w jaki dzień ją zapytać.

Wyszedł, a Beth odwróciła się do nas, wygładzając sukienkę.

– Dzień dobry!

Miło przedstawił się i powiedział, po co przyszliśmy.

Zamarła.

Zalała się łzami. Zakryła twarz jedną ręką, drugą oparła się ciężko o ładę.

Mężczyzna w ciemnym garniturze zabrał tacę z pierścionkami, zamknął ją i popatrzył z ciekawością.

– Przykro mi – powiedział Milo.

Beth Holloway pobiegła w głąb sklepu, pchnęła drzwi i zniknęła.

– Mówimy o Kat z La Femme? – spytał mężczyzna w ciemnym garniturze.

– Znał ją pan?

– Rany – wymamrotał.

Miło powtórzył pytanie.

- Byłem tam ze dwa razy, kupowałem coś żonie.
- Kat pana obsługiwała?
- Była tam, ale niewiele robiła – wyznał mężczyzna. – Dziwne.
- Co takiego?
- Znać kogoś, kto został zabity.
- Co może nam pan o niej powiedzieć.
- Nic. Tak tylko mówię.
- Co pan mówi?

Mężczyzna zacisnął usta.

– Nie była pomocną sprzedawczynią – podpowiedziałem.

– Tak, ale mnie to nie przeszkadza. – Wzruszył ramionami. – I tak kupuję po swojemu. Przy biżuterii trzeba doradzać. Ale ubrania... każdy bierze, co lubi.

Beth Holloway wyszła w czekoladowo-brązowym swetrze włożonym na sukienkę. Oczy miała spuchnięte. Jej usta wyglądały jak posiniaczone.

– Co się stało Kat? – spytała.

– Na razie niewiele wiemy – przyznał Milo. – Może nam pani poświęcić trochę czasu?

– Pewnie. Zrobię wszystko, żebyście znaleźli tego... drania.

– Przychodzą pani do głowy jacyś kandydaci?

Mężczyzna w ciemnym garniturze przysunął się bliżej.

– Niestety nie. – Beth głośno pociągnęła nosem.

– Przejdźmy się – zaproponował Milo.

Kiedy wszyscy troje wyszliśmy na zewnątrz, wskazał kawiarnię.

– Porzygałabym się – powiedziała Beth. – Po prostu chodźmy.

Ruszyła, machając rękami.

– Tak naprawdę przydałby mi się piętnastokilometrowy bieg.

– Potrzebowalibyśmy dla mnie karetki – rzucił Milo.

– Powinien pan zacząć biegać. To zdrowo.

– Kat ćwiczyła?

– Ani trochę. A próbowałam. – Zwolniła, znów przyspieszyła. Przechodziliśmy szybko obok witryn, omijaliśmy przechodniów. Beth Holloway przebijała się przez tłum jak kobieta z misją do wykonania.

Milo pozwolił jej wytracać energię przez półtorej przecznicy.

– Chce pani nam coś powiedzieć, zanim zaczniemy zadawać pytania?

– Kat ciągle trafiała na nieudaczników, ale nie wyobrażam sobie nikogo aż tak złego.

– Może jakieś nazwiska?

– Był jeden Rory... Rory Cline. Przez C. Pracował w sortowni poczty w agencji KRP, ale odstawił ważniaka. Ma chyba ze czterdzieści lat, choć próbuje wyglądać młodziej. Kat poznała go w klubie, nie wiem gdzie. Pociągał ją, ale nie był zainteresowany seksem, chciał tylko trzymać się za ręce i słuchać muzyki. Czują się przez to nieatrakcyjna.

Milo zapisał nazwisko.

– Następny?

– Hm... Michael... jak on miał na nazwisko...? – Postukała się w głowę. – Przepraszam, nie mogę sobie przypomnieć. Michael... W przeciwieństwie do Rory'ego uwielbiał seks. Kat mówiła, że to ogier, ale okazało się, że jest żonaty. Księgowy czy coś takiego... Michael Browning, proszę, mam.

– Czy Kat przestała się z nim spotykać, kiedy się dowiedziała o żonie?

– Nie. Ale się znudziła. Nim i seksem. Szedł w ilość, nie w jakość, powiedziała. Trzeci to był naprawdę dupek, jakiś wieśniak robiący przy rollsroyce'ach.

– Clive Hatfield – podsunął Milo.

Zesztywniała.

– Podejrzewacie go?

– Rianna podała nam jego imię, więc poszliśmy z nim porozmawiać.

– I?

– Książę z bajki to nie jest. Niestety, ma mocne alibi. Ktoś jeszcze?

– Nie. – Beth pokręciła głową. – Rory, Michael i Clive, brygada palantów.

Milo poprosił, żeby opowiedziała o ostatniej nocy życia Kat Shonsky. Beth nie kryła się ze swoim „coraz poważniejszym” związkiem z Seanem, szlifierem desek surfingowych.

– Prawdziwa chemia, wiecie panowie? To znaczy, przykro mi, że Kat musiała jechać do domu sama, ale to nie moja wina, prawda?

– Oczywiście, że nie.

– Była wkurzona. Czy to przypadkiem miało coś wspólnego z jazdą po pijanemu?

– Nie wydaje się.

– Dzięki Bogu, miałabym okropne wyrzuty.

– Beth, czy oprócz Rory'ego Cline'a i Michaela Browninga powinniśmy jeszcze o kimś wiedzieć?

– Nie wiem, chyba nie.

– Kat nikogo nie poznała w klubie tamtej nocy?

– Nikogo. To ją tak wkurzyło. Myślałyśmy, czy by jej nie zaprosić, ale zrobiłoby się niezręcznie. – Przyspieszyła, zgrzytnęła zębami, zapłakała bezgłośnie.

– Beth, czy Kat mówiła kiedykolwiek o swoich problemach?

– Tylko z matką. Nie układało im się.

– A ludzie w butikach?

– Nienawidziła tej roboty. Uważała, że dziewczyna, z którą pracowała, to lizus. Zrobiło mi się trochę głupio, bo to ja powiedziałam Kat o tej posadzie.

– Czego w pracy nienawidziła?

– Kiepskich pieniędzy, nudy, wszystkiego. Miała ciężkie życie. Prawdziwy tata Kat zmarł, kiedy była mała. Jej matka to szmata, co chwila zmieniała facetów. W końcu znalazła sobie bogatego.

– Jak Kat dogadywała się z tym bogatym?

– Właściwie lubiła go bardziej niż matkę. Mówiła, że jest wyluzowany, niczego się nie czepia. A matka bez przerwy ją krytykowała. – Wciągnęła powietrze przez zęby, długo wydychała. – Kat była piękna, ale o tym nie wiedziała. Prawda jest taka, teraz to widzę, że nigdy nie czuła się szczęśliwa.

– Jak sobie radziła ze swoim nieszczęściem?

– To znaczy?

– Czasami ludzie uciekają...

– Aha. Jej picie. Tak, zdarzało się, że Kat traciła kontrolę. Ale przed chwilą pan powiedział, że nie chodziło o jazdę po pijanemu.

– Bo nie chodziło. A więc nie miała z nikim ostatnio żadnego poważniejszego konfliktu?

– Nikt mi nie przychodzi do głowy.

– Ktoś nam opowiedział dziwną historię, Beth.

– Jaka?

Milo zrelacjonował incydent z przebierańcem.

– A, to – mruknęła.

– Kat o tym mówiła?

– Uważała, że to było komiczne. – Ślad uśmiechu świadczył, że Beth się z tym zgadzała.

– Opisała tego człowieka?

– O Boże, uważacie, że to on...?

– Zbieramy fakty, Beth.

– Czy go opisała...? Tylko tyle, że nie wyglądał ciotowato, nikt by się nie domyślił.

– Męski.

– Raczej tak.

– Czy Kat imponowały pieniądze?

– Chyba wszystkim imponują?

– Chodzi mi o wyjątkowy pociąg.

Ładna twarz znieruchomiała w wyrazie niezrozumienia.

– Eleganckie domy, fundusze reprezentacyjne, luksusowe samochody. Czy coś z tych rzeczy ją kręciło?

– Pewnie, wszystko – odparła Beth Holloway. – To znaczy, że była po prostu normalna.

Milo sprawdził Rory'ego Cline'a i Michaela Browninga.

Z Cline'em poszło łatwo – w hrabstwie L.A. był tylko jeden kierowca o takim nazwisku. Mieszkanie w Studio City, nienotowany, żadnych wyroków, jedenastoletnie audi.

Szesnastu Michaelów Browningów. Po zawęzeniu listy do trzech mieszkających w Valley i sprawdzeniu spisów firm został jeden księgowy: Michael J. Browning, biuro na Lankershim, niedaleko Universal Studios.

Roczny saab, kartoteka też czysta.

– Fizyczny z sortowni poczty i liczykrupa... – Milo zamyślił się na chwilę. – Chyba żaden z nich nie rąbnąłby samochodu, ale i tak z nimi porozmawiajmy.

Agencja Kreatywnej Reprezentacji i Promocji zajmowała trawertynowo-szklaną fortecę niedaleko skrzyżowania Wilshire i Santa Monica. W środku – ten sam beżowy kamień. Trzypiętrowy westybul z przeszklonym sufitem był zdominowany przez mural przedstawiający sztywnych ludzi oglądających film. Mleczne szkło sufitu miało wywoływać wrażenie przebywania na zewnątrz, ale efekt był marny. Mussolini uwielbiał trawertyn, ale zawisnął na szubienicy, zanim zdążył przebudować Rzym.

Dwóch recepcjonistów w jedwabnych koszulach koloru naoliwionej stali chowało się za wysokim blatem recepcji i szeptało do maleńkich mikrofonów zawieszonych na uszach. Zwalisty czarnoskóry mężczyzna w kiepskim garniturze stał z boku.

Milo podszedł do jednego z szarych koszul i pokazał odznakę. Mężczyzna uśmiechnął się i pozostał na swoim miejscu. Dalej mówił. Sądząc po tonie, prowadził osobistą rozmowę.

Milo huknął dłonią w blat. Ochroniarz uśmiechnął się szerzej, kiedy recepcjoniści podskoczyli.

– Zaczekaj. – Nagły uśmiech, prawdziwy jak silikon. – Panowie na spotkanie?

– My do Rory'ego Cline'a.

– A kto to?

– Pracuje w sortowni poczty.

– Sortownia nie przyjmuje wizyt.

– Tę przyjmie.

– Ee. Godziny pracy...

– Bez znaczenia. Proszę go wezwać.

Pan Szara Koszuła się skulił. Zerknął na ochroniarza. Zobaczył szerokie plecy.

– Niech pan posłucha, nawet nie wiem, jak tam kogoś posłać.

– Pora się nauczyć – odparował Milo.

Dopiero po kilku telefonach – zmieszany szept i gorączkowo powtarzane słowo „policja” – Szara Koszula powiedział:

– Już idzie, możecie panowie poczekać tam. – Wskazał brązowe fotele.

Kilka minut później drzwi windy się rozsunęły i w naszą stronę ruszył szczupły, zgarbiony, ciemnowłosa mężczyzna.

Rory Cline wyglądał na każdą minutę swoich czterdziestu lat i jeszcze trochę, miał zapadnięte policzki i podkrążone oczy. Nastroszona fryzura pasowała mu jak szminka złotej rybce. Pomięta, luźna biała koszula przypominała zużyta chusteczkę. Wąski czarny krawat zwisał poniżej pasa szarych, bezkształtnych spodni.

Wskazał frontowe drzwi, minął nas szybkim krokiem, wyszedł.

Znaleźliśmy go pół przecznicy dalej na Linden Drive; chodził w tę i z powrotem z rękami w kieszeniach.

– Pan Cline?

– Co wy mi robicie? Teraz wszyscy pomyślą, że jestem przestępcą!

– W pana branży to może pomóc w karierze – powiedział Milo.

Cline wytrzeszczył oczy.

– Bardzo śmieszne. Nie wierzę, że was tu przysłała. Podałem już waszym swoją wersję i uwierzyli mi, że jej opowieści to totalna bzdura. A teraz wracacie? Dlaczego? Bo ma kupę szmalu? Tak to robicie, jak w filmie z Eddiem Murphym? Co, żyjemy w pieprzonej komedii o Beverly Hills?

Gwałtowne ruchy rąk, pospieszna wymowa, zwężone źrenice.

– Ona? – zagadnął Milo.

– Wiecie, dlaczego mnie prześladowa? Prawdopodobnie usłyszała, że mam iść w górę, i chce się załapać na profity.

– Gratulacje z okazji awansu – powiedział Milo.

– Tak, to już niedługo. A przynajmniej miało być niedługo, dopóki się nie pojawiliście i być może wszystkiego nie spieprzyliście. Rozważa się moją kandydaturę na asystenta Eda LaMoki. Dotarło?

– Duże nazwisko.

– Pewnie, to... – Cline wytrajkotał listę gwiazd filmowych. – Wszyscy chcą dla niego pracować, zajęło mi lata, żeby się tak ustawić, a teraz wy się pojawiacie, więc pomyślą... jak mogliście to zrobić tylko dlatego, że te dupki wam każą? Oni kłamią, to wszystko jedna wielka pieprzona ściema.

Tempo jego wymowy wzrosło od pospiesznego do niemal niezrozumiałego. Zastanawiałem się, czy budynek agencji jest dość duży, by ukryć w nim laboratorium produkujące amfę.

– Według pana, kto nas wezwał? – spytał Milo.

– A jak pan myśli? Oni. Perska dziwka i jej pieprzony mężulo. Nieważne, co nakręcili, to ona

mnie stuknęła, rozpieprzyła mi zderzak, bagażnik, światła. Ja stałem z przodu, ona z tyłu i nie ma mowy, żebym się stoczył, bo nie było żadnego wzniesienia. Nie wezwałem was, bo nikt nie odniósł obrażeń, a ona przyznała się do winy, obiecała szybko zapłacić odszkodowanie. A potem wróciła do domu, opowiedziała wszystko swojemu bogatemu mężulkowi, handlarzynie dywanami, a ten zaczął kręcić. Dobra, chcą wojny, będą ją mieli. Nie rozumiem tylko, po co marnujecie czas. Spisałem już oświadczenie dla jej ubezpieczyciela. Powiedzieli, że mi wierzą. To oczywiste, że się na nią nie stoczyłem. Nie miałem ubezpieczenia tylko dlatego, że się skończyło, kiedy przeniosłem się tu z ICM. Gdybyście czytali raporty ubezpieczeniowe, to byście wiedzieli.

Ruszył szybkim krokiem, przeszedł dziesięć kroków, wrócił.

– Mogę iść do pracy i spróbować nie dać się wydymać?

– Nie chodzi o pana stłuczkę – wyjaśnił Milo.

– A więc o co? Jestem zajęty!

– Proszę się uspokoić.

– Niech pan tak do mnie nie mówi. Prawdopodobnie właśnie mi pan zniszczył życie, więc nie...

– Proszę przestać...

– Sam niech pan przestanie...

– Cicho. Ale już.

Coś w głosie Mila kazało facetowi przerwać tyradę.

– Zacznijmy od początku...

– Co teraz? O rany – wysapał Cline. – Nie spałem od... sam nie wiem, ilu...

– A więc coś nas łączy, panie Cline. Prowadzę śledztwo w sprawie zabójstwa.

– Zabójstwa? Ktoś został zabity? Kto?

– Kat Shonsky.

Cline zmiękł, jakby dostał zastrzyk relanium.

– Pan żartuje. – Uśmiechnął się.

– Uważa pan, że to zabawne?

– Nie, nie, po prostu... totalnie dziwne. Naprawdę mnie pan zażył z mańki. Kto ją zabił?

– Tego właśnie próbujemy się dowiedzieć. Co jest dziwne?

– No... morderstwo. – Cline zacisnął usta. – Dlaczego właśnie ze mną...?

– Rozmawiamy ze wszystkimi, z którymi się spotykała.

– Mnie nie liczcie. Poderwała mnie w klubie, przez kilka miesięcy tylko uprawialiśmy seks, potem oboje zrozumieliśmy, że udajemy, więc po co sobie zawracać głowę.

– Mężczyźnie trudno jest udawać – zauważył Milo.

– Ależ pan dosłowny – prychnął Cline. – Proszę nie mówić, że panu się to nie zdarzyło. Chodzi o brak poczucia bliskości.

Milo się nie odezwał.

– Dobra – powiedział Cline. – Jest pan wyluzowanym macho, może pan to robić z puszką wątróbki. Dla mnie zrobiło się pusto. Jakby jej nie było. Postanowiliśmy zostać przyjaciółmi, tylko się spotykać. To też nie wypaliło.

– Dlaczego?

– Bo się nie lubiliśmy. – Cline się cofnął, być może uświadamiając sobie implikacje. – Niech pan posłucha, ostatni raz widziałem ją może z pół roku temu. Miałem od tamtej pory dwie dziewczyny. Jeśli chce pan z nimi porozmawiać, proszę bardzo, potwierdzą że jestem łagodny jak letnia bryza.

Cline wyrecytował nazwiska. Milo je zapisał.

– Naprawdę zamierza pan do nich dzwonić? Nie do wiary. Dobrze, czemu nie. W przypadku Lori może nawet skorzystam.

– Dlaczego?

– Znow się mną zainteresuje, bo będę się wydawał groźny – powiedział Cline. – Łagodność to mój problem. Lori uważała, że jestem średniakiem albo zerem. Najczęściej czuję się jak zero. Nie jem, nie śpię, a teraz jeszcze spieprzyliście mi karierę. – Piskliwy śmiech. – Cholera, chyba podetnę sobie żyły. – Potarł ręce. – I to będzie wasza wina.

Milo milczał.

– Wiem, wiem, odpocznij, poćwicz jogę, jedz witaminy – ciągnął Cline. – Jak w tej reklamie siłowni: „Odpocznę po śmierci”.

– W takim razie Kat pewnie odpoczywa – powiedział Milo.

Cline zamknął usta. Spróbował stanąć nieruchomo, nie wyszło, zaczął się kołysać na piętach.

– Niewiarygodne.

Milo zapytał go, gdzie był, kiedy Kat Shonsky wychodziła z klubu.

– Tutaj – odparł Cline.

– W L.A.?

– Tutaj – powtórzył. – W pracy. Na dole w bebechach, żarłem gówno.

– Pracował pan w weekend.

– Co to jest weekend? Jeśli chcecie sprawdzić dane ochrony, nie mogę was powstrzymać, ale proszę, nie róbcie tego, będę miał tylko jeszcze bardziej przesrane.

– Często pan to robi? – spytał Milo.

– Co takiego?

– Pracuje w weekendy.

– Cholera, pewnie że tak. Czasami nie wracam do domu przez kilka dni. Ed LaMoca ustanowił dwadzieścia lat temu rekord, dziesięć dni bez mycia. Zdominował leszczy radioaktywną ambicją i zapachem potu. Łatwo wymiękają, to głównie szczeniaki z Bluszczowej Ligi, którym się wydaje, że przeskoczą z Harvardu od razu do reprezentowania Brada Pitta. Ja studiowałem na stanowym w Northridge. Głód czyni mnie ostrym.

– Może nam pan coś powiedzieć o Kat Shonsky? – spytał Milo.

– Wielka ściemniara – ocenił Clive. – Nie tylko w tych sprawach, we wszystkim. Jakby chciała żyć czymś innym.

– Czym?

– Kogoś leniwego i bogatego. Pierwszą część już zaliczyła.

– Nie lubił jej pan.

– Przecież mówiłem.

Zadaliśmy kilka pytań, podrzucając sugestie o kosztownych autach i seksualnych zbrodniach. Nic z tego nie trafiło do Cline'a, który mówił cały czas o sobie.

Kiedy odwróciliśmy się, żeby odejść, nie ruszył się.

– Może pan wracać do pracy – powiedział Milo.

Cline nie drgnął.

– Jeśli wyjdzie z tego dobra historia, dajcie mi znać – odezwał się w końcu. – Gdyby wykorzystał to Brad, Will czy Russell, dopilnuję, żebyście nie byli stratni.

– Rany, dzięki – rzucił Milo.

– Doskonale. – Cline machnął tryumfalnie ręką, pobiegł z powrotem do środka.

Kiedy Milo jechał do Valley, dodzwoniłem się do jednej z dziewczyn Rory'ego Cline'a, prawniczki Lori Bonhardt. Opisała go jako „mięczaka i szmatę”, zaprzeczyła, by kiedykolwiek zachowywał się gwałtownie.

– Co zrobił?

– Zna kogoś, komu stała się krzywda.

Zaśmiała się.

– Jeśli to wszystko, dajcie sobie panowie spokój. Agresja wymagałaby wysiłku, a hobby Rory'ego to picie i spanie. Mówiłam mu, że powinien zacząć brać spida. Może wzrósłby mu poziom ambicji. Mój pies dymał go w nogę, a nie robi tego nikomu innemu. Wie pan, co to znaczy?

– Uległa osobowość – powiedziałem.

– Samiec beta. Czysty wiceprezydent.

Oczy Michaela Browninga zaszyły łzami, kiedy dowiedział się o Kat.

Był potężnym, rudobrodym kłosem, metr siedemdziesiąt w butach na grubej podeszwie, z włochatymi nadgarstkami i dłońmi drwala. Miał na sobie żółto-niebieską kraciastą koszulę, czerwony krawat z lśniącego jedwabnego brokatu, skórzane plecione szelki. Na stopach kawowe, zamshowe mokasyny, nieskazitelnie czyste.

Modne ciuchy partnera w Kauflerze, Mandelbaumie i Schlesingerze, ale nędzne biuro – boks na parterze, jeden z dwóch tuzinów we fluorescencyjnym labiryncie.

Browning mówił swobodnie. Kat przestała się z nim spotykać cztery miesiące temu, kiedy się dowiedziała, że jest żonaty.

– To nie była zdrada. Mamy z żoną problemy. Debbie kręciła na boku, ja też. Poznałem Kat w Leonardo's, tym klubie na Ventura, który niedawno zamknęli. Kat dowiedziała się o Debbie, kiedy ta pewnego razu zadzwoniła do mnie na komórkę. Debbie w ogóle się nie przejęła, ale Kat powiedziała mi, że nie chce być wypełniaczem, i mnie pogoniła. Nie mam do niej pretensji. – Wygięty kciuk otarł łzę. – To takie smutne. Fajna dziewczyna.

Pierwszy raz ktoś tak powiedział o Kat.

– Rozstaliście się w przyjaznych warunkach – podsumowałem.

– Oczywiście – potwierdził Browning. – Kat miała rację, że nie chciała być wykorzystywana. Bardzo ją przepraszałem. Mówiła, że mi wybacza, ale oboje wiedzieliśmy, że to już nie będzie to samo.

– Widywaliście się potem?

Browning wsadził sobie do ust pęk sztywnych włosów z brody i zaczął je żuć. Jego wzrok uciekł w lewo.

– Niezbyt często.

Milo i ja czekaliśmy.

– Nie mówcie mojej żonie, dobrze? – poprosił Browning.

– Zaczęła się przejmować?

– Znów jesteśmy razem. Za dwa miesiące urodzi się nam pierworodny.

– Gratulacje – powiedział Milo. – Jak często widywał się pan z Kat po zerwaniu?

– Właściwie w ogóle – odparł niepewnie Browning. – Nie w znaczeniu stałego związku.

– Ale...

Browning błysnął uśmiechem.

– Były dwa weekendy, wyjazdy sponsorowane przez firmę. Rozejrzał się po labiryncie. Symfonia komputerowych kliknięć nie ucichła, kiedy weszliśmy, i nikt się nam nie przyglądał.

– Gdzie i kiedy wyjechaliście? – spytał Milo.

– Do Palm Springs i Mission Bay. – Potem Browning zajrzał do planera i odczytał daty.

Dziewięć tygodni temu i niecały miesiąc temu.

– Przyjechała tam do pana czy podróżowaliście razem?

– Do Palm Springs przyjechała sama. Do San Diego wybraliśmy się razem. Proszę, nie mówcie Debbie. Jesteśmy teraz szczęśliwi. Takie rewelacje mogłyby zniszczyć nasz związek.

– Bez wątplenia – przyznał Milo.

– Proszę posłuchać – podjął Browning. – Jestem z panami zupełnie szczerzy. Nawet gdybym miał powód kłamać, nie kłamałbym, bo nie umiem. Debbie mówi, że od razu po mnie widać.

Milo spytał go, gdzie był w noc zniknięcia Kat. Kolejne wertowanie kartek planera. Krew odpłynęła z policzków Browninga. Milo zabrał mu kalendarz.

– Tu jest napisane: „spotkanie, odliczenia roczne, TL”. Co to znaczy?

– To szyfr – wyjaśnił Browning.

– A konkretnie?

– Czy to naprawdę ważne?

– Teraz tak – powiedział Milo.

– Proszę pana, nigdy nie skrzywdziłbym Kat. Bardzo ją lubiłem.

– Dopóki pana nie pogoniła.

– Darzyliśmy się uczuciem. Przysięgam. Nawet gdybym chciał, nie umiałbym skłamać, zresztą nie mam powodu. Może nawet jakaś część mnie kochała Kat. Na pewno nie zrobiłbym jej krzywdy!

– TL drażył Milo.

Browning odchylił się na niskie oparcie swojego obrotowego krzesła. Ciche skrzypnięcie.

– O ile Debbie się nie dowie.

– Inna kobieta.

– Nic poważnego – wymamrotał Browning. – Flirt. Naprawdę musicie znać szczegóły?

– Żeby pan wiedział, panie Browning. I dowiemy się, tak czy inaczej.

– Dobrze, dobrze. Tenecia Lawrence. Była stażystką z Valley College, pracowała dla mnie w wakacje i przysłała po list polecający na ekonomię na uniwerku. Krok po kroku...

– Chciał pan sprawdzić jej kwalifikacje.

– Ja też wpadłem dziewczynie w oko – powiedział. – Gdyby chodziło jej tylko o list, mogła zadzwonić.

Milo się uśmiechnął.

– Pierwsza randka pana i panny Lawrence?

– Ściśle rzecz biorąc, nie. Spotykaliśmy się trochę, kiedy była na stażu. – Dotknął krawędzi biurka. – Jest czarna. – Dłuższe milczenie. Po chwili: – Dwadzieścia lat, cudowna, nogi po samą szyję. Nie zamierzam się usprawiedliwiać. Taki już jestem.

– Poprosimy o jej numer telefonu – powiedział Milo.

– A może po prostu podam fakty? Tenecia i ja spędziliśmy razem cały weekend, mam rachunki z hotelu. Debbie była u swojej mamy. Cierpi na zaburzenia hormonalne. To powoduje zmiany.

– Numer.

– Rachunki nie wystarczą?

– Jeśli panna Lawrence potwierdzi tę historię, może wystarczą.

– Może? – Płaskie, czerwone czoło Browninga zrosił pot. – Gdyby Debbie...

– Jeśli nie zabił pan Kat, Debbie nigdy się nie dowie, że tu byliśmy.

Browning odetchnął.

– Dzięki. Naprawdę to doceniam.

– Tylko niech pan nie dzwoni do panny Lawrence przed nami – ostrzegł Milo.

– Jasne, nawet mi to nie przyszło do głowy.

Browning wyciągnął dłoń do uściśnięcia. Milo udawał, że jej nie widzi.

– Kiedy widział się pan z Kat po raz ostatni, czy wspominała coś o spotkaniu z klientem? –

spytalem.

– Z klientem?

– W pracy.

– A, to. – Browning zmarszczył brwi. – Nie wiem, czy myślimy o tym samym.

Czekaliśmy.

– Chodzi o tego świra? – spytał Browning. – Transwestyta czy ktoś taki.

– Co powiedziała panu Kat?

– Jakiś facet przyszedł do sklepu, oglądał towar. Kat doszła do wniosku, że szukał czegoś dla siebie.

– Jak to?

– Mówiła, że wyglądał na zdenerwowanego i skrytego. Uważała, że to było komiczne. Nakryła go i chyba trochę speszyła. Kat potrafiła taka być.

– Jaka?

– Agresywna. – Wzruszył ramionami. – Miało to swoje dobre strony.

– Jak mężczyzna zareagował na tę konfrontację?

– Podobno zmieszał się i wyszedł, a ona była zadowolona z tego, jak go potraktowała.

– Jak go opisała?

Browning się zamyślił.

– Tak naprawdę wcale.

– Nic?

– Powiedziała: „kawał chłopca”. Oglądał duże rozmiary. To ją zupełnie rozwaliło. Facet w sukni wieczorowej rozmiar XXL.

– Co jeszcze panu mówiła?

– To wszystko. Nie za bardzo miałem ochotę ciągnąć dyskusję.

– Czemu nie?

– Dobrze się bawiliśmy. Po co gadać o zboczeniach?

– Wybijają ją to z nastroju? – dociekałem.

– Mnie wybijają – odparł Browning. – Kat zawsze była gotowa. Strasznie hałasowała. Czasami robiło się tak głośno, że można by pomyśleć, że udaje, ale nie udawała.

– Skąd pan wie?

– Ze mną nikt nie udaje. Nie ma potrzeby.

– Pan Spidowiec i pan Niemoralny Kretyn – powiedział Milo. – Rzeczywiście umiała ich wybierać.

Popędził z powrotem do miasta, pokonując zakręty Coldwater Canyon.

– Dobrze, że wspomniłeś o tym przebiezańcu.

– Browning to jej ostatni kochanek, pomyślałem, że mógł poznać tę historię.

– Rozmowy do poduszki... Wygląda na to, że mówiła o tym każdemu, kto chciał słuchać.

– Była z siebie dumna – stwierdziłem. – Z tego, jak go załatwiła.

– Agresja wobec niewłaściwego faceta. Ale odsuwając to na bok, czy któryś z tych dowcipniaków zasługuje na dalszą uwagę?

– Cline ma w sobie dość złości i narkotycznej impulsywności, żeby skrzywdzić Kat, gdyby trafiła na niego w niewłaściwym czasie. Ale nie widzę żadnego oczywistego motywu. Poza tym facet wydaje się zbyt nakręcony, żeby szczegółowo zaplanować zbrodnię. Moim zdaniem, zapisy ochrony agencji potwierdzą jego alibi, ale zdecydowanie postarałbym się je przejrzeć. Browning sprawia wrażenie zgodnego człowieka, ale jak dla mnie jest straszniejszy. Łatwo kłamać, manipuluje ludźmi i nie mam wątpliwości, że wyeliminowałby Kat czy kogokolwiek innego, kto stanąłby mu na drodze. Jego alibi łatwo zweryfikować.

– Tenecia Lawrence... – Milo wygrzebał notes z kieszeni. – Zadzwońmy, zanim Browning ją przygotuje. Twoja kolej, ja muszę trzymać ręce na kierownicy.

Włączyłem głośne mówienie w komórce i zadzwoniłem pod numer, który zapisał.

– Tu Neesh – odezwał się wysoki, świergotliwy głos.

Kiedy powiedziałem, dlaczego dzwonię, sopran przeszedł w alt.

– Mam kłopoty?

Wyrecytowałem datę.

– Musimy wiedzieć, czy była pani z Michaeliem...

– Powiedział wam? – Głos kobiety się załamał. – To miała być tajemnica.

– Może tak zostać – powiedziałem.

– Proszę. Moi rodzice...

– To prawda czy nie, Tenecio?

– Ee... skąd mam wiedzieć, że naprawdę jest pan z policji?

– Jeśli pani woli, możemy przyjechać osobiście.

– Nie, nie, nie trzeba.

– Była pani z Michaeliem?

Cisza.

– Tenecio?

– Tak – wyznała głosem wystraszonej dziewczynki. – Mój tata jest kapitanem straży pożarnej i w ten weekend zabrał mamę na zjazd w Lake Arrowhead, były tam wszystkie bataliony, które walczyły z wielkim pożarem w Laguna. Michael chciał przyjechać do mnie do domu, ale mu nie pozwoliłam, nie ma mowy. Rzuciłby się w oczy.

– Dlaczego?

– Mieszkamy w Ladera Heights – powiedziała.

Zamożne, czarne przedmieście.

– Gdzie pojechała pani z Michaeliem? – spytałem.

– Naprawdę zachowa pan to w sekrecie?

– Jeśli mówi pani prawdę, nie ma powodu, żeby wasz związek wyszedł na jaw.

– Dobrze, ee... Michael odebrał mnie ze szkoły i pojechaliśmy do hotelu.

– Którego?

– Dayside Inn.

– Gdzie to jest?

– Niedaleko lotniska, nie znam ulicy. Byliśmy tam cały dzień. Oglądaliśmy filmy. *Powiedz tak* i *Serce nie sługa* z Umą Thurman i Meryl Streep, bo to jeden z moich ulubionych. Michael nie miał nic przeciwko temu, lubi babskie filmy.

– A potem?

– Następnego dnia pojechaliśmy do Long Beach, odwiedziliśmy oceanarium. Nigdy tam nie byłam.

Cisza.

– Bardzo ładne – dodała po chwili. – Oceanarium.

– Co dalej?

– Nic.

– Zostaliście w Long Beach?

– Ja... to zabrzmiało... tylko się bawiliśmy.

– Gdzie pojechaliście?

Głośne westchnienie.

– Do następnego hotelu. Best Western, niedaleko oceanarium. Następnego dnia wróciliśmy do domu. To znaczy nie od razu. Najpierw zjedliśmy obiad w Sizzlerze, potem zatrzymaliśmy się na trochę w Palos Verdes, żeby popatrzeć na ocean. Stamtąd ruszyliśmy do Granada Hills. Do domu Michaela. Bałam się tam jechać, ale było ciemno i Michael powiedział, że nic się nie stanie. Następnego ranka odwiózł mnie z powrotem do szkoły. Zajęcia miałam dopiero o pierwszej, więc zjedliśmy śniadanie w kampusie, pospacerowaliśmy, potem on pojechał do pracy. Mam kłopoty?

– Nie, jeśli mówiła pani prawdę.

– Tak było, przysięgam.

– A więc na pewno spędziła pani z panem Browningiem cały weekend?

– Więcej się z nim nie spotkam. Jest dla mnie za stary. Czy on ma jakieś kłopoty?

– Niech się pani nie przejmuj, Tenecio.

– Dobrze, ale naprawdę więcej się z nim nie spotkam. Nie musicie dzwonić jeszcze raz, prawda? Czasami tata odbiera mój telefon.

– Wszystko w porządku.

– Bardzo panom dziękuję.

– Biedaczka – powiedział Milo. – Mogliśmy ją wpędzić w celibat.

– Jeśli będzie się trzymała z dala od Browninga, zrobiliśmy dobry uczynek – odparłem.

– Łajdak. Szkoda, że to nie jego szukamy.

Zadzwoił sprawdzić wiadomości. Gordon Beverly chciał wiedzieć, czy jest coś nowego.

Milo oddzwonił i przez kilka pełnych męki minut starał się pocieszyć załamane go ojca.

Kolejna próba złapania kuratora Bradleya Maisonette'a zakończyła się niepowodzeniem. Milo zostawił pełną irytacji wiadomość i wykręcił numer domowy Wilsona Gooda.

– Nie odbiera. Pieprzyć jego grypę, jedźmy pomęczyć trenera.

Za siatkową bramą domu Wilsona Gooda nie było żadnych samochodów. Nikt nie odpowiadał na dzwonek do drzwi.

Telefon do St. Xavier potwierdził, że trener Good jest wciąż na zwolnieniu.

– Może pojechał do lekarza – zasugerowałem.

Milo popatrzył na skrawek widoku między domem Gooda a sąsiada od północy.

– Ładnie się tu urządził... Dobra, wracamy do kieratu.

Sean Binchy pomachał kluczykami do Bentleya. Przy jego obecności w gabinecie Mila brakowało miejsca, by się poruszyć, i gwałtownie spadł poziom tlenu w powietrzu.

– Heubel oddał go bez problemów? – zdziwił się Milo.

– Musiałem nad nim trochę popracować, poruczniku. Pomyślałem, że wystarczy powiedzieć mu o Shonsky. Nieźle się wystraszył. Nie podobała mu się myśl, że ktoś będzie się babrał w jego cudownym aucie, ale udało mi się go przekonać, że to ważne.

– Gdzie samochód?

– Po drugiej stronie ulicy, na parkingu – poinformował Sean. – Dwójka mundurowych widziała, jak nim wjeżdżam, nieźle się ubawili. Ciekawe doświadczenie. Wszyscy się gapią.

– Jestem pewien, że wpadł w oko Kat Shonsky – powiedziałem.

– Wiele dziewczyn zaufałyby komuś z takim samochodem – odparł Sean.

– Dobra, młody – wtrącił się Milo. – Będziesz widowiskiem aż do laboratorium. Zadzwoń i załatwię papiery.

Binchy wyszczerzył się i zakręcił nieistniejącą kierownicą.

– Coś jeszcze, poruczniku?

– Na razie to wystarczy.

– Chyba otworzyłem puszkę Pandory, co? Że w ogóle do pana zadzwoniłem.

– Najwyraźniej to była puszka, którą należało otworzyć, Sean.

– Skoro tak pan mówi. Dziwne, nie?

– Bez dziwnego życie byłoby nudne, Sean.

– À propos – rzucił Binchy. – Gdybym miał możliwość powrotu do wydziału zabójstw, myśli pan, że byłby to dobry pomysł?

– Myślę, że powinieneś się uszczęśliwić.

– A więc... nie ma pan nic przeciwko?

– Ależ skąd!

Binchy kiwnął głową i wyszedł.

– Może ma przyszłość – powiedziałem.

- Tak sądzisz?
- Sam, własnoręcznie otworzył puszkę Pandory.

Pojechałem do domu, wyprowadziłem na spacer Blanche, zjadłem pizzę z Robin, sprawdziłem pocztę.

Dużo pilnych wiadomości: sześć lewych cynków giełdowych, propozycja wydłużenia penisa, reklamy dwóch różnych rodzajów organicznej viagry i Jason Blasco z DarkVisions. net. Pytał, czy dowiedziałem się czegoś więcej o morderstwach Bright-Tranh, i informował, że znalazł zdjęcie jednej z głów, które Jeffrey Dahmer trzymał w lodówce – „totalnie prawdziwe nie pytaj skąd je wziółem”.

Na dole była wiadomość od szeryfa George’a Cardenas:

„Drze Delaware, nie wygląda na to, żeby Ansell Bright kiedykolwiek posiadał w Kalifornii nieruchomości pod tym imieniem ani jako „Dale”. Ostatnio zarejestrował samochód rok przed śmiercią rodziców; mieszkał w ich domu w San Francisco. Jutro spróbuję wysłać panu w jpgu jego zdjęcia z wydziału komunikacji. Dom został sprzedany za 980 000 dolarów niedługo po śmierci pani Bright i dwa razy zmieniał właściciela. Udało mi się znaleźć pierwszego kupca. Transakcja została przeprowadzona przez agentów i kupujący nie spotkał się z Ansellem. Potwierdził, że to Ansell był sprzedającym, więc możemy założyć, że chłopakowi wpadła w ręce niezła forsa. Może wyprowadził się do innego stanu, gdzie te pieniądze byłyby jeszcze więcej warte.

Nie udało mi się dostać do archiwów ubezpieczenia społecznego bez nakazu, ale może wasz wydział ma więcej siły przebicia. Podobno Leonora opowiadała, że Ansell dokarmił bezdomnych. Sprawdziłem różne grapy w San Francisco, rozmawiałem z kilkoma osobami, ale nikt nie pamięta Ansella ani Dale’a Brighta.

Pozdrawiam,

George Cardenas”.

Dziewięćset osiemdziesiąt tysięcy to był poważny motyw. Dobrze ponad milion, jeśli rodzice Ansella Brighta zostawili akcje, obligacje, gotówkę lub inne nieruchomości.

Tony Mancusi miał zostać milionerem, kiedy tylko sąd wyda orzeczenie spadkowe.

W takich okolicznościach wynajęcie płatnego zabójcy byłoby doskonałą inwestycją, jeśli nie brać pod uwagę drobnych przeszkód, na przykład zwykłej ludzkiej przyzwoitości.

Jak się do tego miało morderstwo Kat Shonsky?

Podchodziłem do tego ze wszystkich stron, doszedłem do wniosku, że nijak. Jeśli dopadł ją ten sam morderca, motyw musiał być osobisty.

Młoda kobieta ze skłonnością do agresji w konfrontacji z transwestytą, który ma sekrety o wiele mroczniejsze niż dobór garderoby.

To znów przywiodło mi na myśl zniewieściale manieryzmy Tony’ego Mancusiego, kobiecy głos Brighta, według opisu Donalda Bragena.

Dale, bezpłatne imię.

Płatny morderca ze słabością do szykownych francuskich sukni poznaje osobników o podobnej psychice i robi z nimi interesy?

Podteksty...

Jeśli Tony prowadził potajemne życie, obserwacja jego mieszkania mogła w końcu przynieść efekty. Odnalezienie Dale'a dziewięć lat po morderstwie jego siostry – to o wiele trudniejsza sprawa.

Wróciłem do komputera, poszukałem jadłodajni i misji w Los Angeles.

Piętnaście minut później wydrukowałem trzy strony. Miło wiedzieć, że miasto nie żyło tylko liczeniem własnej kasy i stawek podatkowych. Wykonałem kilka telefonów. Większość biur była zamknięta do rana. Ludzie, z którymi rozmawiałem, nigdy nie słyszeli o Ansellu ani Dale'u Brighcie.

Miałem się już zbierać, kiedy dostałem nowy e-mail.

„Drze Delaware, tu znów George. Wróciłem właśnie z fałszywego szopiego alarmu u Mavis i przyszedł mi do głowy schroniska dla zwierząt. Leonora mówiła, że Dale był okrutny dla zwierząt, ale udawał, że nie jest, więc czy to by nie był idealny przykład rozdwojonej osobowości? W każdym razie znalazłem grupę, w której działał jako wolontariusz. Łapy i Chrapy, kierowniczka filii w Berkeley przypomina sobie Brighta, bo pracowała z nim, kiedy sama była wolontariuszką. Powiedziała, że któregoś dnia po prostu przestał przychodzić i nie odbierał telefonów. Pamięta dokładnie, że to było dziewięć lat temu, tuż po Wielkanocy, bo ktoś podrzucił im króliczki. Bright dobrze się nimi zaopiekował, a kilka dni później zniknął bez uprzedzenia. Czyli w miesiąc przed morderstwem Leonory i Vicki Tranh. Może więc wyjechał planować zbrodnię. A może Mavis się myli i to zwykły facet, któremu znudziło się sprzątanie zwierzęcego łajna. Jeśli jest pan zainteresowany, informatorka nazywa się Shantee Moloney. Jej numer to 415...”

– Rany – przywitała mnie Shantee Moloney. – Ten gliniarz mówił, że może pan zadzwonić, ale żeby tak szybko...

– Dziękuję, że pani ze mną rozmawia – powiedziałem.

– Muszę być szczerą. Nie jestem wielką fanką policji. Kiedy studiowałam na Cal, stróże porządku posługiwali się głównie gazem łzawiącym i pałkami. Ale jeśli Dale zrobił coś aż tak złego... naprawdę myśli pan, że zrobił? Bo jakaś część mnie nie wierzy, że to możliwe. Dale był taki oddany i łagodny.

– Ale...

– Ale co?

– Ale inna część pani...

– Och; po prostu to dziwne, że zniknął tak bez słowa.

– Jaki był Dale?

– No... oddany. Twierdził, że jest weganinem, nie nosił nawet nic skózanego.

– Naprawdę?

– Nie mam podstaw, żeby mu nie wierzyć.

– Mimo to pani nie wierzy.

– Jasnowidz czy co?

– Zwyczajny śmiertelnik. Staram się tylko ustalić pewne fakty – odparłem. – Czy Dale zrobił coś, przez co zważyła pani w jego wiarygodność?

– Nie, nic takiego. Zresztą nie wiem, czy to prawda.

Czekałem.

– Nie jestem plotkarą – usprawiedliwiła się Shantee Moloney.

– Czasami trudno się zorientować, co ważne, a co nie.

Martwa cisza.

– Pani Moloney...

– Dobrze, dobrze. Kiedy przestał przychodzić, wspomniałam innemu wolontariuszowi, że próbowałam się do Dale'a dodzwonić, ale miał wyłączony numer. Martwiłam się, czy wszystko w porządku. Kolega mnie uspokoił: „Och, nic chłopakowi nie jest, widziałem go dwa dni temu w Tadich Grill”. To stara restauracja w San Francisco. Powiedziałam: „Aha, no to dobrze, przynajmniej wiem, że nic mu się nie stało. Ale wciąż się zastanawiam, czemu nagle przestał przychodzić do schroniska”. Kolega się zaśmiał: „Dale chyba się nawrócił”. A ja: „Jak to?” A on mówi, że Dale siedział sam przy stoliku i jadł ogromne danie: wielki talerz ostryg, koktajl z krabów, a potem olbrzymią jagnięcą karkówkę. To mnie rozłożyło na łopatki. Jestem wegetarianką, więc jem jajka i nabiał. A Dale bez przerwy opowiadał o etycznych i zdrowotnych zaletach usunięcia z jedzenia wszelkich produktów zwierzęcych. A teraz opycha się mięsem?

– Udawał – stwierdziłem.

– Chyba mnie oszukał. Jeśli to prawda. Jedno, czego nie udawał, to poświęcenie dla przybłąd. Nikt nie mógłby się opiekować tymi zwierzętami z większą czułością.

– Króliczki.

– Czyjś głupi pomysł na wielkanocny prezent. Wie pan, noworodki, wielkości kciuka. Dale całą noc karmił je zakraplaczem do oczu. Kiedy wychodziłam, cały czas tam siedział.

– Czemu ten drugi wolontariusz miałby zmyślić tę historię?

– Postawmy sprawę jasno: nie byli z Dale'em kumplami.

– Mógłbym prosić o nazwisko tego człowieka?

– Brian Leary, ale to panu nic nie da, zmarł na AIDS sześć lat temu.

– Czy w schronisku jest ktoś jeszcze, kto by pamiętał Dale'a?

– Nie – powiedziała. – Na nocnej zmianie pracowaliśmy tylko my troje. Ja jestem hafciarką, wolnym strzelcem, mam elastyczne godziny pracy, a Brian był pielęgniarzem, pracował od trzeciej do jedenastej i nie potrzebował dużo snu, więc przychodził po pracy.

– A Dale?

– Spędzał w schronisku więcej czasu niż ktokolwiek inny. Nigdy w ogóle nie wspominał o żadnej stałej posadzie. Chyba jego rodzina miała sporo pieniędzy.

- Skąd takie przypuszczenie?
 - Ubrania nosił pogniecione, ale porządnej jakości. W ogóle dobrze się prezentował.
 - Na czym polegał problem między nim i Brianem?
 - Naprawdę nie umiem określić. Brian opiekował się głównie kotami, kochał koty. Dale i ja robiliśmy całą resztę.
 - Brian nigdy nie powiedział, dlaczego nie lubi Dale'a?
 - Nie, chyba po prostu nie nadawali na tych samych falach. Ja z kolei obu uważałam za fajnych gości.
 - Brian zupełnie przypadkiem znalazł się tamtego wieczoru w Tadich Grill?
 - Czy śledził Dale'a? Nie. Miał tam randkę z jakąś lekarką.
 - Pamięta pani nazwisko?
 - Pan chyba żartuje. Po pierwsze, Brian nigdy nie podał mi nazwiska. Po drugie, to było prawie dziesięć lat temu.
 - Spróbować zawsze warto.
 - Naprawdę nie umiem sobie wyobrazić, żeby Dale zrobił coś złego. W każdym razie, muszę lecieć...
 - Jak Dale trafił do schroniska?
 - Którejś nocy przyszedł i się zgłosił. Miałam mnóstwo roboty z porzuconymi szczeniętami, więc chłopak po prostu spadł mi z nieba. Od razu zabrał się do pracy, sprzątał, karmił, szukał pcheł. Był świetny.
 - Może mi go pani opisać?
 - Duży – powiedziała Shantee Moloney.
 - Wysoki czy gruby?
 - Jedno i drugie. Przynajmniej metr osiemdziesiąt, prawdopodobnie więcej. Nie był tłusty, raczej... nabity.
 - Kolor włosów?
 - Ciemny blond, ale to była farba. Długie, rozczochrane, spadały mu na czoło. Ale zawsze wyglądały na czyste i lśniące. Bardzo lśniące. O to mi chodziło, kiedy mówiłam, że się dobrze prezentował. Nosił buty i pasek z konopi. Ale zawsze... udawało mu się wyglądać elegancko.
 - Wspominał coś o swojej rodzinie?
 - Nie.
 - Żadnych szczegółów osobistych?
 - Ten drugi gliniarz pytał o to samo i wtedy sobie uświadomiłam, że nigdy nie było mowy o rodzinie Dale'a. Po prostu skryty chłopak. Ale nie chłodny. Wręcz przeciwnie, przyjacielski. I bardzo praktyczny, zależało mu, żeby sprawnie wykonywać swoją robotę.
 - Pamięta pani jeszcze jakieś szczegóły jego wyglądu?
 - Brodę miał ciemniejszą niż włosy, brązową.
- Pierwsza wzmianka o zaroście.

– Pełną czy hiszpańską?

– Zakrywała mu pół twarzy. Przypominał mi pewnego gościa z telewizji, tego z gór, Grizzly jakiegoś tam... Adamsa. Ale Dale nie był człowiekiem z gór.

– Za elegancki.

Zaśmiała się.

– Można tak powiedzieć.

– Homoseksualista?

– Jak wielu z nas. Co się z nim stało?

– O to samo chciałem zapytać.

– Mnie? A skąd mam wiedzieć?

– Wspominał kiedyś o podróżach?

– Mówił, że lubi wielkie miasta.

– Które?

– Paryż, Rzym, Londyn, Nowy Jork. Może Madryt, nie pamiętam. Zapamiętałam tę rozmowę tylko dlatego, że wmieszał się w nią Brian. Powiedział, że jeśli ktoś naprawdę kocha zwierzęta, nie może lubić miast, bo one niszczą środowisko. Wtedy Dale zaczął swój wykład o kotach w Rzymie, jak się tam zaadaptowały i świetnie sobie radziły. Brian z kolei stwierdził, że cała ta wielkomięskość to wymysł i złudzenie, a Dale odparł, że niektóre złudzenia trwają, bo są prawdziwe, a jeśli Brian uważa, że San Francisco jest wielkim miastem, to naiwniak z niego. I tak dalej przez jakiś czas, potem wrócili do pracy.

– Czy Dale wspominał o innych miejscach, które lubił?

– Nie pamiętam.

– Daleko mu do Grizzly Adamsa – wróciłem do tego wątku.

– Paznokcie zawsze czyste i wymanikiurowane; używał wody po goleniu. Nie powiem panu, jakiej marki, ale miała ładny, cytrusowy zapach.

– Coś jeszcze?

– To mało? Po tylu latach zdawało mi się, że jestem jak zakichana encyklopedia.

– Jest pani. Dlatego dalej przewracam kartki. A więc Dale był dobry dla zwierząt.

– Więcej niż dobry – odparła Shantee Moloney. – Był czuły. Zwłaszcza dla małych. Nie tylko młodych, małych w ogóle, przepadał za szczeniakami i miniaturowymi. Potrafił uspokoić najbardziej wredne paskudztwa. Odnosiłam wrażenie, że miał z nimi doświadczenie.

Zdjęcie Ansella Dennonda Brighta z wydziału komunikacji przyszło o dziesiątej rano następnego dnia.

Fotka sprzed trzynastu lat, kiedy Bright miał dwadzieścia dziewięć.

Metr osiemdziesiąt dwa, dziewięćdziesiąt pięć kilo, blond włosy, piwne oczy, potrzebuje szkieł korekcyjnych.

Zrelaksowany wyraz twarzy, nic złowróżbnego w spojrzeniu.

Zgodnie z opisem Shantee Moloney, proste, jasne kosmyki włosów zakrywały czoło Brighta, opadały mu na uszy i układały się na ramionach.

Brązowa broda porastała twarz od jabłka Adama po czubek nosa.

Niewiele było widać oprócz włosów.

Sztuka zmyłki.

Czy to wyjaśniało kłamstwo Brighta, że nie jada mięsa? Oszukał Shantee Moloney, ale po co? Nie dostał nigdy ani grosza za pracę w schronisku.

Lubił grać czy chciał poczuć się wrażliwym?

Może jedno i drugie.

Tyle włosów; naturalne przebranie.

Pomyślałem o ciuchach z *Mściciela*, Kraciastej czapce, starczym chodzie, charakterystycznych samochodach. Niezły teatr.

W sytuacji Kat Shonsky bentley wystarczyłoby, żeby uspić jej czujność, ale zastanawiałem się, czy morderca posunął się dalej.

Pełen gniewu mężczyzna z upodobaniem do sukienek i obcasów, który pragnie się odegrać za kpiny Kat. Jaka zemsta byłaby słodsza niż podejście dziewczyny w damskim przebraniu?

Wyobraziłem sobie wielki, czarny samochód przejeżdżający obok, kiedy Kat zamartwiała się w swoim mustangu. Okno pasażera się otwiera, ukazując kierowcę w bujnej peruce, sukni od znanego projektanta, może w dyskretnym sznurze pereł.

I ten ekstradetal.

Ładny, zwiewny szal.

Prawo jazdy – symbol tożsamości Kat – zostało wciśnięte w intymne części jej ciała.

Niektórzy mordercy zabierają pamiątki, inni je zostawiają. Zawsze chodzi o przekaz.

Wiadomość od mordercy Kat brzmiała: „Nie jesteś taką kobietą za jaką się uważasz. Kpisz ze mnie na własne ryzyko”.

Kat. Zwierzęce imię.

Zbyt doskonałe, by się oprzeć.

Milo zadzwonił tuż przed drugą ziewnął coś na powitanie, potem się rozkaszał.

– Rockandrollowe zapalenie płuc czy boogie-woogie grypa?

– Daj spokój, za wcześnie na dowcipy.

– Jest popołudnie.

– A wydaje błądy świt... Jezu, masz rację. Odwaliłem wielki kawał nicnierobienia, oglądając Tony'ego, wróciłem do domu o szóstej i spałem jak zabity, aż obudził mnie telefon o siódmej. Kurator Bradleya Maisonette'a. „Odniosłem wrażenie, że się panu spieszy, poruczniku, więc pomyślałem, że zadzwonię jak najwcześniej”. Ja jadę na dwóch cylindrach, a ten drań tryumfuje. A oto wielka niespodzianka: Bradley jest persona-non-widziana od siedmiu tygodni. Ale nie ma co się martwić, w przeszłości znikał już na dłuższe okresy, zawsze wraca.

– Wycieczki nałogowca – powiedziałem.

– Raczej nie chodzi po muzeach i teatrach. Kurator uważa go za niski priorytet, bo ma długą listę bardziej brutalnych facetów, którzy też znikają. Mówi, że Maisonette nie „odreagowuje”, dopóki nie wyczerpie legalnych źródeł dochodu.

– Pracuje?

– Żebrze, sprzedaje krew. Kurator zdiagnozował jego główny problem jako „niską samoocenę”.

– Każdy jest terapeutą – parsknąłem.

– W końcu udało mi się durnia namówić, żeby się zgodził udawać, że szuka podopiecznego. Dzięki za e-mail od Cardenasa. Miałaś szansę porozmawiać z tą panią od zwierząt?

Streściłem mu rozmowę z Shantee Moloney.

– Małe psy – mruknął. – Takie jak zaginione pieski Leonory?

– Jeśli to Dale jest mordercą z Ojo Negro, miło byłoby pomyśleć, że zabrał je jako maskotki.

– Kocha psy, nienawidzi siostry.

– Nosi konopne buty i po kryjomu je mięso.

Milo zaśpiewał refren piosenki Lou Christiego: *Dwie twarze mam*.

– Jest też odpowiednich gabarytów na mordercę Elli, kowboja i przebierańca Kat – dodałem.

– A rozmiar się liczy... Lubi wielkie miasta, co? Dostaje w łapy duży spadek, zwiedza świat, osiedla się w L.A.?

– Może ze względu na pogodę. Przedstawiłem Milowi swoją teorię kobiety z szalem.

– Dama z wyższych sfer w bryce za dwieście kawałków? Czemu nie? Teraz Dale musi tylko do nas przyjść i się przyznać.

– Posłuchaj, Bright wspominał Moloney między innymi o Nowym Jorku. Dawny teren komendanta. Może tam zaczniemy i sprawdzimy, czy pojawią się informacje o zabójczym kierowcy czarnych samochodów? A może Bright zostawił jakiś papierowy ślad z San Francisco.

Milo milczał.

– Jakiś problem?

– Nie – powiedział. – Przeciwnie. Szansa, że Jego Łaskawość się zaangażuje.

– Wątpisz w swojego szefa?

– Jak dotąd był w porządku, jak na polityka, ale ja lubię podważać autorytety. Nowy Jork, Nowy Jork... Myślałem o Rzymie, ale kiepsko z moim włoskim. Dobra, zeskanuj i prześlij mi zdjęcie Brighta, a ja zadzwonię do Najwyższego.

Trzy godziny później stał w moich drzwiach, świeżo ogolony, w jasnoniebieskiej koszuli pod grubą, szarą marynarką w jodełkę, zielonym krawacie we wzorek brązowych ukulele, spodniach khaki i szarych mokasynach z czerwonymi podeszwami.

Zazwyczaj ciągnie go prosto do kuchni. Tym razem stanął w drzwiach, z roztańczonym wzrokiem i ustami wygiętymi w przerażający, szablasty grymas, o którym wiedziałem, że to uśmiech.

– Jego Ekscelencja obudził kogoś ważnego i proszę, już mamy dane z rejestrów nowojorskiego departamentu nieruchomości. Pan Dale Bright nigdy nie był posiadaczem, ale jego nazwisko pojawia się na petycji sprzed ośmiu lat. Przekształcenie budynku przemysłowego w apartamentowiec.

– Za czy przeciw?

– Za.

– Rok po otrzymaniu spadku – zauważyłem. – Jest w swoim ulubionym amerykańskim mieście i próbuje się wbić na rynek nieruchomości.

Milo wmaszerował do mojego gabinetu, zalogował się do komputera, wpisał: zach 35 ul 518 NY 10001.

Wyskoczyło sześć trafień, wszystkie oparte na artykułach z gazet, różne warianty tego samego tematu.

Milo wywołał „New York Post”.

„Zaginięcie dwojga lokatorów wynikiem sporu własnościowego?”

„Tajemnicze zniknięcie dwojga mieszkańców Manhattanu zamieszanych w długotrwały spór lokatorów z właścicielem budynku wciąż nie daje spokoju nowojorskiej policji. Trzy tygodnie temu zwolennicy ograniczania czynszów Paul i Dorothy Safranowie wyszli ze swojego mieszkania na Zachodniej 35 ulicy 518 na offowe przedstawienie na dolnym Manhattanie i od tamtej pory słuch i ślad po nich zaginął”.

„Paul (47), litografik, oraz Dorothy (44), nauczycielka, byli uwikłani w trwający od roku spór z właścicielem budynku, w którym mieszkali. Oskarżali go o niezapewnienie ogrzewania mieszkania oraz plany przekształcenia dawnego magazynu, służącego im za domostwo, w budynek z mieszkaniami własnościowymi.

Trzypiętrowa budowla we wciąż przemysłowej dzielnicy została podzielona 22 lata temu na lofty do wynajęcia w stylu Soho, a Safranowie mieszkali tam chronieni przez przepisy ustalające górną granicę wysokości czynszu. Niedługo po tym, jak budynek przeszedł z rąk do rąk, nowy właściciel, operujący z Englewood w New Jersey deweloper Roland Korratz, ogłosił zamiar

przekształcenia budynku w apartamentowiec. W myśl ugody zawartej przez Korvutza i świeżo wybrany komitet lokatorów, mieszkańcom zaproponowano lokale zastępcze lub prawo pierwokupu nowych mieszkań.

Większość wybrała spłatę, ale Safranowie, twierdząc, że komitet został przekupiony, odmówili przenosin i pozwali Korvutza do sądu. Przez ostatnie sześć miesięcy nie płacili czynszu i próbowali namówić innych mieszkańców do poparcia swojej sprawy.

W przełomowym artykule sprzed trzech dni »Post« doniósł o twierdzeniach siostry Paula Safrana, Marjorie Bell, że niedługo przed zniknięciem Safranowie wyrażali obawy o swoje bezpieczeństwo z powodu konfliktu z Korvutzem. Bell skrytykowała także policję za to, że nie przyjrzała się Korvutzowi dokładniej, i zasugerowała, że Korvutz, imigrant z Białorusi, w przeszłości zastraszał swoich lokatorów.

Zapytana o to wczoraj przez »Post« Bell odmówiła komentarza.

W archiwach sądowych znajduje się jedenaście pozwów wniesionych przeciwko firmie Korvutza, RK Development, wszystkie zakończone ugodą przed rozprawą. Adwokat Korvutza, Bernard Ring, powiedział, że:

»Każdy, kto próbuje upiększyć to miasto, jest zaciekle atakowany. Można to nazwać ceną za robienie interesów w społeczeństwie sądowym«.

Kolejne próby dodzwonienia się do domu Korvutza w Englewood oraz do biur RK Development w Teterboro okazały się bezskuteczne. Źródła policyjne opisują dochodzenie w sprawie Safranów jako »trwające«

Pięć lat później gazeta doniosła, że sprawa pozostała nierozwiązana.

– Dale podpisał petycję – powiedziałem. – Mieszkał w budynku Safranów, kiedy zniknęli.

– Stał na czele komitetu lokatorów.

– Kiedy jest w okolicy, niektórzy są uwalniani od problemów, a inni przestają oddychać.

– Jeśli był tam motyw finansowy, nie chodziło o dobrą cenę na nieruchomości, Alex; Dale nigdy nie kupił mieszkania własnościowego ani żadnego innego w mieście.

– Może zapłacono mu za robotę – zasugerowałem. – Ciekawe, gdzie miał następny przystanek.

– Czy przypadkiem nie czujesz żądy podróży? – spytał Milo.

W końcu – nieunikniona napaść na lodówkę. Milo rozsmarował masło i dżem na kilku kromkach chleba, złożył pierwszą na pół, wepchnął ją do ust i zaczął wolno żuć.

– Oto, jak wygląda sytuacja. – Wyżłopał pół mleka z kartonu. – Mam dwie otwarte sprawy i muszę pilnować sprawy Antoine’a Beverly’ego, więc nie mogę wyjechać. Komendant zaproponował mi do pomocy Seana i innego zielonego, ale Sean nigdy nie był dalej niż w Phoenix, a ja nie mam ochoty szkolić teraz żółtodzioba. Kiedy wspomniałem Jego Ważności o tobie, uznał, że to wyśmienity pomysł, o ile „nie przekroczysz granic procedur departamentu i będziesz się trzymał jego wytycznych”.

– Jaka to różnica?

– „Procedury” to nie daj się aresztować. „Wytyczne” to zniżkowy lot tanią linią, metro zamiast taksówek, talony żywieniowe do McDonalda dwa razy dziennie i hotel, który jest daleką galaktyką w porównaniu z miejscem, gdzie mieszkałeś dwa lata temu, St. Regis.

Przerwane wakacje dwa lata temu z kobietą, z którą spotykałem się podczas rozstania z Robin. Przez wspólnego przyjaciela słyszałem, że Allison się zaręczyła...

– Możesz zabrać Robin, jeśli za nią zapłacisz.

– Jest zajęta sporym projektem.

Zjadł następną kromkę.

– To kiedy lecisz?

Zarezerwowałem bilet na nocny lot następnego dnia o dwudziestej pierwszej z Burbank na Kennedy'ego. Samolot spóźnił się godzinę ze względu na „czynniki atmosferyczne w Nowym Jorku”; potem uśmiechnięta kobieta w okienku ogłosiła międzylądowanie na tankowanie w Salt Lake City z powodu krótkich pasów startowych na Bobie Hope i „dużego wiatru”.

Weszliśmy na pokład półtorej godziny później i przez następnych sześć i pół siedziałem z mocno zgiętymi nogami, dzieląc rząd foteli z młodą wytatuowaną parą, która głośno się do siebie dobierała. Próbowałem zabijać czas, oglądając telewizję satelitarną na ekranie fotela przed sobą podczas nieregularnych okresów działania urządzenia. Programy o ogrodnictwie, zawodach kucharskich i seryjnych mordercach trochę mnie uspiły, ale co chwila byłem budzony przez miłosne szepty i mlaskanie języków.

Kiedy ocknąłem się po raz ostatni, do lądowania zostało pół godziny, a na ekranie śnieżyło. Zerknąłem jeszcze raz na zawartość koperty.

Pojedyncza kartka, drobne pismo Mila.

„1. Dom Safranów-Brighta: Zach. 35 518, teraz Lieber – Dodatki Krawieckie (między ulicą 9 a 10).

2. Detektyw Samuel Polito (em.), kom. 917 55523962. Obiad o 1.30, zadzwoń do Polita po szczegóły.

3. Nowy adres RK Development: Siódma Aleja 420 (między 32 a 33).

4. Nowy adres Rolanda Korvutza: Park Avenue 762, 9A (między 72 a 73).

5. Ulubione restauracje Korvutza:

a. Lizabeth (śniadanie), Lexington 996 (między 71 a 72)

b. La Bella, Madison 933 (między 74 a 75)

c. Brasserie Madison, Madison 1068 (81)

6. Twój hotel: Midtown Executive, Zachodnia 48 152 (między 6 a Broadwayem, pozdrów ode mnie...)”

O dziewiątej rano stanąłem przed zaspanym recepcjonistą w westybulu hotelu Midtown Executive rozmiarami przypominającym schowek na miotły. Pomieszczenie było oślepiająco jasno oświetlone i udekorowane stojakami z pocztówkami, mapami i proporczykami „Kocham NY”.

Recepcjonista poruszał ustami, bezgłośnie czytając moją rezerwację.

– Rachunek płacony jakimś talonem...

– Departamentu Policji Los Angeles.

– Wszystko jedno. – Zajrzał do notatnika. – Nie ma ubezpieczenia od wypadków.

- A jest obsługa hotelowa?
- Na telefon. Ale stawki są złodziejskie, ja bym używał komórki.
- Dzięki za radę.
- Potrzebna mi karta kredytowa. Czteryście trzydzieści. Czwarte piętro.

Uchyliłem drzwi i wcisnąłem się do pokoju.

Dwa i pół na dwa i pół metra, łazienka połowy tych rozmiarów, czar i urok komory do rezonansu magnetycznego.

Pojedynczy materac, cienki jak u Tony’ego Mancusiego, był wciśnięty za szafkę nocną zrobioną z dziwnego jasnoróżowego materiału. Dziewięciocalowy telewizor na ścianie przepychał się z płataniną kabli. Wystroju dopełniały przykręcona do podłogi lampa i poplamiona akwarela gmachu Chryslera.

Jedyne okno było zamknięte na stałe; miało podwójne szyby, wystarczająco grube, by wyciszyć hałas Zachodniej Czterdziestej Ósmej i Broadwayu do uporczywego, drażniącego pomruku, podkreślanego trąbieniem i dzwonieniem. Zaciągnięcie zasłon w kolorze brezentu zmieniło pokój w kryptę, ale nic nie pomogło na głośny szum.

Rozebrałem się, wsunąłem w pościel, nastawiłem budzik w zegarku, żeby zadzwonił za dwie godziny i zamknąłem oczy.

Godzinę później leżałem wciąż w pełni rozbudzony, próbując zsynchronizować fale mózgowe z dobiegającą z dołu ścieżką dźwiękową miasta. Udało mi się jakimś cudem przysnąć; niedługo potem – o jedenastej – brutalnie obudził mnie budzik. Zadzwoniłem do emerytowanego detektywa Samuela Polita, usłyszałem zapuszkowany damski głos, pozwalający mi zostawić wiadomość. Kiedy brałem prysznic i się goliłem, mój telefon zarejestrował nieodebrane połączenie.

– Polito.

– Detektywie, mówi Alex Delaware...

– Ach, pan psycholog, witam. Zaraz muszę iść na spotkanie. Gdzie pan jest?

Podąłem mu nazwę hotelu.

– Naprawdę? – zdziwił się. – Trzymaliśmy tam świadków, typy, których trzeba było mieć pod ręką i trochę dopieszczać, żeby zeznawały. Dawaliśmy im wielką pizzę, opłaconą telewizję i ładną panią prokurator jako przyzwoitkę.

– Mnie nie zaferowano niczego – zażartowałem.

– Executive – powiedział. – Budzi wspomnienia. Proszę posłuchać, nie mogę się z panem spotkać przed wpół do drugiej. Musi pan zjeść późne śniadanie sam.

– Przywiózłbym własny dżem i płatki, ale ochrona w samolocie bała się, że eksplodują.

– Ma się poczucie humoru, co? Przyda się panu. Dobra, do zobaczenia w Le Petit Grenouille, o wpół do. Siedemdziesiąta Dziewiąta między Lex a Trzecią lokal francuski, ale w porządku.

W południe wyszedłem na miasto. Powietrze było rześkie i dziwnie świeże, a pomruk stał się dźwięczny i melodyjny. Do umówionego spotkania zostało mi półtorej godziny; jedną trzecią tego czasu wykorzystałem na spacer do ostatniego znanego miejsca zamieszkania Paula i Dorothy Safranów.

Przemysłowa okolica, więcej ciężarówek niż samochodów osobowych. Trzypiętrowy, ceglany budynek mieszczący Lieber – Dodatki Krawieckie otaczały rzędy małych, kwadratowych okienek. Zbrojone szyby porastał brud.

Zastanawiając się, co skłoniło Rolanda Korvutza, by porzucić swoje plany przekształcenia budynku w apartamentowiec, zawróciłem, przyspieszyłem kroku i skierowałem się na Piątą Aleję.

Samotność w wielkim, obcym mieście czasem dziwnie na mnie działa, powoduje wybuchy euforii na zmianę z napadami melancholii. Zazwyczaj wymaga to trochę czasu. Tym razem zadziałało natychmiast i kiedy przebiegałem gwarne, ruchliwe nowojorskie ulice, czułem się bezcielesny i anonimowy.

Na skrzyżowaniu Piątej i Czterdziestej Drugiej wessał mnie tłum przy miejskiej bibliotece, przebiłem się na północ przez pieszych tarany, rozdających ulotki, gapiących się w witryny, zwinnych kieszonkowców. Za Pięćdziesiątą Dziewiątą minąłem plac budowy, gdzie kiedyś był hotel Plaza. Woźnice dwukółek czekali na klientów. W powietrzu cuchnęło końskim nawozem. Szedłem równoległe do Central Parku. Drzewa nosiły swoje jesienne barwy z należytą arogancją.

O pierwszej dwadzieścia osiem siedziałem w drewnianej budce w Le Petit Grenouille, pijąc wodę, czerwone wino i jedząc ostre oliwki w oliwie.

Wykrochmalone lniane obrusy, stare plakaty reklamowe tytoniu i ściany w kolorze rdzy pod czarnym blaszanym sufitem. Połowę budek zajmowali modni ludzie. Witryna ze złotym napisem ukazywała życie ulicy. Po drodze minąłem szarą siedzibę burmistrza na Siedemdziesiątej Dziewiątej. Nie różniła się niczym od innych domów miliarderów, nie licząc stalowo-okich policjantów po cywilnemu pilnujących schodów do wejścia i zmagających się z introspekcją.

Uśmiechnięta kelnerka z postrzępionymi rudymi włosami przyniosła koszyk bułeczek i spodek z masłem. Popracowałem nad poziomem cukru we krwi i spojrzałem na zegarek.

O pierwszej czterdzieści siedem do restauracji wszedł zwałisty mężczyzna po sześćdziesiątce, ze szczęką siną od zarostu. Powiedział coś do kelnerki, przyczłapał do mnie.

– Sam Polito.

– Alex Delaware.

Dłoń Polita była twarda i szorstka. Resztki włosów – siwe i rzadkie. Czarna wiatrówka, szary prążkowany golf, ciemnobrązowe spodnie, czarne mokasyny ze złotymi sprzączkami Gucciego, może nawet prawdziwe. Rumiane policzki kontrastowały z dolną częścią twarzy, która nigdy nie miała wyglądać na ogoloną. Prawe oko miał czyste i piwne. Drugie zniekształcone, z mleczną tęczęwką.

– Cześć, Monique – zwrócił się do kelnerki. – Jest dzisiaj łośoś na dziko?

– Tak.

– Poproszę. Z białymi szparagami, dużym kieliszkiem tego wina z Médoc, château jakieś tam.

– Ziemniaki?

Polito się zastanowił.

– Co tam, niech będą. Bez przesady z oliwą.

– *Bon. M'sieur?* – Stek, średnio wysmażony, sałatka, frytki.

Polito odprowadził ją wzrokiem, ustawiając twarz tak, by jego zdrowe oko miało jak najlepsze pole widzenia.

– Czerwone mięso? Żadnych problemów z cholesterolem?

– Na razie nie – odparłem.

Oko mi się przyjrzało.

– U mnie wręcz przeciwnie. Wszyscy w rodzinie kofnęli przy sześćdziesiątce. Ja na razie pobitem ich o trzy lata, ale wstawiono mi stent, kiedy miałem pięćdziesiąt osiem. Lekarz kazał uważać, co się je, pić wino. Jest spora szansa, że ustanowię rekord.

– Miło słyszeć.

– A więc ma pan jakieś dojścia – zmienił temat.

– Do kogo?

– Zastępca komendanta zadzwonił do mnie do domu, ja właśnie się wybieram do Lake George z żoną, a on mówi: „Sam, chciałbym, żebyś się z kimś spotkał”. Jakbym wciąż musiał słuchać jego poleceń.

– Przepraszam, że pokrzyżowałem panu plany.

– Spokojnie, to był mój wybór. Jak mi wyjaśnił, o co chodzi, to aż się ucieszyłem. – Porwał bułkę z koszyka, przełamał ją na pół, popatrzył na deszcz okruszków. – Chociaż nie mówimy tu o jednym z moich tryumfów.

– Trudna sprawa.

– Jimmy’ego Hoffę znajdą przed Safranami. Może w tym samym miejscu.

– W ziemi – powiedziałem. – Albo w rzece.

– To pierwsze. W rzece byśmy ich znaleźli. Cholerstwo płynie w obie strony, przy takim ruchu ciała wypływają. Napatrzyłem się swoje na topielców. – Sięgnął po oliwkę, ogryzł dookoła otwór po dryłownicy. – Niech mi pan wierzy, w rzece by się znaleźli.

Podano wino. Powąchał, zakręcił, napił się.

– Elikwir życia. To i oliwa z oliwek.

Zwrócił na siebie uwagę kelnerki, bezgłośnie wymówił „oliwa” i wykonał gest nalewania.

Kiedy już wytarł pieczywem połowę złocistej kałuży, powiedział:

– Niech pan popracuje w Nowym Jorku odpowiednio długo, to zasmakuje pan w porządnym jedzeniu. No dobra, co z tymi morderstwami w L.A.

Streściłem sytuację.

– To wszystko?

– Niestety.

– A więc ten cały Dale jest jedynym powodem pana wizyty w Nowym Jorku? Wina przez skojarzenie... być może.

– Aha.

– Bajeranckie samochody? Przecież to L.A., nie? Z takiego powodu wsadzili pana w samolot? Departament Policji w Los Angeles najwyraźniej się unowocześnia, wysyłają psychologa. Jak pan to wykręcił?

– Midtown Executive to wykręt?

– Słuszna uwaga.

Kelnerka przyniosła jedzenie.

– Poważnie, doktorze – powiedział Polito. – Jestem ciekawy, jak to jest z tą psychologią. Mamy kilku gości, ale oni tylko leczą, kiedy góra uzna, że kogoś popieprzyło. Pan też?

Przedstawiłem mu skróconą wersję swojej przeszłości i roli.

– Robi pan swoje – skwitował. – Jeśli daje pan radę, to tak trzymać. W każdym razie, Safranowie. Podejrzenia od razu padły na Korvutza, bo tylko z nim mieli poważny konflikt. Poza tym ciągnęła się za nim nieciekawa historia wynikająca z podstępного działania. Kiedyś zaczął wyburzać budynek w środku nocy, żeby sąsiedzi nie zdążyli się poskarżyć. Potem, kiedy wszyscy dostawali szału, jego prawnicy mówili: „O rany, przepraszamy, bałagan w papierach, zrekompensujemy państwu wszelkie niedogodności”. I przez kilka miesięcy ustalali, na czym te niedogodności polegały, aż poszkodowani odpuścili sobie sprawę.

– W gazecie wyczytałem, że często go pozywano.

– Cena robienia interesów.

– Tak to nazwał jego prawnik.

– I miał rację, doktorze. W tym mieście wystarczy kichnąć pod wiatr i już się jest w sądzie. Mój syn kończy prawo w Brooklyn Law. Dziesięć lat służył na Brooklynie w napadach, zobaczył, z której strony smaruje się chleb. – Uśmiech. – Z oliwą z oliwek.

Skupił uwagę na talerzu i zaczął jeść z widoczną przyjemnością. Mój stek smakował wyśmienicie, ale myślami byłem gdzie indziej. Zaczekałem chwilę i spytałem, czy wytypowano jakichś podejrzanych oprócz Korvutza.

– Nie. A z Korvutzem też nic nie wyszło, bo nie znaleźliśmy żadnych kryminalnych powiązań. Oprócz tego, że to Rusek. Mamy tu dzielnice, doktorze, Brighton Beach i tak dalej, gdzie słyszać więcej rosyjskiego niż angielskiego. Niektórzy przyjechali właśnie po to, żeby szkodzić. Nasi mówiący po rosyjsku detektywi są bardzo zajęci. Ale żaden z nich ani ich informatorów nigdy nie słyszał o Korvutzu. Facet nie był z Moskwy, Odessy, skąd przybyła większość tamtych.

– Z Białorusi.

– Wszystko jedno. – Polito machnął ręką. – Chodzi mi o to, że głęboko kopaliśmy, ale nic nie

znaleźliśmy na Korvutza. Jasne, często trafia do sądu. Jak to deweloper. I za każdym razem, kiedy jest pozywany, zawiera ugode.

– Zniknęli jacyś inni jego lokatorzy?

Polito pokręcił głową.

– I nikt, z kim się dogadał, nie chciał powiedzieć na niego złego słowa, bo takie były warunki ugody. Szczerze mówiąc, doktorze, w ogóle braliśmy go pod uwagę tylko dlatego, że na radarze nie pojawił się nikt inny. A teraz pan mi mówi o Brighcie.

– Pamięta go pan?

– Mam niejasne wspomnienie; szef tego dętego komitetu lokatorów.

– Dlaczego dętego?

– Niech pan posłucha... – Polito przeżuł kolejną porcję jedzenia. Nie było żadnego komitetu, zanim Korvutz kupił budynek, tak samo przez następne pół roku. Potem facet składa wnioski o pozwolenie na przekształcenie i nagle okazuje się, że działa komitet złożony z trzech osób, samych lokatorów, którzy wprowadzili się po zakupie budynku przez Korvutza.

– Bright i dwoje innych – powiedziałem.

– Daleka kuzynka Konmtza i syn hydraulika, który serwisuje jego budynki w New Jersey. – Wyjął złożoną kartkę w linie, wielkości notki Mila. – Zapamiętałem nazwiska.

– Dziękuję.

– Hej, komendantowi nie mogłem odmówić. – Powoli rozszerzający się uśmiech. – Nawet jeśli to przybrany brat mojej żony.

Równa kaligrafia na kartce.

„Członkowie Komitetu Lokatorów Zach. 35 518

1. Dale Bright

2. Sonia Glusevitch

3. Lino Mercurio”

– Korvutz znał pozostałą dwójkę, zanim kupił budynek – myślałem głośno. – Coś wskazywałoby na wcześniejszą znajomość z Brightem?

– Nie. I jedna sprawa, doktorze: nawet jeśli komitet był marionetkowy, z prawnego punktu widzenia to nie problem. Właściciel nie jest zobligowany do prowadzenia komitetu, koniec, kropka. A lokatorzy mieli to gdzieś. Oprócz Safianów. Ci wrzeszczeli o korupcji.

Schowałem kartkę do kieszeni.

– Prawda jest taka, doktorze – podjął Polito – że Safranowie nie mieli żadnych rozsądnych argumentów, po prostu robili problemy. Wszyscy inni byli zadowoleni z propozycji, bo Korvutz oferował lepsze warunki. Dotychczas mieszkali w dziadowskich norach. Dawna fabryka butów podzielona na małe mieszkanie, tandetna budowa. Kawalerki i dwupokojowe, kapryśna kanalizacja i elektryka, nie wspominając już o problemach z gryzoniami, bo to okolica przemysłowa, otwarte kosze na śmieci i tak dalej. Korvutz złożył propozycję nie do odrzucenia i każdy ją przyjął.

– Oprócz Safianów – powiedziałem.

Polito odłożył widelec.

– Nie lubię obmawiać ofiar, ale z tego, co się zorientowałem, oboje byli kłótniwi. Takie hipisowskie niedobitki z lat sześćdziesiątych. On wtedy studiował w City College, radykalny działacz SDS. Ja, jako mundurowy, pracowałem w prewencji. Całkiem możliwe, że był jednym z tych rozwydrzonych bachorów, które się na mnie dały.

– A Dorothy?

– Tak samo.

– Buntownicy bez powodu – podsumowałem. – Siostra Dorothy mówiła, że czuli się zastraszeni...

– Margie Bell. – Uśmiechnął się krzywo. – Długa historia depresji. Brała różne leki, dwa razy była skierowana do psychiatryka. Rok później się powiesiła.

– Ewidentne samobójstwo?

– Jej własny dzieciak znalazł Margie w łazience z listem. Doktorze, Safranowie robili burzę w szklance wody. Jak człowiek załatwi sobie w tym mieście tanie lokum dzięki ograniczeniom czynszu, to dziękuje losowi i zajmuje się swoimi sprawami. Przeszukałem ich mieszkanie, przetrząsnąłem każdy centymetr, żeby znaleźć jakiś ślad. – Pokręcił głową. – Nie dałbym tak mieszkać swojemu psu. Ale oni dali. Dali tak mieszkać psu. W jednym rogu leżały rozłożone brudne gazety, na nich plamy moczu, stopy wyschniętych psich kup. Ci ludzie nie byli specjalnie czysti... przepraszam, jeśli zepsułem panu obiad. Cóż, zdecydowanie powinni skorzystać z propozycji Korvutza.

– Widział pan psa?

– Nie, tylko to, co zostawił. Czemu?

Opowiedziałem mu o zaginionych czworonogach Leonory Bright. O tym, jak Dale Bright zgłosił się jako wolontariusz do schroniska. Polito zakręcił winem w kieliszku.

– Facet lubi futrzaki, ale dla ludzi nie jest już taki miły?

– Bywa i tak.

– Jasne – odparł. – Miałem podobną sprawę, kiedy zaczynałem, na Ludlow Street, Lower East Side. Ćpun wariat pokroił swoją starą, zostawił ją siedzącą, podpartą przy kuchennym stole na dwa tygodnie. Sam środek lata, kamienica czynszowa bez klimatyzacji, może pan sobie wyobrazić. Na domiar wszystkiego koleś sprawił sobie pitbulla, wszyscy mówią, że to miłe psiska, ale ja tam bym się z nimi nie pieścił. W każdym razie wariat rozpieszcza psa, postanawia dodać mu białka do diety. Kiedy tam przyjechaliśmy... przepraszam, jeśli to odebrało panu apetyt.

– Nic się nie stało. – Zjadłem kawałek steku, żeby to udowodnić.

– Pasuje panu Bright jako sprawca, co? – spytał Polito.

– Jest powiązany z dwoma brutalnymi morderstwami, a jedno z nich sprawiło, że stał się bogaczem. Jeśli zapłacono mu, żeby się pozbył Safranów, dochodzą jeszcze dwa z motywem

finansowym. A z tego, co wiemy, kiedy Safranowie zniknęli, on też.

– Rozwiązał się jak mgła – przyznał Polito. – To może oznaczać coś jeszcze, doktorze.

– Jego też ktoś uczynił niewidzialnym – domyśliłem się bez trudu.

Polito wzruszył ramionami.

– Na razie nikogo innego nie namierzaliśmy – powiedziałem. – Przyda mi się każda informacja.

– Wiele tego nie ma. Nawet jeśli mój szwagier da mi zajrzeć do swojego superkomputera. – Pstryknął palcami. – Facet wyparował. Kiedy budynek opustoszał, nie znaleźliśmy żadnych adresów. Żadnego śladu, że mieszkał w pięciu okręgach czy w całym stanie Nowy Jork. Zero zeznań podatkowych, aktów własności, praw jazdy, nic. Mogę panu podać tylko ogólny rysopis sprzed ośmiu lat i dorzucić informację, że kiedy go przesłuchiwałem, współpracował. Gdyby się stawał, zapamiętałbym. Rozmawiałem z nim dokładnie raz, rutynowa wymiana zdań jak ze wszystkimi mieszkańcami.

– Jak wyglądał?

– Słusznych rozmiarów facet, nabity, łysy.

– Gładko ogolony?

– Głowa jak kolano, żadnych włosów, tyle.

Wyłowiłem zdjęcie Ansella Brighta z jego kalifornijskiego prawa jazdy.

Polito zmrużył zdrowe oko.

– Futro dałoby się z niego zrobić... Może to ten sam facet, ale głowy nie dam.

– Może o to właśnie chodzi – podsunąłem.

– Zmiennokształtny?

– Był gejem?

– Nie wydawał się zniewieściały. Wasz taki jest?

– Niektórzy mówią że tak.

– Twierdzi pan, że facet udaje?

Opowiedziałem mu o kowbojskim kostiumie, starcu w kraciastej czapce, ewentualnym przebieraniu w damskie ubrania, kradzionych luksusowych autach.

– Czarne wozy – powtórzył Polito. – Może jako symbol śmierci.

Odsunął od siebie talerz, pomasował pierś.

– Dobrze się pan czuje?

– Refluks. Bright okaże się sprawcą, ja go miałem pod ręką i puściłem. Niezbyt miła myśl.

– Może jest czysty – powiedziałem.

– Jakbyście tak myśleli, to by tu pana nie było. – Przyjrzał się jeszcze zdjęciu, po chwili je oddał. – Nie, nie umiem stwierdzić, czy to on, czy nie. Ale Dale Bright, z którym rozmawiałem, zachowywał się zupełnie normalnie. – Dopił wino. – Muszę powiedzieć, doktorze, że rozmawiając z panem, uświadomiłem sobie, o ile bardziej wolałbym być na jeziorze. Dlatego opowiem panu resztę i zmykam. Po pierwsze, rano byłem u Korvutza. Pogadałem z portierem,

który przypadkiem służył kiedyś w patrolu. Niech mu pan nie zawraca głowy, jak się wyda, że rozmawia o mieszkańcach, straci robotę. Powiedział mi, że Korvutz jest spokojny, żadnych problemów, żona i małe dziecko, dobre napiwki w Boże Narodzenie. Dwa razy w tygodniu sam je obiad, kiedy żona wychodzi ze swoimi psiapsiółkami, i ma pan szczęście, dziś jest jeden z tych dni. Chodzi do tego samego lokalu, lubi włoską kuchnię.

– La Bella – powiedziałem. – Mam na liście.

Polito się uśmiechnął.

– A jak pan myśli, kto zrobił listę? W każdym razie Korvutz jada wcześniej, około szóstej, wpół do siódmej. Szansa, że zaproponuje panu na spólkę talerz makaronu, jest niewielka, ale zawsze warto spróbować.

– Ma goryli?

– To nie Trump ani Macklowe. Drobną płotką. Stosunkowo, oczywiście. Mieszka w dziesięciopokojowym apartamencie w przedwojennym gmachu przy Park, kupił wiele lat temu.

– Co teraz buduje?

– Nic. Zbiera czynsze.

– Przeszedł na emeryturę? Jak to?

– Może chciał, a może musiał.

– To znaczy?

– Żeby dzisiaj ugrać coś w mieście, trzeba mieć poważną forszę. Z końcówką na „- ardy”, a nie „- ony”.

– Rozumiem. Jak wygląda?

– Przykro mi, nie mam zdjęcia – odparł Polito. – Nie jeździ samochodem. Drobnego gościa, okulary, rudobrzęde włosy. Taki ruski Woody Allen.

– Dzięki. Przechodziłem obok budynku na Zachodniej Trzydziestej Piątej. To znów fabryka.

– Ściśle rzecz biorąc, magazyn, doktorze. Tasiemki są produkowane w Queens, na Trzydziestej Piątej je magazynują. Jak to jest, że po całej tej kołomyi Korvutz nie zbudował apartamentowców? Słyszałem, że go przycisnęło finansowo, zapożyczył się, a rynek padł. Facet musiał sprzedać ze stratą sporo nieruchomości. Wszystko jest kwestią czasu, doktorze. Teraz rynek znów szaleje, w górę idą gówniane czynszówki w Lower East Side, w Hell's Kitchen pełno japiszonów, dzielnica ma nową nazwę, Clinton.

– Boom nie objął Zachodniej Trzydziestej Piątej.

– Te budynki są dużo warte – powiedział Polito. – W tej chwili oplaca się trzymać je jako przemysłowe, ale dajmy im czas. Któregoś dnia na tej wyspie będzie mieszkała jedynie zgraja z limuzynami.

Pomachałem listą członków komitetu lokatorów.

– Będzie jakiś problem, jeśli skontaktuję się z Glusevitch i Mercuriem?

– Nie z mojej strony. – Polito pokręcił głową. – Ale Mercurio nie żyje. Wdał się w awanturę o kobietę pięć lat temu, eksmąż pobił go na śmierć, wyrzucił ciało w Bronksie. Nic wspólnego z

Korvutzem, zabójca już w przeszłości tłukł chłopaków bylej żony. Dowiedziałem się tylko dlatego, że zauważyłem nazwisko Lina na liście ofiar. Chłopak był kretyńskim i cwaniaczkiem, jednym z tych typków z włosami na żel, co chcą udawać gangsterów. Wierzę, że mógł kogoś naprawdę ostro wkurzyć. On akurat pasowałby mi na podejrzanego. Potrafię sobie wyobrazić, jak myśli, że zbije fortunę, biorąc zlecenie na mokłą robotę. Problem w tym, że miał niepodważalne alibi. Tydzień, w który zniknęli Safranowie, spędził w Aruba z dziewczyną.

– Sprytne.

– Ale prawdziwe, doktorze. Dane z linii lotniczych i hotelu potwierdzają że Lino przebywał poza Nowym Jorkiem. Może zapłacił za wycieczkę pieniędzmi, które dostał od Korvutza za członkostwo w Komitecie.

– Korvutz przekupił członków, żeby poszli mu na rękę.

– Nie mogę tego udowodnić, ale w przeciwnym razie po co mieliby sobie zawracać głowę?

– A mój drugi problem polega na tym, że Sonia Glusevitch jest daleką kuzynką Korvutza, więc pewnie nie zechce współpracować.

Polito podniósł ręce.

– Tak na wszelki wypadek, wie pan, gdzie ona jest? – spytałem.

– Spróbuję się dowiedzieć. – Wyjął komórkę, zadzwonił na informację, poprosił o dane Sonii Glusevitch. Po chwili pokazał dłońią V, symbol zwycięstwa. – Wschodnia Dziewięćdziesiąta Trzecia 345. Chce pan najpierw pogadać z Sonią proszę bardzo, ale uważam, że to błąd. Lepiej wykorzystać element zaskoczenia, nie ryzykować, że Sonia uprzedzi Korvutza.

– Zgoda. Jaka ona była?

– Młoda, ładna, z mocnym akcentem – powiedział Polito. – Tleniona blondynka, ale niezła. – Pokazał dłońmi wyobrażony obfity biust.

Monique, kelnerka, zauważyła jego pantomimę i się skrzywiła.

Polito machnął ręką przywołując dziewczynę.

– Świetny los. Ten pan zapłaci.

Zerknęła na mnie, wyszła.

– Na pana miejscu, doktorze, zostawiłbym Monique porządny napiwek. Przychodzę tu od czasu do czasu.

Kiedy Polito wyszedł za piętnaście trzecia, restauracja opustoszała.

Monique piła kawę przy barze. Zapłaciłem rachunek i zostawiłem trzydzieści procent napiwku. Podziękowała mi szeroko otwartymi oczami i uśmiechem obnażającym ładne zęby.

– Mogę tu posiedzieć kilka minut?

– Przyniosę panu jeszcze wina.

Miałem ponad trzy godziny do chwili, kiedy Roland Korvutz rozłoży serwetkę w La Bella. Trochę tego czasu zabiłem, pijąc lepsze bordeaux niż to podane do obiadu i myśląc o swojej rozmowie ze starym detektywem.

Polito był zmartwiony ewentualnością, że może wypuścił z rąk głównego podejrzanego. Ale to, że Dale przemknął się pod radarami, nie świadczyło źle o umiejętnościach Polita; jeśli Bright był inteligentnym psychopata, musiał sprawiać wrażenie supernormalnego.

Zmiennokształtny.

Jeśli trup Brighta nie tkwił w fundamentach jakiegoś manhattańskiego wieżowca, facet prawdopodobnie mieszkał pod nowym nazwiskiem w L.A., bawiąc się w zmianę płci, rozkoszując sztuką zwodzenia albo jeszcze gorzej.

Sprawdziłem wiadomości w telefonie, miałem trzy: od Robin, Mila i prawnika chronicznie spóźniającego się z rachunkami i cierpiącego na złudzenie, że będę chciał z nim rozmawiać.

– Tęsknię za tobą – powiedziała Robin. – Ale najgorzej rozłąkę znosi Blanche. Nie uśmiechnęła się ani razu i ciągle węszy w twoim gabinecie. Potem upiera się, żeby iść nad staw, i siada na ławce dokładnie tam, gdzie ty. Kiedy to nie działa, zeskakuje i gapi się na ryby, dopóki ich nie nakarmię. Jeśli nie wrzucę dość jedzenia, zaczyna pisać. Powtarzam jej, że pan niedługo wraca, ale ciągle patrzy na mnie z tęsknotą w oczach.

– Powiedz, że przywiozę jej prezent.

– Nie jest materialistką, ale oczywiście przekażę. Jak idzie?

– Jak dotąd nic specjalnego.

– Sprawdziłam pogodę w Internecie. Chyba tam ładnie.

– Cudownie – powiedziałem. – Któregoś dnia musimy się tu wybrać.

– Zdecydowanie. Masz fajny hotel?

Opisałem Midtown Executive.

– Jedna zaleta: bez przerwy byśmy na siebie wpadali – skwitowała ze śmiechem.

– Jutro wrócę, będziemy mogli popadać na siebie do woli. Jak praca?

– Wzięłam kilka nowych zleceń, proste naprawy. – Krótka pauza. – Dzwonił dzisiaj rano, chciał się upewnić, że zastanie mnie w mieście, kiedy przyjedzie. Mówił jakoś inaczej.

– Jak to?

– Z dystansem, nie tryskał entuzjazmem, jak to zwykle on. Twierdzi, że bardzo się zaangażował w ten projekt, ale ton głosu nie pasował do słów.

– Wyrzuty sumienia kupującego? – spytałem.

– Może wreszcie dotarło do niego, że wyda kupę pieniędzy, a i tak nic nie zagra.

– W najgorszym razie sprzedasz je komuś innemu.

– Zastanawiam się tylko, czy dotarło do niego, że wszelkie miłosne zamiary nie będą odwzajemnione. Unikałam rozmów o niczym.

– Jeśli działał z niskich pobudek i zrezygnował, poszczyliło ci się.

– Pewnie – mruknęła.

– Włożyłaś w to dużo pracy, a teraz sprawa się komplikuje – powiedziałem.

– Może tylko w mojej głowie.

– Masz dobry instynkt, Rob.

– Nie zawsze... lepiej pozbędę się negatywnych myśli, zanim włączę wyrzynarkę. Do zobaczenia jutro, kochanie.

Opowiedziałem Milowi o swoim spotkaniu z Politem.

– Zastępca komendanta jest jego szwagrem, tak? – powiedział. – I zupełnie przypadkiem ten zastępca to były kierowca Jego Wielebności.

– Trzeba całej wioski, żeby złapać oszusta.

– I go wyhodować. A więc Bright przy Policie nie zachowywał się jak gej?

– Połącz to z teatralnymi zmianami wyglądu, udawaniem weganina, wzorcem Jekyll-Hyde, który opisywała jego siostra, i już niczego nie możemy być pewni.

– Cały świat jest sceną.

– Krwawą sceną. Zobaczmy, co ma o nim do powiedzenia Roland Korvutz.

– Zamierzasz podejść do faceta bezpośrednio?

– A nie taki był sens dawania mi jego domowego adresu i namiarów na ulubione lokale?

– Owszem, ale dzisiaj obudziłem się pełen wątpliwości. Dlaczego Korvutz miałby z tobą w ogóle rozmawiać?

– Jeśli uda mi się położyć nacisk na Dale'a Brighta, a nie na niego, może sam uzna, że to występ przed publiką i wymknie mu się jakaś ciekawa informacja.

– Jeśli zapłacił Brightowi za Safranów, pogoni cię albo i gorzej.

– Czemu zadowalać się pesymizmem, skoro można mieć fatalizm?

– Czytałeś mój pamiętnik. Ten facet może okazać się drapieżcą *amigo*, a ja nie widzę żadnych korzyści w drażnieniu lwa. Wracaj do hotelu, wrzuć kilka ćwierćdolarówek do łóżka z masażem i dobrze się wyśpij.

– Ojej, dzięki, mamó.

– Mówię poważnie.

– Jak tam sprawy w domu?

- Zmiana tematu nie zmienia rzeczywistości.
- Będę na siebie uważał. Coś nowego?
- Sprawy w domu... zero. – Milo westchnął głęboko. – Czemu zadowalać się fatalizmem, skoro można mieć nicość? Gdzie zamierzałeś spotkać się z Korvutzem?
- Wciąż zamierzam. W La Bella.
- Włoska restauracja.
- Upper East Side, nie mówimy tu o wyniosłych facetach pijących espresso w klubie towarzyskim.
- W najlepszym razie buksujesz w miejscu, Alex. Czemu Korvutz miałby na ciebie choćby mrugnąć?
- Czasami każdy chce być gwiazdą. – Zdrętwiał mi kark. – Właśnie coś mi przyszło do głowy. Jeśli Dale jest niedoszłym Olivierem, może po to właśnie przyjechał do Nowego Jorku?
- Światła rampy – powiedział Milo.
- Safranowie szli do teatru wieczorem, kiedy zniknęli. Offowa produkcja w śródmieściu. A jeśli Bright ich zwabił? „Występuję w teatrze, wpisałem was na listę gości, będę zaszczycony, jeśli przyjdziecie popatrzeć, jak szturmem zdobywam scenę. Potem pójdziemy się czegoś napić, zakopimy topór wojenny po tej aferze z mieszkaniami”.
- I przynosi topór naprawdę... Co za wyrachowanie. Problem w tym, że już szukaliśmy Brighta na wszelkie sposoby i jego nazwisko nie pojawiło się w żadnym spektaklu. Ani nigdzie indziej.
- Ten występ mógł być niszowy, mało popularny – zauważyłem. – Albo Bright używał pseudonimu. Kiedy szedłem tu z Midtown, mijałem miejską bibliotekę. Może to znak. Mam czas do spotkania z Korvutzem. Przejrzę archiwa gazet.
- Dobry pomysł. Jak coś znajdziesz, odpuść sobie Korvutza i wracaj do domu.
- To już obsesja – powiedziałem.
- Przyganiał kocioł garnkowi.

Pospieszyłem z powrotem na Piątą, precyzyjnie się przez popołudniowy tłok, wbiegłem po schodach do biblioteki.

Dział mikrofilmów był wyposażony w tuzin aparatów do czytania, dwa razy tyle czytników wieloformatowych i dwa czytniki mikrofilmów. Wielu pilnych badaczy w kolejce, w tym jeden bezdomny, który dostał się na sam początek, usiadł, wiercił się co chwila.

Znalazłem przewodniki teatralne na tydzień poprzedzający zniknięcie Safianów w „Timesie”, „Post”, „Daily News” i „Village Voice”. Zaczekałem na wolny czytnik, zabrałem się do pracy.

Godzinę później zawęziłem długą listę do dziewięciu spektakli, które wydawały mi się odpowiednio niszowe. Po piętnastu minutach czekania dostałem się do komputera z łączem internetowym. Żadnej wzmianki o pięciu z wyselekcjonowanych przedstawień. Z pozostałych

czterech znalazłem listy obsady dla trzech. Ansell/Dale Bright nie pojawiał się na żadnej, ale wydrukowałem je i wyszedłem z biblioteki.

Niebo było granatowoczarne. Piąta Aleja lśniła miedzią brązem i srebrem w odbitym blasku sklepowych witryn. Ruch uliczny przypominał pszczeli rój żółtych taksówek i czarnych limuzyn. Tłum pieszych zgęstniał; żywy, wielokształtny twór; poczułem się jak maleńki trybik wspaniałej maszynerii.

Dla urozmaicenia poszedłem na północ Madison. Księżycowa poświata niczym aureola otaczała wieże drapaczy chmur. Nowy Jork – dzieło ludzkich rąk – był równie piękny, jak wszystkie dzieła Natury.

Kiedy przeszedłem z sześćdziesiątek w siedemdziesiątki, okręty flagowe megaprojektantów ustąpiły miejsca butikom i przytulnym knajpkom. Przeszkłone witryny ukazywały pięknych ludzi.

Ostria La Bella była inna, z ceglana fasadą pomalowaną na biało i beżowymi literami, szepczącymi nazwę lokalu nad szklanymi drzwiami, gęsto ozdobionymi złoceńcami.

Za szkłem ciemność. To było jedno z tych miejsc, o których trzeba wiedzieć, bo inaczej się nie trafi.

Rozejrzałem się po ulicy, nie dostrzegłem nikogo odpowiadającego rysopisowi Rolanda Korvutza. Osiemnasta dwadzieścia. Jeśli już był w środku, chciałem, żeby rozpoczął swój kulinarny rytuał. Ruszyłem na spacer. Poszedłem aż do Wschodniej Dziewięćdziesiątej, przyspieszając, żeby odnieść gimnastyczną korzyść z pokonywania łagodnego nachylenia Carnegie Hill. O dziewiętnastej dziesiątej byłem z powrotem pod La Bella, dotleniony i zrelaksowany.

Szklane drzwi prowadziły do lśniącego, ciemnozielonego westybulu, zamkniętego z drugiej strony drzwiami z solidnego czarnego orzecha. Za wejściem grawerowana tabliczka „Proszę uważać na próg” ostrzegała (o istnieniu niewysokiego podestu. Trzy stopnie w dół i ostry skręt w lewo – doszedłem do białego, marmurowego stanowiska szefa sali. Wysoki, postawny mężczyzna we fraku studiował książkę rezerwacji w bursztynowym świetle muszlowej lampy Tiffany’ego. Tło dźwiękowe stanowiła opera, jakiś tenor jęczał smutną historię. Wstążki zapachów dojrzałego sera, pieczonego mięsa, czosnku i octu balsamicznego wypełniły moje nozdrza.

Za Frakiem stojak z winami sięgał ręcznie gipsowanego sufitu, zasłaniając całą lewą stronę pomieszczenia. Ścianę po prawej pokrywał mural. Weseli wieśniacy znoszący zebrane winogrona. Trzy stoliki w zasięgu wzroku były okrągłe, nakryte czerwonym lnem i wolne. Zza stojaka dobiegał cichy brzęk szkła i pomruk rozmów.

- W czym mogę panu pomóc?
- Nie mam rezerwacji, ale gdybyście mogli państwo ugościć jedną osobę na obiad.
- Jedną – powtórzył, jakby nigdy wcześniej nie słyszał tego słowa.
- Zająłem tu spontanicznie.

– Lubimy spontaniczność, proszę pana.

Zaprowadził mnie do jednego z wolnych stolików, podał kartę win i menu. Opowiedział o specjale osso buco, przyrządzanym z cielęciny z łagodnych cieląt z Vermontu, którym pozwala się spędzić krótki żywot bez pęt na otwartej przestrzeni.

Swoimi gabarytami zasłaniał mi widok na pozostałych gości. Kiedy opisywał mieszankę „artystycznych warzyw”, udałem zainteresowanie i zerknąłem na menu. Wina z domu aukcyjnego, białe trufle, łowione na wędkę ryby z jezior, o których nigdy nie słyszałem. Balsamiczny ocet miał staż większy niż duża liczba małżeństw. Odpowiednie do tego ceny.

– Coś do picia, proszę pana?

– Woda gazowana.

– Oczywiście.

Odsunął się na bok, ukazując dwa zajęte stoliki po drugiej stronie pomieszczenia bez okien.

Przy pierwszym siedziała precudownie ubrana para po trzydziestce; trzymali kieliszki w dłoniach i nachylali się ku sobie jak bokserzy.

Zaciśnięte szczęki, rozchylone usta i piorunujące spojrzenia. Ledwie hamowany stosunek albo kiepsko kamuflowana kłótnia.

Po ich prawej miejsce przy stoliku zajmował mężczyzna z puciołowatą, jasnowłosą dziewczynką. Siedziała plecami do mnie, zgarbiona nad talerzem. Sądząc po wzroście, sześć albo siedem lat. Mężczyzna również się pochylał, by utrzymać kontakt wzrokowy z dzieckiem, jego twarz nikała w cieniu. Dotknął policzka dziewczynki. Otrząsnęła się, jadła dalej. Miała na sobie biały sweter i różową kraciastą spódnicę, białe skarpetki, czerwone buty ze skóry. Pewnie szkolny strój. Szara sportowa marynarka mężczyzny i brązowa koszula w zestawieniu z ubiorem dziecka wydawały się ponure.

Widziałem go dość dobrze, by dostrzec drobną budowę. Pasował do opisu przedstawionego przez Polita. Wiek około sześćdziesiątki, dziecko.

Mężczyzna przełamał kromkę chleba i wyprostował się, żeby zjeść, a ja mogłem lepiej przyjrzeć się jego twarzy. Wysokie, płaskie kości policzkowe, bulwiasty nos, wąski podbródek, okulary w stalowych oprawkach. Jeśli to była moja zwierzyna, rudobrazowe włosy zwiędły do rzadkiej, siwej zaczeski.

Nawinął na widelec makaron, poczęstował nim dziewczynkę. Stanowczo pokręciła głową.

Powiedział coś. Jeśli blondyneczka odpowiedziała, nie usłyszałem.

Czarny szef sali znów wypełnił moje pole widzenia. Łagodnie postawił na stole dużą butelkę Aqua Minerale Prima Fiorentina i schłodzoną szklanekę.

– Jest pan gotów zamówić?

Wciąż najedzony po późnym obiedzie wybrałem najłżejsze danie – sałatkę z ręcznie poławianych małży za czterdzieści cztery dolary. Zanim Frak zabrał mi menu, sprawdziłem cenę wody. Sporo ponad dzienną kwotę wyżywienia przydzieloną przez Departament Policji Los Angeles. Może Prima Fiorentina była ręcznie czerpana ze źródeł artezyjskich przez westalki z

lekarskim potwierdzeniem dziewictwa i wyższym wykształceniem.

Spróbowałem. Smakowała jak woda.

Dziewczynka po drugiej stronie sali powiedziała coś, na co mężczyzna w szarej marynarce uniósł brwi.

Znów się odezwał. Ona pokręciła głową. Wstała z krzesła, zadzierając sobie spódniczkę. Mężczyzna sięgnął, by wygładzić materiał. Jej ręka była szybsza. Dziewczynka stanęła mocno na nogach, zmierzwiła sobie włosy. Odwróciła się.

Jasna cera, niebieskie oczy, płaski nos. Charakterystyczna twarz dziecka z zespołem Downa.

Starsza niż oceniałem: dziesięć albo jedenaście lat.

Zauważyła mnie. Uśmiechnęła się. Pomachała.

– Dzień dobry! – zawołała dość głośno, by zagłuszyć operę.

– Cześć.

– Idę do łazienki.

– Eleno... – wtrącił się mężczyzna.

Córka karcąco pogroziła mu palcem.

– Rozmawiam z panem, tato.

– Kochanie, jeśli musisz iść...

Tupnęła.

– Rozmawiam, tato.

– Wiem, skarbie. Ale...

– Tato! – Roztupała się na dobre. Potem: – Tata smutny?

Ujęła jego twarz w obie dłonie, pocałowała w policzek, pobiegła w wesołych podskokach do drzwi w głębi restauracji.

Nieoznakowanych; dziecko było weteranem studolarowych kolacji. Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Przepraszam.

– Jest cudowna.

Wrócił do nawijania makaronu. Spojrzał na wysadzany brylantami zegarek. Odłożył widelec, znów sprawdził godzinę.

Podszedł Frak.

– Wszystko w porządku, panie Korvutz?

– Tak, tak, dzięki, Gio.

– Miło widzieć Elenę. Przeziębienie już przeszło?

– Wreszcie.

– Bystra dziewczynka, panie Korvutz. Podoba się jej w szkole?

Gość słabo pokiwał głową.

– Wino do dietetycznej coli?

– Nie, czeka mnie jeszcze odrabianie lekcji, muszę mieć jasną głowę.

– Dzieci... – westchnął Gio.

Korvutz posmutniał.

– Warto.

Elena wróciła, bawiąc się skrajem swetra. Zatrzymała się przy moim stoliku, pokazała mnie palcem.

– On jest samiutki.

– Zostaw pana w spokoju – poprosił Roland Korvutz.

– Jest samiutki, tato.

– Na pewno chciałby tylko...

– Jesteś samiutki. Możesz zjeść z nami.

– Eleno...

Dziewczynka pociągnęła mnie za rękaw.

– Jedz z nami!

– Jeśli twój tata się zgodzi – powiedziałem.

Twarz Korvutza stężała.

– Juhu! – zawołała Elena.

– Kochanie, przestań. Daj panu...

Wstałem i przyniosłem szklanę z wodą do ich stolika.

– Juhu!

– Proszę pana, nie trzeba... – zaczął Korvutz.

– Nie ma problemu, na kilka minut...

– Juhu!

Spięta para się obejrzała. Kobieta szepnęła coś towarzyszowi. Wzruszył ramionami.

– Naprawdę nie trzeba – powtórzył Konattz.

– Czeba, tato!

Para o ognistych spojrzeniach uśmiechnęła się pod nosem.

– Eleno...

– Czeba!

– Ćśś, ćśś...

– Cze...

– Eleno! Ćśś! Co mówimy o La Bella?

Dziecko wyduło wargi.

– W La Bella musimy być... – podpowiedział Korvutz. – No, słonko?

Z prawego oka Eleny spłynęła łza.

Roland Korvutz wytarł ją i pocałował córkę w policzek.

– Kochanie, w La Bella musimy być cicho.

– Kochanie, kochanie – zaszczebotała Elena. – To mama.

– Ty też jesteś moim kochaniem.

– Nie!

Korvutz się zarumienił.

– Proszę pana, przepraszam za kłopot, może pan wrócić...

– On jest samiutki. Pani Price mówi, żeby być miłym dla samiutkich ludzi.

– To w szkole, Eleno.

– Pani Price mówi, żeby zawsze być miłym.

– Mogę posiedzieć, dopóki nie przyniosą mojego jedzenia – powiedziałem.

– Eleno, daj panu spokój. – Podniósł głos.

Dziewczynka wykrzywiła twarz. Korvutz mruknął coś, co zabrzmiało z rosyjska, i wyciągnął do niej rękę. Ze szlochom zeskoczyła z krzesła. Młoda kobieta przy sąsiednim stoliku przewróciła oczami.

– Eleno...

Dziewczynka pobiegła do drzwi w głębi.

– Idę znowu!

– Bardzo przepraszam – zwrócił się do mnie Korvutz. – Jest niezwykle przyjacielska.

– Słodka istotka. – Starłem się, żeby nie zabrzmiało to protekcyjnie.

Spojrzenie Korvutza mówiło, że mi nie wyszło.

– Pracuję z dziećmi – wyjaśniłem.

– Jako kto?

– Psycholog dziecięcy.

– W porządku – powiedział z całkowitym brakiem zainteresowania. – Życzę smacznego. – Zerknął na mój stolik.

Wyjąłem nowiutką odznakę konsultanta DPLA, którą poprzedniego wieczoru komendant przysłał mi do domu kurierem, i położyłem ją przed Korvutzem.

– Kiedy będzie pan miał czas?

Rozdziawił usta. Szare oczy za grubymi szklami wyszły z orbit. Mimo kiepskiego oświetlenia jego źrenice skurczyły się do rozmiarów łebków szpilek.

– Co to, do...

Schowałem odznakę do kieszeni.

– Musimy porozmawiać. Nie o panu. O Dale’u Brighcie.

Zaczął wstawać, rozmyślił się. Obie dłonie zaciśnięte, ale pozostały na stole.

– Wynoś się pan...

– Przeleciałem pięć tysięcy kilometrów, żeby się z panem spotkać. Dale Bright być może zabijał ludzi. Skrajnie brutalne morderstwa.

– Nie wiem, o czym pan mówi, do cholery.

Wstałem, osłaniając go przed wzrokiem sąsiedniej pary i Gia. Wciąż się uśmiechałem, by pozorować przyjazną rozmowę.

– Dale Bright. Były przewodniczący komitetu lokatorów na Zachodniej Trzydziestej Piątej.

Szyja Korvutza zniknęła między ramionami. Musnął palcami nóż do masła.

– Nie pan jest podejrzany. Tylko Bright. Potrzebuję szczegółów, wszystkiego, co może pomóc go zlokalizować.

W kącikach ust Korvutza zebrała się ślina.

– Nic nie wiem.

– Tylko krótka rozmowa w dogodnym dla pana czasie...

– Znów mnie nękają.

– Jeśli będzie pan współpracował i pomoże nam znaleźć Brighta, to położy kres wszelkim...

– Nic nie wiem – wykrztusił przez zaciśnięte usta.

– Ważne są nawet wrażenia. Jaki był, jakie miał zwyczaje.

– Suche oko! – oznajmił głos za nami.

Elena tanecznym krokiem dotarła do mnie i stanęła obok ze zmiętą chusteczką w dłoni.

– Ten pan musi iść – oznajmił Roland Korvutz.

– Nie, ta...

– Tak!

– Tata mnie smuci!

Korvutz wystrzelił z krzesła i złapał ją za rękę.

– Życie jest smutne. Nawet ty możesz się tego nauczyć. Wywłókł zawodzące dziecko z restauracji. Zdumiony Gio patrzył, jak zatraskują się drzwi. Tenor z taśmy zajączał.

– Przeprowadzać dziecko do takiego lokalu – syknęła młoda kobieta. Jej towarzysz przyglądał ręcznie szytą klapę marynarki.

– Zwłaszcza takie dziecko. Zbierajmy się.

Na Park Avenue wytworni ludzie wyprowadzali na spacer eleganckie psy.

Budynek Rolanda Korvutza, po zachodniej stronie ulicy, był dziesięcioma piętrami poważnego, szarego kamienia, każde piętro szerokie na jeden apartament.

Lśniące mosiężne pręty podpierały nieskazitelnie czystą bordową markizę. Dywan z odpornego na pogodę materiału wyglądał wystarczająco dobrze, żebym miał taki w domu; prowadził do zamkniętych na głucho, przeszklonych drzwi w mosiężnej ramie. Szyld „Wszyscy odwiedzający muszą się zapowiedzieć” też zrobiono z lśniącego metalu. Tak samo jak guzik dzwonka.

W środku odźwierny w bordowej liberii relaksował się w rzeźbionym fotelu i patrzył, jak mu się przyglądam. Latynos, wąsaty, za młody na emerytowanego policjanta, z którym rozmawiał Polito.

Kiedy podszedłem, nie ruszył się. Światło z kryształowego żyrandola zalewało bursztynowym blaskiem czarnobiałą, marmurową szachownicę podłogi. Boazeria z ciemnego drewna lśniła jak roztopiona czekolada.

Odźwierny nie drgnął, dopóki nie wcisnąłem dzwonka. Nawet wtedy poruszał się leniwie.

Uchylił drzwi na kilkanaście centymetrów.

– W czymś pomóc?

– Przyszedłem do pana Korvutza.

– Spodziewa się pana?

– Taką mam nadzieję.

– Nazwisko?

– Doktor Delaware.

Zamknął drzwi, podniósł słuchawkę telefonu. Czekałem pod markizą szykując się na odmowę, może ostrzeżenie, żebym dał sobie spokój. Miałem wyrzuty sumienia, że przerwałem kolację Elenie, potem pomyślałem o Safranach i stłumiłem żal.

Odźwierny odłożył słuchawkę, znów uchylił drzwi.

– Już schodzi.

Roland Korvutz zjawił się kilka chwil później w samej brązowej koszuli, luźnych szarych spodniach i białych adidasach, niosąc na rękach białego szpica miniaturkę.

Spodziewałem się demonstracji gniewu. Twarz miał nieprzeniknioną.

Odźwierny wypełnił swoją podstawową funkcję i Korvutz wyszedł. Wskazał na południe, nie zatrzymując się, wciąż z psem na rękach.

Niski, ale szybko przebiegał nogami.

Po chwili go dogoniłem. Szpic zaszczekał wesoło. Polizał mnie po rękę.

– Wszyscy uważają, że świetny z pana facet – zaczął.

Mały człowiek z wielkim barytonem. W stosunkowej ciszy jego akcent brzmiał wyraźniej.

– Dzieci i psy – odparłem. – Czasami są dobrymi sędziami charakteru.

– Gówno prawda – rzucił. – Miałem rottweilera, uwielbiał wszystkich, nawet najgorsze meły.

– Może ten jest mądrzejszy.

– Gigi – odezwał się Korvutz. – Tak ma na imię.

Przymocował różową smycz do obroży wysadzanej górkimi kryształami i postawił suczkę na ziemi.

– Jak w tym filmie?

– Moja żona lubi kino. – Pokręcił głową.

Gigi wyrwała do przodu. Przeszliśmy jedną przecznicę. Korvutz zaczekał, kiedy pupilka badała uliczną lampę.

– Dziękuję, że się pan ze mną spotkał – powiedziałem.

Brak odpowiedzi.

– Przepraszam, że zepsułem panu kolację.

– Jak nie pan, to kto inny. Moja córka. Uwielbia ten lokal, ale nie jest na niego gotowa.

– Za dużo presji, żeby zachować ciszę.

– Czasami Elena dostaje, jak to mówią, nadstymulacji.

– Ja naprawdę uważam, że jest słodka. Pod każdym względem.

Korvutz popatrzył na mnie przeciągle.

– Rzeczywiście jest pan psychologiem?

– Pokazać licencję?

Zaśmiał się.

– Moje jedyne dziecko. Późno się ożeniłem.

Suczka napięła różową smycz.

– Już dobrze, dobrze. – Korvutz pozwolił jej prowadzić. Dziesięć kroków później: – Ten cały Bright naprawdę kogoś zabił?

– Może kilka osób.

– Wariat.

– Nigdy nie podejrzewał go pan w sprawie Safranów?

Podniósł dłoń.

– Ee, o nich nie mówię, nic z tego. Ściągnęli mi na głowę kupę gówna. – Mnie interesuje wyłącznie Bright...

– Spotkałem go dwa razy. Okej? Pamiętam tylko, że to wielki wdupowłaz. W swoich budynkach miałem wtedy czterysta pięćdziesiąt, czterysta siedemdziesiąt pięć lokatorów. Nie ruszają mnie niczyje ukłony.

– W jakich sprawach wlaził w tyłek?

– Próbował być moim najlepszym przyjacielem, jakbym nie wiedział, kiedy mi się kto

podlizuje.

Korvutz zwolnił, popatrzył na psa, który obwąchiwał kolejną latarnię. Poprawił okulary. Gigi zrezygnowała z tej toalety. Ruszyliśmy dalej.

– Szybciej, mała! – zawołał do szpica. – Mam lekcje do odrobienia.

Powtórzyłem pytanie.

– Bright miał pomysły – odparł. – Na moją korzyść. „Niech pan założy komitet lokatorów, będzie łatwiej”. Uważałem, że to bujdy.

– Ale się pan zgodził.

– Czemu nie? Gdyby jednak czegoś chciał, odmówiłbym. Okazało się, że nie chciał.

– O nic nigdy nie poprosił?

– I bądź tu mądry.

– Nie sugerował, żeby zmniejszyć mu czynsz?

– Sam to zrobiłem wcześniej – wyjaśnił Korvutz.

– Ile mu pan dał zniżki?

– Kto by pamiętał... może ze dwa tysiące ogółem.

– Tak z dobroci serca? – zdziwiłem się.

Korvutz się do mnie odwrócił.

– Powiedziałem już, spotkałem go dwa razy. Proponował pomoc. W końcu i tak nic nie wypaliło. Głupi komitet.

– Nie pomógł w przekształceniu.

Skrzywił się, przyspieszył.

– Nieźle dostałem w dupę przez ten budynek. Sfinansowałem go z innych nieruchomości, powinienem się domyślić, żeby nie inwestować w tę kupę gówna. Potem zrobiło się krucho, ceny poleciały. Bank nie pożyczy, dopóki nie trzyma człowieka za... papierów tyle, że... szkoda gadać. Zresztą, co to pana obchodzi? Pan chce wiedzieć o Dale'u Wdupowłazie? To cała historia. Koniec.

– Jak do pana trafił? – spytałem.

– Z polecenia.

– Od kogo?

– Co za różnica?

Szliśmy dalej, aż Gigi zafascynowała się zapachami napływającymi z kosza na śmieci na rogu Sześćdziesiątej Dziewiątej.

– Idź, już, psie – warknął Korvutz.

– Kto polecił panu Brighta? – dopytywałem.

– Znowu?

– To taka tajemnica?

– Nie chciałem nowych lokatorów. Przy przekształceniu im mniej, tym lepiej. Bright miał rekomendację. Myślę sobie: co tam, dobrze. To mój problem. Miękkie serce.

Gigi ruszyła spod śmietnika. Przeszliśmy następne pół przecznicy.

– Kto go polecił?

– Czy to aż tak cholernie ważne?

– Sonia Glusevitch?

Korvutz oblizał usta.

– Pan zna Sonię?

– Wiem, że to pana kuzynka i że była w komitecie z Dale'em.

– Kuzynka – powtórzył, jakby nauczył się nowego słowa. – Drugi mąż jej matki jest siostrzeńcem jednej z moich przyrodnych sióstr.

– Znała Dale'a i go poleciła.

Niechętnie kiwnięcie głową.

– Była z nim związana?

– Miała męża.

– Była związana?

– Nie wtykam nos w cudze sprawy.

– Czyli: tak.

– Niech pan posłucha. – Korvutz sapnął ciężko. – Sonia przychodzi do mnie i mówi, że jej przyjaciel potrzebuje mieszkania. Ja odpowiadam: sześć miesięcy, góra.

– To mogłoby doskonale pasować do potrzeb Dale'a.

– Co pan ma na myśli?

– On się często przemieszcza – wyjaśniłem.

– I dobrze.

– Ślad po nim zaginał, odkąd opuścił pana budynek. Domyśla się pan, gdzie pojechał?

– Skąd mam wiedzieć?

– Gdzie Sonia go poznała?

– To wiem – powiedział Korvutz. – Robiła show.

– Jaki?

– Sonia chce być aktorką. Wtedy mówiła okropnie po angielsku, teraz niewiele lepiej. Ja tu jestem rok z Białorusi, mówię perfekt. Dwa lata, znam portorykański hiszpański, pięć lat rozmawiam z Chińczykami. *Hasta luego jing czang czung.*

– Sonia nie ma talentu do języków.

– Sonia? – Parsknięcie śmiechem. – Jak to mówią, nie najszybszy nóż w spizarni?

– Ale uważała, że może grać.

– Pragnie zostać wielką gwiazdą.

– Filmy czy spektakle?

– Nawet teraz chodzi na zajęcia w Nowej Szkole. Maluje obrazy, robi dzbanki, popielniczki, świeczniki.

– Artystka.

– Żyjesz z pieniędzy po rozwodzie, masz czas na lekcje.

– Bogaty eks.

– Chirurg plastyczny. Robił jej cycki, spodobało mu się, co wyrzeźbił, ożenił się z nią i mógł je sobie oglądać.

– Jak się nazywa?

– Kto by pamiętał.

– Żeni się z pana kuzynką, a pan nie pamięta?

– Żyd – powiedział. – Pobrali się w Anguilla, nikt nie został zaproszony. Pięć lat, ona przenosi się do wielkiego domu w Lawrence, potem rozwód.

– Wciąż dostaje alimenty?

– Dobrze żyje.

– Gdzie ten doktor ma gabinet?

– Też w Pięciu Miastach.

– W którym?

– Może Lawrence, może Great Neck.

– Nie pamięta pan, jak się nazywał.

– Żydowskie nazwisko... jakiś Witz, może Markowitz, może Leibowitz... nie, nie, Lefkowitz.

Bob Lefkowitz. Gra w tenisa. – Pokazał szeroki zamach.

– A więc Sonia spotykała się z Dale’em Brightem, kiedy była żoną doktora Lefkowitza.

Cisza. Po chwili:

– Mówiłem tylko, że szukała lokum dla przyjaciela.

– Mieszkała z mężem, ale trzymała mieszkanie na Zachodniej Trzydziestej Piątej?

Korvutz odwrócił wzrok. Ściągną na jego szyi wyglądały jak miniaturowe liny mostowe.

– Dałem jej mieszkanie, co z tego?

Gigi skrzyła pod następny śmietnik.

– I znowu – mruknął Korvutz.

– W jakim spektaklu grała Sonia, kiedy poznała Dale’a Brighta? – spytałem.

– Kto pamięta?

– Widział go pan?

– Ciągle mówiła: przyjdź. Za darmo. W końcu musiałem iść. Jakieś głupie miejsce.

– W śródmieściu?

– East Village, nie teatr. Sala nad meksykańską restauracją, ustawiają krzesła, pianino, wieszają czarne zasłony. Wszyscy ubrani na czarno, czarne szlafroki, czarne kaptury. Cały czas biegają w kółko i śpiewają. Na koniec ktoś wymiotuje. Potem klaskanie.

– Jak się nazywał ten spektakl?

– Może *Czarne szlafroki i rzyganie*? – Korvutz zaśmiał się z własnego dowcipu.

Wyciągnąłem listę, którą spisałem z archiwów gazet, zacząłem odczytywać tytuły.

– Tak! – przerwał mi Korvutz. – To ten: *Wakacje w czarnym nosie*. Co to znaczy, do diabła,

„czarny nos”? Pytam Sonię. Mówi, że to wejście do czyjegoś mózgu. Jak tunel, o tutaj. – Poruszył nozdrzem. – Tamtędy można dotrzeć do prawdy. – Zaśmiał się. – A psik! I już po prawdzie.

Gigi obejrzała klomb przed wysokim, ceglany budynek. Przyjrzałem się opisom *Wakacji w czarnym nosie*. Tylko „Times” streścił przedstawienie. „Neoabsurdalistyczny dramat badający mistyczne metamotywacje”. Bez obsady ani reżyserii.

– Ile osób grało w tej sztuce? – spytałem.

– To ważne?

– Być może.

– Cztery? Nie wiem. Niedużo.

– Czy Dale Bright był jednym z aktorów?

– Może.

– Może?

– Mówiłem: kaptury, twarzy nie widać; może to był on, może Myszka Miki.

– Sonia na pewno wspominała, że poznała go w tym spektaklu.

– Aha, aha.

– Co jeszcze pan o nim wie?

– Nic.

– Kiedy Safranowie zniknęli...

– Ee, tam nie idziemy. Prawie zrujnowali mi życie.

– Safranowie?

– Gliny. Nękanie. Ja próbuję robić interes, oni wchodzą mi do biura z odznakami i już po planach. Zwłaszcza taki jeden. Włoski typ, wygląda jak gangster. Nęka, bo jestem z Białorusi. Dopytuje o przemyt, mafię w Moskwie. Głupi.

– Uprzedzony – podsunąłem.

– Ja mu mówię: słuchaj pan, nic nie znajdziesz, bo nie ma nic do znajdowania.

Gigi podbiegła do porzuconego kartonu i podniosła nogę. Korvutz zasalutował powietrzu nad głową.

– W końcu, psie.

– Safranowie interesują mnie tylko dlatego, że...

– Dobranoc i powodzenia. Rozmawiam z panem tylko dlatego, że nie chcę więcej kłopotów dla mojego dziecka. Do tego nie mam nic do ukrycia. Pan wraca do L.A. niedługo?

– Wkrótce.

– Pan pozdrowi palmy.

– Rozmowa o Safranach bardzo pana drażni.

Zacisnął usta, wydmuchnął powietrze, nadymając policzki.

– Jeśli nie ma pan nic do ukrycia... – drążyłem.

Resztką powietrza uciekła z sykiem.

– Może polecieci na Księżyc. Może Wdupowłaz coś im zrobił. Gównu mnie to obchodzi. Ani trochę, nawet małe gówno, Gigi gówno.

– Krzyżyk na drogę – powiedziałem.

– Hej – zaprotestował. – Po co ta śpiewka? Czemu po nich płakać? Kłócili się tylko po to, żeby kłócić. Uciekłem od tego wszystkiego.

– Od kłótni?

– Od komunizmu... mały powolny pies, kończ już.

– Safranowie byli komunistami?

– Pan zawraca głowę komuś innemu, panie.

– Sonia jest w mieście?

– Skąd mam wiedzieć?

– Niech pan do niej zadzwoni. Chciałbym z nią porozmawiać, z panem już skończyłem.

– I tak pan skończył.

– Niech pan zadzwoni.

– Dlaczego mam panu robić przysługę?

– Pana dziecko i pies mnie lubią.

Popatrzył wilkiem. Zaśmiał się.

– Czemu nie, Sonia poleciła mi głupiego Wdupowłaza, ja polecę pana.

Zostawił mnie przed swoim budynkiem, podał szpica odźwiernemu, użył stacjonarnego telefonu. Krótka rozmowa; kciuk w górze, że w porządku.

– Dzięki – powiedziałem bezgłośnie.

Korvutz nie dał żadnego znaku, że to zauważył. Ruszył korytarzem. Odźwierny poszedł za nim. Niewzruszony, kiedy pies lizał go po twarzy.

Słonia Glusevitch mieszkała w fortecy z żółtej cegły, zajmującej jedną trzecią kwartału na Wschodniej Dziewięćdziesiątej Trzeciej.

Drzwi wejściowe stały szeroko otwarte. Ściany były pokryte lustrami i panelami aksamitu obsypanego złotem. Cherlawe palmy łaknęły czegoś więcej niż sztucznego oświetlenia.

Dwaj odźwierni z gołymi głowami, w białych koszulach siedzieli za recepcją z formiki, ignorując rząd monitorów. Na nazwisko Sonii Glusevitch machnęli przyzwalająco ręką, nie przerywając studiowania ulotki bukmacherskiej.

– Które mieszkanie?

Mozolna konsultacja z książką w czarnej plastikowej oprawie.

– Dwadzieścia sześć jedenaście.

Metalowa pushka windy skrzypiała całą drogę na dwudzieste szóste piętro. Korytarze wytapetowano na lśniącą miedź, poplamioną, by przypominała patynę. Rdzawe wykładziny dawno straciły sprężystość.

Zapukałem do drzwi Sonii Glusevitch. Kobieta, która mi otworzyła, miała na sobie lemonkowo-pomarańczowe kimono i złote sandały na wysokich obcasach.

Tuż po czterdziestce, obfita i ładna, z długimi, zbyt czarnymi włosami, rzesami jak łapy tarantuli i karmazynowymi ustami. Przesycony wanilią zapach perfum wylał się na korytarz.

– Pani Glusevitch? Alex Delaware.

– Sonia. – Dwie miękkie dłonie uściśniły moją. Więcej wanilii, kiedy ugniatała moje palce. – Proszę, pan wchodzi.

Jej salon był kwadratowy, jasnoniebieski, z czarnymi aksamitnymi fotelami, białymi dywanami, barokowymi stolikami ze szkła i złocień. Paryskie scenki uliczne, zbyt bogate w pigment, a za mało w proporcje wisiały na ścianach. Na czarnej, lakierowanej konsoli stała kolekcja bezkształtnych ceramicznych kopczyków.

Sonia przycupnęła na skraju wąskiej kanapy, a mnie wskazała fotel. Nasze kolana znalazły się w odległości kilkunastu centymetrów. Niezasłonięte okna wychodziły na rzekę East i nocny blask Queens.

– Dziękuję, że zechciała się pani ze mną spotkać.

Zaszeleścił jedwab, kiedy założyła nogę na nogę. Miękką białą szyję otaczał złoty łańcuch. Dodatkowego blasku dodawały wielkie koła kolczyków, pierścień z ogromnym ametystem oraz złoty, wysadzany diamentami lady rolex.

– Aleks – powiedziała. – To popularne rosyjskie imię. Ma pan rosyjską krew?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Proszę. – Wskazała stolik do kawy, na którym stały krakersy, kawałki sera na

wykałaczkach, otwarta butelka rieslinga i dwa kielichy z rżniętego szkła. Słabe oświetlenie podkreślało widok na rzekę i sprzyjało cerze Sonii.

Nalałem wina dla nas obojga. Jej pierwszy łyk tylko odrobinę zmienił poziom płynu. Ja wypilem jeszcze mniej.

Oboje się uśmiechaliśmy i udawaliśmy, że cieszy nas wzajemne towarzystwo. Jak na nieudanej randce w ciemno.

Piętnaście minut – tyle zajął mi marsz spod domu Korvutza na Park Avenue – wykorzystała, by się umalować i trochę ogarnąć.

– Czy pan Korvutz powiedział pani, o co chodzi? – spytałem.

– Och, tak, oczywiście. – Cienki głos. Słowiańskie brzmienie. Błysk drobnych, białych zębów, gdy kpiący uśmiech zasugerował niesforną młodość. – Roland mówił, że jest pan bardzo wścibskij. Nie powiedział, że bardzo przystojnyj.

Położyła ser na krakersie, skubnęła. Zaczęła się bawić wykałaczką.

– Myśli pan, że Dale kogoś zabił?

– Niewykluczone.

– Okej.

– To pani nie szokuje?

– Oczywiście, że szokuje. Sera? Dobryj.

Zapłaciłem za swoją czterdziestodolarową sałatkę w La Bella, ale wyszedłem, zanim ją przyniesiono. Mimo to nie miałem apetytu na nic oprócz informacji.

Sięgnąłem po krakersa.

– Proszę mi opowiedzieć o Dale'u.

– Co mam mówić?

– Jaki był?

– Miłyj – odparła Sonia Glusevitch. – Uczynnyj. Skoiyj pomagać ludziom.

– Pomógł pani?

– Och, tak.

– W czym?

– Z moimi tekstami, z tym jak mówiłam, z oczami. To coś innego.

– Co takiego?

– Makijaż do teatru. Trzeba nim coś wyrazić.

– Dale to pani powiedział?

Kiwnęła głową.

– Miał doświadczenie z teatralnym makijażem?

– Doświadczenie, nie wiem. Był bardzo, bardzo dobryj. Artystycznyj.

– Poznaliście się państwo podczas *Wakacji w ciemnym nosie*?

– A, tak. Ja byłam Neuroną podróźniczką w mózgu, a Dale sir Aksonem. Pokazał mi, jak wykorzystywać światło i ciemność. – Dotknęła powieki. – Żeby na scenie wyglądać tajemniczo.

Żeby twarz była dramatyczna.

Roland Korvutz wspominał o aktorach całkowicie spowitych czarnymi szatami.

– A więc się państwo zaprzyjaźniliście – zasugerowałem.

Sonia Glusevitch napiła się wina.

– Dale był bardzo przyjacielski.

– Nie wydaje się pani zaskoczona, że jest podejrzany o morderstwo.

– Wszystko może być zaskoczeniem. Albo nic, to zależy.

– Od czego?

Przekrzywiła głowę.

– Jeśli się ufa ludziom, to się jest zaskakiwanym.

– A pani nie ufa?

– Już nie – odparła. – Każdego dnia mój mąż mówił, że mnie kocha. Codziennie, wpół do siódmej, pierwsza rzecz po obudzeniu, jeszcze przed myciem zębów. „Kocham cię, Sonny”. Zakrywał usta, żeby mi nie przeszkadzał nieświeży oddech. – Dłoń zsunęła się na brzuch, potem na kolano. – Był chirurgiem. W każdy piątek dawał mi kwiaty, wszystkie kobiety zazdrościły. Pracował tak ciężko, chirurg plastyczny, mój Stevie. Do późna. Bardzo, bardzo późna. – Błysk zębów. – Zatrudniał ładne małe portorykańskie pielęgniarki. Teraz jedna jest jego żoną.

– Aha.

Rozprostowała i skrzyżowała nogi. Materiał się przesunął, odsłaniając bok mięsistego, białego uda. Sandał zakołysał się na stopie.

– Znała pani Dale’a, kiedy była pani mężatką – powiedziałem.

– Och, tak.

– Jak wyglądał wasz związek?

Psotny uśmiech.

– Chce pan wiedzieć, czy z nim spałam? Trochę, tak, zdarzyło się. Stevie zabawiał się ze swoimi pielęgniarkami. Kogucik, to czemu nie kurka?

– Tylko trochę? – spytałem.

– Ja lubiłam to robić. Dale nie bardzo.

– Bez entuzjazmu.

– Właśnie tak – potwierdziła. – Mógł to robić, ale nie chciał za często.

– Coś wskazywało, że jest gejem?

– Mówił, że nie.

– Spytała pani.

– To był dla mnie smutny czas. – Zgarbiła się. – Znalazłam mały paragon z platynowej karty w marynarce Stewiego. Wielkaja, drogą kolacja w lokalu w Hamptons, gdzie chciałam, żeby mnie zabrał. Nigdy nie zabrał.

– Co za niefart – powiedziałem.

– Och, tak, Aleks. Wielki niefart. Wielki smutek. Płakałam Dale’owi, prosiłam: traktuj

mnie jak kobietę. Zamiast tego był miłyj.

– Miły?

– Jak dla przyjaciółki.

– Dobrze słuchał?

– Trzymanie za rękę, słuchanie, ściskanie. Mały buziak tu. – Stuknęła się w czubek nosa. –

Poważne sprawy? Nie. – Poruszyła się, odsłoniła więcej uda.

– Trudno mi uwierzyć, że pani odmówił.

Piękne oczy zwilgotniały.

– Pewnie pan kłamie, ale i tak mi miło.

Napiła się wina, spojrzała na sufit. Jej podbródek zadrżał. Zakryła udo.

– A więc spytała pani, czy jest gejem, a on zaprzeczył – wróciłem do poprzedniego wątku.

– Od razu, nie.

– Drażniło go to pytanie.

– Ani trochę – odparła. – Śmiał się.

Zmienił temat.

– Na jaki?

– „Jesteś piękna, Sonny”.

Głębokie westchnienie.

– Był zniewieściały?

– Nie. Raczej nie.

– Nie jest pani pewna.

– Nie, na pewno nie. Dale nie był kobiecym, tylko wrażliwym.

– Pomocny.

Mrugnęła do mnie.

– Nie jak normalny mężczyzna, co?

Zaśmiałem się.

– W ogóle był inny – dodała. – Bardzo porządny i czysty, zawsze świeżo pachniał. I żadnych zabawek. Nie mówię o sekszabawkach, tylko szybkich samochodach, wielkich zegarkach, telewizorach, wieżach. Stevie lubi zabawki.

– Dale nic takiego nie miał.

– Materac do spania, dzinsy i kilka swetrów... cały jego majątek. W lodówce tylko sok i woda. Plecak, szafka.

– Szafka?

– Zielona. Z wojska.

– Weteran?

– Kapitan, pięć lat.

– Gdzie służył?

– W Niemczech. Naprawiał czołgi.

– Mechanik.

– Zdolne ręce – powiedziała z uznaniem. – Raz naprawił mi kuchenkę, światło na pilota. I toaletę. Dwa razy.

– Mówimy o pani mieszkaniu na Wschodniej Trzydziestej Piątej.

Pstryknęła czerwonym paznokciem w kielich.

– Aleks, byłam bardzo, bardzo samotną w wielkim domu, Stevie pracował cały czas z małymi pielęgniarkami. Roland miał nowy budynek, ja grałam w sztuce, po co wracać codziennie na Long Island?

– Kupiła pani mieszkanie sobie, a potem załatwiła lokum Dale'owi.

– Ja też lubię pomagać. – Uśmiech. – Rozmawiam z panem.

– Jestem wdzięczny. A więc...

– Jak długo zostaje pan w mieście, Aleks?

– Jutro wyjeżdżam.

Cmoknęła.

– Często tu pan przyjeżdża?

– Od czasu do czasu.

– To dobre miasto – powiedziała. – Ciągłe rozrywka.

– Gdzie mieszkał Dale, zanim wprowadził się do budynku Rolanda?

– W hotelu.

– Pamięta pani nazwę?

– Nigdy nie znalazłam nazwy. Dale mówił, że nie było tam przyjemnie. Powiedziałam mu: „Wiesz co, mam dla ciebie rozwiązanie”. Porozmawiałam z Rolandem, Dale wprowadził się obok mnie.

– Co jeszcze mówił pani o sobie?

– To wszystko.

– A o swojej rodzinie?

– Nie miał rodziny.

– Jak to?

– Rodzice zmarli. Dlatego przeniósł się do miasta.

– Z Kalifornii.

– Kalifornii? – zdziwiła się. – Z Waszyngtonu.

– Powiedział pani, że stamtąd pochodzi?

– Mówił o stolicy, o politykach, którzy bez przerwy kłamią. Może więc też był politykiem?

– Zanim się tu przeprowadził, mieszkał w San Francisco.

– Nigdy nie mówił o Kalifornii.

– Wspominał o jakichś braciach, siostrach?

– Mówił, że jest jedynakiem. – Uśmiech. – Kolejna bajka? Przytaknąłem.

– Dale, Dale, Dale... – Sonia pokręciła głową. – Widzi pan, nie warto ufać ludziom.

– Co jeszcze pani powiedział?

– Nic, Aleks. Nie zjadł pan sera, jest dobryj.

Odgryzłem rożek kostki. Gumiasta i twarda na krawędziach.

– Naprawdę to już wszystko?

– Głównie ja mówiłam, a Dale słuchał. Był dobrym przyjacielem, kiedy potrzebowałam dobrego przyjaciela. A teraz... kogoś zabił? Kogo?

– Być może kilka osób.

Wzdrygnęła się.

– Zostawałam z nim samą tyle razy. Zawsze był miłyj.

– Pomocny – przypominałem.

– Tak, pomocnyj. Najbardziej pomocnyj człowiek, jakiego spotkałam.

Wyszła do „pokoju dla pań”, wróciła kilka chwil później bez biżuterii i makijażu, z upiętymi włosami.

Wyglądała pospoliciej, ale młodziej.

– Nie ruszył się pan – zauważyła, nie siadając. – Ani centymetr.

– Bała się pani, że ukradnę srebra?

Zaśmiała się.

– Wyjeżdża pan jutro. Rano czy wieczorem?

– Mam lot o świcie.

Puściła do mnie oko.

– Miłej podróży, Aleks.

Wyciągnęła rękę.

– Jeśli nie ma pani przeciwko, jeszcze kilka pytań. – Spojrzałem na nią prosząco.

Westchnęła i usiadła.

– Teraz chce pan rozmawiać o Safranach, tak? Roland mówił, że według pana zabił ich Dale.

– To by panią zdziwiło?

– Kto wie, jak to jest z takimi ludźmi?

– Czyli jakimi?

– Zawsze tacy. – Zrobiła skwaszoną minę. – Niechlujni, brudni, jakby się nie myli. Dale mówił, że są jak karaluchy.

– Szkodniki – podsunąłem.

– Bałaganili Rolandowi na posesji, nie byli wobec niego uczciwi. Źle traktowali psa.

– Byli okrutni dla psa?

– Dale mówił, że nigdy, nawet na moment, go nie wyprowadzali; zwierzę brudziło w środku.

– Odwiedzał Safranów w mieszkaniu?

Otworzyła usta, ale jej oczy pozostały czujne.

– Pierwszy raz o tym pomyślałam.

– Dale i Safranowie nie przepadali za sobą. Nie miał powodu składać im wizyt.

– Nieważne. – Machnęła ręką. – Roland nigdy nie prosił Dale’a o pomoc, nigdy.

– Roland zadbał, żeby mi to pani powiedziała.

– On nie jest gangsterem. Na Białorusi był pielęgniarzem w szpitalu, pomagał starym ludziom brać lekarstwa.

– W noc, kiedy Safranowie zniknęli, poszli na sztukę do śródmieścia. Czy *Wakacje w ciemnym nosie* wciąż szły?

– Szły. – Zachichotała. – Raczej kulały. Mieliśmy cztery spektakle.

– Czy Safranowie przyszli?

Wolne skinienie głową.

– Dale ich zaprosił – powiedziałem.

– Pytałam czemu. Chciał być miłyj.

– Podobało im się przedstawienie?

– Nie wiem.

– Widziała pani Dale’a z nimi po występie?

– Nie wiem – powtórzyła z naciskiem. – Zdejmowałam makijaż. To zabiera dużo czasu.

– Dale już wyszedł.

– Tak.

– Widziała pani potem Safranów?

Długie milczenie. Pokręciła głową.

– Mój Boże. Dale.

– Czy występował potem w jakimś spektaklu?

– Nie.

– Jak spędzał czas?

– Ja głównie byłam na Long Island. Korzystałam z mieszkania, kiedy nie chciało mi się wracać.

– Czy Dale pracował?

– Mówił, że poszuka roboty, ale nie teraz, miał pieniądze. Trochę, po rodzicach... to też kłamstwo?

– Odziedziczył więcej niż trochę – wyjaśniłem. – Kiedy opuścił budynek Rolanda, nigdzie nie został zatrudniony. Jakiej pracy zamierzał szukać?

– Nie sprecyzował... a, coś mi przyszło do głowy. Mówił, że będzie podróżował.

– Dokąd?

– Po świecie. Jakby to było jedno miejsce. Ja mu tłumaczę: Dale, zaufaj mi, świat to takie małe pudełka ludzi, którzy się nienawidzą i zabijają, i nie lubią obcych. Chcesz pojechać na Białoruś i zobaczyć, czemu uciekłam? A on na to: nie, Sonny, mnie chodzi o wielkie miasta. Paryż, Londyn, Rzym. Spytałam, dlaczego nie odwiedził wielkich miast, kiedy był kapitanem w Niemczech. Odpowiedział, że armia zabierała mu za dużo czasu. Ale może wcale nie był w Niemczech, co?

- Tak przypuszczam.
- Same kłamstwa – stwierdziła. – Ale nawet mnie to nie dziwi.
- Ma pani jakieś jego zdjęcia?
- Nie trzymam pamiątek.

Poprosiłem o rysopis. Potężny, zwałisty, łysy – wszystko odpowiadało temu, co przedstawił Roland Korvutz.

- Piwne oczy – dodała. – Łagodne. Czasami nosił okulary, czasami kontakty.
- To może zabrzmieć dziwnie, ale czy przebierał się kiedykolwiek w damskie ubrania?
- Nie na ulicę.
- Nie zaskakuje pani to pytanie?

– W *Czarnym nosie* jedna z dziewczyn, grała Systemę, była duża, rozmiar XXL. Czasami Dale robił sobie żarty.

- Z jej rozmiarów?

– Nie, nie, z ubraniami. Wkładał sukienki, potem perukę, mówił wysokim głosem. Bardzo śmiesznie.

- Wygłupiał się.
- A co, dlatego był dziwakiem?

Wzruszyłem ramionami.

- To seksowne morderstwo? – spytała.
- Trudno powiedzieć.

– O rany... Chyba mam szczęście. Dale zawsze był dla mnie miły, ale kto wie? Zmęczyłam się. Za dużo mówienia.

Odprosiła mnie do drzwi, pocałowała w policzek w chmurze wanilii.

Podziękowałem raz jeszcze.

- Czemu nie? – powiedziała. – Może któregoś dnia zobaczę Kalifornię.

Czy komendant dobrze wydał pieniądze? – spytałem Mila.

– Dam ci znać, kiedy z nim porozmawiam.

– Kiedy to będzie?

– Kiedy pałac wezwie.

Piąta po południu, ponure niebo, parne powietrze w L.A. Siedzieliśmy w kawiarni na Santa Monica, słyszącej z omletów rozmiarów włazów kanalizacyjnych. Kawa dla mnie, kawa i tacka cynamonowych pączków dla Mila. Dwie godziny wcześniej zjadł późny lunch w Cafe Moghul. Na jego ubraniu została interesująca mieszanka zapachu kminku i cygaretek na trawienie.

Zanim poszedłem spać poprzedniego dnia, nagrałem mu wiadomość, streszczając, czego się dowiedziałem w Nowym Jorku. Nie odezwał się, bo do rana obserwował Tony'ego Mancusiego.

Potań oczy.

– Dale załatwił Safranów... W porządku, pieniądze dobrze wydane, zapłacę za twoją niezjedzoną sałatę za stówkę.

– Za cztery dychy – poprawiłem. – Sałatę z małżami.

– Ho, ho.

Wróciłem w południe. Milo był nieosiągalny aż do czwartej. Odwiedził ponownie Gliberta Chacona na parkingu wypożyczalni Prestige i zmusił go do przyznania, że ten spóźnił się do pracy, znalazł łańcuch bez kłódki, pojechał szybko do sklepu żelaznego na Canon i kupił tanią podróbkę, którą widzieliśmy.

– Myślisz, że kryje się za tym coś więcej? – spytałem.

– Ktoś go przekupił, żeby zostawić otwarte? Nie sądzę. Zaproponował, że przejdzie test na wykrywaczu kłamstw. Bardziej martwił się o stratę pracy niż współudział.

– Jakkolwiek to się odbyło, włamywacz zatrzymał sobie kłódkę.

– Sentymentalny.

Po wizycie u Chacona Milo wziął udział w telekonferencji z władzami Teksasu i detektywami z sześciu miast, w których Cuz Jackson – według swoich słów – dopuścił się różnych okropności. Trzy ślepe tropy, jeden mało obiecujący, dwa do głębszej analizy.

Plus Antoine Beverly, wielki znak zapytania.

Kaci ze stanu Samotnej Gwiazdy chcieli ruszyć z miejsca. Biuro komendanta kazało Milowi zintensyfikować pracę nad sprawą Antoine'a, ale nie było żadnych śladów, którymi można by pójść, oprócz zlokalizowania jego kolegów z dzieciństwa.

A ci zniknęli.

– Nieoznakowane radiowozy z Hollywood krążyły wokół domu Wilsona Gooda przez

ostatnie czterdzieści osiem godzin. Zdecydowanie nikogo nie było w domu, a w St. Xavier zaczynają się martwić.

– Może naprawdę się rozchorował i trafił do szpitala – zasugerowałem nieśmiało.

– Sprawdziliśmy. Nic z tego.

– Trener zszedł z boiska – powiedziałem.

– Zabawne, co? Dureń musiał tylko współpracować. To by było coś, gdyby wyszło, że Antoine padł ofiarą dziecka.

Na samą myśl o tym zrobiłem się zmęczony. A może to przez brak snu w hotelowym pokoju przypominającym celę i sześciogodzinny lot spawający kości.

Napiłem się kawy. Milo rozerwał torebkę słodzika, ale go nie użył.

– Good był w wieku Antoine’a, kiedy ten zniknął. Wyobrażasz sobie piętnastolatka zdolnego do czegoś takiego?

– Są niezmielinizowani.

– Że co?

– Mielina to substancja, która pokrywa komórki nerwowe i odgrywa rolę w logicznym rozumowaniu – wyjaśniłem. – Nastolatki nie mają jej tyle, ile dorośli. Niektórzy uważają że to dobry powód, żeby nie wieszać młodych przestępców.

– W jakim wieku to się normuje?

– Zależy od człowieka. Czasami dopiero w średnim wieku.

– Zły tryb życia przez chemię. – Pokręcił głową. – Ale nie mówimy tu o głupim, impulsywnym zabójstwie z niskich pobudek. Mali gangsterzy bez przerwy odstawiają takie numery. Jeśli Good ma nieczyste sumienie w sprawie Antoine’a, to znaczy, że był nastolatkiem dość sprytnym, żeby zamordować swojego najlepszego kumpla, gładko zamaskować zbrodnię i żyć dalej jako wzorowy obywatel. A pamiętasz? Niósł trumnę i wypłakiwał oczy.

– Postrzeganie siebie samego jako dobrą osobę i życie ze świadomością popełnienia morderstwa byłoby diabelnym ciężarem, ale ludzie tak potrafią. A może Good jest inteligentnym psychopatą któremu udało się uniknąć kłopotów.

– A teraz kłopoty same go znalazły – odparł Milo. – Więc się przestraszył i prysnął.

– Albo śmierć Antoine’a nie była wykalkulowana. Dwa dzieciaki się wygłupiały i coś poszło straszliwie nie tak. Good spanikował i ukrył zwłoki Antoine’a. Teraz jest przerażony.

– Może trzy dzieciaki. Drugi kolega Antoine’a to ćpun i notoryczny przestępca. Sam się karze.

– Gordon Beverly mówił, że Maisonette miał problemy rodzinne, przeżył uliczną strzelaninę. Może nie był tak silny jak Good.

– Bradley skazuje się na podłe życie, Wilson kupuje dom na wzgórzach. Z tego by wynikało, że to Good nie ma skrupułów... Cholera, morderstwo mogło być zaplanowane. Beverlyowie powiedzieli nam, że Antoine sprzedawał więcej subskrypcji niż ktokolwiek. A jeśli ci mali dranie zamierzali zakosić jego kasę, a on nie chciał oddać?

– W takich akcjach dzieciaki z reguły dostają forszę po robocie.

– Dobrze, ale nos mi mówi, że coś się wydarzyło między tymi trzema chłopcami. Musimy znaleźć pana Gooda i zacząć burzyć jego złudzenia. Nie mogę jednak stracić z oczu Mancusi i Shonsky. A skoro o nich mowa, Tony dzwonił wczoraj do Jean Barone. Chciał wiedzieć, kiedy testament matki będzie wykonany.

– Co mu powiedziała?

– To, co jej kazałem: młyny sprawiedliwości miały powoli. Tony rozłączył się nawet bez „do widzenia”. Może jak podkręcimy ciśnienie, facet zrobi coś głupiego. Na przykład spotka się z tym, kogo akurat udaje Dale Bright.

Porwał pączka i mocno się w niego wgryzł, okruchy strzeliły na wszystkie strony.

– Dzięki za tę podróż, Alex. Wierzysz, że Korvutz nie wystawił Safianów?

– Nie miał powodu; ich głos się nie liczył.

– A więc jaki był motyw Brighta?

– Zabijanie to niezła zabawa, kiedy je uznasz za altruizm. Sonia Glusevitch mówiła, że Bright był najbardziej pomocnym człowiekiem, jakiego spotkała.

– Niezły przyjaciel dla dziewczyny – stwierdził Milo. – Wiarygodna?

– Raczej tak.

– Mógł, ale nieczęsto chciał – powtarzał sobie głośno. – I nie gej.

– Ten facet wymyka się klasyfikacji.

Milo dojadł pączka, wziął następnego.

– Igraszki w łaskach, znajomość sztuki makijażu. Nie ma śladów jego zamieszkania w Waszyngtonie, Marylandzie ani Wirginii. To samo ze służbą wojskową w Niemczech.

– Co za niespodzianka – zakpiłem.

– Tworzenie siebie na nowo. Rozrywka nowego milenium. Mógł po prostu kandydować na prezydenta i oszczędzić nam kłopotu.

– Nie nadaje się na polityka – oznajmiłem. – On naprawdę lubi pomagać innym.

Milo roześmiał się głośno i tak gwałtownie, że okruszki pospadały mu z brzucha.

– Dale i Tony mogli się poznać na jakiejś imprezie dla przebierańców – snułem domysły. – Tony skarży się na problemy z pieniędzmi. Mówi, że jego matka mieszka w ładnym domu w Westwood, a on musi się przeprowadzić do nory, bo stara zakręciła mu kurek. Dale postanawia to naprawić. Może Tony nie ma pojęcia, co rozpętał, ale kiedy dowiaduje się szczegółów o mordercy w kostiumie, zaczyna coś podejrzewać.

– Kraciasta czapka – powiedział Milo. – Wspominał, że jego ojciec właśnie taką nosił. Jeśli to był jeden z żartów Dale’a, skąd się dowiedział o zwyczajach Tony’ego seniora?

– Dale to dobry słuchacz. Jeśli Tony wie, że jest częściowo odpowiedzialny za śmierć matki, to by wyjaśniało emocje, które widzieliśmy.

– Rzygał. Ale nie wydał Dale’a, bo się boi, że zostanie przymknięty za współudział.

– Mnie interesuje, że Dale nie martwił się, że Tony go wyda. Rozumie jego psychikę.

– Albo gra na czas.

– Tony jest w niebezpieczeństwie? To chyba możliwe. Tak czy inaczej, jeśli obserwacja szybko nie da wyników, pomyślę o bezpośredniej konfrontacji.

Przegryzł się przez kolejnego pączka.

– Naprawdę uważasz, że to wypaczony altruizm, skoro Dale nie bierze pieniędzy za zabójstwa?

– Jeśli mamy rację co do morderstw w Ojo Negro, zabił swoją siostrę i Vicki Trinh i zdobył majątek. Ale jeśli pieniądze były jedynym powodem wyeliminowania Leonory, wystarczyło, żeby zaczął się w lesie i tam ją zastrzelił. Ale nie, zamiast tego przebrał się w kostium, ukradł samochód, dopuścił się niewiarygodnego bestialstwa. Dla mnie to dowód, że chodziło o doznanie psychoseksualne. Wszystko pasuje do tego, co Leonora mówiła Mavis Wembley o Dale’u: że był skrycie okrutny jako dziecko.

– Dreczy zwierzęta, zgłasza się jako wolontariusz do schroniska. Dla niego liczy się ironia, prawda?

– I teatr – dodałem. – Pomyśl, co musiał zrobić, żeby zabić Kat Shonsky: ukraść charakterystyczny wóz, być może przebrać się w damskie ciuchy, wysledzić ofiarę, potem ją porwać. Poza tym nie ukrył samochodu i nie stał śladu krwi na fotelu. Zostawił szal tam, gdzie od razu by go zobaczono w chwili odkrycia grobu Kat.

– Grobu, który musiał zostać odkryty – uzupełnił Milo. – Siostry właśnie dostały pozwolenie na budowę basenu.

– Ciekawe, czy Dale o tym wiedział.

Milo uniósł brwi.

– Siostry go znały? Ciekawe, czy wróciły z rejsu. Przywołał kelnerkę, wręczył jej kilka banknotów.

– To o wiele za dużo, poruczniku.

– Złapałaś mnie w chwili słabości, Marisso.

– Naprawdę, poru...

Położył swoją wielką dłoń na jej dłoni.

– Zabierz dzieciaka do kina.

– Jest pan słodki. – Wspięła się na palce, żeby cmoknąć go w policzek, odbiegła niemal w podskokach.

– Losowe akty uprzejmości.

– Ja i Dale.

Wrzucił wiadomości do kosza bez czytania, poszukał w raportach nazwisk siostr, do których należała działka z grobem Kat.

– Susan Appel i Barbara Bruno... zacznijmy alfabetycznie. Wystukał numer tak szybko, że się pomylił i musiał zacząć od początku.

– Pani Appel? Porucznik Sturgis... Jestem... tak, wiem, że to koszmarne przeżycie, proszę pani, bardzo mi przykro, że to była państwa... nie, nie ma potrzeby dalszego kopania, nie o to mi... oczywiście, pani Appel, i jesteśmy wdzięczni, ale muszę zadać pani jeszcze jedno pytanie.

Rozłączył się, trąc twarz.

– Nie kojarzy nikogo, kto by się nazywał Bright, Dale, Ansell. Nie znalazły nikogo zdolnego do popełnienia zbrodni, tak samo jej siostra, bo należą dokładnie do tej samej grupy społecznej.

– Bliska rodzina – powiedziałem.

– Mają wspólną nieruchomość i nie pozwały się nawzajem do sądu, więc mogą współdziałać. Spróbuję Bruno, mimo to... nie, poczta głosowa, bez sensu zostawiać wiadomości, Appel na pewno będzie pierwsza. Dzięki za śniadanie, lecę po red bulla i strawę, szykuję się na cudowności Rodney Drive.

– Ty płaciłeś za śniadanie.

– Chodziło mi o umysłową stymulację.

– Dotrzymać ci towarzystwa?

– Robin ciągle jest zajęta zleceniem?

– Idziemy na kolację o siódmej, potem wraca do pracy.

– To pobaw się z psem... dzięki za propozycję, Alex, ale ta dwudniowa wycieczka do Nowego Jorku to i tak już za wiele. Poza tym zadawanie się ze mną, kiedy mam bigos w głowie, nie jest zabawne. I nie mów, że już to robiłeś.

Na kolację były kotlety jagnięce, sałatka, piwo. O dziewiątej Robin wróciła do rzeźbienia, a ja wyciągnąłem się na kanapie w gabinecie i czytałem gazetę. Blanche zwinęła się obok mnie, udając zainteresowanie bieżącymi sprawami. O wpół do jedenastej obudziłem się raptownie, wszystko mnie swędziało i czułem się, jakby było mi za ciasno we własnej skórze. Blanche chrapała ze smakiem. Położyłem ją spać, wyszedłem do pracowni.

Robin siedziała przy stole, strugając i tnąc.

– O nie. Biedaku.

– Co?

– Trochę sobie przysnąłeś.

– To takie oczywiste?

Odłożyła dluto, pogłaskała mnie po twarzy.

– Skórzana kanapa. Masz ślady szwów.

– Sherlock Holmes w spódnicy – mruknąłem.

– Mam jechać z tobą?

– Gdzie?

– Na przejażdżkę.

– Nie planowałem wychodzić z domu.

– Nie? – zdziwiła się. – Dobra, zrobię przerwę i pogramy w scrabble. Klonowa płyta mandoliny gościa od komputerów leżała na czyściutkim warsztacie. Na podłodze – równa kupka strużyn.

– Nie chcę przeszkadzać w pracy geniuszowi.

– Jakiemu geniuszowi? Co będziesz robił?

– Pojadę do Mila. Obserwuje Tony’ego Mancusiego, może ściągnie go na przesłuchanie.

Uśmiechnęła się.

– A jednak przejażdżka. Daj buziaka i zmykaj.

Zadzwoiłem do Mila.

– Mielina ci się rozpuści – powiedział.

– Pewnie i tak mam jej za dużo.

– Pan Dojrzały.

– Nie z wyboru.

Pożyczył poobijanego brązowego camaro z policyjnego parkingu. Stał dziesięć samochodów na północ od budynku Tony’ego Mancusiego, ustawiony tak, by światło latarni padało na tył wozu, omijając fotel kierowcy.

Zobaczył mnie, otworzył drzwi.

W środku cuchnęło potem, tytoniem i wieprzowiną. Trzy kartony żeberek ogryzionych do kości dzieliły tylny fotel z pudłem po smażonym ryżu, kolekcją plastikowych kubeczków po słodko-kwaśnym sosie, zatłuszczonymi serwetkami, zużytymi chusteczkami i parą połamanych pałeczek. Trzy puszki po red bullu zostały rozgniecione na krążki. Na kolanach Milo trzymał termos w tartanowy wzór.

Jego twarz i ciało zlewały się w jedną ciemną masę. Kiedy wzrok mi się przystosował, zobaczyłem, że przebrał się w czarny welurowy dres i adidas-y wyglądające na nowe.

– Szykownie.

Wyjął z uszu słuchawki iPod-a.

– Coś mówiłeś?

– Tylko cześć.

– Poczęstowałbym cię czymś, ale...

– Już jadłem.

- Następną sałatkę z wyższego progu podatkowego?
- Gotowaliśmy w domu.
- Człowiek z ludu.
- Czego słuchałeś?
- Tym razem nie Judy, Bette, Lizy ani Barbry.
- Pop z połowy lat pięćdziesiątych.
- Beethovena, *Eroiki*.
- Gość z klasą.
- iPod Ricka. Wziąłem przez przypadek.

Siedzieliśmy tak przez godzinę. Zgłosił się patrol Hollywood. Ani śladu Wilsona Gooda.

O wpół do drugiej w nocy zaczęła mi doskwierać nuda obserwacji. Postanowiłem, że jeszcze godzina i wrócę do domu się przespać, poukładał sobie z powrotem strefy czasowe.

– Skoro już tu jesteś, walnij mnie, jak coś się stanie – powiedział Milo.

Odsunął fotel najdalej w tył, jak się dało, opuścił głowę na oparcie. Dwadzieścia minut później przebudził się z przerażającym, gardłowym charkotem i obłędem w oczach.

- Która godzina?
- Za dziesięć druga.
- Chcesz się kimnąć?
- Nie, dzięki.
- Zmyć się?
- Może za chwilę.
- Nuda. A nie mówiłem? Dobranoc.
- Musi być fajnie mieć rację raz na jakiś czas – powiedziałem. – Z naciskiem na „raz”.
- Jejku jej, brak snu budzi w nas złośliwość...

Coś po lewej sprawiło, że gwałtownie odwrócił głowę.

Podążyłem za jego spojrzeniem, ale nic nie zobaczyłem. Potem otworzyły się drzwi wejściowe budynku Tony’ego Mancusiego. Jakby Milo to przeczuł.

Na ulicę wyszedł mężczyzna. Przygarbiony, tłustawy, szurający nogami.

Tony Mancusi ruszył na południe do swojej toyoty, wsiadł i pojechał w stronę Sunset.

Milo opuścił okno kierowcy i patrzył. Mnie widok zasłaniały zaparkowane samochody, ale widziałem dwie kropki tylnych świateł dwadzieścia metrów przed nami.

Mancusi przejechał przecnicę i przeturlał się przez znak stopu.

– Pierwsze wykroczenie. – Milo odpalił silnik. – Miejmy nadzieję, że będą następne.

Toyota jechała Sunset na zachód, mijając Centrum Medyczne Western Pediatrics i dalej, przez Hospital Row. O tej godzinie ulica była pusta aż do Vine, gdzie nocny krajobraz zaludnili włóczędzy, narkomani i pracownicy za minimalną stawkę czekający na autobusy.

Ruch był mały, dlatego Milo musiał trzymać się daleko z tyłu za toyotą. Tyłne światła

Mancusiego traktował jak boje naprowadzające. Neon marketu z artykułami biurowymi oświetlił czerwoną plamę z sosu w kąciku ust Mila. Do tego czarne włosy, szara cera i wychodził Drakula.

Mancusi trafił na czerwone przy Highland, wycofał niezgodnie z przepisami, przeskoczył na pas do skrętu w lewo.

– Tony, Tony – mruknął Milo, trzymając się pół przecznicy za nim. Rozbłysła zielona strzałka, Mancusi skręcił, wjechał na zaciemniony parking po wschodniej stronie ulicy. Powoli się zatrzymał niedaleko budki z fast foodem ze spuszczoneymi storami.

Milo wyłączył światła camaro i obserwował z drugiej strony Highland.

Wielki malowany szyld na dachu budki ukazywał rozradowaną świnię w sombrero i sarape. „Tacos u Gordita”.

Mancusi nie wysiadł z samochodu. Półtorej minuty później z ciemności wyłoniły się trzy kobiety.

Tapirowane włosy, mikrospódniczki, szpilki, torebki na łańcuszkach.

Rozkołysanym, ponętym krokiem podeszły do otwartego okna kierowcy Mancusiego.

Stłoczyły się, rozmowa, głowy odrzucone w tył w śmiechu.

Dwie kobiety odeszły. Ta, która została, miała platynową, tapirowaną fryzurę, okazałą półkę biustu, chude nogi. Czerwona bluzeczka bez rękawów odsłaniała płaski brzuch nad mikroskopijną spódniczką w kolorze szminkowego różu.

Blondynka, kręcąc biodrami, przeszła do drzwi pasażera. Poprawiła włosy, obciągnęła bluzkę, wsiadła.

– Widać Tony jednak nie jest gejem – stwierdziłem.

Milo się uśmiechnął.

Mancusi pojechał szybciej, Highland na południe do Szóstej, skręcił w lewo i przemknął wzdłuż Hancock Park w Windsor Square, pełne starych drzew, rozległych trawników i zjawiskowych posiadłości.

Nagły skręt zaprowadził go na północ, na Arden Boulevard, gdzie przejechał przecznicę, zatrzymał się, zaparkował przed mini-Tarą.

Cicha, ciemna ulica. Przestrzenna architektura krajobrazu i wyrwa w miejscu, gdzie wycięto drzewo.

Światła stopu nie zgasły. Dziesięć sekund później toyota ruszyła, przejechała jeszcze przecznicę na północ i znów zaparkowała, tym razem naprzeciwko georgiańskiego dzieła sztuki, niemal zasłoniętego przez trzy monumentalne cedry deodary.

Równie olbrzymia sykomora na podjeździe okryła samochód jak parasol.

Światła zgasły.

Toyota stała przez dziesięć minut, potem znów ruszyła i wróciła pod „Tacos u Gordita”.

Mancusi nie wyłączył silnika, kiedy blondynka wysiadała. Poprawiła pasek spódnicy, nachyliła się do samochodu, powiedziała coś przez okno pasażera. Wyjęła papierosa i zapaliła,

kiedy toyota odjechała.

Milo przebiegł przez ulicę, błysnął odznaką. Blondynka uderzyła się ze złością w udo. Milo coś do niej zagadał. Blondynka zaśmiała się tak samo jak podczas rozmowy z Mancusim. Milo wskazał jej papierosa. Zgasiła niedopałek. Milo ją obszukał, zabrał torebkę.

Trzymając kobietę za łokieć, poprowadził ją przez Highland prosto do camaro.

Twarz bez wyrazu. Oczy szeroko otwarte z ciekawości.

Milo wyjął z torebki prostytutki brzytwę.

- Ręce na maskę.
- To do samoobrony, proszę pana. – Chrapliwy głos.
- Na maskę.

Schował brzytwę do kieszeni, rzucił torebkę do bagażnika, wsadził kobietę na tylne siedzenie i wcisnął się obok niej.

- Twoja kolej, prowadzisz, partnerze.

Wsunąłem się za kierownicę.

- Uwielbiam towarzystwo – powiedziała.

Przy Milu wydawała się drobna i krucha. Trzydzieści pięć, czterdzieści lat, włosy sztywne i zmierzwione, platynowe u nasady, miedziane na końcach. Kanciasta twarz usypana pryszczami świeciła przez ciemny, graby puder. Perkaty nos, pulchne wargi, dekolt posypany brokatem, wielkie kolczyki.

Kobaltowe oczy pod grubymi, centymetrowymi rzęsami.

Umięśniona szyja. Wydatne jabłko Adama.

Zobaczyła, że patrzę na jej duże dłonie i schowała je pod uda.

- To jest Tasha LaBelle – poinformował Milo.
- Cześć, Tasho.
- Cała przyjemność po mojej stronie, proszę pana.
- Jedźmy – rzucił Milo.
- Dokąd? – spytała Tasha.
- Nigdzie konkretnie.
- Za kilka godzin otworzą Disneyland.
- Lubisz fantazjować? – spytał Milo.

Cisza.

Skreśliłem na Highland, wpadłem w dziurę, która zatelepała zawieszeniem samochodu.

- Au – pisnęła Tasha. – Taki malutki samochodzik dla takich wielkich mężczyzn.

Za Sunset i Hollywood Boulevard ruszyłem na wschód Franklin, miąłem zaciemnione apartamentowce, stare drzewa. Na ulicach pusto. Samotny pies kopał pod żywopłotem.

- Co zrobiłam, że mnie zabieracie na przejażdżkę? – spytała Tasha.

– Lubimy towarzystwo – odparł Milo. – Kiedy sprawdzimy twoje odciski palców, jakie nazwisko nam wyskoczy?

- Odciski? Jestem niewinna. – Napięcie podbiło głos kilka tonów wyżej.
- Tylko do dokumentacji.

– Dokumentacji czego? – Odrobina agresji obniżyła tembr. Teraz słyszałem nosowy głos ulicznika zapędzonego do kąta i gotowego walczyć albo uciekać.

– Naszego śledztwa. Jest też kwestia twojego „pilniczka do paznokci”.

– To antyk, proszę pana. Kupiłam na e-Bayu.

– Z jakim nazwiskiem się urodziłaś?

Pociągnięcie nosem.

– Ja to ja.

– Bez wątplenia – przyznał Milo. – Nie róbmy z tego większej afery, niż potrzeba.

– Pan nie rozumie.

– Rozumiem. Przeszłość to przeszłość. Zgadza się?

Ciche:

– Tak, proszę pana.

– Ale czasami historia jest ważna.

– Co ja zrobiłam, że mnie zabraliście do samochodu?

– Byłaś widziana podczas aktu stręczycielstwa i prostytucji. Ale możesz być z powrotem pod Gorditem za piętnaście minut, zamiast na dołku. To zależy od ciebie.

– W jakiej sprawie prowadzicie śledztwo?

Pstryknął długopis Mila.

– Najpierw imię. A nie jedna z ksywek, które podajecie, kiedy się was przymyka.

– Proszę pana, nie byłam aresztowana od... trzydziestu... ośmiu... siedmiu dni. A to się stało w Burbank. Tylko za kradzież w sklepie. I zarzuty oddalono.

– Zarzuty przeciwko komu?

Pauza.

– Mary Ellen Smithneld.

– Jak ta szynka – skojarzył Milo.

– Hę?

– Co masz w akcie urodzenia, Tasho?

– Aresztujecie mnie?

– To zależy od ciebie.

Długie westchnienie. Prawie szeptem:

– Robert Gillaloy.

Usłyszałem skrobanie długopisu Mila.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia dwa.

Milo odchrząknął.

– Dwadzieścia dziewięć, proszę pana. – Gardłowy śmiech. – I to moja ostatnia oferta.

– Adres?

– Kenmorth Avenue, ale tylko tymczasowy.

– Dopóki?

– Dopóki nie będę miała posiadłości w Bel Air.

– Od jak dawna przebywasz w L.A.?

– Jestem rodowitą Kalifornijką, proszę pana.

– Skąd?

– Z Fontana. Moi rodzice pracowali przy kurczakach. – Chichot. – Miałam dość pierza i zapachu.

– Kiedy?

– Z trzynastu lat temu.

Wyobraziłem sobie pomieszanego nastolatka, wędrującego z farm hrabstwa San Bernardino do Hollywood.

– Numer telefonu? – ciągnął Milo.

– Jestem akurat między numerami.

– Używasz prepaidów?

Cisza.

– Jak ludzie się z tobą kontaktują?

– Przyjaciele wiedzą, gdzie mnie znaleźć.

– Tacy jak Tony Mancusi.

Milczenie.

– Opowiedz nam o Tonym, Tasho.

– Tu chodzi o Tony’ego Nie-Z-Rzymu?

– To znaczy?

– Nie wygląda na Włocha.

– Regularny klient?

– Mówi pan, że Tony jest złym człowiekiem?

W głosie zadźwięczało nowe wibrato. Znów przestraszona dziewczynka.

– To by cię zdziwiło?

– Dla mnie nigdy nie był zły.

– Ale?

– Ale nic – odparła Tasha.

– Jak często go widzisz?

– Nie mamy rozkładu. Nieregularnie.

– Tony krąży?

– Nie, lubi mnie i nie imprezuje. Problemem jest forsa, skarbie.

– Cienko u niego z kasą.

– Tak mówi.

– Często się skarży na brak gotówki?

– Faceci zawsze na coś narzekają. Na żonę, na prostatę, na pogodę. – Śmiech. – Na

Dodgersów. A Tony też na swój dysk.

– Na co?

– Na dysk. To go boli, tamto go boli. A ja na to, biedaczek. Ale żadnych masaży, francuskie tipsy są łamliwe.

– Skoro znosisz tyle marudzenia, równie dobrze mogłabyś sobie znaleźć męża – zauważył Milo.

– Zabawny z pana gość. A na co pan narzeka?

– Na to, że źli ludzie mi uciekają – powiedział Milo. – Gdzie poznałaś Tony’ego? I nie mów, że „tu i tam”.

– Tu i tam. Hi hi... dobrze, dobrze, niech pan tak na mnie groźnie nie patrzy. Na imprezie. Na imprezie niedzielasek.

– Kto to jest „niedzielaska”?

– Pan, który udaje, że udaje.

– Że jest dziewczynką – domyślił się Milo. – W przeciwieństwie do twoich koleżanek pod Gorditem.

– Moje koleżanki to dziewczyny. Nieważne, co mówi rząd. One są *la femme* w głowie, gdzie to się liczy.

– Niedzielaski...

– Niedzielaski nawet się nie starają. Im chodzi o brzydotę. Brzydkie peruki, sukienki, wypryski po goleniu, kanciaste buty. Nie mają budowy. Delikatności. Dla niedzielasek to halloweenowa parada, a potem z powrotem w garnitur i krawat w poniedziałek.

– Bał przebierańców – skwitował Milo.

– Nawet nie to, proszę pana. Nie starają się.

– Gdzie urządzono tę imprezę?

– Gdzieś pod znakiem Hollywood.

– Nad Beachwood?

– Nie znam ulicy. To było dawno.

– Kiedy?

– Sześć miesięcy? Może pięć? Rozmawiałam z Tonym, ale pojechałam do domu z prawnikiem. To dopiero był dom, aż w Oxnard, nad wodą. Jechaliśmy tam i jechaliśmy, a powietrze pachniało solą. Nie podam wam jego nazwiska, choćby nie wiem co, bo był słodki. Słodki, stary i samotny, jego żona leżała w szpitalu. Następnego dnia usmażył omlety ze świeżymi bananami, a ja patrzyłam, jak słońce wschodzi nad wodą.

– Też niedzielaska?

– Nie, hetero.

– W imprezie brali też udział hetero?

– Dziewczyny, niedzielaski, hetero. – Chichot. – Może i kangury.

– A Tony?

- Hetero. Myślałam, że to ogrodnik, hydraulik czy ktoś taki. Przyszedł naprawić toaletę.
- Miał uniform?
- Niechlujny. – Tasha mocno się skrzywiła. – Pogniecione dockersy, koszulka z napisem „Aloha”. Zupełnie bez klasy.
- Jak trafiłaś na przyjęcie?
- Zaprosiła mnie jedna dziewczyna. Germania, znam tylko takie jej imię. Z południa, ale biała, kilka miesięcy temu wróciła do domu. Mówiła, że tata ma dwie żony w Utah, macocha akceptowała jej odmienność, ale własna mat...
- Ile osób było na imprezie?
- Trzydzieści? Pięćdziesiąt? Dom pełny ludzi. Dziewczyny gorące, niedzielaski jak gromada starych babć, hetero próbujący wymyślić, co zrobić.
- Do kogo należał dom?
- Nie wiem.
- Jak poznałaś Tony’ego?
- Był smutny.
- I...
- Wszyscy inni się bawili, a on siedział i zalił się jednej niedzielasce. Tamten słuchał przez chwilę, potem wstał i poszedł, a Tony został sam. Wyglądał smutno, a ja pocieszam ludzi, więc usiadłam koło biedaka. Zaczął mi się skarżyć, poszliśmy na spacer. Kawalek drogą, ale usłyszeliśmy kojoty. Przestraszyłam się i wróciliśmy.
- Nie ma kojotów w Fontana? – spytał Milo.
- Jest mnóstwo, dlatego się przestraszyłam. Widziałam, co robią z kurczakami.
- Tony skarżył się na...
- Już mówiłam. Te pieniądze. Mieszkał w ładnym mieszkaniu, potem zaczął mieć kłopoty z dyskiem, a mama już mu nie chciała pomagać. Nazywała go obibokiem.
- Powiedział to samo tamtej niedzielasce?
- Słyszałam słowo „pieniądze”, zanim usiadłam. Na to hasło zawsze nadstawiam uszu. Kiedy byliśmy na spacerze, zaczął opowiadać, że matka go prześladowuje, wystawia do wiatru, a przecież jest jedynakiem, więc dlaczego ona to robi.
- Był zły?
- Raczej smutny. Nawet przybity. Doradziłam, żeby spróbował wziąć prozac. Nie odpowiedział.
- Kiedy skarżył się tamtej niedzielasce, czy tamten wyglądał, jakby słuchał?
- Chyba tak... tak, patrzył prosto na Tony’ego, kiwał głową na zasadzie „rozumiem, brachu”. Potem nagle wstał, jakby miał już dość.
- Znudzony?
- Nie, nie, bardziej... przytłoczony smutną opowieścią.
- Opiszesz tę niedzielaskę?

– Większy niż Tony. Ale nie taki duży jak pan, proszę pana.

– Zwalisty?

– Trudno powiedzieć, przez ubranie. Miał na sobie tweed, a było ciepło. Wyglądał jak... taka filmowa babcia, zimna złośliwa jędza. Pończochy ze szwami na środku.

– Ile lat?

– Celował w starą ciotkę, makijaż, brudno-siwa peruka. Może trzydzieści, a może pięćdziesiąt. Wielu z nich tak robi, wie pan: chodź do babci. Jak z domowym jedzeniem. Jeśli posiadanie babci, która nie goli nóg i ma twarz jak kłapa od sedesu, kojarzy się komuś z domem... Gdzie jesteśmy? Nigdy nie byłam tak daleko.

Przejechaliśmy trzy kilometry na wschód od miejsca, gdzie czekała na klientów.

Dojeżdżaliśmy do Rodney.

– Partnerze, zawracamy – polecił Milo.

Przejechałem koło budynku Tony’ego Mancusiego. Milo patrzył na twarz Tashy. Wyglądała, jakby spała. Skręciłem w lewo w Sunset.

– To dość ciekawe, Tasho – powiedziałem. – Tony skarży się na matkę facetowi, który próbuje wyglądać jak matka.

– Hej. – Tasha wyraźnie się ożywiła. – O tym nie pomyślałam.

– Jak się tamten gość nazywał? – spytał Milo.

– Gdybym wiedziała, powiedziałabym, naprawdę.

– Potężny, trzydzieści do pięćdziesięciu lat. Podaj więcej szczegółów.

– Brzydki. Nabrzmiała twarz, czerwony świecący nos, jakby koleś pił całą dobę... eee... okulary. Różowe, plastikowe. Ze świecidełkami. Ciotkowate... a tak, bezbarwny lakier do paznokci.

– Kolor oczu?

– Nie wiem. Dawne dzieje. Pamiętam tylko, że był brzydki. Starał się, wie pan? Szara peruka jak ścierka do zmywania, tweedowy dwuczęściowy kostium, workowaty i gruby, z zieloną aksamitną lamówką. – Odgłos wymiotowania. – Buty, w których można by chodzić po błocie i nikt by nie zauważył różnicy. Jakby szal miał tu coś pomóc.

– Nosił szal – podchwycił Milo.

– Jedyna ładna rzecz w całym tym komplecie. – Tasha westchnęła. – Fioletowawy, prześliczny. Lui Wuiton. Co za marnotrawstwo.

Kiedy jechałem przez Wschodnie Hollywood, do Silver Lake i Echo Park, Milo próbował wydobyć z niej więcej szczegółów na temat powiernika Tony’ego Mancusiego, ale już nic więcej się nie dowiedział. Przed nami pojawiły się światła przedmieścia.

Tasha ziewnęła.

– Tu jest zdjęcie faceta, którego znamy. – Milo pokazał fotografię.

– Włochaty niedźwiedź – odparła Tasha.

– Może być tą niedzielaską?

– Ostrzyżcie go, to wam powiem.

– Spróbuj nie zwracać uwagi na włosy.

– Przykro mi, za dużo koafiury.

– Miałś wrażenie, że Tony i Tweed znali się przed imprezą?

– Tweed, che che, tak powinien się nazywać. Nie, wcześniej nie widziałam ani jego, ani Tony’ego. Nigdy nie byłam tam więcej na żadnej imprezie. Mój słodki stary prawnik mi zabronił. Chciał mieć mnie tylko dla siebie, kiedy zjawiał się w mieście. Dorzucił do tego te pieniądze. Dalej dorzuca.

– Ale dla Tony’ego masz czas.

– Trzeba pracować. Nic nie dają za darmo.

– Co kręci Tony’ego?

– Żale.

– Użalanie się nad sobą?

– To też, ale mnie chodziło o przepraszanie.

– Za co?

– Za wszystko – odparła Tasha. – Za to, że mi zawraca głowę. Przychodzi, żeby dostać, czego chce, a potem prozakuje, krzywi się i mówi, że nie powinien tego robić, że on wcale taki nie jest.

– Wypiera się gejostwa?

– W swojej głowie nigdy nie jest gejem. Jak się go tak nazwie, to się denerwuje. Wydaje mu się, że mnie lubi, bo jestem dziewczyną, lubi tylko dziewczyny. Wielu z nich takich jest. Chcą i mieć ciastko, i zjeść ciastko.

Śmiech.

– Jak często się z tobą spotyka?

– Kiedyś raz w miesiącu. Potem się urwało. Dzisiaj był pierwszy raz od... trzech miesięcy? Mogę już wracać? Proszę? Nie znam tej części miasta, nie lubię być na obcym terenie.

– Jasne – mruknął Milo.

Znalazłem podjazd, zawróciłem.

– Dziękuję. Dostanę z powrotem swojego małego pomocnika?

– Nie przeginaj. – Milo pogroził jej placem. – A więc Tony ma wewnętrzny konflikt.

– Może to pan tak nazywać. Zanim dostaną to, czego chcą, czują tylko głód. A potem jest po wszystkim, łup-bęc, i jakby się w nich zapalało światełko, i widzą coś, co im się nie podoba. Za pierwszym razem nigdy nie wiadomo, jak sobie taki poradzi z tym światełkiem. Dlatego potrzebuję pomocnika.

– Udawanie ma swoje granice – zauważył Milo.

– To właśnie są fantazje. Tony naprawdę jest złym człowiekiem?

– Jeszcze nie wiem.

- Ta niedzielaska jest złym człowiekiem? Tak pan o niego wypytuje.
- Zbieram tylko informacje, Tasho.
- Kogoś zabili? Żyję na ulicy, muszę wiedzieć.
- Mamę Tony’ego.
- Nie! Zauważyłam, że Tony był dzisiaj trochę spięty. Ale nic nie mówił.
- Jak to spięty?
- Rozglądał się, jakby otaczali go wrogowie. Zaparkował w bezpiecznym miejscu, ale zaraz dostał paranoi, że za bardzo tu widać, przejechał w inne. To on mógł zrobić? Swojej mamie?
- A jak myślisz?
- Hm... brak mi słów.
- Jego mama zostaje zamordowana, a Tony nic o tym nie wspomina – powiedział Milo.
- Nic – odparła Tasha. – Spięty, jak mówiłam, ale potem jak zwykle.
- To znaczy?
- Bum, bum, bum. A potem cisza. Przeprosiny.

Niech mnie tu panowie wyrzucają – poprosiła, kiedy byliśmy dwie przecznice na zachód od Gordita.

Milo oddał jej torebkę. Patrzyliśmy, jak Tasha odchodzi Highland, kołysząc biodrami. Inna ona kręcąca się przy budce telefonicznej, pomachała jej ręką. Tasha ledwie dostrzegalnie skinęła głową i poszła dalej.

– Niedzielaski – mruknąłem, odjeżdżając. – To mi musiało umknąć.

– Nic ci nie umknęło – odparł Milo. – Zmyśliła to sobie. Na ile wierzysz w jej opowieść?

– Gdyby chciała skłamać, nie musiałyby o tym wszystkim wspominać.

– Tweed – powiedział. – Chciał tylko pomóc.

– Jeśli Korvutz mówił mi prawdę, spotkał się z Brightem dwa razy, a ten na własną rękę popełnił podwójne morderstwo, nieproszony. To ksiązę, który kocha przycinać sprute ludzkie nitki.

– Tony jest słaby. Trzeba by faceta złamać. Jak mam go ściągnąć do siebie?

– Ella zbierała wizytówki. Powiedz mu, że powiązałeś morderstwo z gangiem podszywającym się pod monterów z gazowni, którzy napadają na starszych ludzi. Przygotuj kilka fotek, żeby mu pokazać. W którymś momencie możesz mu nawet podsunąć zdjęcie z prawa jazdy Brighta. Zobacz, jak zareaguje.

– Twórczo... Dobra, sesję planowania ustalmy na dziewiątą, niech będzie dziewiąta trzydzieści. Kiedy doszlifujemy scenariusz, zadzwonię do Tony'ego, poproszę, żeby wpadł na komisariat. Gość nie wychodzi z domu przed trzecią, jeśli się uwiniemy do południa, jest nasz.

O dziewiątej piętnaście następnego dnia piłem mocną kawę w gabinecie Mila, a mój przyjaciel przekładał nowy stos kartek z wiadomościami.

Biuro kuratora nie zlokalizowało Bradleya Maisonette'a i „wszczęło dochodzenie”.

Wilson Good wciąż nie dawał znaku życia, a szkoła St. Xavier była „skrajnie zaniepokojona”. Zastępca trenera, Pat Crohan, próbował się skontaktować z Andream Good przez jej numer służbowy w firmie projektowania graficznego. Pani Good niespodziewanie złożyła wypowiedzenie cztery dni wcześniej.

– Mężulo i żonka dali nogę – stwierdził Milo.

– Mają psa – przypomniałem. – Jeśli prysnęli na dłużej, zabrali go ze sobą. A jeśli tylko przyczaili się na jakiś czas, żeby obmyślić plan, pewnie go gdzieś oddali. Mam się dowiedzieć?

– Jasne... cholerna sprawa, szesnaście lat... dwie wiadomości od Gordona Beverly'ego, pyta, czy coś udało się ustalić... Biuro komendanta chce się spotkać za trzy dni we wszystkich bieżących sprawach.

Wyciągnął panatę.

– Pogadajmy o Tonym. Zadzwoił telefon.

– Co? Jestem zajęty... kto? Są umówieni... dobra, dobra, nieważne, dajcie ich... co? Dobrze, zejść. – Zerwał się z fotela, podszedł do drzwi, otworzył je zamasyście. – Zostań tu.

Pięć minut później wciąż go nie było. W tym czasie sprawdziłem hotele dla psów w rejonie Hollywood, znalazłem osiem. Udając weterynarza, doktora Dichtera, zacząłem przedzierać się przez listę. Pytałem o zdrowie pacjenta, „Indy’ego Gooda”, jamnika akrobata.

– Och, wszystko u niego w porządku – powiedziała miła kobieta przy czwartym podejściu, w hotelu dla zwierząt Zwierzolandia. – Czy Andy się o coś martwi?

– Dzwoniła do mnie, żeby sprawdzić terminy szczepień.

– Aha. Cóż, Indy jest niesforny jak zwykle i nie bawi się grzecznie z innymi. Czy Andy mówiła, kiedy planuje go zabrać?

– Mnie nie. Zostawiła go bezterminowo?

– Och, niech się pan o to nie martwi, doktorze, nic mu nie będzie. Wie pan, co u jej męża?

– Coś z nim nie tak?

– Dlatego zostawiła u nas Indy’ego. Żeby się zaopiekować panem Goodem; złapał jakąś paskudną grypę. A wie pan, jaki bywa Indy.

– Niesforny – powiedziałem.

– I bardzo absorbujący.

– Założyłem, że są na wakacjach. Chociaż... Andy nie mówiła jak ktoś zrelaksowany. Tak czy inaczej, Indy jest na bieżąco ze szczepieniami.

– Świetnie. Andy jest przemiła. Nie poznałam jej męża, ale to szczęściarz, że ma taką żonę.

Kiedy odłożyłem słuchawkę, w otwarte drzwi zastukał policjant.

– Porucznik jest w piątce. Prosił, żeby pan do niego zajrzał. Poszedłem do sali przesłuchań. Milo odsunął stół na bok i usiadł naprzeciwko dwóch kobiet.

– Proszę pań, to jest doktor Delaware, nasz konsultant psychologiczny. Doktorze, to pani Appel i pani Bruno.

Jedna brunetka, druga blondynka. Uśmiechnęły się nerwowo.

Obie po czterdziestce, w kaszmirowych swetrach, szytych na miarę dzinsach, z wysokokaratowymi pierścionkami, tenisowymi bransoletkami i kolczykami. Cała biżuteria wysadzana czystymi białymi brylantami.

Brunetka skubnęła swój śliwkowy sweter. Miała jasną owalną twarz, proporcjonalną figurę, niebieskie oczy i ciemne włosy przycięte po chłopięcemu.

Jej jasnowłosa towarzyszka była bardziej zaokrąglona, trochę młodsza, z podkreślonymi brwiami i przenikliwymi, piwnymi oczami. Kaszmir w kolorze dyni, utrwalone lakierem loki. Pierwsza wyciągnęła dłoń.

– Barb Bruno.

– Susan Appel – przedstawiła się brunetka kilka decybeli ciszej.

– Jesteśmy siostrami.

– Panie Susan i Barb – zaczął Milo – są właścicielkami posesji, na której Kat Shonsky została...

– Koszmar – weszła mu w słowo Barb Bruno. – Dostałyśmy telefon na statku wycieczkowym. Ciągłe jesteśmy w szoku.

– Planowałyśmy wybudować tam basen olimpijski dla naszych rodzin – dodała Susan Appel.

– Tylko pomyśleć...

– Nie żebyśmy zmieniły zdanie, nie możemy pozwolić, żeby coś tak ohydne kierowało naszym życiem. Dla nas zawsze liczyła się rodzina, tak zostałyśmy wychowane. Czy któryś z panów pamięta market Circle F Ranch w Brentwood? Założycielem był nasz tata, Reuben Fleischer.

Nigdy nie słyszałem o tym miejscu.

– Aha.

Susan Appel sięgnęła za ucho, nawinęła na palec kosmyk krótkich, ciemnych włosów. Spojrzenie młodszej siostry sprawiło, że jej dłoń opadła. Wyobraziłem sobie dziecięcy, karcący głos: „Przestań się skubać”.

– Wciąż nie jesteśmy pewne, czy dobrze zrobiliśmy, przychodząc na komisariat – powiedziała Barb Bruno. – Pan zadzwonił do Susan, ona do mnie i zgodziłyśmy się, że to pewnie nic ważnego. Potem myślałyśmy o tym... zadzwoniłam do Susan i znów porozmawiałyśmy. Doszłyśmy do wniosku, że mamy obowiązek do pana zadzwonić.

– Naprawdę jesteśmy wdzięczni – odparł Milo. – A teraz, gdyby mogły panie nam powiedzieć...

– Co nie znaczy, że nasi mężowie są z tego zadowoleni – wtrąciła Susan Appel, znów skubiąc włosy i unikając spojrzenia siostry.

– Obaj są prawnikami – wyjaśniła Barb Bruno. – Prowadzą własne firmy.

– Spory korporacyjne – dodała Susan Appel. – Hal i Mike nie zajmują się prawem karnym, ale chcą mieć pewność, że będziemy chronione.

Barb wyjęła z zamszowej torebki kartkę złożoną na pół. Milo przeczytał ją, odłożył.

– Chcecie panie gwarancji poufności.

– To chyba niezbyt wygórowane żądanie, skoro zgłosiłyśmy się dobrowolnie – powiedziała Barb.

– Nie jesteśmy nawet pewne, czy wiemy coś przydatnego – dorzuciła Susan. – Szczerze mówiąc, mamy nadzieję, że nie. Ale na wszelki wypadek.

– Możemy być w niebezpieczeństwie – zauważyła Barb. – Jeśli rzeczywiście na coś trafiłyśmy.

– Jeśli znamy sprawcę i go wsypujemy... – Sue westchnęła głośno.

– Proszę pań – zaczął spokojnie Milo. – Zaangażowanie obywateli jest bardzo ważne. Ale

nawet gdybym podpisał ten dokument, nie miałby on żadnej wartości, ponieważ nie jestem uprawniony do...

– A kto jest? – spytała Barb.

– Naprawdę nie wiem, proszę pani. Nigdy nam się nie zdarzyło...

– Och, niech pan da spokój. W filmach bez przerwy widzę, jak...

– Czasami w sprawach federalnych są gwarancje pouf...

– Widzisz? – Barb odwróciła się gwałtownie i klepnęła siostrę w kolano. – Dokładnie to samo powiedział Mike.

– Hal wciąż uważa, że to może dotyczyć sprawy niefederalnej – odparła Susan.

Barb przewróciła oczami.

– Proszę pań. – Milo wykorzystał chwilę ciszy. – Obiecuję zrobić, co w mojej mocy, by zapewnić paniom całkowitą poufność. Pań nazwiska nie pojawią się w żadnym oficjalnym dokumencie, o ile nie dojdzie do procesu i obrona nie zażąda...

– To dokładnie powiedział Mike.

– Hal nie zaprzecza...

– Proszę pań, jeśli do tego dojdzie, a to bardzo wielkie „jeśli”, podejrzany będzie w areszcie.

– A kaucja? – spytała Susan.

– Wbrew temu, co pokazuje telewizja, mordercy nie są zwalniani za kaucją.

– Mordercy – powtórzyła Barb Bruno. – Ciężko uwierzyć, że to się zdarzyło na naszym terenie, to takie... degradujące... czyli pan nie podpisze, poruczniku?

– Mogę podpisać, ale to by było kłamstwo. A jeśli macie panie ważne informacje, naprawdę powinniście o tym powiedzieć.

Cisza.

– Wygląda na to, że jesteśmy karane za wykonanie obywatelskiego obowiązku – odezwała się po chwili Barb. – Gdybyśmy same się nie zgłosiły, nie znalazłybyśmy się w takiej sytuacji.

– Tak jest z każdym bohaterem – odparł Milo.

Barb się zaczerwieniła. Rumieniec zalał też twarz jej siostry, jakby przez siostrzaną osmozę.

– Nie próbujemy zgrywać bohaterek – powiedziała Susan – ale...

– Chyba w pewnym sensie nimi jesteśmy – stwierdziła Barb.

Milo złożył kartkę i schował ją do kieszeni marynarki.

– Słucham. Dlaczego panie tu jesteście?

Tym razem Barb zaczęła się bawić włosami. Susan patrzyła zafascynowana.

Siostry spojrzały po sobie.

– Jeśli nie może pan podpisać gwarancji – zaczęła Barb – co pan powie na to: kiedy cała ta afery przycichnie, zbudujemy nasz basen. To zgodne z feng shui, oczyszczająca natura wody. Przepisy miasta są zupełnie porąbane, wydział architektury doprowadza nas do szału, bo nie mogą tam pojąć koncepcji wspólnej nieruchomości i podwójnej odpowiedzialności. Chcą narzucić nedorzeczne ograniczenia wielkości, głębokości i wymagają bezsensownego

ogrodzenia, chociaż nasze dzieci świetnie pływają i w ogóle cała koncepcja polega na tym, żeby zbudować basen olimpijski. Co nie będzie miało wpływu na sąsiedztwo, bo mamy fantastyczne plany zagospodarowania terenu, a nasze ogrodzenie jest wzięte wprost z ogrodu Zen w Niigata w Japonii.

– Gdzie hoduje się koi – powiedziałem.

Rozpromieniła się.

– Tak, właśnie. Mamy fantastyczny staw, jakość wystawowa.

– Moja córka jest w drużynie pływackiej w Archer Shool – dodała Susan. – Musi mieć pełną długość basenu, żeby ćwiczyć.

– Nikomu nie grozi utonięcie – powiedziała Barb. – Podpiszemy nawet oświadczenie o niepodzielności działki. Chociaż nie uważamy, żeby to było konieczne. Ale chciałybyśmy, żeby użył pan wpływów i przyspieszył cały proces.

– W wydziale architektury? – spytał Milo.

– Jedna agencja kontaktuje się z drugą – powiedziała Susan. – Tak mówi Hal.

– Niech jakaś szyszka z waszego departamentu, albo jeszcze lepiej ze straży pożarnej, zadzwoni do naczelnika wydziału architektury i trochę nam pomoże – zaproponowała Barb – To da się zrobić – odparł Milo.

– Da się? – zdziwiła się Susan.

Siostra rzuciła jej ostre spojrzenie.

– Oczywiście, że się da. Kiedy jest wola.

– Osobiście porozmawiam z komendantem policji – obiecał Milo. – Niedługo mamy spotkanie.

– Fantastycznie! – zawołała Barb, przysuwając się bliżej niego.

– Proszę więc – powiedział Milo.

– Dobrze – odparła Barb. – Kiedy zadzwonił pan do Sue i spytał o tego Brighta, odpowiedziała, że go nie zna. Bo nie zna. Ja też nie. Ale potem zaczęłyśmy rozmawiać i zdałyśmy sobie sprawę, że wydarzyło się coś, co uznałyśmy za trochę nieprzyjemne. – Wyciągnęła rękę do Susan.

– Pewien człowiek próbował namówić naszych mężów na wspólne inwestycje – podjęła Susan. – Zabrał nas na obiad do Cut, to nowy lokal Wolfganga w Beverly Wilshire. Dużo wydał na wino, bardzo się starał.

– W Four Season Beverly Wilshire – uściśliła Barb. – Teraz mamy dwa Four Seasons, kilometr od siebie, to mylące dla turystów.

– Ten człowiek był bardzo zdeterminowany – ciągnęła Susan. – Odwiedził nas w domu. Moim domu, bo Barb miała remont w kuchni, więc Mike i Lacey jedli wszystkie posiłki z nami. Nasi mężowie wciąż rozważali jego propozycję, więc kiedy urządzaliśmy cocktail party, został zaproszony.

– Charytatywna impreza na rzecz Muzeum Sztuki Współczesnej – wyjaśniła Barb. – Razem

z siostrą wszystko zaplanowałyśmy. Na działce postawiłyśmy namiot, zaprosiłyśmy zespół, ludzie świetnie się bawili.

– Wszystko było przyrządzone w mojej kuchni – powiedziała Susan. – Poprzestawiałyśmy meble, goście mogli wejść na górę i zobaczyć widok z salonu.

– Świetne przyjęcie – dodała Barb. – Mówiono o nim tygodniami. Jedynym zgrzytem był on. Coś, co powiedział nam obu, ale każdej osobno. Nie wiedziałyśmy o tym, dopóki wczoraj nie porównałyśmy notatek.

– A więc najwyraźniej nie była to luźna uwaga – stwierdziła Susan.

– Najwyraźniej – zgodził się Milo.

– Najpierw zapytał nas o działkę – kontynuowała Barb. – Wydawał się nią bardzo zainteresowany. Ale w sumie nic dziwnego, bo kto ma dzisiaj otwarty teren w środku Bel Air? I nikt nie potrafi zrozumieć, jak Sue i ja tak cudownie możemy się dzielić. Więc samo to nie zwróciłoby naszej uwagi. Ale potem, kiedy usłyszał o szczegółach...

– O basenie – wtrąciła Susan. – Chociaż już mu to powiedziałam, odbył tę samą rozmowę z Barb...

– Grał z nami w gierki, jakbyśmy nigdy nie porównywały notatek – powiedziała Barb.

– Bo chyba nie porównywałyśmy.

– Wszystko jedno. Chodzi o to, że po rozmowie o basenie uśmiechnął się tak dziwnie pod nosem.

– Lubieżnie – sprecyzowała Barb. – Miałam wrażenie, że całą noc się do mnie przystawiał.

– Ja też – zawtórowała Susan.

– Wie pan, długi uścisk ręki, pocałunek w policzek, który łąduje odrobinę za blisko ust...

– Nie było to z jego strony zbyt mądre, skoro męczył Hala i Mike'a, żeby z nim zainwestowali. Co on sobie wyobrażał, że się napalimy i namówimy chłopaków?

– Przez chwilę myślałam, że mnie pocałuje. – Barb przewróciła oczami. – Zamiast tego wyszeptał mi do ucha: „To by było świetne miejsce rodzinne”. Powiedziałam: „Słucham?” A on: „Miejsce. Na grób. Wiele bogatych rodzin w Europie ma takie, to oznaka arystokracji”.

– Jakby to miało nam zaimponować. – Susan szeroko otworzyła niebieskie oczy. – To samo powiedział mnie, słowo w słowo.

– Obie go zignorowałyśmy i nie wspominałyśmy o tym nikomu – ciągnęła Barb. – Nie było potrzeby, bo Hal i Mike postanowili z nim nie inwestować. Trochę sprawdzili jego przeszłość, nic nie znaleźli.

– Człowiek bez przeszłości? – spytał Milce.

– Właśnie. Tłumaczył, że mieszkał w Europie, wszystkie interesy prowadził za oceanem. Mike uznał, że to brzmi jak bujda na resorach.

– Hal tak samo. Dlatego już nie myślałyśmy o tym, co nam powiedział na przyjęciu. Został skreślony z listy.

– Ale teraz, skoro ta biedna dziewczyna... – jęknęła Barb.

- Jak ten człowiek się nazywał? – spytał Milo.
- Nasze tożsamości naprawdę będą objęte tajemnicą aż do procesu? – spytała Susan.
- Na sto procent.

Cicha siostrzana konsultacja.

– To prawdziwa śmietanka – wyznała Barb Bruno. – Jeździ bentleyem, nosi eleganckie garnitury. Całkiem możliwe, że to nie było jego prawdziwe nazwisko.

Milo czekał.

- Powiedz im – ponagliła siostrę Susan Appel.
- Przedstawia się jako Nick. Nicholas St. Heubel.

Milo krążył po sali przesłuchań.

Siostry już wyszły. Na odchodne przypomniały mu jeszcze o „sprawach w architekturze”.

Przycisnął je o szczegóły na temat człowieka, którego znały jako Nicholasa St. Heubela. Barb Bruno uważała, że ich nieuprzejmy gość grał w tenisa. Susan Appel była przekonana, że jego ulubionym sportem jest golf. Podobały im się ubrania mężczyzny, ale uznały, że wyglądał na „zbyt gładkiego”.

Obie wyrzuciły jego adres i numer telefonu.

Milo podał nazwę ulicy, na której spotkał Heubela, a one chórem odparły:

– To ta.

Poprosił o służbowe numery telefonów ich mężów.

– Mike nie chce mieć z tym nic wspólnego.

– Tak samo Hal.

– Dziękuję wam, drogie panie, naprawdę jesteście bohaterkami.

– Heubel. – Zmierzył sobie włosy.

– Wiek i wzrost się zgadza – powiedziałem. – Szczuplejszy niż w naszych rysopisach Brighta, ale to nic, czego nie osiągnąłby dietą.

– Udało mu się nie przytyć. – Poglądził się po brzuchu. – Już samo to robi z niego cholernego kryminalistę.

– Tasha zwróciła uwagę na nabrzmiałą twarz Tweeda, a Heubel ma wydęte usta, jakby ktoś go ścisnął za policzki.

– Całusny – zakpił Milo.

– Cały świat może go pocałować – powiedziałem.

Milo walnął otwartą dłonią w ścianę.

– Drań zgłosił bentleya, żeby trochę zamieszać. Jest aż tak pewny, że gliniarze są głupi.

– Poważne złe uczynki uchodziły mu na sucho od dzieciństwa. Wydaje mu się, że jest niepokonany.

– Już nie St. Heubel. Co to, jeszcze jedna gra? „Nie jestem naprawdę taki czysty”?

– Wszystko to gra – stwierdziłem. – Igrał z obiema siostrami, wrócił kilka miesięcy później i pochował trupa tuż pod ich nosami. Myśl o koparce odkrywającej kości Kat sprawiała mu sporo radości.

– Odstawił przestraszonego obywatela, ja go uspokajam. – Zmarszczenie brwi. – Bałem się, że może znać burmistrza.

– Mógł. Rosalyn Carter bawiła się z Johnem Gacym.

– O rany – mruknął Milo. Kolejne trzy okrażenia. – Dupek śledzi Kat we własnym wozie,

wymyśla historyjkę o kradzieży i zwrocie, zostawia krew. Wszystko tylko po to, żeby się z nas ponabijać.

– Wykorzystanie własnego samochodu było świetną przykrywką zauważyłem. – Bentley rzuca się w oczy. Facet musiał się liczyć z tym, że nawet w nocy ktoś go zobaczy. Ale co z tego? Byłby ostatnią osobą, którą można by podejrzewać. Gdyby nie przestraszył siostr, nikt by go nie powiązał z morderstwem.

– To prawda – przyznał Milo. – O co chodziło z tym rodzinnym cmentarzem?

– Arogancja.

– Po co straszyć siostry, skoro chciał, żeby ich mężowie z nim inwestowali, Alex?

– Pewnie już się zorientował, że panowie prawnicy w to nie wejdą, a kpiny z ich żon były subtelną formą agresji. A może po prostu miał ochotę na trochę chamstwa. Jest trudną zwierzyną, bo trudno powiedzieć, czego chce. Zresztą pewnie sam nie zawsze to wie.

– Co masz na myśli?

– Widzę jego mózg jako pole bitwy, gdzie bez przerwy się zmagają logika i impuls. Jego styl życia, zdolność adaptacji wskazują że logika dominuje. Potem następują okresy, kiedy facet musi zużyć trochę energii i giną ludzie.

– Ten „styl życia” Heubel osiągnął, wyrabując sobie drogę do ponadmilionowego spadku.

– Większość psychopatów szybko przepuściłaby pieniądze. Jemu udało się przełożyć je na bogactwo. Nie byłbym zaskoczony, gdyby naprawdę pracował na giełdzie. To zajęcie dla samotnika obfitujące w emocje.

Milo pomasaował twarz.

– Osiem lat między atakiem na Safranów i Kat to o wiele za mała regularność.

– Zgadzam się. Trupów musi być więcej.

– Jak dotąd nie mieliśmy innych informacji o mordercach w czarnych samochodach, ale to nic nie znaczy – powiedział. – Wiele spraw nigdy nie wychodzi na jaw.

– Samochody to scenografia, a nie jego podpis – stwierdziłem. – Używa ich w miejscach, gdzie wszyscy jeżdżą autami. Adaptuje się. Nigdy nie zarejestrował samochodu w Nowym Jorku.

– Zaprowadził gdzieś Safranów, załatwił ich... a potem co, do Europy? Z tym akurat by nie kłamał?

– Dobrzy kłamcy mieszają. W Nowym Jorku posługiwał się własnym nazwiskiem, ale po powrocie do Kalifornii przyjął nową osobowość. Chciał zatrzeć ślady po złych uczynkach, których po drodze się dopuścił.

– Nicko St. Heubel, kontynentalny niegrzeczny chłopiec... ciekawe, skąd wziął to nazwisko.

– Sprawdźmy nowoczesne źródła.

Milo wpisał „Heubel” w kryminalne bazy danych, nic nie znalazł. Poszukiwanie w Internecie też nie przyniosło rezultatu.

– Dobra – rzucił. – Pora na staroświeckie metody.

Sekretarka komendanta powiedziała, że szef jest w Sacramento, pali cygara z gubernatorem. Obiecała, że przekaze mu wiadomość.

Zadzwoiłem do Sala Polita, a on załatwił dojście do swojego szwagra, zastępcy komendanta manhattańskiej policji. Jego sekretarka zapisała informację i dziesięć minut później zadzwonił urzędnik z Albany.

Nicholas Heubel, urodzony w Yonkers w tym samym roku, w którym Ansell „Dale” Bright, zmarł na zapalenie opon mózgowych w kruchym wieku pięciu lat. Numer ubezpieczenia społecznego wydano dopiero dwadzieścia pięć miesięcy temu.

Milo przez pół godziny zmagał się z urzędem skarbowym, żeby się dowiedzieć, że Heubel wypełniał zeznania podatkowe za ostatnie dwa lata.

– Sześć lat nie ma go w kraju. Wraca i zaczyna działać legalnie – podsumowałem.

– Ruszę Interpol, ale przy obecnym nastawieniu na walkę z terroryzmem, to potrwa. Tymczasem Sprytny Nicky będzie sobie wygodnie jadł śniadania w Brentwood Country Mart.

Wstał, chwycił marynarkę, sprawdził magazynek pistoletu i zapiął uprząż z kaburą.

Poprosił dowódcę zmiany o sześciu detektywów po cywilnemu i trzy nieoznakowane wozy. Zorganizowanie tego trwało czterdzieści pięć minut i kiedy ruszyliśmy konwojem do Brentwood, dochodziła druga.

Nie było oddziału SWAT, bo za bardzo rzucałby się w oczy w liściastej, uroczej okolicy Nicholasa Heubela. Ale kuloodporne kamizelki dla wszystkich, strzelby i karabiny w pogotowiu.

Milo kazał zatrzymać pozostałe samochody przecnicę wcześniej, zaparkował dziesięć domów od waniliowej posiadłości i dalej sam poszedł pieszo.

Powoli, jakby wybierał się z towarzyską, wizytą.

Dotarł sześć domów dalej. Zatrzymał się. Pokazał coś.

Znak „Do wynajęcia” wbity w trawnik waniliowej posiadłości.

Milo wyjął pistolet, opuścił go blisko spodni. Przy ciemnej nogawce broń była ledwie widoczna. Chwila przed frontowymi drzwiami i naciśnięcie dzwonka.

Nieunikniona cisza. Milo obszedł dom. Podobna wycieczka rok wcześniej zakończyła się spotkaniem ze strzelbą.

Siedziałem bez ruchu.

Wyszedł, kręcąc głową. Z bronią w kaburze.

Komórka w dłoni. Zaczął ją wściekle dźgać palcem.

Dziesięć minut później pod dom zajechał biały jaguar i wysiadła z niego niska, ciemnowłosa kobieta w bakłażanowym kostiumie. Milo ją przywitał.

– Pani Hamidpour?

– Jestem Soraya. Pan porucznik? – Poprawiła szyld „Do wynajęcia”.

– Sturgis. Dziękuję, że pani przyjechała.

– Mówił pan o jakimś problemie z domem. O co chodzi?

– Od jak dawna jest do wynajęcia?

- Od dwóch dni.
- Jak długo stał pusty?
- Właściciel dokładnie nie wie. W czym problem?
- Kiedy ostatni raz najemca kontaktował się z właścicielem?
- Właściciel nie kontaktuje się z najemcą. To nieruchomości zarządzana.
- Przez pani firmę.
- Teraz tak.
- A poprzednio?

Wymieniła nazwę konkurencyjnej agencji.

- Właściciel nie był zadowolony z ich osiągnięć – domyślił się Milo.
- Ani trochę. Najemca wyjechał bez uprzedzenia. Dwa miesiące niezapłaconego czynszu.

Przynajmniej zostawił porządek.

Milo pomasaował twarz.

- Sprzątaliście jeszcze po nim?
- Wczoraj – powiedziała Soraya Hamidpour. – Jak zwykle.
- Odkurzanie?
- Pranie dywanów, żeby wyglądało ekstra. Porządek aż błyszczy. Większość pokoi wygląda, jakby nikt tam nie mieszkał.

- Kim jest właściciel?
- Mieszka na Florydzie. Pojawił się notes.
- Nazwisko, proszę.

Soraya Hamidpour ściągnęła usta.

- To trochę... trudna sprawa.
- Jak to?
- Właściciel chciałby zachować anonimowość.
- Pustelnik?
- Niezupełnie. – Odwróciła się do znaku, zeskrobała coś z rogu.
- Proszę pani...
- Musimy w to wchodzić?
- Naprawdę tak.
- Problem z domem polega na...
- Najemca to nieprzyjemna osoba.
- Moim problemem jest właściciel... nie lubi takiego rozgłosu. Ale...

– Poruczniku? – Potężny, jasnowłosy policjant w dżinsowej koszuli wyciągniętej na spodnie pomachał z trzech metrów. Kiedy podszedł bliżej, luźna koszula załopotowała, odsłaniając broń.

Soraya Hamidpour wydawała się nią zauroczona.

- Co tam, Greg? – spytał Milo.
- Przepraszam, że przeszkadzam, ale robi się gorąco z wezwaniem i dowódca zmiany chce

wiedzieć, jak długo jeszcze będziemy potrzebni.

– Na razie zostaje jeden samochód, reszta może jechać. Wezwijcie techników. Rozbierzemy tę budę na kawałki.

– Rozbierzemy? – Hamidpour zatrzepotała rękami.

– Nakaz... – zaczął Greg.

– Podpisany, dostarczony. – Mrug mrug, tak, żeby pośredniczka nie widziała.

Greg się wyszczerzył.

– Załatwione, poruczniku.

Pospieszył z powrotem do konwoju.

– Ależ proszę pana! Tego domu nie wolno... – zaczęła oburzona Soraya Hamidpour.

– To może być miejsce zbrodni, proszę pani.

– O nie. Niemożliwe, tak tam czysto...

– Mamy środki chemiczne, które wnikają pod powierzchnię.

– Ale już zgłosił się do mnie klient...

– Uwiniemy się tak szybko, jak to możliwe. Soraya Hamidpour załamała rękę.

– Katastrofa...

– Coś pani powiem – przerwał stanowczo Milo. – Gdybyśmy mogli porozmawiać z właścicielem, poznać trochę szczegółów na temat najemcy, szybciej byśmy...

– Właścicielem jest... och, nie... naprawdę nie powinnam... – Wzięła głęboki oddech i w końcu wymieniła nazwisko gwiazdy filmowej z listy najlepiej zarabiających.

– Czy on zna pana Heubela? – spytał Milo.

– Nie, nie. Dom jest zarządzany. Właściciel mieszka na Florydzie. – Przystłoniła usta dłonią.

– Chodzi o podział majątku. Po ostatnim rozwodzie.

Telefon do firmy wynajmującej dom Nicholasowi Heubelowi pozwolił skonkretyzować szczegóły.

Najlepiej Zarabiający Gwiazdor kupił nieruchomości pięć lat temu w ramach ugody rozwodowej ze swoją czwartą żoną. Plan był taki, że ona tam mieszka, ale się rozmyśliła i przeprowadziła do Kolorado z młodszym aktorem, gdzie Najlepiej Zarabiający zafundował jej ranczo. Za radą doradcy biznesowego dom został przystosowany do wynajmu.

Od tamtej pory mieszkało w nim trzech najemców.

Dwie młode rodziny z „powiązaniem w branży” oraz, przez ostatnie dwadzieścia dwa miesiące, Nicholas Heubel.

Heubel bez zapowiedzi odwiedził agencję pośrednictwa, przedstawił się jako wolny inwestor, okazał wyciąg z konta bankowego „wystarczająco zasobnego, by się kwalifikować”. Zapłacił przelewem czynsz za pierwszy i ostatni miesiąc plus kaucję za zniszczenia. W sumie dwadzieścia cztery tysiące dolarów.

Agent wynajmujący – wciąż zły, że go zwolniono – obiecał przefaksować umowę najmu Heubela i inne dokumenty z jego teczki.

– Pora porozmawiać z Tonym Mancusim – stwierdził Milo.

Kiedy ruszyliśmy do Hollywood, zadzwonił do Seana Binchy’ego.

– Zapomnij o lakierze i chromie. Mam dla ciebie poważną robotę.

Podyktował dokładnie, słowo w słowo nakaz przeszukania waniliowego domu, wymienił nazwisko sędziego, który mógł przyspieszyć bieg spraw.

– Postaraj się zdobyć obecne zdjęcie Heubela. Gnojek jest zmiennokształtny, ale może trafi się nam przyzwoita podobizna... tak, dziwne. I to twoja wina, Sean... Żartuję. Dobrze się spisalesz.

Toyota Tony’ego Mancusiego stała tam, gdzie ją widzieliśmy ostatnio.

Nikt nie odpowiedział na dzwonek do drzwi.

Przećcisnęliśmy się przez ciasną galerię, dodatkowo zwężoną przez przywiedle rośliny, i przedostaliśmy się na tył budynku. Wąskie tylne wejście wychodziło na zaułek zastawiony kontenerami. Śmieci wylewały się z pojemników i zaścielały asfalt.

– To mi coś przypomina – powiedziałem. – Zaplecze salonu Leonory Bright.

– Czyżby?

Milo rozejrzał się po zaułku, podszedł do drzwi.

Pełne, solidna zasuwka.

Tabliczka „Proszę zamykać drzwi” przymocowana na samym środku.

Klamka obróciła się bez trudu.

Głośna meksykańska muzyka gdzieś z góry rozlegała się w całym korytarzu. Jasnym, białym, z niedbale pomalowanymi niebieskimi drzwiami.

Kiedy doszliśmy do mieszkania Tony'ego Mancusiego, z innego lokalu wyszła kobieta z dwoma przezroczystymi siatkami w rękach.

Rzuciła nam spojrzenie, ruszyła dalej w stronę frontowych drzwi.

– Proszę pani?

Przystanąła.

Na widok odznaki się wzdrygnęła. Po pięćdziesiątce, niska i przysadzista, ze skórą koloru gałki muszkatołowej i włosami ściągniętymi w ciasny kok. W torbach miała kolorowe zabawki i słodycze.

Milo pokazał palcem.

– *Señor esta aqui?*

Pokręciła głową, oddaliła się pospiesznie.

Pukanie Mila do drzwi Mancusiego zagłuszyło łomot muzyki. Brak odpowiedzi. Mocniejsze stukanie i wołanie: „Panie Mancusi, tu porucznik Sturgis!”, dało skutek taki sam, jak użycie piankowego młotka.

Milo przyłożył ucho do drzwi.

– Jeśli tam jest, to siedzi cicho.

Frontowe drzwi otworzyły się i kobieta z torbami weszła z powrotem.

– *Señora?* – zagadnął znów Milo.

– Mówię po angielsku – odparła. – Przepraszam, że nie odpowiedziałam, ale mnie panowie przestraszyliście. Jak weszliście?

– Tylne drzwi były otwarte.

– Znowu. Tego nam tylko trzeba.

– Problemy z włamaniami?

– Kilka tygodni temu okradziono kogoś na górze. Chyba handlarzy narkotyków, bo nie wezwali policji i zaraz potem się wyprowadzili. Przedtem były dwa podobne incydenty. Za każdym razem, kiedy widzę drzwi otwarte, zamykam je na klucz. Ale inni mają to gdzieś.

Milo zapytał ją o nazwisko.

– Irma Duran.

– Chyba ktoś urządza przyjęcie.

– Klasa mojego wnuka. Nagroda za wyniki w czytaniu. Jestem asystentką nauczyciela w jego szkole, właśnie tam idę. Wróciłam, bo ktoś jeszcze szukał pana Mancusiego. Jego matka, wyglądała na zmartwioną.

– Matka? – zdziwił się Milo. – Kiedy tu była?

– Kiedy wyszłam zaprowadzić wnuka do szkoły, około szóstej trzydzieści. Raymond chodzi do szkoły autorskiej w Valley, musimy wcześniej się zbierać. Pytała mnie o to samo, o co pan: czy go widziałam. Mówiła, że jest jego matką i że nie zadzwonił, chociaż się umawiali na

telefon. Powiedziała jej, że nie widziała pana Mancusiego, a ona zrobiła zmartwioną minę i wyszła. Wszystko z nim w porządku?

– Zna pani pana Mancusiego?

– Widuję go raz na jakiś czas, mówimy sobie dzień dobry, to wszystko. Jest raczej zamknięty w sobie.

– Jak wyglądała jego matka?

– Nie przyglądałam się jej dobrze, bo akurat wciskałam Raymondowi drożdżówkę do plecaka. Wydawała się przejęta. Zrobiło mi się żal kobiety. Dlatego wróciłam. Żebyście mogli się z nią skontaktować.

– Jesteśmy wdzięczni, pani Duran. Nie zostawiła przypadkiem numeru telefonu?

– Nie, przykro mi.

– Pamięta pani coś z jej wyglądu?

– Ee... wysoka. I miała ładny samochód. Białego lexusa; zauważyłam, jak odjeżdża. To było trochę zaskakujące.

– Co takiego?

– No, że bogata babka. Bo on wygląda, jakby ubierał się w lumpeksie. W przeciwieństwie do matki.

– Dobrze ubrana.

– Z klasą – powiedziała Irma Duran. – Trochę po staroświecku. Bardzo elegancko. Kostium, pończochy, buty, duża skórzana torebka. Jak ta detektyw z kryminałów Agaty Christie.

– Panna Marple – podpowiedziałem.

– Uwielbiam te książki – wyznała Irma Duran. – Właśnie taka, konserwatywna... z umiarem. Oprócz szala, ten był inny, bardzo pstrokaty. Wielki jak poncho, w najróżniejszych jaskrawych kolorach. Czy jej syn jest handlarzem narkotyków?

– Czemu tak pani przypuszcza?

– Nic nie robi cały dzień. Nigdy nie widziałam, żeby miał gościa... och, to chyba znaczy, że nie jest dealerem. Przynajmniej nie handluje w mieszkaniu.

– Mama była jego pierwszym gościem? – spytał Milo.

– Mamy się troszczyć – odparła Irma Duran. – Sprawiała wrażenie... jakby znosiła jego wybryki już od jakiegoś czasu.

Milo mocno kopnął drzwi. Trzask pękającego drewna przebił się przez trąbki i guitarrón, ale drzwi pozostały zamknięte. Drugi atak wyrwał je z framugi.

Cofnęliśmy się.

Rozkładane łóżko Mancusiego zwisało ze ściany pod ostrym kątem, podparte szafką nocną. Na obie strony materaca zwisała para rąk.

Szarego materaca, nie licząc wielkich rudobrazowych plam.

Zacieki tego samego koloru widniały na szafce nocnej, szufladach, na dywanie.

Jednej z dłoni brakowało dwóch palców. Odcięte, leżały w kałuży krwi, poskręcane i białe, wysuszone larwy. Krwawy ślad prowadził do brudnego aneksu kuchennego.

Milo, nie przekraczając progu, zajrzał do mieszkania.

Usłyszałem gwałtowne wciągnięcie powietrza. Wyrząłem zza przyjaciela.

Na blacie, obok pudełka advilu, stała pusta dwulitrowa butelka dietetycznego toniku. Na lewo od niej, na dużym talerzu leżało coś okrągłego.

Z obwisłymi, żółtymi włosami.

Oczy Tony'ego Mancusiego były otwarte, ale usta zamknięte.

Tony został podany. Przystawka kanibala.

– O Chryste – jęknął Milo.

Nie miałem nic do dodania.

Milo włożył rękawiczki, zablokował drzwi Mancusiego, wyszedł z budynku, zapalił, pozbiarał się. Wyjął z bagażnika żółtą taśmę.

Słońce wyszło zza chmur. Rodney Drive wyglądała prawie ładnie.

Usiadłem na krawężniku, próbując przejaśnić sobie w głowie. Strata czasu; żadna zawodowa sztuczka nie podołała.

Tony Mancusi był pierwszą ofiarą zabójstwa tego roku w Hollywood. Milo zadzwonił do detektyw Petry Connor. Wyjechała na wakacje do Grecji, więc jej partner, Raul Biro, wezwał techników i koronera.

Biro był młody, po Afganistanie, spostrzegawczy, z przerażającymi zasobami energii. Wyszedł z mieszkania Mancusiego z twarzą bez wyrazu. Spisywał zeznania Mila, pociągając za jasnoniebieski brokatowy krawat, którego nie trzeba było poprawiać. Gęste ciemne włosy, przedwcześnie siwiejące, usztywnił lakierem. Miał granatowy garnitur, szyty na miarę, bez jednej plamki. Papierowe nakładki chroniły wypolerowane do połysku mokasyny.

Kiedy Milo skończył, Raul powiedział:

– Niech to sobie poukładam w głowie: uważacie, że Bright, Heubel, jak go tam zwał, był tu wcześniej. Wie, że tylne drzwi są zazwyczaj otwarte. Albo otwiera je wytrychem. To samo, jeśli chodzi o dostanie się do mieszkania Mancusiego. Kiedy jest w środku, robi swoje. Wychodząc, napotyka sąsiadkę, udaje, że szuka Mancusiego, ucieka... brzmi logicznie.

– Ale?

– Myślę, że mógł być inny scenariusz, poruczniku. Kiedy Mancusi wysadził tego transa, spotkał się z Brightem i razem tu wrócili.

Milo podrapał się w bok nosa.

– Niewykluczone. Chociaż Mancusi mógł się go bać.

– Jeśli przedtem byli naprawdę dobrymi kumplami – ciągnął Biro – Mancusi pewnie dał Brightowi klucze. Może Bright bywał tu bez przebrania. Sprawdzę, czy mamy aktualne zdjęcie, przepytam mieszkańców.

– Jakkolwiek Bright się tam dostał, mamy dość dobrze ustalony przedział czasowy. Widzieliśmy, jak Mancusi odjeżdża spod Gordita około drugiej czterdzieści pięć, sąsiadka widziała Fałszywą Mamusię tutaj o szóstej trzydzieści. Prawie cztery godziny to dość czasu, żeby zrobić swoje, oporządzić się.

– Schował narzędzia w dużej skórzanej torbie, którą opisała sąsiadka, wymknął się stąd w biały dzień. Na luzie, bo ma świetny kamuflaż.

Biro zamknął notes.

– Staromodne przebranie, oprócz szala. Dużo tam krwi, ale nie widziałem żadnych

rozbryzgów. A pan?

Milo pokręcił głową.

– A więc myślę, że Mancusi był najprawdopodobniej martwy, kiedy został pokrojony, poruczniku. Bright mógł go udusić szalem, potem przystąpił do sekcji zwłok.

– U Shonsky użył szala jako dekoracji. Zadźgał dziewczynę. W przypadku wszystkich jego ofiar, o których wiemy, bronią był nóż. Ale Bright zmienia swoje tożsamości, więc może lubi też różnorodność w metodach.

– Ciche uduszenie Mancusiego ma sens – zauważyłem. – Tony był ciężki, niełatwo takiego obezwładnić. Poza tym pozostawał czujny, bo wiedział lub podejrzewał, do czego Bright jest zdolny.

– Zakradł się od tyłu, zarzucił szal na szyję, uniknął szarpaniny – dokończył Raul. – Załatwił sprawę po cichu o trzeciej, czwartej rano. – Znów poprawił krawat. – Najpierw matka, teraz syn. Ma coś do tej rodziny?

– Gdyby to tylko było takie proste, Raul.

– Psychol dobroczyńca, co? Uważa, że pomaga ludziom, a potem nie wytrzymuje i pęka?

– Ta dobroczynność to zabawa we wszechmogącego – stwierdziłem. – Był okrutnym dzieckiem, zabił własną siostrę dla dużego finansowego zysku, spodobało mu się odgrywanie Boga.

– Ma władzę. Ustanawia zasady – podsumował Biro. – Wybiera kto, kiedy i jak. Ale Mancusi zginął, bo Bright się bał, że kumpel zacznie mówić.

– Tak to widzimy – odparł Milo.

– Podał go na talerzu. To już zło z zupełnie innego wymiaru.

Milo zapalił kolejną cygaretkę. Zaciągnął się mocno, potem wydmuchnął dym w niebo.

– Jeśli mnie śledził, kiedy obserwowałem Tony’ego, widział, jak pakuję Tashę do samochodu. To mógł być wyrok śmierci na Tony’ego. Bo Bright wiedział, że Tasha była na imprezie, na której Tony narzekał na swoją matkę. Uznał, że ryzyko jest za duże.

– Jeśli Bright miał Tony’ego na oku, to już pewnie wcześniej myślał o tym, żeby załatwić niedokończone sprawy – zasugerowałem.

Milo chrząknął.

– Jaki podział obowiązków? – spytał Biro.

– Mancusi jest twój, reszta to mój ból głowy.

– Będzie panu przeszkadzać, jeśli sprawa się rozwinie?

– W co?

Kolejne poprawienie krawata.

– Tyle trupów przez tyle lat, podejrzany psychol. Ktoś może zaproponować powołanie grupy specjalnej.

– Zrobimy, co będzie trzeba, Raul – odparł Milo.

– A tymczasem pracujemy nad tym, co mamy – stwierdził Biro. – Zaczynając od znalezienia

transa. Mam posłać wieczorem obyczajówkę pod Gordita?

– Ja się tym zajmę, ty się skup na mieszkaniu Mancusiego. Biro przekartkował notes.

– A więc wiemy, kto to zrobił, i przynajmniej częściowo dlaczego i jak. Teraz musimy tylko znaleźć tego altruistę. – Powolny uśmiech rozjaśnił jego gładką twarz. – Bogata starsza pani. Zajrzą do klubów takich kobiet, brydż, bingo, herbatki...

– Minione pokolenie, Raul.

– Właśnie że nie, poruczniku, wciąż umawiają się na herbatę w Pasadenie i San Marino.

– Tam dorastałeś?

– Nie, we Wschodnim L.A. – odparł Biro. – Moja matka sprzątała pokoje w Huntingtonie.

Technik policyjny wyszedł z mieszkania w pełnym kombinezonie hazmat, zdjął maskę, wytarł pot z twarzy.

– W łazience jest już dość ciemno, żeby dać luminol, panowie. Dużo śladów wycierania. Ktoś używał granulowanego środka czyszczącego. Ale zostało bardzo dużo hemoglobiny. Wanna, podłoga, umywalka, kupa w prysznicu.

– Kupa – powtórzył Milo, otwierając szeroko oczy.

– To określenie techniczne – wyjaśnił technik. – Trafiło się nam, co? Poczęstujecie papierosem?

O piętnastej trzydzieści opuściliśmy miejsce zbrodni i przejechaliśmy obok Gordita. Dwie wysokie prostytutki, nawet nieudające kobiecych, siedziały, jedząc coś, pijąc i rozmawiając. Trzech robotników budowlanych zajmowało sąsiedni stolik, wszyscy zajęci swoimi sprawami.

– Pojedź kawałek dalej i zawróć – polecił Milo. – Pokręcimy się tu trochę. Kiedy Tasha się dowie, że Tony'ego pokroili, na pewno pryśnie. – Zapiszczała jego komórka. – Co tam, Sean?... jakieś podobieństwo?... lepsze to niż nic, prześlij kopię do Raula Bira... tego bystrego, pracował z Petrą... tak, on. Coś jeszcze? Dobrze, jedź do domu i miej oko na techników... Nic mnie to nie obchodzi, Sean. Jeśli któryś ze speców od chromu będzie miał problem, niech dzwoni do mnie. Teraz przeczytaj wszystko, co masz, powoli i wyraźnie. Stare uszy, rozumiesz? – Słuchał przez kilka minut, poruszył szczęką, rozłączył się. – Mamy zdjęcie Heubela z wydziału komunikacji. Niestety, występuje na nim z bujną, siwą brodą i ogoloną głową. A adres, który podał, to skrytka pocztowa w Brentwood. Wynajął ją dopiero, kiedy złożył podanie o wynajem domu. Przedstawił trzech polecających: Ansell D. Bright, San Francisco; Roland Korvutz, Nowy Jork i Meł Dabson, tutaj w L.A.

– Tworzy fałszywą tożsamość i podpira się swoim prawdziwym nazwiskiem – powiedziałem.

– Sprytny chłopak, co? Firma wynajmująca mówi, że referencja Brighta „błyszcząca”. A numer, pod którym go zastali, jest przypisany do komórki na kartę. Korvutz nie odpowiedział na prośbę potwierdzenia referencji. W przeciwieństwie do Dabsona. Facet oznajmił, że zna Heubela

od lat, Nicky jest porządny, uczciwy i odpowiedzialny. Dwa głosy z trzech plus dwadzieścia cztery kawałki gotówką wystarczyły, żeby podpisać umowę.

– Gdzie w L.A. mieszka Dabson? – spytałem.

Milo zajrzał do notatek.

– Altair Terrace, kod pocztowy... to niedaleko stąd, Hollywood Hills.

– Ciekawe, czy widać stamtąd napis.

Przejechałem kilka razy w tę i z powrotem Highland, pojechałem na Santa Monica, gdzie transseksualne i męskie prostytutki dzieliły chodnik w różnym stopniu harmonii.

Milo rozglądał się za Tashą, nie odrywając telefonu od ucha. Najpierw sprawdzał „Melvina”, potem „Mela Dabsona”.

Nie ma takiej osoby.

– To może być kolejne alter ego – stwierdziłem.

Milo sprawdził bazy danych: Melford, Melrose, Meldrim i Melnick. Opadł na oparcie fotela, przeklinając.

Telefon do stanowego urzędu podatkowego z zapytaniem o Dabsona nic nie dał. Ale krótka rozmowa z pomocnym urzędnikiem w okręgowym biurze asesora wywołała uśmiech na twarzy Mila.

– Trammel Dabson. Płacił podatek od nieruchomości z Altair Terrace od dwudziestu jeden miesięcy.

Kolejne nurkowanie w krajowym rejestrze przestępców – brak rezultatów.

– *Trammel* znaczy „utrudniać” – powiedziałem.

– Codziennie budujemy potęgę słowa.

Zadzwoił do Seana, żeby sprawdzić, jak idzie przeszukanie domu w Brentwood.

Pusty, czysty, żadnych samochodów w garażu.

Kiedy Milo zamknął oczy i opadł na oparcie, coś przykuło moją uwagę na skraju ciągu pawilonów handlowych niedaleko Orange Drive.

– Pobudka. Wskazałem kierunek.

Milo się poderwał.

– Zatrzymaj.

Tym razem Tasha uciekała.

– Och, cudownie – mruknął Milo, kiedy czmychnęła z Santa Monica w Orange i skręciła w zaułek.

Wyskoczył z samochodu, a ja okrążyłem kwartał do Mansfield. Kiedy dotarłem do wylotu zaułka, Tasha pędziła w moją stronę swoim chudonogim sprintem, z łatwością wyprzedzając toczącego się z otwartymi ustami Mila.

Pantofle w ręku, podarte pończochy.

Milo młócił rękami powietrze. Twarz miał karmazynowa.

Tasha obejrzała się na niego, przyspieszyła. Zobaczyła mnie. Znow się obejrzała. Potknęła.

Runęła mocno na plecy, torebka upadła jej tuż poza zasięgiem wyciągniętej ręki.

Kiedy wstała, dogonił ją Milo, głośno wsysający powietrze. Przewrócił Taszę, szybko obszukał i skuł, warknięciem zabronił się ruszać. Porwał torebkę, wywalił zawartość. Chusteczki, kondomy, kosmetyki i paczka Oreo wylądowały na asfalcie. Potem stukot, kiedy wysunęła się brzytwa z perłową rękojęścią.

Wciąż dysząc, Milo mocno nadepnął broń, miażdżąc perły na proch. Szarpnięciem postawił Taszę na nogi.

– Idiotka – wycedził.

Zwisła bezwładnie w jego uścisku. Wykrzywiła się jak do płaczu. Drobiny żwiru przykleiły się do grubego makijażu.

Próbowała się uśmiechać.

Warknięcie Mila ją zgasiło. Wsadził uciekinierkę na tylne siedzenie samochodu, unieruchomił pasem.

Tym razem usiadł z przodu.

Tasha zadzwoniła kajdankami.

– Może pan to zdjąć, nie prysnę. Obiecuję.

– Otwórz gębę jeszcze raz... – Sap, sap. – ... to cię związę w kij. – Do mnie: – Komisariat Hollywood.

– O rany, dlaczego!?

Milo tak łapczywie walczył o tlen, że jego potężne cielsko unosiło się z fotela.

Ruszyłem.

– Przynajmniej tym razem samochód jest ładny – powiedziała Tasha. – Kocham stare cadillaki. Co, skonfiskowaliście go jakiemuś...

– Zamknij się, do cholery.

– Przepraszam. Proszę pana.

– Głucha jesteś?

Pięć przecznic od Wilcox Avenue:

– Niech się pan nie złości. Wciąż pan tak ciężko dyszy. Na pewno wszystko w porządku?

– Dlaczego, do diabła, uciekałaś?

– Przestraszyłam się.

– Zrobiliśmy ci coś za pierwszym razem?

– Nie, ale...

– Ale co?

Cisza.

– Bałaś się, że stracisz klienta? – wysapał Milo. – Idiotka.

– Dziewczyzna musi jakoś zarobić na życie.

– Nie będziesz miała żadnego życia, jeśli nie przestaniesz się zachowywać jak kretyńska.

Zgadnij, kogo ostatnio pokroili?

– Kogoś pokroili?

– Naprawdę jesteś głucha.

Długie milczenie.

– Nie mówi pan o Tonym?

– Możesz startować w *Kole fortuny*, geniuszu.

– Tony’ego ktoś pokroił? O mój Boże, jak on się czuje?

– Teraz już nic nie czuje – powiedział Milo.

– To znaczy...

– To znaczy, że jeden klient nie będzie już do ciebie wracał.

– O mój Boże, o Chryste...

– To się stało zaraz po tym, jak się z tobą widział – dodał Milo. – Uważamy, że ktoś was obserwował.

– Kto, kto, kto?

– A ty co, udajesz dzieciola?

– Kto? Proszę!

– Przypomnij sobie brzydki kostium i pończochy ze szwem.

– On? O Jezu, niemożliwe!

– Wiesz o nim coś, czego my nie wiemy?

– Nie, proszę pana, nie...

– Ale?

– Nie znałam po prostu nikogo, kto by... to zrobił.

– Przez tyle lat na ulicy? – Milo cmoknął głośno. – Daruj sobie tę niewinność.

– Widziałam bójki. Widziałam, jak jeden tłucze drugiego na śmierć, bo tamten źle na niego spojrzał. Widziałam naćpanych, umierających przez... widziałam mnóstwo złych ludzi, ale nigdy

nic takiego...

- Jakiego?
- No... kontrolowanego.
- Skąd wiesz, że to było kontrolowane?
- Niedzielaski – rzuciła Tasha. – Im chodzi tylko o grę. Tony nic nikomu nie zrobił, prawda?
- Dlaczego nie?
- Słaby z niego zawodnik. Nie miał w sobie złości, tylko smutek.
- W jednym masz rację – powiedział Milo. – To było bardzo kontrolowane.
- Nie chcę znać szczegółów. Niech mi pan nie opowiada.
- Dobrze, ale my chcemy usłyszeć szczegóły. Posłuchajmy wszystkiego, co wiesz o

Tweedzie.

- Nic więcej, przysięgam.
- Milo odwrócił się do mnie.
- Nie idzie dobrze, partnerze.
 - Tylko tyle, ile wam powiedziałam – zawodziła Tasha. – To wszystko, co wiem!
 - Na ilu imprezach byłaś z Tweedem?
 - Tylko tej jednej.
 - Czemu nie więcej?

Cisza.

- Na czym polegał problem? – drażył Milo.
- Więcej tam nie byłam.
- To nie jest odpowiedź.
- Szczerze mówiąc... nikt mnie nie zaprosił.

Dotarliśmy pod tylne wejście komisariatu Hollywood.

- Nie musicie mnie zamykać, naprawdę – jęknęła Tasha. Milo zagwizdał *Dixie*.

– Proszę pana, jest problem, duży problem. Zazwyczaj mają tylko jedną wolną celę dla dziewczyn, bo wszyscy awanturnicy to chłopcy, i jak pokój dla dziewczyn jest pełny, wsadzają do chłopców, a to niebezpieczne.

- Masz wyposażenie do pokoju dla dziewczyn?

Cisza.

- Masz?

Ledwie słyszalne:

- Jeszcze nie. Zbieram.
- W takim razie nic nie mogę zrobić. Znasz zasady.
- Jestem człowiekiem, a nie hydrauliką.
- Nic nie poradzę. – Szorstki ton, ale lekko zadrżały mu mięśnie policzków.
- Proszę. Inni policjanci są dla mnie mili, nie robię kłopotów, wsadzają mnie do pokoju dla

dziewczyn. Dziewczynom nie przeszkadzam, niech pan spyta kogokolwiek, nie robię żadnych problemów, może pan sprawdzić w papierach.

– Kiedy byłaś tu ostatnio?

– Rok temu. Może dawniej. Przysięgam. Niech mnie pan wsadzi tam, gdzie trzeba, a ja zrobię wszystko, co ...

– Słuchaj – przerwał jej Milo. – Jak będziesz współpracować, nie zamknę cię za brzytwę, chociaż ostrzegąłem. Albo za stawianie oporu, chociaż zmusiłaś mnie do ruchu.

– Tak, pewnie, oczywiście... co to znaczy współpracować?

– Jesteś świadkiem. Może nawet kupię ci coś do jedzenia.

– To bardzo miło... zgubił pan moje Oreo.

Komisariat Hollywood zapewnił pustą salę przesłuchań, w której Milo zamknął Taszę. Kupił jej pączka i colę, zadzwonił do Raula Bira na miejscu morderstwa na Rodney.

Biro wciąż czekał na możliwość wejścia do mieszkania, miał kilka podejrzeń na temat śladów. Chciał się podzielić releksjami.

Głowa Tony'ego Mancusiego została odpiłowana tuż pod brodą. Większa część szyi pozostała nietknięta. Dołożono starań, by przeciąć kręgi bez ich łamania.

Czysta robota; śledczy koronera przypuszczał, że użyto dużego, bardzo ostrego gładkiego ostrza, co pasowało do broni, którą zabito Ellę Mancusi. Prawdopodobnie tym samym narzędziem morderca pozbawił Tony'ego palców. Płytkie nacięcia na drugiej dłoni sugerowały zamiar obustronnej amputacji.

– Może się znudził – powiedział Biro. – Albo nie miał już czasu. Ustalenie przyczyny śmierci należało do koronera, ale śledczy, pielęgniarka z dwudziestoletnim doświadczeniem, przyznała nieoficjalnie, że chrząstka gnykowa została zmiażdżona. Mikrowylewy w oczach mogły wynikać z wielu przyczyn, ale w połączeniu z uszkodzeniami szyi uduszenie to „solidna ewentualność, zobaczymy, czy doktor się zgodzi”.

Milo wyszukał adres na Altair Terrace w planie miasta, znalazł krótki, łukowaty, ślepy dopływ północnowschodniego krańca Beachwood Drive.

Niedaleko rancza z końmi, gdzie jeździłem, kiedy pracowałem w Western Pediatrics. Odległość do przejścia na piechotę z Franklin Avenue, ale okolica mocno zarośnięta i upiornie cicha. Przypomniałem sobie, jak za zakrętami ścieżki rozpościerały się niespodziewanie suche, płaskie mesy. Wulgarny przekaz znaku Hollywood.

– Umieram z głodu – oznajmił Milo i zamówił cztery kanapki z grillowaną wołowiną z lokalu na Western. Ja zjadłem jedną on dwie, ostatnią oddał Tashy.

– Zwykle nie jadam czerwonego mięsa, ale to pachnie przepysznie – powiedziała.

O osiemnastej czterdzieści niebo zrobiło się filcowo-szare, miejscami czerniejące. Wsadziliśmy Taszę z powrotem do seville'a.

– Wciąż czuję smak tego pysznego sosu. – Oblizwała usta.

- Zachowuj się, to dostaniesz deser – odparł Milo.
- Taki pan miły. Podoba mi się ten samochód.
- Pojechałem do Beachwood, zaparkowałem dwie przecznice na południe od Altair Terrace.
- Milo rozpiął pasy.
- Pora na mały spacer.
- To pod górkę, na pewno dobrze się pan czuje?
- Twoja troska jest wzruszająca. Idziemy.
- Gwarantuje pan, że to bezpieczne?
- Czym się przejmujesz?
- Mógł mnie widzieć.
- Dlaczego sądzisz, że on tam jest?
- Pan mnie tam zabiera.
- Żeby odświeżyć ci pamięć.
- Już mówiłem, to na pewno tu.
- Jeszcze nie jesteśmy na tej ulicy.
- Ale czuję, że to tutaj.
- Jasnowidzka?
- Mam swoje przeczucia – odparła Tasha. – Jak włosy zaczynają mnie łaskotać, to sygnał.
- Wysiadaj z wozu.

Przecznice dalej:

- Możemy przynajmniej zwolnić, proszę pana? Stopki mnie bardzo bołą.
- Proponowałem ci adidasy.
- Do tej sukienki? Też coś. Nie możemy po prostu iść wolniej?

Milo odetchnął i skrócił krok.

Tasha do mnie mrugnęła.

Hebanowa noc; nie było chodników ani latarni, szerokie przestrzenie między działkami wypełnione niesforną zielenią i starymi drzewami. Świat w zarysie.

- To dom, w którym była impreza – oznajmiła Tasha. – Na pewno. Chodźmy.
- Szeptem.
- Przepraszam. To dom...
- Słyszałem. Który?
- Ee... jeszcze nie doszliśmy.
- Naprzód marsz.

Półtorej minuty później:

- To ten! Na samej górze!
- Szeptem, do cholery!
- Przepraszam, przepraszam. To ten. Na pewno.

Dłoń z długimi paznokciami wskazała niski, jasny prostopadłościan tkwiący w najwyższym punkcie ślepej uliczki.

Milo gestem kazał nam zostać w miejscu, minął trzy budynki, potem jeszcze cztery. Zatrzymał się tuż przed celem. Zaczekał. Zaryzykował i szybko omiótł fasadę latarką.

Gładka, nie licząc jednego okna z zamkniętymi okiennicami. Garaż po lewej z drzwiami z falistej blachy aluminiowej.

Snop światła latarki opadł na betonowy chodnik. Sosny i eukaliptusy górowały nad płaskim dachem. Od frontu rzadka roślinność: pajęczka juka i karłowata palma.

Milo wrócił.

– Jesteś pewna?

– Na sto procent – potwierdziła Tasha. – Przez to głupie kolczaste coś poszło mi oczko w pończosze. A stamtąd, jak się wyjdzie z tyłu, widać znak Hollywood, a tam Tony, niech spoczywa w pokoju, i ja spacerowaliśmy. – Wskazała łuk zaułka. – Wszystko mi się przypomina... Stamtąd dobiegało wycie kojota, tak się bałam, było ciemno tak jak teraz. Nienawidzę ciemności. Możemy już iść?

– Zostań z moim partnerem.

Milo wrócił na górę, podszedł bliżej do jasnego domu.

– To wspinanie nie wyjdzie mu na zdrowie – mruknęła Tasha.

Nie odpowiedziałem.

„ – Powinien poćwiczyć... niewiele pan mówi... upiornie tu, cisza aż strach... jakby coś miało na nas wyskoczyć. Cisza to w sumie zło. Diabeł lubi ciszę. Chce, żeby człowiek myślał, że wszystko jest ładnie i spokojnie, a potem skacze i łapie. To zła cisza. Nawet w Fontana była lepsza cisza niż ta tutaj. Kiedy wszystkie kury spały, słychać było pociąg. Lubiałam leżeć w łóżku, nasłuchiwać i zastanawiać się, dokąd jedzie... dobra, wraca, może już się dość napatrzył i zaraz się stąd wyniesiemy.

– Nie jestem pewien – powiedział Milo – ale wygląda na to, że nikogo nie ma w domu.

– Włosy mi mówią że to znak od Boga. Zmywajmy się stąd gdzieś, gdzie jest głośno.

Kiedy schodziliśmy z Altair Terrace, Milo telefonicznie zarysował plan obserwacji na dzisiejszą noc.

– Czuję, że wraca mi apetyt – oznajmiła Tasha przy Beachwood. – Możecie mnie wyrzucić pod Baskin-Robbinssem.

Zanim Milo zdążył odpowiedzieć, zalało nas światło reflektorów.

Samotny pojazd nadjeżdżający z południa.

Milo wepchnął Tashę w krzaki.

Reflektory dotarły do skrzyżowania. Volkswagen bus, ciemny kolor, w gęstym mroku trudny do określenia. Głośny zgrzyt, kiedy opony skrzyły w lewo na Altair.

– Przydałby im się płyn do wspomagania.

Milo wyszedł z zarośli, sięgnął do boku busa, kiedy ten skręcał, zapukał w drzwi pasażera.

Jedną ręką na pistolecie w kaburze, drugą wymachiwała odznaką.

Bus stanął. Milo wykonał gest kręcenia korbką.

Okno pasażera zostało ręcznie opuszczone. Kierująca autem kobieta wychyliła się do Mila.

Młoda, koło trzydziestki; szeroko otwarte, zaskoczone oczy, krótkie ciemne włosy. Tył busa był zavalony kartonowymi pudłami.

– Mieszka pani przy tej ulicy?

– Aha. Coś się stało.

– Nic takiego, nie ma się czym przejmować. Zna pani mieszkańców domu na końcu?

– Raczej nie.

– Nie?

– Ja... nie ma ich tam.

– Rzadko bywają?

Jej wzrok skoczył ku tyłowi busa.

– Raczej tak.

– Wszystko w porządku? – spytał Milo.

– Zaskoczył mnie pan. Muszę jechać. Zająć się dzieckiem. Przygryzając wargę, nacisnęła gaz, z chrupnięciem wrzuciła bieg i samochód wyrwał do przodu.

Milo odskoczył, ledwie utrzymał równowagę. Patrzyliśmy, jak bus z wysiłkiem pnie się po Altair.

– Może mi się tylko zdawało, ale to była bardzo przerażona dziewczynka – powiedziała Tasha.

Zostaliśmy w ciemności, patrzyliśmy, jak bus parkuje między jasnym domem a sąsiednim.

– Kiedy spytałeś ją, czy tu mieszka, odparła: „Coś się stało”. To było stwierdzenie, nie pytanie – zauważyłem.

Milo znów zadzwonił, szeptem przekazał rozkazy.

Bus stał na miejscu przez kilka minut, zanim kobieta wysiadła i otworzyła tylne drzwi.

Pokręciła głową, jakby odpowiadała niewidocznemu rozmówcy.

Z samochodu wysiadła druga postać. Wyższa, krótkie włosy, koszula i spodnie.

Mężczyzna.

Wskazał na kobietę i oboje wyciągnęli coś z busa.

Prostokątny karton, z metr dwadzieścia długości.

Mężczyzna odsunął kobietę na odległość ramienia, sam wyciągnął pudło do końca, opuścił je na ziemię.

Łomot był słyszalny aż w tym miejscu, gdzie staliśmy.

Kobieta pisnęła. Mężczyzna złapał ją za ramię. Ucichła.

Sięgnęła do pudła.

Uderzył ją po rękę. Znów wskazał. Odsunęła się kilka kroków. Stanęła. Z dłonią na ustach.

Mężczyzna zaczął kołysać kartonem.

Puścił go.

Kobieta rzuciła się do przodu, przytrzymała pudło i postawiła prosto.

Mężczyzna oparł dłonie na biodrach.

Odgłos śmiechu poniósł się w dół Altair.

Kobieta usiłowała podnieść pudło. Bez skutku.

Mężczyzna złapał drugi koniec i we dwoje ponieśli je w stronę jasnego domu.

– Czas na aerobik – powiedział Milo i ruszył przed siebie w wielkich butach z gumowymi podeszwami.

Usłyszałem szamotaninę, zanim ją zobaczyłem.

Tasha zadrżała, złapała się gałęzi. Zaszleściły liście.

– Nie ruszaj się nawet na krok – ostrzegłem.

– Nie musi mnie pan przekonywać. Poszedłem za Milem w górę ulicy.

Dziesięć metrów przed domem dostrzegłem detale.

Milo na szeroko rozstawionych nogach. W obu rękach trzyma swoją dziewiątkę. Broń wymierzona w uśmiechniętą twarz mężczyzny – Nicholasa Heubela.

Szybki bieg pod górę, ale ani śladu chrapliwego oddechu.

Heubel miał na sobie prostą bluzę z dekoltem w łódkę, białe rybaczki odsłaniające włochate kostki; czerwone bakelitowe kolczyki, czerwona szminka. Dwudniowy zarost i babcine okulary dopełniały obrazu.

Kiepski dowcip. Trzymając kobietę za szyję, ciągnął ją w tył. Kręgosłup miała wygięty w łuk, oczy patrzyły w niebo.

W drugim ręku Heubela mały czarny pistolet, przyciśnięty do wieka kartonu.

Chyba go przebił – lufa zagłębiała się w dziurze.

– Proszę, puść go! – zawołała kobieta. – Ma mało powietrza.

– Dobry pomysł, Dale – odezwał się Milo.

Heubel nie zareagował.

– Moje dziecko – załkała głośno kobieta, a Heubel wbił pistolet głębiej w karton.

– Może okazałbym mu łaskę, gdybym rozwalił jego szkrabi mózdzek – wycedził.

– Błagam! – zawyła kobieta.

W domu w połowie długości Altair zapaliło się światło.

– Popatrz, co narobiłaś – warknął Heubel i nacisnął pistolet tak mocno, że cała lufa zniknęła w pudle. Tektura się ugięła. Heubel kopnął karton.

Ze środka dobiegł stłumiony płacz.

– O Boże, proszę, błagam – wymamrotała kobieta.

Heubel wykręcił jej rękę.

– Zły pomysł, Dale – powiedział Milo.

– To ja tu jestem od pomysłów – odparł Heubel dziwnym, nieobecny głosem.

– Wezwałem wsparcie, Dale. Opuścić sobie już teraz.

– Dale – powtórzył Heubel. – Kto to jest, u licha?

Płacz z pudła zrobił się głośniejszy.

Potem: kaszel.

– On się dusi! – zawołała kobieta.

- Życie mija – odparł Heubel. – Trzeba doceniać, co mamy.
- Proszę! On ma tylko dwa lata! Milo zrobił krok do przodu. Heubel znów kopnął karton.

Milo przysunął się bliżej.

- Podejdz jeszcze trochę, a zrobię bum-bum Bam-Bamowi – zagroził Heubel.
- Emilio – wystękała kobieta. – On ma imię!
- Tylko spokojnie – powiedział Milo.
- Dobry pomysł – odparł Heubel. – Jestem łagodny jak polewa na cieście. Ktoś tu lubi...

anagramy?

Kobieta zaskomlała.

- Będą tu lada chwila, Dale – ostrzegł Milo.
- Nie obrażaj mojej inteligencji – parsknął Heubel. – Wiem, że jesteś sam i nie masz radia.
- Wcześniej wezwałem posiłki.

Szybki skręt ramienia. Kobieta zacharczała.

- Cicho – warknął Heubel. – Wierzę w szczęśliwe zakończenia, a ty nie, *chiguita?*
- Tak, tak, proszę, puść go...
- Chyba mamy inne definicje happy endu.
- Nie chcę obrażać twojej inteligencji, ale...
- Twoja obecność obraża moją inteligencję. Heubel wwiercił pistolet w pudło.
- Ładny ciuch – zauważył Milo. – Kto ci szyje?

Heubel się wzdrygnął. Dłoń z pistoletem na chwilę zwiotczała. Wyskoczyłem z krzykiem.

- Stój! Nie ruszaj się, rzuć broń, rzuć broń! – Czy coś podobnego, kto by zapamiętał.

Heubel gwałtownie odwrócił głowę w stronę hałasu, rozluźniając duszący uchwyt. Kobieta ugryzła go w rękę. Odepchnął ją.

- Do widzenia, Emilio – powiedział.

Milo opróżnił magazynek.

Heubel stał jeszcze przez kilka sekund. Podniósł ręce, jakby się poddawał. Upadł.

Jeden z jego kolczyków odpadł jak drobina gradu.

Kobieta rzuciła się do pudła, z wrzaskiem zdarła pokrywę.

Wyciągnęła łkającego, wierzgającego brzdąca i przytuliła go do piersi.

Heubel wydał dziwny, piskliwy odgłos.

Kiedy dziecko się uspokoiło, kobieta podeszła do trupa Heubela. Kopnęła go z wściekłością.

Kobieta nazywała się Felicia Torres i miała dwadzieścia osiem lat. Jej mąż, architekt krajobrazu studiujący wieczorami biologię, został wysłany trzy miesiące temu przez Gwardię Narodową do Iraku. Bez dochodów Stuarta oszczędności młodej rodziny szybko się wyczerpały, więc Felicia poszukiwała tymczasowych zajęć. Brak znajomości obsługi komputera ograniczał jej możliwości pracy biurowej. Zaczęła mierzyć niżej.

Dwie posady przy sprzątanii biur w śródmieściu nie wypaliły, bo koszty opiekunki do dziecka pochłaniały niemal całą pensję.

Ogłoszenie o „dwudniowej pomocy przy sprzątanii domu” w Brentwood wyglądało obiecująco. Wspomniała dzielnicę, „hojne wynagrodzenie”, a do tego mężczyzna, który odebrał telefon, wydawał się przyjazny.

Oferował dwadzieścia dolarów za godzinę, o wiele więcej niż miała nadzieję Felicia. Kiedy „Nick” z chęcią się zgodził, by przywodziła ze sobą Emilia, to przeważało.

Hyundaia miała w warsztacie. Musiała pojechać autobusem ze swojego dwupokojowego mieszkania w Venice i przejść spory kawał Sunset, pchając Emilia w wózku. Długo szukała ulicy. Nie było chodników, więc wózek podskakiwał, ale dzięki temu Emilio łatwiej zasnął.

Kiedy w końcu znalazła dom, wiedziała, że wygrała los na loterii. Prześcignęła, ogromna posiadłość. Lśniący biały lexus na podjeździe.

Zapukała do drzwi.

– Otwarte, proszę wejść – odezwał się ten sam przyjazny głos.

Nick – miły, wysoki, bardzo dobrze zbudowany mężczyzna. Przystojny, w typie starszego bogatego gościa.

– Wręczył jej studolarowy banknot.

– To zaliczka, niech pani pilnuje godzin i powie mi, kiedy będzie się należało więcej.

Dom okazał się jeszcze bardziej przestronny, niż wyglądał z zewnątrz, z katedralnymi sklepieniami i białymi ścianami. Bardzo jasny, nawet przy wyłączonych światłach.

Ku zaskoczeniu Felicii, był zupełnie pusty. I bardzo czysty. A setkę w kieszeni miała i tak, i tak.

Emilio wciąż chrapał. Felicia rozejrzała się za miejscem, gdzie mogłaby zostawić wózek.

Nick uśmiechnął się, szepnął „Słodziak” i zaprowadził ją do pokoju w głębi domu. Tam rozstawił płotek dla dzieci i trochę zabawek. Niewiarygodne.

Kiedy próbowała mu podziękować, wzruszył ramionami, zabrał wózek i odstawił go w kąt.

Słońce wpadające przez wielkie, nieskazitelnie czyste okna przemieniało dębiny podłogi w złoto. Na Emilia nie świeciło; Nick postawił wózek w chłodnym, ocienionym kącie – co za opiekuńczy człowiek. Za szybą Felicia zobaczyła bujny, tropikalny ogród i błękit basenu.

Zastanawiała się, co Stuart pomyślałby o roślinach. Jej bardzo się podobały, ale nie była znawcą.

Śliczne zabawki, niektóre jeszcze w pudełkach. Nick uśmiechnął się szeroko.

– Nie mogę uwierzyć, że poświęcił pan tyle czasu...

– Nie ma o czym mówić, Felicio.

Zwrócił się do niej po imieniu, jakby znali się od dawna.

– Dla mnie jest – powiedziała. – To musiało kosztować...

Nick położył palec na jej ustach.

– Najważniejsze, że kiedy się obudzi, będzie szalał.

– Na pewno, takie właśnie lubi najbardziej... ma pan dzieci?

– Jeszcze nie. Poszedłem do Toylandu, spytałem sprzedawczynię.

– To takie...

– Felicio, gdyby nikt nie starał się odrobinę bardziej, niż musi, świat byłby bardzo smutnym miejscem... chodź, pokażę ci, co jest do zrobienia. A w razie potrzeby zajmij się małym człowiekiem, nie krępuj się.

Felicię zaszczypały oczy. Może Nick wyczuł jej emocje.

– Lubię pomagać – wyjaśnił. – Tak naprawdę z samolubstwa. Dzięki temu sam się lepiej czuję.

Emilio obudził się w dobrym humorze. Zabawki go pochłonęły i dostał amoku, ale potem się uspokoił i skupił na plastikowych samochodzikach. Robił poważną minę dorosłego człowieka, przypominającą Felicii jej tatę na Florydzie.

Jedno wydawało się dziwne: Emilio chyba nie lubił Nicka, mazał się, kiedy mężczyzna próbował go zagadywać. Ale był nieśmiałym dzieckiem, nieprzyzwyczajonym do obcych.

Najważniejsze, że miał zajęcie i Felicia mogła spokojnie pracować.

Zresztą trudno było wymagać łatwiejszego zadania.

Felicia zastanawiała się, czemu Nick chciał płacić komuś za czyszczenie każdego centymetra podłóg i ścian, szorowanie granitowych blatów i mebli w wyraźnie nieużywanej kuchni.

Potem kazał omieść ściany drugi i trzeci raz, dał świeżo podarte koszulki i amoniak w spreju, żeby „porządnie wyszorowała” kąty. Pomyślała, że to trochę dziwne, ale cóż, to jego pieniądze. Poza tym zamówił pyszne tajskie jedzenie z lokalu w Country Mart i przyniósł słodycze dla Emilia.

Domyślił się jakoś, że przepadała za tajskim jedzeniem.

Użyłaby szczotki do zębów i lupy, gdyby tego chciał.

Kiedy sprzątała, Nick był zajęty w głównej sypialni, wychodził od czasu do czasu zapytać, czy wszystko w porządku.

Między drugim a trzecim sprzątaniem zażartowała, że czuje się jak w serialu kryminalnym, gdzie są usuwane ślady zbrodni. Nick uznał, że to prześmieszne.

Drugiego dnia spóźnił się autobus, więc ona też, ale Nick nie robił z tego problemu. Poklepał

Emilia po głowie, a Felicia znów zabrała się za jadalnię. Potem zaprowadził ją do głównej sypialni, jedynej części domu, w której wcześniej nie sprzątała.

To było coś innego.

Wszędzie piętrzyły się stosy ubrań – na łóżku, na podłodze, w garderobie. Tylko w kącie leżały gotowe do poskładania kartonowe pudła.

Jakby zawartość całego domu została zebrana w tym jednym pokoju.

– Popakuj wszystko, ale nie za ciasno – poprosił Nick. – Jeśli uda ci się podobierać ubrania mniej więcej według koloru, to świetnie, ale nie przejmuj się, jeśli nie będzie idealnie. Wiesz, jak składać kartony?

– Jasne.

– W takim razie to wszystko. – Szeroki uśmiech. – Wychodzę na chwilę. Zostawiłem w lodówce coś do picia i do przegryzienia... Naprawdę fajnie, że mi pomagasz, Felicio.

– Ja też się cieszę – odparła. Rany, ależ to zabrzmiało głupio. – Ee... czy potem, kiedy już nie będzie jedzenia, mam jeszcze raz wyszorować lodówkę?

Nick się zastanowił.

– Nie, nie trzeba.

Nie trwało długo, zanim zorientowała się, że to wszystko dla kobiety. Dużej kobiety. Drogie, ekskluzywne rzeczy.

Suknie i sukienki, jedwabne bluzki i spódnice. Tweedowe kostiumy – cała kolekcja. Jedwabne neglige i rajstopy, i prawdziwe jedwabne pończochy, do których potrzebne były podwiązki i klipsy, dotąd nigdy takich nie widziała. Sporo staników, okazałe rozmiary.

Pod jednym ze stosów znalazła śliczne, małe skórzane pudełeczka z biżuterią. W kącie stały wciśnięte stare pudła na kapelusze, okrągłe i sześciokątne, a w nich pierzaste cloche, filcowe derby, berety, delikatne kapelusze słomkowe z drewnianymi wisienkami wetkniętymi za opaski. Jedna niebieska kraciasta czapka – wyglądała na męską, ale kobietom z odpowiednią urodą też by świetnie pasowała.

Felicia przymierzyła ją, przekrzywiła zawadiacko, wyszczerzyła się do lustra.

Ludzie mówili, że do twarzy jej w czapkach i kapeluszach.

Rozsuniecie dwóch innych stosów w rogu odsłoniło sporą liczbę plastikowych toreb z tubkami i słoiczkami drogich kosmetyków. Niektóre były wyschnięte, ale i tak je spakowała. To Nick był szefem.

W monstrualnej plastikowej torbie znalazła tuzin peruk przełożonych bibułą. Najróżniejsze kolory i style. W drugiej, podobnej, stały piankowe modele, na które się peruki zakładało.

Najfajniejszym znaleziskiem były trzydzieści trzy najpiękniejsze szale, jakie Felicia w życiu widziała. Vuitton, Armani, Chanel, Escada. Policzyła je, bo nie widziała dotąd tyle wspaniałego, ręcznie malowanego jedwabiu w jednym miejscu.

Żadnych męskich rzeczy, ani skarpetki.

Felicia zastanawiała się, czy Nick nie jest projektantem mody. A może to mąż aktorki, która podróżowała i potrzebowała tyle ubrań na zmianę.

Potężna kobieta, pewnie aktorka charakterystyczna. Wyobraziła ją sobie: wysoka, piersiasta, na pewno blondynka. Duża, ale jędrna i kształtna.

Felicia kiedyś nosiła totalnie małe rozmiary. Straciła cały tłuszcz po ciąży, ale dwa lata później znów trochę przybyła na wadze, więc wołała nosić luźne bluzy.

Nie mogła się równać ze wspaniałą żoną Nicka.

Głupia myśl!

Jak te fantazje, które zaczęły wypełniać jej głowę od poprzedniego wieczoru.

Leżała w łóżku, mając nadzieję, że Emilio prześpi całą noc. Myślała o Stuarcie w Faludży. Nie odzywał się od trzech tygodni. Rozłąka stawała się coraz bardziej nie do zniesienia.

Twarz Stuarta się rozmyła.

Twarz Nicka zajęła jej miejsce.

Felicji zrobiło się głupio i wstyd.

Zwalczała marzenie, ale ono wracało i w końcu się mu poddała.

Ona i Nick.

Zaczyna się przyjacielsko, zupełnie niewinnie.

Są razem w waniliowym domu. Piękny, ciepły, słoneczny dzień.

Ona wyciera kurze i zamiata na zewnątrz.

Idzie posprzątać nad basenem. Jest gorąco. Zdejmuje bluzę. Pod spodem ma skąpy czarny top. Ulubiony Stuarta, kiedy się...

Z jakiegoś powodu włożyła go do pracy.

Bez stanika.

Przeciąga się. Pochyla, przypadkowo pokazuje swoje rozkołysane cycki.

To nic, nikogo nie ma.

Ojej; ktoś jest.

Nick. Leży pod palmą, czyta książkę.

Ma na sobie tylko spodenki kąpielowe. Ładne ciało, ani grama zbędnego tłuszczu.

Widzi ją, uśmiecha się.

Ona odpowiada uśmiechem, nieśmiało.

Zerka na jego kąpielówki.

O, coś takiego trudno przeoczyć.

Nick się czerwieni. Próbuje zakryć dowody winy książką.

Ona się uśmiecha. Podchodzi do niego, bardzo powoli.

Oboje starają się nad sobą panować, bo są porządnymi ludźmi.

Ale...

Na wspomnienie nocnych fantazji policzki Felicii zapłonęły. Poczowała, że miękną jej kolana.

Z kąta pokoju z zabawkami zapłakał Emilio.

Dzięki Bogu za odwrócenie jej uwagi.

Pod koniec trzeciego dnia Nick wrócił do domu około piątej, gwizdał, wyglądał na zadowolonego i niósł dużą, brązową skórzaną torbę.

– To też mam zapakować? – spytała Felicia.

– Nie trzeba. Widzę, że świetnie ci poszło, Felicio.

Fakt. Spakowała większość ubrań, wszystko poskładała i posegregowała według koloru i rodzaju materiału. Pochwaliła się tym.

– Jedwab z jedwabiem, len z lnem.

Nick błysnął szerokim, białym uśmiechem. Zdjął okulary i popatrzył na nią czystymi, piwnymi oczami.

Felicia była szczęśliwa, że może komuś sprawić przyjemność. Poza tym miała mieszane uczucia. Wiedziała, że Stuart pisze najczęściej, jak może, ale...

– Zrób sobie przerwę – powiedział Nick.

Chłodne palce dotknęły jej karku. Kiedy on się zbliżył na tyle, żeby to zrobić?

Cofnęła się, czując ogień na policzkach. Czy jakoś dała Nickowi znać, jakie myśli kłębią się jej w głowie...

Jego uśmiech się wykrzywił.

– Przejrzę pudła. Sprawdźę, czy wszystko jest jak trzeba.

– Mam nadzieję, że będzie jeszcze coś do zrobienia – odparła Felicia. – Świetny z pana szef.

Dlaczego to powiedziała?

Nick się zaśmiał.

– Szef? Jesteśmy dwojgiem ludzi, którzy doszli do porozumienia. Odpocznij, Felicio. Posiedź nad basenem, napij się czegoś, spociałś się.

Przeciagnał palcem po jej rękę. Zadrzała.

– Jasne.

Zamknął drzwi do głównej sypialni. Felicia poszła do kuchni, wyniosła sobie na dwór dietetyczny brzoskwiniowy napój i pudełko soczystych, świeżych truskawek, które Nick kupił rano w Country Marcie.

Wyciągnęła się na leżaku. Na tym samym, na którym wyobrażała sobie Nicka. Przeciagnała się, ziewnęła. Napój, truskawki i słońce zrobiły swoje.

Kiedy się obudziła, niebo było ciemne. Według jej zegarka, spała trzydzieści pięć minut.

Teraz musiała pojechać późniejszym autobusem, iść na piechotę po ulicach, po których czasami krążyli ludzie z gangów.

O Boże, Emilio nie jadł obiadu! A więc czemu nie płakał?

Pospieszyla do środka, do pokoju z zabawkami.

Emilia nie było.

Zawołała go.

Usłyszała dziwny odgłos – jakby trzepotanie się ptaka ze skrzepowanymi skrzydłami.

Z głównej sypialni.

Pobiegła tam, otworzyła drzwi.

Nick odsunął pudła i zrobił trochę miejsca, gdzie teraz siedział Emilio w wózku. Otoczony z trzech stron. Jakby zamurowany.

Synek ją zobaczył.

– Mama! – zawołał.

– Biedny maluch – powiedział Nick. – Obudził się w kiepskim humorze.

Odwróciła się do niego. Rozdziawiła usta.

Nick był ubrany w lawendową suknię balową, z piersią wypchaną aż do dekolту.

Włochatego dekolту.

Do tego kołyszące się, fioletowe kolczyki w uszach, tandetna purpurowa szminka, grube sztuczne rzęsy. W połączeniu z jego krótkimi włosami i zarostem to było... to było...

Obrócił się, oparł rękę na biodrze, zakręcił tyłkiem.

Do niej. A potem do Emilia.

– Mama!

– *Voilà* – powiedział Nick. – *Très chic, non?*

Emilio zapłakał głośniej.

Ni stąd, ni zowąd Felicia się zaśmiała.

Nie wiedziała dlaczego. Nieważne, ile razy próbowała to sobie wyjaśnić, nigdy nie umiała zrozumieć, dlaczego.

Bo nie uważała, żeby to było śmieszne, nic a nic, czuła obrzydzenie i strach, i...

I wyszedł jej śmiech.

A słysząc to, Nick zupełnie się zmienił.

I miał pistolet.

Większość następnego dnia spędziłem w Centrum Medycznym Western Pediatry, wprowadzając Felicię Torres w szpitalny system. Obserwując Emilia.

Chłopiec trzymał się matki, niemy i spięty.

Fizycznie w porządku, według doktora Rubena Eagle'a, mojego starego przyjaciela i ordynatora przyszpitalnej poradni. Zgodziliśmy się, że Rochelle Kissler – młoda psycholog, moja dawna studentka – będzie świetna do terapii długoterminowej.

Przedstawiłem ich oboje Felicii, spytałem, czy chce jeszcze o czymś porozmawiać.

– Nie... jestem taka zmęczona.

– Czy ktoś mógłby z panią zostać?

– Moja mama – powiedziała. – Mieszka w Phoenix, ale przyjedzie, jeśli poproszę.

Wykręciłem numer, siedziałem obok, kiedy rozmawiała. Rozłączyła się ze znużonym uśmiechem.

– Będzie tu jutro.

– Potrzebuje pani kogoś do tego czasu?

– Nie, dam sobie radę... To bardzo miło z pana strony.

– Jesteśmy tu po to, żeby pani pomagać.

Zaczęła się trząść.

– Co się stało?

– To właśnie mówił Nick. Udawał, że chce pomagać.

Milczałem.

– Nigdy mu nie ufałam, doktorze. Od chwili, kiedy go zobaczyłam.

Milo i ja zdekompresowaliśmy się w barze w Santa Monica. Jedenasta wieczór; Milo spędził cały dzień z Raulem Birem i dwoma innymi detektywami z Hollywood, przetrząsając dom na Altair Terrace.

Jedna z nieruchomości, które Dale Bright kupił jako Nicholas Heubel. Drugą był domek niedaleko Palmdale, gdzie uwięził Felicię Torres w łazience. Zmusił ją, żeby sobie wyobrażała, co on robi Emiliowi.

Głównie go ignorował. Pozwolił dziecku płakać, potem krzyczeć. Nie dawał jeść ani pić. Potem szybko zapakował malca do kartonu.

Otwory na powietrze, żeby przedłużyć mękę.

– Wiem, że powinienem przeżywać zastrzelenie kogoś – powiedział Milo. – Ale, Bóg mi świadkiem, Alex, żałuję, że nie miałem więcej kul.

Trzy z pięciu pokoiów na Altair były wypełnione pamiątkami. Ładny widok na znak Hollywood z rogu tarasu. Biały lexus w garażu.

Bentley został przeniesiony z laboratorium na ten sam wynajęty przez departament parking, na którym stał zlekceważony samochód Kat Shonsky.

- Komendant może go wykorzystać jako służbowe auto – powiedziałem.
- Zaprzęgnie dwa araby do przedniego zderzaka, będzie akurat.

W szafce w łazience Ansella „Dale’a” Brighta nie było nic mocniejszego od aspiryny i środków na przeziębienie.

Pod umywalką stało pudełko z polerowanego orzecha, pełne ampułek syntetycznego testosteronu. Drugi pojemnik – z klonu – zawierał hermetycznie zamknięte igły do strzykawk.

- Pompował się? – rozważał głośno Milo. – Pod sukienki?

Podniosłem rękę.

Dopił swoje martini i opowiedział mi o paszportach na dwa tuziny aliasów, zbiorze papierów dokumentujących szlak Brighta od Nowego Jorku przez Londyn, Paryż, Lizbonę, z powrotem do Anglii, Irlandię, Szkocję. Ostatni przystanek: Zurych.

Trammel Dabson był kolejną ukradzioną tożsamością. Taka sama data urodzenia, jak Brighta i nieszczęsnego Nicholasa Heubela.

Prawdziwy Trammel Dabson – niemowlę pochowane na cmentarzu Morton Hall w Edynburgu.

Bright przerysował nagrobek, wpiął kartkę do albumu.

Jednego z piętnastu.

Kronika życia w przebraniu.

Pamiątki nie ograniczały się do papierowych rzeczy. W małej piwniczce wykutej w skale wzgórza za domem Milo odkrył trzy metalowe skrzynki, a w nich pełno broni palnej, noże, dwa palniki acetylenowe, mocna lina, chirurgiczne rękawiczki i narzędzia, skalpele, sondy, rozwieracze, fiolki z trucizną.

Wycinki z zagranicznych gazet tworzyły jeszcze inną chronologię.

Niewyjaśnione morderstwo gospodarza pensjonatu w Jedenastym Arrondissement w Paryżu.

Zniknięcie oksfordzkiego właściciela pubu, słynącego z paskudnego charakteru.

Artykuł po portugalsku, który trzeba było przetłumaczyć. Ale ziarniste zdjęcie przysadzistej kobiety i powtarzające się słowo *assasinato* bardzo wiele mówiły.

Dom w Brentwood służył jako fasada i nie było w nim nic o wartości kryminalistycznej: Prestiżowy adres do celów życia towarzyskiego, które fałszywy Heubel miał nadzieję prowadzić jako doradca finansowy. Soraya Hamidpour miała klienta „z branży” gotowego się wprowadzić.

Dostęp do komputera Brighta był prosty. Wystarczyło wpisać nazwisko.

Na twardym dysku znajdowały się głównie dane finansowe – algorytmy handlowe, historie

transakcji, linki do giełd na świecie – i trochę sadystycznego porno.

W oddzielnym folderze szkice prospektu, który „Nicholas St. Heubel III” stworzył i datował dwa lata wcześniej. Plany założenia Hydro-Worth, funduszu hedgingowego kładącego nacisk na branżę naftową. Bright dołączył do tego nadętą biografię, skłamał o studiach w Eton, Harvardzie i Wharton, określił się jako „genialny taktik i finansowy jasnowidz”.

Te przechwałki miały pewne podstawy. Po przybyciu do Londynu z Nowego Jorku, Bright wykorzystał sfalszowane referencje, by objąć posadę w domu maklerskim. Nauczył się obrotu papierami wartościowymi na tyle, by otrzymywać ogromne premie za skuteczność. Dostał też list polecający od dyrekcji.

Po półtora roku odszedł, zaczął inwestować dla siebie. Dziewięć lat po odziedziczeniu miliona dolarów, jego oszczędności wzrosły do siedmiu milionów.

Nie licząc konta w szwajcarskim banku, do którego dostęp miał chwilę potrwać.

Coś jeszcze ze Szwajcarii: na końcu jednego z albumów była przyklejona faktura z kliniki w Lugano wypisana eleganckim odręcznym pismem. Nic nie wyszczególniono: kurs franka przekładał się na pięćdziesiąt pięć tysięcy amerykańskich dolarów.

– Niewykluczone, że miał problem z narkotykami, więc zafundował sobie pobyt w luksusowej klinice odwykowej – powiedział Milo. – Ale nie licząc paliwa macho, nie znaleźliśmy nic podejrzanego.

– Może odwyk był udany – odparłem. – Jeśli tak, tym gorzej dla społeczeństwa.

– To znaczy?

– W jego własnej głowie przejaśniło się na tyle, żeby mógł odrąbywać je innym.

Mimo finansowych talentów, Nicholas St. Heubel III nie znalazł żadnych klientów i Hydro-Worth pozostał planem.

– Powierzchnownie ujmujący, ale potem może wystraszał kontrahentów. Tak samo jak siostry – zasugerowałem.

– Za bardzo słodki, żeby mu to wyszło na zdrowie.

– Gra dawała mu za dużo przyjemności.

– Raul znalazł zapisek Brighta na drukowanej wersji prospektu. „Pora na oszczędny tryb życia, skup się na tym, co ważne”.

– Wyznaczał sobie priorytety – powiedziałem.

– Znów tym gorzej.

Kiedy pracowaliśmy nad drugą kolejną, telefon Mila na barze zawibrował.

Niestłyszalnie przez gwar rozmów i stary mecz w telewizji.

Milo patrzył, jak telefon skacze niczym meksykańska fasola, przeżuł oliwkę, przelknął, podniósł aparat.

– Sturgis... długo pan nie śpi, doktorze... naprawdę? O rany... Jestem wdzięczny, coś jeszcze? To prawda... Spytam go, dzięki, że mi pan dał znać.

Opróżnił szklanke, machnięciem zamówił następną.

– Który to doktor? – spytałem.

– Weinberg, od koronera. Autopsja Dale’a dostała priorytet, rozkaz komendanta.

– Tyle dziur po kulach i konieczna była autopsja?

– Strzelaniny z udziałem policjantów muszą być traktowane z najwyższą troską – oznajmił Milo, jakby mówił o kimś innym.

Podano drinka. Milo się napił. Zanucił coś, czego nie dosłyszałem.

– Co? – spytałem.

Odstawił szklanke na bar, zakręcił słomką.

– Okazuje się, że Dale-Nick-Pan Dziwadło nie miał jaj. Dosłownie. Usunięte chirurgicznie, czysta robota, ładnie wygojone.

– Szwajcarska klinika.

– Słyszałem, że za pieniądze można tam sobie załatwić wszystko.

– Zapłacił, żeby się wykastrować, ale brał testosteron, żeby pozostać mężczyzną. – Pokręciłem głową.

– Bez wątpienia masz jakieś wytłumaczenie oparte na swojej wiedzy i ogromnym doświadczeniu.

Nad nami, na ekranie, zawodnik wykonał trzydziestometrowy bieg do przyłożenia. Prehistoria, ale niektórzy z pijących przy barze się podekscytowali.

– Mógłbym teoretyzować o żądzy absolutnej kontroli – powiedziałem. – Regulował sobie dawki, czerpał przyjemność z wahań.

– Ale?

Pomachałem do barmana. Wskazałem szklanke Mila. „Dla mnie to samo”, poprosiłem bezgłośnie.

Dwa dni po uratowaniu Felicii i Emilia Torresów Milo został wezwany do biura komendanta, by odebrać, jak założył, pochwalne poklepanie po plecach.

Tego ranka byliśmy obaj u koronera. Patolog sądowy chciał usłyszeć moją opinię na temat motywacji leżących u podstaw samookaleczenia Ansella „Dale’a” Brighta, jego manipulacji hormonalnej i fascynacji „makabrycznym altruizmem”.

Poczęstowałem go żargonem i chyba wszyscy byli zadowoleni.

– Może wejdiesz na górę – powiedział Milo, wjeżdżając na parking komendy głównej. – Jego Wysokość prawdopodobnie chętnie cię pozna.

– Prawdopodobnie?

– Miewa swoje humory.

– Dzięki, złapię trochę świeżego powietrza.

Poszedłem na spacer. Jesienne powietrze było czyste jak na śródmieście L.A., a bezdomni, których mijalem, wyglądali na spokojnych.

Pół godziny później wróciłem pod komendę i zastałem Mila chodzącego w kółko.

– Od dawna czekasz, Wielkoludzie?

– Dwadzieścia minut.

– Krótkie spotkanie.

– Teksas nadal wstrzymuje się z wyrokiem na Cuza Jacksona, aż do wyjaśnienia sprawy Antoine’a. – Milo wyciągnął palec i ściągnął brwi. – „Proszę coś z tym zrobić, poruczniku”.

– Ani słowa o Brighcie?

– „Cholerny przebieraniec dostał za swoje”.

Z powrotem do Hollywood Hills.

Obserwacja domu Wilsona Gooda po zmroku.

Noc na nic, potem taki sam dzień. Ciężko było znaleźć osłonę na wysoko położonej, słonecznej ulicy, ale Milo tak naprawdę nie miał wielkich nadziei. Drugiej nocy zaproponowałem, że z nim pojedę.

– Za dużo wolnego czasu? – spytał.

– Coś w tym rodzaju.

Sekretarka pana Dotcoma zadzwoniła rano, zapowiadając, że jej szef ma „zamiar sprawdzić stan swojego zamówienia” za trzy dni. Robin pracowała w nadgodzinach, żeby wykończyć mandolinę.

– Możesz przy tym być? – spytała.

– Mam ci potrzymać narzędzia?

- Po co te żarciki?
- A w czym problem?
- Absolutnie w niczym.

Zaparkowałem seville'a na południowym krańcu ulicy Wilsona Gooda. Wystarczająco blisko, by widzieć dom i elektryczną bramę z siatki, zamykającą do niego dostęp. Dwa słabe reflektory tworzyły bezużyteczne kałuże światła. Większość posesji była ciemna.

- Gdzie masz red bulla? – spytałem.
 - Cały dzień piłem kawę – odparł Milo.
- Przygotowaliśmy się na długie czekanie.
Niepotrzebnie; dwie minuty później obaj zauważyliśmy ruch za siatką.

Mężczyzna znalazł się w pułapce. Wciśnięty w kąt zignorował polecenie Mila, by się pokazał. Skulił się, jakby chciał być niewidoczny.

Milo stał w ciemnościach, z pistoletem w ręku. Przez ostatni tydzień używał go częściej niż przez poprzednie miesiące.

- Wyłaź, kolego.

Szum autostrady.

– Połóż ręce na głowie i podejdź w moją stronę. Natychmiast. Daleki, bydlęcy jęk klaksonu ciężarówki.

Milo powtórzył polecenie głośniej. Nic.

- Jak chcesz, przyjacielu. Tak czy inaczej, wychodzisz stamtąd.

Cisza.

- Lubisz węże strażackie?

Bzium, bzium, bzium z wielokilometrowej oddali.

Milo wezwał trzy patrolowce z Hollywood i ślusarza. Przyjechało pięciu funkcjonariuszy pod dowództwem sierżanta, który ocenił sytuację i powiedział:

- Nie widzę, co moglibyśmy działać.

Ślusarz zjawił się dziesięć minut później, przyjrzał się bramie zmrużonymi oczami z odległości dziesięciu metrów.

- Uzbrojony?

– Nie wiem.

- To co ja mam zrobić? Zresztą to elektryczny zamek, nic tu nie poradzę.

- Jakież propozycje?

– Użyjcie taktycznej broni jądrowej.

– Wielkie dzięki.

- Nie ma za co. Mogę już iść?

Pięć kolejnych minut bezczynności.

– Dojrzałeś do małej wspinaczki, kolego? – zawołał Milo.

Cisza.

– Słuchaj, i tak cię dorwiemy.

– Może jest głuchy – zasugerował sierżant. – W Central w zeszłym roku postrzelili głuchego, mieli spore kłopoty.

Milo kontynuował swój monolog. Na zmianę kusił i groził. Kiedy powiedział: „Dobra, dajcie gaz łzawiący”, głos zza ogrodzenia oznajmił:

– Wychodzę.

Na środku podjazdu ukazała się postać. Księżyc oświetlił połowę sylwetki.

Chudy, zabiedzony czarnoskóry mężczyzna. Potargane włosy, zmierzwiona broda, pomięte ubranie.

– Ręce na głowę.

Patykowate ramiona pospiesznie wystrzeliły w górę.

– Odwróć się i idź w moją stronę. Cofaj się, aż dotkniesz plecami bramy.

– Wiem, wiem – mruknął mężczyzna.

Milo przykuł obie jego ręce do siatki.

– Myślałem, że mam stąd wyjść. Przeszedłem przez płot w jedną stronę, mogę przejść w drugą.

Milo odwrócił się do sierżanta.

– Obok silnika powinna być ręczna kontrola systemu – powiedział. – Macie kogoś w dobrej formie?

– Ktoś się tu czuje jak Tarzan? – spytał sierżant.

– Ćwiczyłam kiedyś gimnastykę – zgłosiła się niska, krępa funkcjonariusz.

– Do roboty, Kylie.

Po kilku nieudanych próbach Kylie udało się oprzeć stopę o siatkę. Kilka chwil później przeszła na drugą stronę.

– Jest, na skrzynce.

– Słuchaj uważnie – zwrócił się Milo do skutego mężczyzny. – Brama się otworzy, po prostu przesuwać się razem z nią, nie panikuj.

– Ja nigdy nie panikuję – odparł mężczyzna.

– Żelazne nerwy.

– To też.

Uwolniony od bramy i znów skuty, mężczyzna zapatrzył się w przestrzeń.

Milo odesłał mundurowych, posadził czarnoskórego chudzielca na krawężniku.

– W końcu cię poznałem, Bradley.

Bradley Maisonette zwiesił głowę.

– Przyszedłeś do starego kumpla Willa? Ciekawy sposób na wizytę.

– Zna mnie pan? – zdziwił się Maisonette. – Chyba nie spotkaliśmy się wcześniej.

– Szukałem pana.

„Pan” sprawił, że Maisonette się wzdrygnął.

Uśmiechnął.

– Sporo się panu zeszło.

– No cóż... Porozmawiajmy.

– Jak pan to robił? – spytał Maisonette. – To znaczy, szukał mnie. Byłem wprost na widoku, żyłem sobie nieźle na Czwartej.

– Miasteczko Namiotów? Maisonette pokazał spróchniałe zęby.

– Nazywamy to Chodnikowym Przedmieściem. Bez przerwy się tam kręcę, wystarczyło popytać. Pokazać mamonę, jakiś ćpun by mnie wydał.

Mówił cicho, wyraźnie. Ubrania miał w strzępach, ale przez telefon robiłby wrażenie człowieka na poziomie.

– Pana kurator wiedział, że pan tam mieszka? – spytał Milo.

Bradley Maisonette się roześmiał.

– Oni? Nigdy z nimi nie gadam.

Zabraliśmy go z powrotem na komisariat w Hollywood.

– Jakie są zarzuty? – spytał.

– Tak z głowy mogę zaproponować: włamanie, usiłowanie kradzieży, opór przy aresztowaniu – wyrecytował Milo. – Niech mi pan da trochę czasu, to wymyślę więcej.

– Drobiazgi. Poradzę sobie.

– Nie będzie pan musiał, jeśli z nami porozmawia.

– To takie proste?

– Czemu nie?

– Nic nigdy nie jest takie proste.

Trafił do tego samego pokoju, który Tasha oznaczyła kwiatowym bukietem perfum i olejków. Niemyte ciało Maisonette’a śmierdziało kwaśno.

Pociągnął nosem, skrzywił się, jakby po raz pierwszy zarejestrował własny zapach.

Milo zaproponował mu coś do picia.

– Wezmę stek – oznajmił Maisonette. – Filet mignon, średnio wypieczony w środku, chrupiący z wierzchu, do tego ładnie zesmażona cebulka. Sałatka Cezar na początek, z przybraniem. Czerwone wino. Wolę kalifornijskie od francuskich: pinot noir.

– Jak pan będzie współpracował, Bradley, dostanie pan i kawior.

– Nie znoszę tego świństwa. Smakuje jak brudna cipka.

– Często odmawia pan jednego i drugiego?

Maisonette się uśmiechnął.

– Czemu próbował się pan włamać do domu Wilsona Gooda?

– Nigdzie się nie włamywałem.

Skóra Maisonette'a była obwisła, zryta zmarszczkami. Zaczerwienione oczy patrzyły smutno. Trzydzieści jeden lat, ale mógłby być w wieku swojego ojca. Prymitywne tatuaże na ramionach nie tuszowały udreńczonych żył i węzlastych zrostów.

– Co pan tam robił? – spytał Milo.

– Chciałem się zobaczyć z Willem.

– Dlaczego?

– Dzwonił do mnie.

– Kiedy?

– W zeszłym tygodniu.

– Ma pan telefon?

– Słuszna uwaga – przyznał Maisonette. – Przysłał na Czwartą swoją dziewczynę, a ona mnie zaprosiła. Powiedziała, że Will i ja musimy porozmawiać.

– O czym?

– Nie wspomniała.

– Ale i tak pan poszedł.

– Tydzień później.

– Nie musiała nic mówić – powiedział Milo. – Pan wiedział.

Chwila wahania.

– A co tam. – Wolno, ze znużeniem pokiwał głową.

– Co było tematem? – spytał Milo.

– Mamy tylko jeden wspólny temat – odparł Maisonette. – Nic więcej nas nie łączy.

– Good chciał z panem porozmawiać o Antoinie Beverlym.

– Wręcz przeciwnie. Zamierzał omówić nierozmawianie o nim. Miał to wyjaśnić, kiedy bym przyszedł.

– Kim jest dziewczyna, która pana odwiedziła?

– Biała, piegowata, jakaś Andy.

– To jego żona – wyjaśniłem.

Maisonette się wyszczerzył.

– Wierzycie we wszystko, co usłyszycie?

– Dlaczego miałyby kłamać? – spytał Milo.

– Will zadaje się z nią od dziesięciu lat. Jest trenerem w szkole parafialnej, musi porządnie wyglądać, więc mówi, że jest żonaty. Ale nigdy nie podpisali papierów.

– Są razem od dziesięciu lat?

– Will boi się zobowiązań – powiedział Maisonette.

– Utrzymujecie ze sobą regularny kontakt – zauważył Milo.

– Nieregularny, okazjonalny.

– Kiedy był ostatni raz?

– Jakiś czas temu, nie prowadzę kalendarza.

– Lata? Miesiące?

– Może rok – odparł Maisonette. – Potrzebowałem pożyczki, żeby stanąć na nogi.

– Will pomógł?

– Pewnie.

– Dobry przyjaciel.

– Znamy się od dawna.

– Wróćmy do teraźniejszości – powiedział Milo. – Andrea fałszywa żona przyszła przekazać panu, że Will zapłaci za milczenie o Antoine Beverlym.

– I tak nie chciałem rozmawiać. – Maisonette wzruszył ramionami. – Zadzwoń do niego, nie odebrał. I bardzo dobrze.

– Dlaczego Will nagle zaczął się martwić, że pan będzie mówił?

Maisonette się uśmiechnął.

– Po co zadawać pytania, na które zna się odpowiedź?

– Przydałaby mi się pańska.

– Bo sprawy zaczynały się komplikować.

– Sprawa Antoine’a znów została otwarta.

Kiwnięcie głową.

– Po wizycie Andrei dał pan nogę. Maisonette rzucił mu spojrzenie: „kto, ja?”

– Panie Bradley... – Milo westchnął głośno. – Nie jestem taki głupi, na jakiego wyglądam. Byłem na Czwartej ulicy wiele razy. Cpuny mówiły, że pan zniknął.

Gładkie kłamstwo; bez śladu zawahania. Maisonette wzruszył ramionami.

– Trochę wędrowałem. Nie postarał się pan.

– Cóż – odparł Milo. – Przynajmniej jest pan tutaj teraz i świetnie się bawimy. A więc co takiego na temat Antoine’a martwi Willa?

Maisonette podrapał się w zgięcie zdewastowanego ramienia.

– Nie oskarżycie mnie, prawda? Kiedy już znajdziecie Willa, powie wam od razu, że mogłem go odwiedzać, kiedy chciałem, więc nie ma mowy o bezprawnym wejściu na cudzy teren, a już na pewno o paragrafie 459.

Milo się zaśmiał.

– Przełazi pan przez jego ogrodzenie.

– Najpierw dzwoniłem. Myślałem, że jest w domu.

– Nikt nie odpowiada na dzwonek, a pan jednak wchodzi?

– Will czasem taki jest.

– Jaki?

– Ma depresję, całe dnie leży w łóżku, z nikim nie rozmawia. Przez ostatnie kilka lat było z nim lepiej, brał leki. Lubi swoją pracę, nie chce robić zamieszania. Ale wcześniej, kiedy studiowaliśmy, miał sporo nieobecności, pożyczał moje notatki.

– Razem chodziliście do college’u.

– Stanowego w Long Beach – powiedział Maisonette. – Studiowałem inżynierię elektryczną przez rok. Will skończył wydział Myszki Miki. – Napiął bicepsy. – Kultura fizyczna.

– Will od dawna cierpi na depresję? – spytałem.

– Od wieków.

– Zaczęła się po śmierci Antoine’a czy wcześniej?

Maisonette uniósł wzrok na sufit.

– To takie trudne pytanie, panie Bradley? – odezwał się Milo.

Maisonette poruszył się na krześle.

– Zjem coś teraz. I colę, z cukrem, nie dietetyczną.

– Najpierw niech pan odpowie na pytania.

Maisonette potarł dłonie. Wcisnął je we włosy i pociągnął dość mocno.

– Przed czy po? – powtórzyłem.

– Po.

– Will myślał o Antoine. Życie zrobiło się dla niego ciężkie.

– Mówi pan jak psychiatra.

– Bywa. Jak Antoine wpłynął na pana?

– Na mnie? Ja jestem wyluzowany.

– Will nie.

Maisonette objął się ramionami.

– Zimno tu, moglibyście panowie wyłączyć klimatyzację?

– Co dręczyło Willa? – drażył Milo. – Zrobił coś Antoine’owi? Zrobiliście coś razem?

Maisonette powoli odwrócił głowę. Jego oczy zaszyły łzami.

– Tak pan myśli?

– Panie Maisonette, mam tu rozgrzebaną sprawę zabójstwa sprzed szesnastu lat i dwóch rzekomych przyjaciół ofiary, którzy dają nogę.

– Rzekomych? Oto fakty: byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Najlepszymi. Ani ja, ani Will nic nie zrobiliśmy Antoine’owi.

– Rozpłynął się w powietrzu?

– Żaden z nas nie...

– A kto?

Maisonette przecesał włosy dłońmi. Na stół posypał się lupież. Milo rąbnął w blat tak mocno, aż zadźwięczał metal.

– Dość tego chrzanienia! Co się stało z Antoine’em?

Prawdziwa wściekłość. Maisonette sparował ją długim, chłodnym spojrzeniem.

– Nic.

Milo wstał. Oparł się o stół, prawie go przewracając swoim ciężarem.

– Szesnaście lat, Bradley. Rodzice Antoine’a żyli z brzemieniem niewiedzy. Ty i twój tak zwany przyjaciel byliście na pogrzebie, udawaliście załamanych. Szesnaście pieprzonych lat.

Chuda postać Maisonette’a zaczęła dygotać.

– Mów!

Maisonette opuścił głowę.

– Cholerny Will.

– Will coś zrobił.

– Zaprzysiął mnie.

– Do czego?

– Do milczenia. Nie dlatego, że my coś zrobiliśmy. Coś zrobiono jemu. Uderzenie serca.

– I mnie.

Nazywał się Howard Ingles Zint.

Alias Floryd Cooper Zindt. Alias Zane Lee Cooper. Alias Howard Cooper Sayder.

Szesnaście lat temu był „przedstawicielem handlowym na Zachodnie Wybrzeże” Młodych w Działaniu. Firma, nieistniejąca od ponad dziesięciu lat, okazała się przekrętem. Wyłudzała pieniądze za subskrypcje, które rzadko dostarczano.

Zint przyjechał do L.A. w maju. Po okresie działania w Tucson zaczął rekrutować uczniów z lokalnych szkół. Skupiał się na mniejszościach, kierując się rasistowską logiką, że ciemna skóra oznacza nędzę, a nędza to świetny motywator. Kiedy Antoine, Will i Bradley poznali Zinta, był wygadany trzyciopięcioletkiem, według własnych słów „dawnym uniwersyteckim sportowcem”, potrafiącym sprzedać wszystko.

Teraz siedział w więzieniu Supermax we Florence, w stanie Kolorado.

Zdjęcie ukazywało wychudłą, siwobrodą zjawę z martwymi oczami.

Dwadzieścia trzy godziny dziennie w celi tak działały na człowieka. Zwłaszcza kiedy miał do odsiedzenia jeszcze dziewięćdziesiąt dwa lata ze stuletniego wyroku za porywanie, bicie, cięcie i molestowanie dziesiątków chłopców.

Szesnaście lat temu Zint nie przeszedł jeszcze do przemocy, zadowalał się uwodzeniem swoich ofiar gotówką i obietnicami gier wideo, adidasów, fajnego sprzętu sportowego. W przypadku starszych chłopców, poznania ich z „napalonymi laskami”.

W L.A. zaczęło się zwyczajnie: Zint zabierał trzech roześmianych czarnych nastolatków z jednego rogu ulicy, rozrysowywał im trasy, podjeżdżał po nich pod koniec zmiany. Płacił z góry, chociaż to było wbrew zasadom.

Kiedy zbudował zaufanie, zaczynał zabierać ich wcześniej, po jednym, tam, gdzie czekały już zmrożone puszki piwa, świeżo zwinięte skręty i pigułki, jak zapewniał Zint, „dla rozluźnienia”.

Pojawiało się więcej gotówki, potem Zint puszczał muzykę z boomboksa i patrzył uśmiechnięty, jak chłopcy się „mroczą”.

– Chodzi mi o to – ciągnął Bradley Maisonette – że nawet teraz nie jestem pewien, czy to się naprawdę stało. Chociaż tak, wiem, że tak. Może sam nigdy bym nie doszedł do tego wniosku, ale...

– Ale kiedy Will panu powiedział... – wtrąciłem.

– Próbował skoczyć z nabrzeża Long Beach. Drugi semestr studiów. Przytrzymałem go, musiałem się nieźle naszarpać, zawsze był duży. Spytałem, po cholere chcesz to zrobić? Wtedy mi powiedział. – Głęboki oddech. – Ocaliłem mu życie... a on co robi? Odwija się i buch mnie w szczękę. – Potarł brodę. – Ja mu na to: „Człowieku, co z tobą, do diabła?” A on: „Wszystko

popsuleś, mojego życia nie warto ratować”. – Otarł oczy. – Wielki facet, rozplakał się jak dziecko.

– Powiedział, co Zint mu zrobił, i pan sobie przypomniał – domyśliłem się.

– Zawsze wiedziałem, trzymałem to tylko... jakby za zasłoną. Kiedy słuchałem Willa, zaczęło mi się przejaśniać w głowie... do diabła z tym.

– Powiedział pan o tym Willowi? – spytałem.

– Wtedy nie, nie ma mowy, to było za bardzo... przytłaczające. Mieliśmy akurat egzaminy. Will cierpiał na depresję, pożyczał notatki, ściągał z moich testów na angielskim. Bardzo źle wyglądał. I... tak, depresja zaczęła się po Antoine, tuż po, powinienem się domyślić, ale...

– W końcu wyznał pan Willowi, co się z panem stało.

– Aha. – Pokręcił głową. – Obaj byliśmy napruci koką. Willowi nie podeszła, mnie tak. Ściągał ode mnie na egzaminach i to on został szanowanym obywatelem. – Wzniósł ręce. – Taki mój los.

– Porządny z pana człowiek – powiedział Milo.

– Tak, święty jestem.

– Co się stało z Antoine’em?

– Co się stało? Wsiadł do vana i odjechał. Dziwne, zazwyczaj Zint parkował na cichej ulicy, balował w miejscu. Jakby samochód był jego domem. Miał tam jedzenie, picie, książki, gry, najróżniejsze gówna.

– Zint zmienił tamtego dnia swój styl i odjechał.

– Nie pytajcie mnie dokąd, sam pytam o to siebie od szesnastu lat. – Zerwał się z krzesła, okrążył pokój, wepchnął głowę w kąt, postął tak chwilę. Kiedy wrócił do stołu, oparł czoło na blacie, zamknął oczy. Poruszał ustami. Po chwili wymamrotał: – Pierwszy raz.

– To był pierwszy raz, kiedy Antoine wsiadł do vana? – spytałem.

Kiwnięcie; włosy drapnęły o stół.

– Antoine mu nie ufał. Był mądrzejszy od nas. Ale tamtego dnia... – Zacisnął oczy. – O Boże, to takie... – Uderzył się otwartą dłonią w policzek.

Milo położył mu dłoń na ramieniu.

– Postępuje pan słusznie.

Maisonette się wyprostował, zapatrzył w coś oddalonego o wiele kilometrów. Zapadnięte policzki wibrowały. Oczy miał czerwone i mokre.

– Antoine wszedł tam, bo my mu nakitowaliśmy, że będzie fajnie. Zint zapłacił nam pięćdziesiąt dolarów, żebyśmy przekonali kolegę. Will nie chciał się przyznać, co się z nim stało, ja też nie. Powiedzieliśmy Antoine’owi, że może spokojnie wsiąść do vana... i nigdy więcej go nie zobaczyliśmy. Teraz nikt mi nie wybaczy.

Howard Zint, cukrzyk, gruźlik, seropozytywny, zawarł układ z łóżka więziennego szpitala.

Dwa dodatkowe batoniki miesięcznie i żadnego dodatkowego wyroku.

Opowiedział swoją historię zwięźle, bez emocji.

Antoine Beverly opierał się zalotom Zinta, próbował uciec z vana. Zint uderzył go w twarz, głowa Antoine'a odskoczyła, uderzyła w kant miniaturowego automatu do gry, który Zint dopiero co kupił.

Zint pojechał w niezamieszkaną okolicę na północ od La Cienega i zakopał chłopca na wydmie, na wschodnim skraju obecnych Terenów Rekreacyjnych Kennetha Hahna.

Szesnaście lat później narysował mapę.

Budownictwo mieszkaniowe zmieniło ukształtowanie terenu. Chwilę trwało, zanim znaleziono właściwe miejsce.

Kości.

Autopsja nie wykazała poważnych uszkodzeń czaszki, za to podkreśliła liczne ślady po ostrym narzędziu na żebrach Antoine'a.

Wieczny oszust Zint sięgnął po jeszcze jedno kłamstwo zmniejszające jego winę.

Mówiło się o unieważnieniu ugody i rozpoczęciu procesu o morderstwo.

Sharna i Gordon Beverly powiedzieli:

– Oddajcie nam tylko Antoine'a i zostawcie nas w spokoju.

Pogrzeb odbył się w piękny, jesienny poranek. Ponad dwustu przyjaciół, krewnych i życzliwych, przewidywalna liczba polityków, dziennikarzy i „aktywistów społecznych”, polujących na sposobność do zdjęcia.

Nie było Bradlcya Maisonette'a ani Willa Gooda. Good i Andrea zatrzymali się w motelu w Tarzanie, odebrali swojego psa dzień przed tym, jak znaleźliśmy Maisonette'a, wyjechali z miasta w niewiadomym kierunku.

– Miejmy nadzieję, że w rejonie bez nabrzeża – powiedział Milo.

Po ceremonii ustawiliśmy się w kolejce, żeby złożyć kondolencje.

Gordon Beverly ścisnął nasze dłonie, dał krok do przodu, jakby chciał nas objąć, powstrzymał się.

Sharna Beverly odsłoniła welon. Jej twarz wyglądała jak z rzeźbionego orzecha, oczy miała czyste i suche.

– Udało się panu, poruczniku.

Ujęła twarz Mila w obie dłonie, ucałowała go gorąco w policzki. Opuściła welon.

Odwróciła się do następnej osoby w kolejce.

Robin zarwała noc, ale złożyła i polakierowała mandolinę na sześć godzin przed przybyciem swojego mecenasa.

Owinęła instrument w zielony aksamit, przyniosła do jadalni, położyła na stole.

– Przepiękna – oceniłem.

– Przed chwilą dzwonił. Zdecydowanie coś z nim nie tak.

Wzięła prysznic, wytarła włosy, ubrała się w brązową sukienkę do kolan, której nie widziałem od lat.

– Wiem – powiedziała.

– Co wiesz?

– Audrey by takiej nie włożyła. Bawiła się włosami. Zaparzyłem kawę.

– Bezkofeinowa, prawda? – spytała.

Próbowałem zająć ją zabawą w zgadywanki.

Jakim samochodem przyjedzie?

Sprawdziłem Dotcoma w Internecie. Miał trzydzieści trzy lata, ukończył Stanford i był kawalerem, z majątkiem wartym netto czterysta siedemdziesiąt pięć milionów dolarów.

– Bogacz, tak myślałam – powiedziała Robin.

– A więc jaki wóz?

– Kto wie?

– A ty, mała?

Blanche podniosła głowę i się uśmiechnęła.

– To może być wszystko – stwierdziła Robin. – Jedna skrajność albo druga.

– To znaczy?

– Ferrari albo hybryda.

Ja pomyślałem: bentley albo volkswagen bus.

Ekspres do kawy zapiszczał. Nalałem dwa kubki. Robin upiła łyk.

– Mięczak ze mnie – mruknęła, wstała i rozchyliła żaluzje w salonie. – Ładny dzień. Równie dobrze możemy poczekać na zewnątrz.

– Mam zabrać twoją kawę?

– Słucham? O, jasne, dzięki.

A odpowiedź brzmi: niebieski van ford econoline.

Wysiadł z niego potężny facet w czarnych dżinsach i koszulce z logo firmy Dotcoma.

Zobaczył nas na tarasie. Przyjrzał się domowi. Podeszedł do tyłu vana.

– Mięśniak – powiedziałem. – Na wypadek, gdybyś nie chciała oddać towaru.

– To nie jest śmieszne – odparła Robin.

Ale się uśmiechnęła.

Duży otworzył tylne drzwi samochodu. Opuściła się elektryczna rampa. Kierowca sięgnął do środka i wyprowadził wózek inwalidzki.

Postać na wózku była chuda, blada, krótko ostrzyżona, z dziecięcą twarzą.

Ubrana w czarną bluzę z takim samym logo i niebieskie dżinsy. Kiedy wózek zjeżdżał po rampie, ciało mężczyzny kolebało się bezwładnie. Podtrzymywał je skórzany pas zapięty w talii.

Jednym palcem nacisnął guzik. Wózek potoczył się do przodu. Staął.

Mężczyzna popatrzył na dom, tak samo jak kierowca.

Spoglądał na wysokie kamienne stopnie prowadzące na taras. Po drugiej stronie stromy trawnik i kamienna ścieżka.

Robin i mnie działka podobała się właśnie przez to nachylenie. Żartowaliśmy, że na starość będziemy potrzebować windy.

Mężczyzna na wózku się uśmiechnął. Robin pobiegła na dół.

Przedstawiła mnie.

– Miło cię poznać, Alex – odezwał się człowiek na wózku. – Dave Simmons.

Chciałem podać rękę, ale się zawahałem. Dave Simmons mrugnął.

– Dave, tak mi przykro, że nie ma tu podjazdu – powiedziała Robin.

– Tom zawsze może mnie wnieść.

– No jasne! – zahuczał potężny mężczyzna.

– Żartowałem, Tom. Muszę tylko zobaczyć to dzieło sztuki.

– Przyniosę. – Robin wbiegła po schodach.

– Ostrożnie, nie potknij się! – zawołał za nią Dave Simmons. Do mnie: – Nie chciałem jej szokować, ale zazwyczaj o tym nie rozmawiam. Kiedy widzieliśmy się ostatnio, byłem słaby, ale dawałem sobie radę, pewnie nie zauważyła. Mam nawroty i remisje. Teraz akurat jest nawrót.

– Stwardnienie rozsiane?

– Coś w tym rodzaju, ale nie do końca. – Simmons się uśmiechnął. Gładka twarz, oczy szeroko otwarte, niebieskie i wesołe. – Zawsze mi zależało, żeby się wyróżniać, więc teraz... O, kurczę, piękna.

Robin wyciągnęła instrument do Simmons'a.

– Nie mogę – powiedział. – Za słabe ręce.

Przysunęła go bliżej.

Zaparło mu dech w piersiach.

– Niewiarygodne, jesteś czarodziejką. Mogłabyś ją odwrócić, proszę. .. prześliczny klon. Jeden kawałek, czy nie zauważam klejenia?

– Jeden kawałek – odparła Robin.

– To musiała być świetna deska... lutnicza ziarnistość i ta pionowa fala, jak karmel. – Przymknął oczy. Kiedy znów je otworzył, natężył się, żeby zbliżyć głowę do lustrzanej powierzchni. – Jak rwąca rzeka... Gdzie znalazłaś tak wspaniałe drewno?

– Stary lutnik przeszedł na emeryturę. Miałam je od lat – wyjaśniła Robin. – Z wiekiem robi się coraz lepsze.

– Jasne, naturalne suszenie – powiedział Simmons. – Nie można tego zastąpić komorą. Trochę poczytałem. To niesamowite, Robin. Dzięki za stworzenie tego dzieła, a zwłaszcza za to, że zdażyłaś tak szybko. Chcę dać tę mandolinę muzykowi, który na nią zasługuje. Zorganizować akcję charytatywną urządzić loterię. Bez opłat za bilety. Żeby się zakwalifikować, trzeba będzie zagrać bluegrassowy utwór na odpowiednim poziomie. W roli sędziów wystąpią wirtuozi. Może Grisman albo Statman. Co o tym sądzisz?

– Cudowny pomysł, Dave.

– Myślę, że tak będzie najlepiej, Robin. Naprawdę zamierzałem nauczyć się grać, miałem zamówionego nauczyciela. – Drgnięcie ramion zastąpiło ich wzruszenie. – Wszystko wzięło w łeb.

– Tak mi przykro, Dave.

– Bywa. A potem się odbywa. Myślę pozytywnie. – Obdarzył mandolinę kolejnym długim, rozmarzonym spojrzeniem. – Absolutne mistrzostwo, porażające piękno. Dobra, Tom, lepiej już jedźmy. Miło było znów cię widzieć, Robin. Zatrzymaj mandolinę, dopóki nie ustalę szczegółów. Jeśli wpadniesz na jakiś pomysł, daj znać. Cieszę się, że cię poznałem, Alex.

Tom złapał za uchwyty i zaczął pchać wózek w stronę rampy. Robin pobiegła za nimi. Położyła dłoń na ramieniu Simmons'a.

– Och, jeszcze jedno – powiedział. – Czy mogę spytać, kiedy planujesz skończyć resztę?

– Dzisiaj biorę się do mandoli.

– Dziewięć miesięcy wystarczy?

– Szybciej, Dave.

Simmons uśmiechnął się szeroko.

– Im szybciej, tym lepiej.